

Jestem Numerem Cztery

Lore Pittacus

Książka I z Dziedzictwa planety
Lorien



calibre 0.9.43

PITTACUS LORE
JESTEM NUMEREM
CZTERY

DZIEDZICTWA PLANETY LORIEN
KSIĘGA PIERWSZA
PRZEŁOŻYŁA
URSZULA SZCZEPAŃSKA
G+J KSIĄŻKI

MB

1

WYDARZENIA OPISANE W TEJ KSIĄŻCE SĄ PRAWDZIWE.

IMIONA I MIEJSCA ZOSTAŁY ZMIENIONE, BY CHRONIĆ LORYJCZYKA NUMER SZEŚĆ,
KTÓRY

POZOSTAJE W UKRYCIU.

PRZYJMIJCIE TO JAKO PIERWSZE OSTRZEŻENIE.

INNE CYWILIZACJE NAPRAWDĘ ISTNIEJĄ.

NIEKTÓRE USIŁUJĄ WAS ZGŁADZIĆ.

2

Drzwi zaczynają drzeć. To takie byle co zrobione z pędów bambusa powiązanych wystrzępionymi kawałkami szpagatu. Drzenie jest delikatne i prawie natychmiast ustępuje. Obaj unoszą głowy, nasłuchując, czternastoletni chłopiec i pięćdziesięcioletni mężczyzna, którego wszyscy uważają za jego ojca, a który urodził się w pobliżu innej dżungli na innej planecie odległej o setki lat świetlnych. Leżą bez koszul po przeciwnych stronach chaty; obie połówki osłania siatkowa moskitiera. Słyszą odległy trzask, coś jak odgłos łamanej przez zwierzę gałęzi drzewa, choć w tym wypadku to brzmi, jakby złamało się całe drzewo.

- Co to było? - pyta chłopiec.

- Cii... - odpowiada mężczyzna.

Słyszą brzęczenie owadów, nic więcej. Mężczyzna przekłada nogi przez krawędź połówki, kiedy znów zaczyna się drzenie. Dłuższe, mocniejsze, i następny trzask, tym razem bliższy. Mężczyzna wstaje i wolno podchodzi do drzwi.

Cisza. Mężczyzna bierze głęboki oddech, zbliżając rękę do zasuwki. Chłopiec siada.

- Nie - szepcze mężczyzna i w tym momencie ostrze miecza, długie i lśniące, wykute z błyszczącego białego metalu, niespotykanego na Ziemi, przeszywa drzwi i wbija się głęboko w jego pierś. Wystaje na piętnaście centymetrów z jego pleców, po czym zostaje błyskawicznie wyjęte. Mężczyzna postępuje. Chłopiec łapie powietrze.

Mężczyzna bierze oddech i wydobywa z siebie jedno słowo:

- Uciekaj.

Pada bez życia na podłogę.

Chłopiec zeskakuje z połówki i wypada przez tylną ścianę na zewnątrz. Nie przejmuje się drzwiami ani oknem, dosłownie wybiega przez ścianę, która ustępuje jak papier, choć jest zrobiona z mocnego, twardego afrykańskiego mahoni. Chłopak rzuca się w kongijską noc, przeskakuje drzewa, pędzi z prędkością bliską stu kilometrów na godzinę. Ma ponadludzki wzrok i słuch. Lawiruje między drzewami, przedziera się przez splątane pnącza, jednym susem przesadza małe strumienie. Ciężkie kroki są niedaleko za nim, z każdą sekundą coraz bliżej.

Jego prześladowcy też mają swoje moce. I mają coś ze sobą. Coś, o czym on tylko słyszał piąte

przez dziesiąte, coś, czego nigdy się nie spodziewał zobaczyć na Ziemi. Trzaski się przybliżają. Chłopiec słyszy niski, potężny ryk. Wie, że ktoś, kto za nim goni, kimkolwiek jest, nabiera prędkości. On widzi przed sobą prześwit dżungli. Gdy tam dobiega, widzi ogromny wąwóz, jakieś sto metrów wszerz i sto metrów w głąb, z rzeką na dnie. Brzeg rzeki jest pokryty wielkimi głazami. Głazami, które by go rozłupały, gdyby na nie spadł. Jedynym ratunkiem jest przesadzić wąwóz.

Będzie miał krótki rozbieg i jedną szansę. Jedną jedyną szansę na ocalenie życia. Nawet dla niego, czy kogokolwiek z takich jak on na Ziemi, ten skok jest prawie niewykonalny. Zarówno odwrót, jak i upadek na dno wąwozu czy próba zmierzenia się z wrogiem oznaczają pewną śmierć. Ma jedną próbę.

Goni go ogłuszający ryk. Są pięć do dziesięciu metrów za nim. Robi pięć kroków w tył i biegnie - i tuż przed występem skalnym odbija się i zaczyna lecieć nad wąwozem. Szybuje trzy, cztery sekundy. Krzyczy z ramionami wyciągniętymi przed sobą, czekając na ocalenie albo swój koniec. Spada na ziemię, koziołkuje do przodu i zatrzymuje się u stóp ogromnej sekwoi. Uśmiecha się. Nie może uwierzyć, że się udało, że wyjdzie z tego żywy. Nie chcąc, aby go zobaczyli, wiedząc, że musi im uciec na dobre, wstaje. Będzie musiał biec dalej.

Odwraca się w stronę dżungli. W tym samym momencie olbrzymia ręka owija się wokół jego szyi i unosi go nad ziemię. Chłopak miota się, kopie, próbuje się wyrwać, choć wie, że to nadaremne, że to koniec. Powinien był się spodziewać, że będą po obu stronach, że kiedy już go znajdą, nie zdoła im uciec. Mogadorczyk unosi chłopca wyżej, na tyle, że widzi jego pierś i wiszący na szyi amulet - amulet, jaki może nosić tylko on i ludzie jego rasy. Zrywa go i chowa gdzieś pod swoją długą czarną peleryną, a kiedy wynurza z powrotem rękę, dzierży w niej miecz z błyszczącego białego metalu. Chłopak patrzy w głębokie, szeroko otwarte, beznamienne oczy Mogadorczyka i mówi:

- Dziedzictwa żyją. Oni się wszyscy odnajdą i kiedy będą gotowi, zniszczą was.

Mogadorczyk wybucha śmiechem, wrednym, szyderczym śmiechem. Unosi miecz, jedyną broń we wszechświecie zdolną zdjąć czar, który chronił dotąd chłopca i nadal chroni innych. Ostrze skierowane w niebo zajmuje się srebrzystym płomieniem, jak gdyby się ożywiało, przeczuwało swoją misję i krzywiło się z niecierpliwości. A gdy opada niby łuk światła przesywający mrok dżungli, chłopiec wciąż ufa, że jakaś cząstka niego przeżyje, powróci do domu. Zamyka oczy tuż przed ciosem miecza. I nagle wszystko się kończy.

1

Na początku było nas dziewięcioro. Opuściliśmy swoją planetę jako małe dzieci, prawie zbyt małe, żeby pamiętać.

Prawie.

Wiem z opowieści, że grunt drżał, że niebo było pełne światła i wybuchów. Mieliśmy tę dwutygodniową porę roku, kiedy oba księżyce wiszą po przeciwnych stronach horyzontu. To był czas świętowania i najpierw wybuchy wzięto za fajerwerki. Mylnie. Było ciepło, znad wody wiał łagodny wiatr. Ciągłe słyszę o pogodzie: było ciepło. Wiał łagodny wiatr. Dotąd nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

Najżywiej pamiętam to, jak tamtego dnia wyglądała moja babcia. Była rozgorączkowana i smutna. Miała łzy w oczach. Mój dziadek stał nad jej ramieniem. Pamiętam, jak jego okulary zbierały światło z nieba. Były uściski. Były słowa wypowiedane przez nich oboje. Nie pamiętam, co mówili. I to mnie dręczy bardziej niż wszystko inne.

Podróż tutaj zajęła rok. Miałem pięć lat, kiedy wylądowaliśmy. Wszyscy mieliśmy się zasymilować, zanim wrócimy do siebie, gdy Lo-rien znów będzie mogła utrzymywać życie. Nasza dziewiątka musiała się rozproszyć, każdy miał

pójść własną drogą. Na jak długo, nikt nie wiedział. Nadal nie wiemy. Żadne z nich nie wie, gdzie ja jestem, ja nie wiem, gdzie są oni ani jak teraz wyglądają. Chronimy się w ten sposób za sprawą czaru, jaki na nas rzucono, kiedy

3

opuszczaliśmy planetę - czaru dającego gwarancję, że póki żyjemy osobno, poty możemy zostać zabici tylko w kolejności naszych numerów. Jeżeli się zejdziemy, czar przestanie działać.

Kiedy jedno z nas zostaje wytropione i zabite, wokół prawej kostki tych, którzy jeszcze żyją, pojawia się blizna. Na lewej kostce wszyscy mamy inną małą bliznę, powstałą wraz z rzuconiem loryjskiego czaru, taką samą jak amulet, który każde z nas nosi. Okrężna blizna jest częścią tamtego czaru. To system ostrzegawczy, który powiadamia o naszej sytuacji i mówi, kiedy przyjdą po nas jako następnych w kolejce. Pierwsza blizna wystąpiła, kiedy miałem dziewięć lat. Wyrwała mnie ze snu, wżerając się w moje ciało. Mieszkaliśmy w Arizonie, w małym miasteczku przy granicy z Meksykiem. Obudziłem się w środku nocy, krzycząc w męczarniach, przerażony palącym piętnem, które odciskało się na mojej skórze. To był pierwszy znak, że Mogadorczycy znaleźli nas w końcu na Ziemi, i pierwszy znak, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Zanim pojawiła się blizna, już prawie przekonałem sam siebie, że moje wspomnienia są nieprawdziwe, że to, co opowiadał mi Henri, jest nieprawdziwe. Chciałem być normalnym dzieciakiem żyjącym w normalny sposób, ale tamtej nocy zrozumiałem, ponad wszelkie wątpliwości czy dyskusje, że tak nie jest. Następnego dnia przenieśliśmy się do Minnesoty.

Druga blizna powstała, kiedy miałem dwanaście lat. Byłem w szkole, w Kolorado, i brałem wtedy udział w konkursie ortograficznym. Gdy tylko zacząłem czuć ból, wiedziałem, co się dzieje, co stało się z Numerem Dwa. Ból był straszny, ale tym razem do zniesienia. Zostałbym na scenie, lecz od żaru zapaliła się moja skarpetka. Nauczyciel prowadzący konkurs spryskał mnie gaśnicą przeciwpożarową i pędem zawiózł do szpitala. Lekarz na ostrym dyżurze zobaczył pierwszą bliznę i wezwał policję. Kiedy przyjechał Henri, zagrozili, że go aresztują za znęcanie się nad dzieckiem. Ale ponieważ nie było go przy mnie, kiedy pojawiła się druga blizna, musieli go puścić. Wsiadliśmy do samochodu i odjechaliśmy, tym razem do Maine. Zostawiliśmy wszystko poza Loryjskim Kuferkim, który Henri zabierał ze sobą przy każdej przeprowadzce. Do dzisiaj było ich dwadzieścia jeden.

Trzecia blizna pokazała się przed godziną. Siedziałem w łodzi pontonowej. Łódź należała do rodziców najpopularniejszego chłopaka w mojej szkole, który bez ich wiedzy urządził na niej przyjęcie. Nigdy dotąd nie byłem zapraszany na żadne szkolne przyjęcia. Zawsze, wiedząc, że w każdej chwili możemy wyjechać, trzymałem się na uboczu. Ale przez dwa lata był spokój. Henri nie znajdował w wiadomościach niczego, co mogłoby naprowadzić Mogailoiczyków na kogoś z naszych ani być dla nas ostrzeżeniem przed nimi. Dlatego zakumplowałem się z kilkoma chłopakami. I jeden z nich przedstawił mnie koledze, który urządził party. Wszyscy spotkali się na przystani. Były trzy przenośne chłodziarki z napojami, jakaś muzyka, dziewczyny, które podziwiałem z daleka, ale z którymi nigdy nie rozmawiałem, choć miałem na to ochotę. Wypłynęliśmy prawie kilometr w Zatokę Meksykańską. Siedziałem na burcie pontonu ze stopami w wodzie, rozmawiając ze śliczną, ciemnowłosą, niebieskooką dziewczyną o imieniu Tara, kiedy poczułem, że to się zbliża. Woda wokół moich nóg zawrzała, a moja goleń zaczęła się jarzyć tam, gdzie wrastała w ciało nowa blizna. Trzeci z symboli Lorien, trzecie ostrzeżenie. Tara zaczęła krzyczeć i zaraz miałem nad głową tłum ludzi. Wiedziałem, że nie da się tego wyjaśnić. I że musimy natychmiast wyjechać.

Teraz stawka była wyższa. Wytropili Numer Trzy, gdziekolwiek - on czy ona - był, i Numer Trzy już nie żył.

Uciszyłem więc Tarę, pocałowałem w policzek i powiedziałem, że miło było ją poznać i że mam

nadzieję, iż czeka ją długie piękne życie. Skoczyłem za burtę i zacząłem płynąć, cały czas pod wodą z wyjątkiem jednego oddechu gdzieś w połowie drogi, i najszybciej, jak mogłem, dotarłem do brzegu. Biegłem wzdłuż autostrady, tuż za linią drzew, nie wolniej niż samochody. Kiedy wszedłem do domu, Henri siedział przed rzędem skanerów i monitorów, które służyły mu do śledzenia wiadomości z całego świata i działań policji w naszej okolicy. Wiedział, nim zdążyłem otworzyć usta, ale podniósł zmoczone nogawki moich spodni, żeby zobaczyć blizny.

Na początku byliśmy dziewięcioosobową grupą.

Trójka zginęła, nie żyje.

Została nas szóstka.

Ścigają nas i nie ustaną, dopóki nie zabiją wszystkich.

Jestem Numerem Cztery.

Wiem, że jestem następny

2

Stoję na środku podjazdu i patrzę z zadartą głową na dom. Jest bladoróżowy, prawie jak posypka do tortu, posadzony trzy metry nad ziemią na drewnianych palach. Od frontu kołysze się palma. Pomost za domem wychodzi dwadzieścia metrów w Zatokę Meksykańską. Gdyby ten dom znajdował się półtora kilometra dalej na południe, pomost byłby na Oceanie Atlantyckim.

Henri wynosi z domu ostatnie pudło; niektóre od naszej ostatniej przeprowadzki nie zostały rozpakowane. Zamyka drzwi, potem wrzuca klucze do otworu na listy. Jest druga nad ranem. Ma na sobie szor-Ly khaki i czarną koszulkę polo. Jest bardzo opalony, jego pokryta zarostem twarz wydaje się zgaszona. Jemu też jest przykro wyjeżdżać. Rzuca ostatnie pudła na pakę furgonetki z resztą naszych rzeczy

- No i tyle - mówi.

Kiwam głową. Stoimy, patrzymy na dom i słuchamy, jak wiatr przemyka między liśćmi palmy. Trzymam w ręku torbę z selerem naciowym.

- Będę tęsknił za tym miejscem - mówię. - Jeszcze bardziej niż za innymi.

- Ja też.

- Pora na spalenie?

- Tak. Ja czy ty? Jak wolisz?

- Ja to zrobię.

4

Henri wyjmuję swój portfel i rzuca go na ziemię. Ja wyjmuję swój i robię to samo. On podchodzi do furgonetki i wraca z paszportami, aktami urodzenia, kartami ubezpieczeniowymi, książeczkami czekowymi, kartami kredytowymi i kartami bankowymi i rzuca je na ziemię. Wszystkie dokumenty związane z jego i moją tożsamością tutaj, wszystkie fałszywe i sfabrykowane. Biorę z furgonetki mały kanister benzyny, który trzymamy na wszelki wypadek. Polewam benzyną mały stos. Obecnie nazywam się Daniel Jones. Według zmyślonej historii wychowywałem się w Kalifornii, lecz musiałem ją opuścić ze względu na pracę swojego taty, który jest programistą komputerowym. Daniel Jones ma za chwilę zniknąć. Pocieram zapałkę i rzucam ją na stos, który zajmuje się ogniem. Finał kolejnej odsłony mojego życia.

Jak zawsze Henri i ja stoimy i patrzymy w ogień. Cześć, Daniel, myślę, fajnie, że cię znałem. Kiedy ogień dogasa, Henri spogląda na mnie.

- Musimy jechać.

- Wiem.

- Te wyspy nigdy nie były bezpieczne. Zbyt trudno jest się stąd szybko wydostać, zbyt trudno uciec.

Głupotą z naszej strony było decydować się na to miejsce.

Kiwam głową. On ma rację, wiem o tym. Ale i tak nie chce mi się wyjeżdżać. Przyjechaliśmy tu, bo ja tego chciałem, i po raz pierwszy Henri pozwolił mi wybrać, dokąd się przeniesiemy. Spędziłem tu dziewięć miesięcy, a to najdłuższy pobyt w jednym miejscu, odkąd opuściliśmy Lorient. Będę tęsknił za słońcem i ciepłem. Będę tęsknił za gekonem, który co dzień rano patrzył ze ściany, jak jem śniadanie. Chociaż na południowej Florydzie są dosłownie miliony gekonów, przysięgam, że ten odprowadza mnie do szkoły i wydaje się, że ciągle jest gdzieś przy mnie. Będę tęsknił za gwałtownymi burzami, które jakby brały się znikąd, i za tym, jak wcześnie rano, zanim przylecą ry-bitwy, jest spokojnie i cicho. Będę tęsknił za delfinami, którym zdarza się polować o zachodzie słońca. Będę tęsknił nawet za zapachem siarki z gnijących przybrzeżnych wodorostów i za tym, jak ten zapach wypełnia dom i przenika nasze sny.

- Pozbądź się selera, ja zaczekam w samochodzie - mówi Henri. -I w drogę.

Wchodzę w gęstwinę drzew na prawo od furgonetki. Trzy jelenie wirgińskie już czekają. Rzucam im pod kopyta seler z torby, przykuca i głaszczę każdego po kolei. Nie bronią się, płochliwość dawno im przeszła. Jeden z nich unosi głowę i patrzy na mnie. Ciemne obojętne oczy skierowane prosto w moje. Prawie mam wrażenie, jakby chciał mi coś powiedzieć. Przebiega mnie dreszcz. Jeleń spuszcza głowę i spokojnie je dalej.

- Powodzenia, mali przyjaciele - mówię.

Wracam do furgonetki i siadam na miejscu pasażera. Patrzymy, jak dom maleje w bocznych lusterkach, w końcu Henri wyjeżdża na główną drogę i dom znika. Jest sobota. Zastanawiam się, jak toczy się szkolne party beze mnie. Co mówią o tym, że się urwałem, i co będą mówić w poniedziałek, kiedy nie pojawię się w szkole. Żałuję, że nie mogłem się pożegnać. Z nikim z tutejszych znajomych już nigdy się nie zobaczę. Z żadnym z nich nie porozmawiam. A oni nigdy się nie dowiedzą, kim jestem ani dlaczego wyjechałem. Pewnie po kilku miesiącach, a może kilku tygodniach, nikt z nich o mnie nawet nie pomyśli.

Przed wjazdem na autostradę Henri skręca na stację benzynową. Gdy on tankuje, ja zaczynam przeglądać atlas, który zawsze leży na środkowym siedzeniu. Mamy go, odkąd przybyliśmy na Ziemię. Są w nim narysowane linie łączące wszystkie miejsca, w których dotąd mieszkaliśmy. Dzisiaj siatka tych linii pokrywa całe Stany Zjednoczone.

Wiemy, że powinniśmy się go pozbyć, ale to jest naprawdę jedyny kawałek naszego wspólnego życia. Normalni ludzie zbierają zdjęcia, filmy i gazety, my mamy atlas samochodowy. Przeglądając go, widzę, że Henri zaznaczył nową linię z Florydy do Ohio. Kiedy myślę o Ohio, myślę o krowach, o kukurydzy i miłych ludziach. Znam slogan turystyczny

„Ohio, serce tego wszystkiego”. Czym jest „to wszystko”, nie wiem, ale pewnie się dowiem.

Henri wraca do samochodu. Kupił kilka butelek wody i paczkę chipsów. Rusza i kieruje się w stronę autostrady U.S.

1, którą pojedziemy na północ. Sięga po atlas.

- Myślisz, że w Ohio są ludzie? - pytam żartem. Śmieje się.

- Zakładam, że kilku się znajdzie. I może jak dopisze nam szczęście, znajdą się nawet samochody i telewizja.

Kiwam głową. Może nie będzie tak źle.

- Co myślisz o tym, żebym się nazywał John Smith? - pytam.

- Zdecydowałeś się?

- Chyba tak. Jeszcze nigdy nie byłem Johnem ani Smithem.

- Trudno o coś bardziej pospolitego. Powiedziałbym, że miło pana poznać, panie Smith.

Uśmiecham się.

- Tak, chyba podoba mi się John Smith.

- Wyrobię ci papiery, kiedy się zatrzymamy

Półtora kilometra dalej jesteśmy poza wyspą i przekraczamy most. Pod nami przetacza się woda. Jest spokojna i światło księżyca połyskuje na niewielkich falach, tworząc cętki bieli w ich grzywach. Po prawej jest ocean, po lewej zatoka; to w gruncie rzeczy ta sama woda, ale o dwóch różnych nazwach. Choć chce mi się płakać, hamuję łzy Nie żebym aż z takim żalem opuszczał Florydę, lecz mam dość uciekania. Mam dość wymyślania co pół roku nowego imienia. Mam dość nowych domów i nowych szkół. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie możliwe, byśmy się zatrzymali.

3

Zjeżdżamy z autostrady, żeby coś zjeść, zatankować i kupić nowe telefony Robimy postój na parkingu dla ciężarówek, gdzie jemy klopsa i makaron z serem, jedną z paru rzeczy, którym Henri przyznaje wyższość nad wszystkim, co mieliśmy na Lorien. Podczas jedzenia wyrabia nowe dokumenty na swoim laptopie, używając naszych nowych nazwisk. Wydrukuję je, gdy dotrzemy na miejsce, i odtąd dla każdego będziemy tym, za kogo się podamy.

- John Smith, jesteś pewien? - pyta.

- Tak.

5

- Urodziłeś się w Tuscaloosie w Alabamie.

- Jak na to wpadłeś? - pytam z chichotem.

On się uśmiecha, wskazując brodą dwie kobiety siedzące kilka boksów dalej. Obie są niesamowicie seksowne. Jedna ma na sobie T-shirt z napisem „W Tuscaloosie robimy to lepiej”.

- Tam pojedziemy w następnej kolejności - mówi.

- Może to zabrzmie dziwnie, ale mam nadzieję, że zostaniemy w Ohio na dłużej.

- No proszę. Z taką ochotą myślisz o Ohio?

- Z ochotą myślę o zaprzysiężeniu się z jakimiś ludźmi, chodzeniu do jednej szkoły dłużej niż kilka miesięcy i może jakimś prawdziwym życiu. Zacząłem to mieć na Florydzie. Było całkiem fajnie i po raz pierwszy, odkąd jesteśmy na Ziemi, czułem się prawie normalny Chcę znaleźć jakieś miejsce i tam zostać.

Henri wygląda na zamyślonego.

- Spojrzałeś dzisiaj na swoje bliźny?

- Nie, bo co?

- Bo tu nie chodzi o ciebie. Chodzi o przetrwanie naszej rasy, prawie doszczętnie unicestwionej, i o to, by uchronić twoje życie. Za każdym razem, gdy jedno z nas umiera - za każdym razem, gdy jedno z was, Gardów, umiera - nasze szanse maleją. Jesteś Numerem Cztery, jesteś następny Masz przeciw sobie całą rasę bezwzględnych morderców, którzy na ciebie polują. Na pierwszy sygnał o kłopotach znikamy i nie będę z tobą o tym dyskutował.

Henri cały czas prowadzi. Poza postojami i wyrabianiem nowych dokumentów jazda zajmuje około trzydziestu godzin. Ja przeważnie drzemię albo gram w gry wideo. Dzięki refleksowi większość gier opanowuję bardzo szybko.

Dotąd żadna nie zajęła mi więcej niż jeden dzień. Najbardziej lubię wojnę z obcymi i gry kosmiczne. Udaję, że jestem z powrotem na Lorien i walczę z Mogadorczykami, wycinając ich w pień, ścierając na proch. Henri uważa, że to dziwaczne, i próbuje mnie od tego odwozić. Mówi, że trzeba żyć w realnym świecie, gdzie wojna i śmierć są rzeczywistością, a nie udawać. Po skończeniu najnowszej gry, podnoszę wzrok. Jestem zmęczony siedzeniem w furgonetce. Zegar na desce

rozdzielczej wskazuje za dwie minuty ósmą. Ziewam, trę oczy

- Daleko jeszcze?

- Jesteśmy prawie na miejscu - mówi Henri.

Jest ciemno, ale od zachodu widać bladą poświatę. Mijamy farmy z końmi i bydłem, potem jałowe pola, a za nimi ciągną się bezkresne lasy Tego dokładnie chciał Henri - spokojnego miejsca, gdzie można pozostać niezauważonym.

Raz w tygodniu, przez sześć, siedem, osiem godzin bez przerwy, mój opiekun przeczesuje internet, żeby uaktualnić listę dostępnych domów w całym kraju, które spełniają jego kryteria: wiejska okolica, odosobnienie, natychmiastowa dostępność. Powiedział mi, że wykonał cztery próby - najpierw jeden telefon do Dakoty Południowej, jeden do Nowego Meksyku, jeden do Arkansas - nim załatwił wynajem domu, w którym mamy teraz mieszkać. Kilka minut później widzimy rozproszone światła, które zapowiadają miasteczko. Mijamy tablicę: WITAMY W PARADISE, OHIO LICZBA MIESZKAŃCÓW 5243

- No! No! - mówię. - To miejsce jest jeszcze mniejsze od tamtej dziury w Montanie.

- Raj w Ohio - Henri się uśmiecha. - Jak myślisz, dla kogo to jest raj?

- Może dla krów? Albo strachów na wróble?

Mijamy starą stację benzynową, myjnię dla samochodów i cmentarz. Później zaczynają się domy, położone jakieś sto metrów od siebie. W większości okien wiszą dekoracje na Halloween. Małe podwórka są poprzecinane chodnikami prowadzącymi do drzwi frontowych. W centrum miasteczka jest rondo, pośrodku którego stoi posąg mężczyzny na koniu trzymającego miecz. Henri zatrzymuje się na moment. Obaj patrzymy na rzeźbę ze śmiechem, mając przy tym nadzieję, że nikt inny z mieczem tu nie zagląda. Henri objeżdża rondo i tuż za nim GPS każe nam skręcić. Kierujemy się na zachód, poza miasteczko.

Jedziemy sześć kilometrów, potem w lewo zwirową drogą, mijamy ogołocone pola, które prawdopodobnie latem są pełne kukurydzy, następnie ponad kilometr przez gęsty las. I w końcu jest, schowana w zaroślach zardzewiała srebrna skrzynka na listy z namalowanymi na boku czarnymi literami, które składają się w adres: Old Mili 17.

- Do najbliższego domu są trzy kilometry - mówi Henri, skręcając w zwirowy podjazd, cały porośnięty zielskiem i pełen wybojów, w których stoi bura woda. Zatrzymuje się i gasi silnik.

- Czyj to samochód? - pytam o czarnego SUV-a, za którym Henri właśnie zaparkował.

- Przypuszczam, że agentki nieruchomości.

Dom rysujący się na tle drzew i ciemności robi niesamowite wrażenie. Przychodzi mi na myśl, że ktokolwiek ostatnio w nim mieszkał, dał się wystraszyć, przepędzić albo po prostu uciekł. Wsiadam z furgonetki. Silnik tyka, czuję parujące z niego ciepło. Wyjmuję swoją torbę i stoję z nią, patrząc.

- Co o tym myślisz? - pyta Henri.

Dom jest parterowy, obity deskami, biała farba prawie w całości złuszczona. Jedno z frontowych okien jest zbite.

Czarna dachówka wygląda na wypaczoną i skruszałą. Trzy drewniane schodki prowadzą na ganek zastawiony rozchwianymi krzesłami. Samo podwórce jest długie i zarośnięte. Minęło mnóstwo czasu, odkąd trawa po raz ostatni widziała kosiarkę.

- Jak w raj - mówię.

Kiedy wchodzimy razem na ganek, w progu staje dobrze ubrana blondynka mniej więcej w wieku Henriego. Jest w biznesowym kostiumie, trzyma podkładkę do pisania i teczkę na dokumenty; na pasku spodnicy ma zaczepiony smartphone. Uśmiecha się.

- Pan Smith?

- Tak - mówi Henri.

- Annie Hart, agentka z biura nieruchomości Paradise. Rozmawialiśmy przez telefon. Próbowalam dodzwonić się wcześniej, ale miał pan chyba wyłączoną komórkę.

- Tak, rzeczywiście. Padła mi w drodze bateria.

6

- Och, to jest coś, czego nie znoszę - mówi kobieta, podchodząc do nas, i podaje Henriemu rękę.

Potem pyta mnie o imię, więc się przedstawiam, choć kusi mnie, jak zwykle, żeby powiedzieć „Czwórka”. Podczas gdy Henri podpisuje umowę wynajmu, ona pyta, ile mam lat, i mówi, że ma córkę prawie w moim wieku, która chodzi do miejscowej szkoły średniej. Pani Hart jest bardzo ciepła, serdeczna i wyjątkowo rozmowna. Henri oddaje umowę i wszyscy troje wchodzimy do domu.

W środku większość mebli jest osłonięta białymi prześcieradłami. Na tych nieosłoniętych zalega gruba warstwa kurzu i zdechłych owadów. Siatki w oknach wyglądają, jakby się mogły rozpaść pod byle dotykiem, ściany są wyłożone tanią sklejką. Są dwie sypialnie, skromnych rozmiarów kuchnia z żółtozielonym linoleum, jedna łazienka.

Pokój dzienny jest wielki i prostokątny, usytuowany od frontu domu. W tylnym kącie jest kominek. Przechodzę do mniejszej sypialni i rzucam na łóżko swoją torbę. Patrzę na ogromny spłowiały plakat z piłkarzem w jaskrawopomarańczowym stroju. Jest w trakcie podania, w sytuacji, jakby za chwilę miał być zmiądzony przez masywnego zawodnika w czarno-złotym stroju. Plakat jest opatrzony podpisem „hemie Kosar, rozgrywający, Cleveland Browns”.

- Chodź, pożegnaj się z panią Hart - krzyczy Henri z dużego pokoju.

Pani Hart stoi z Henrim w drzwiach. Mówi, że powinienem poszukać w szkole jej córki, że może się zaprzyjaźnimy.

Uśmiecham się i mówię, że fajnie by było. Po jej wyjściu natychmiast zaczynamy rozpakowywać furgonetkę. Zależnie od tego, w jakim pośpiechu opuszczamy kolejne miejsce, albo podróżujemy na lekko - czyli ubrania na grzbiecie, laptop Henriego i misternie rzeźbiony Loryjski Kuferek, który towarzyszy nam wszędzie, albo zabieramy trochę rzeczy

-zwykle dodatkowe komputery i sprzęt, za pomocą którego Henri tworzy strefę bezpieczeństwa i przeszukuje sieć pod kątem wiadomości i zdarzeń, które mogą mieć związek z nami. Tym razem mamy Kuferek, dwa wysokiej generacji komputery, cztery monitory telewizyjne i cztery kamery. Wzięliśmy też trochę ubrań, choć niewiele z tego, co nosiliśmy na Florydzie, nadaje się w Ohio. Henri wnosi Kuferek do swojego pokoju, a cały sprzęt taszczymy do sutereny, gdzie będzie zainstalowany, tak żeby nikt, kto do nas przyjdzie, go nie zobaczył. Kie-ily już wszystko jest w domu, Henri zaczyna ustawiać kamery i włączać monitory.

- Do rana nie będziemy mieli internetu, ale jeśli chcesz iść jutro do szkoły, mogę ci wydrukować wszystkie nowe papiery

- Jeśli zostanę, będę musiał pomóc ci sprzątnąć dom i skończyć instalację?

- Tak.

- Idę do szkoły.

- W takim razie dobrze się wyśpij.

-

4

Inna nowa tożsamość, inna nowa szkoła. Straciłem rachubę, ile przez lata ich było. Piętnaście? Dwadzieścia? Zawsze małe miasteczko, mała szkoła, zawsze ta sama rutyna. Nowi uczniowie zwracają na siebie uwagę. Zastanawiam się czasem nad sensem naszej strategii trzymania się małych miasteczek, bo przecież trudno w takim miejscu, prawie niemożliwe, pozostać niezauważonym. Ale

wiem, że Henri myśli racjonalnie: dla nich to też jest niemożliwe.

Szkoła znajduje się pięć kilometrów od domu. Rano Henri mnie podwozi. Jest mniejsza od większości moich poprzednich szkół i mieści się w niepozornym parterowym budynku, długim i przysadzistym. Zewnętrzną ścianę przy drzwiach frontowych pokrywa malowidło przedstawiające pirata z nożem w zębach.

- Więc jesteś teraz Piratem? - mówi z boku Henri.

- Na to wygląda.

- Znasz zasady

- To nie jest mój pierwszy występ.

- Nie okazuj swojej inteligencji. To ich do ciebie zrazi.

- Ani mi się śni.

- Nie wyróżniaj się i nie zwracaj na siebie za bardzo uwagi.

- Będę jak mucha na ścianie.

- I nie zrób nikomu krzywdy Jesteś od nich dużo silniejszy.

- Wiem.

- Przede wszystkim masz być zawsze gotowy. Gotowy w każdej chwili zniknąć. Co masz w plecaku?

- Porcję suszonych owoców i orzechów na pięć dni. Zapasowe skarpetki i bieliznę termoaktywną. Kurtkę przeciwdeszczową. Podręczny GPS. Nóż zamaskowany jako długopis.

- Zawsze przy sobie. - Henri bierze głęboki oddech. - I wypatruj znaków. Twoje dziedziczne moce ujawnią się lada dzień. Ukrywaj je za wszelką cenę i natychmiast do mnie dzwoń.

- Wiem, Henri.

- Lada dzień, John - powtarza. - Jeśli zaczną ci znikać palce albo gdy zaczniesz unosić się w powietrzu, albo gwałtownie drzeć, jeśli przestaniesz panować nad mięśniami czy zaczniesz słyszeć głosy, choć nikt nie będzie mówił, cokolwiek takiego się zdarzy, dzwoń.

Poklepuję plecak.

- Tu mam telefon.

- Będę czekał w tym miejscu po lekcjach. Powodzenia, młody. Uśmiecham się do niego. Ma pięćdziesiąt lat, co znaczy, że miał

7

czterdzieści, kiedy wylądowaliśmy na Ziemi. W jego wieku trudniej było się przestawić. Wciąż mówi z silnym akcentem loryjskim, który często ludzie biorą za francuski. Na początku to było niezłe alibi, więc przybrał imię Henri i trzyma się go do tej pory, zmieniając tylko nazwisko, żeby zawsze było zgodne z moim.

- Przeto idę zawładnąć szkołą - mówię.

- Bądź grzeczny.

Ruszam w stronę budynku. Tak jak w większości szkół średnich tłumy uczniów pętają się na zewnątrz. Są podzieleni na kliki: zapaleni sportowcy i cheerleaderki, dzieciaki ze szkolnej kapeli z instrumentami, mózgowcy w okularach, z nosami utkwionymi w podręcznikach i smartphoneach, jaracze daleko z boku, niezważający na całą resztę.

Jeden chłopak, tyczkowaty i w grubych szklach, stoi sam. Jest w dzinsach i czarnym T-shircie z logo NASA i waży góra czterdzieści pięć kilo. Ma podręczny teleskop i ogląda niebo, które jest w większości pokryte chmurami.

Zauważam dziewczynę, która robi zdjęcia, przechodząc swobodnie od jednej grupy do następnej. Jest szokująco piękna, z prostymi włosami blond za ramiona, karnacją w kolorze kości słoniowej i

ciepłymi niebieskimi oczami.

Wygląda na to, że wszyscy ją znają, każdy się z nią wita i nikt nie protestuje, kiedy robi mu zdjęcie.

Widzi mnie, uśmiecha się i macha ręką. Zastanawiam się dlaczego i odwracam się, żeby sprawdzić, czy ktoś jest za mną. Tylko dwóch chłopaków, którzy omawiają pracę domową z matmy. Odwracam się z powrotem. Uśmiechnięta blondynka idzie w moją stronę. Nigdy nie widziałem tak ładnej dziewczyny, a tym bardziej nigdy z taką nie rozmawiałem i zdecydowanie żadna do mnie nie machała i nie uśmiechała się, jakbyśmy byli przyjaciółmi. Z nerwów zaczynam się czerwienić. Ale też nie opuszcza mnie podejrzliwość, bo tak zostałem wytresowany. Zbliżając się do mnie, dziewczyna unosi aparat i zaczyna pstrykać zdjęcia. Podrywam rękę, żeby zasłonić twarz. Ona opuszcza aparat i znów się uśmiecha.

- Nie bądź taki nieśmiały

- Nie jestem. Staram się tylko chronić twój obiektyw. Moja twarz mogłaby rozbić soczewki.

Ona wybucha śmiechem.

- Ta skrzywiona mina na pewno. Spróbuj się uśmiechnąć.

Uśmiecham się niewyraźnie. Jestem tak zdenerwowany, że czuję się, jakbym miał eksplodować. Piecze mnie szyja, dłonie robią się gorące.

- To nie jest prawdziwy uśmiech - mówi z przekorą. - W uśmiechu pokazuje się zęby.

Uśmiecham się szeroko i ona robi zdjęcie. Zwykle nie pozwalam nikomu się fotografować. Gdyby moja podobizna trafiła do internetu albo jakiejś gazety, o wiele łatwiej byłoby mnie znaleźć. Już dwukrotnie to się zdarzyło i za każdym razem Henri był wściekły, dotarł do zdjęć i je zniszczył. Gdyby wiedział, co teraz robię, dostałbym za swoje.

Ale nic na to nie poradzę - ta dziewczyna jest taka ładna i ma tyle wdzięku. Gdy robi zdjęcie, podbiega do mnie pies.

To beagle z oklapłymi uszami, białymi łapami i klatką piersiową oraz smukłym czarnym tułowiem. Jest chudy i brudny, jakby żył samo-pas. Ociera się o moją nogę, skomle, próbuje zwrócić na siebie uwagę. Dziewczynę ujmuje ta scena i prosi, żebym przyklęknął, bo chce mi zrobić zdjęcie z psem. Gdy tylko zaczyna pstrykać, pies odskakuje, przy każdej następnej próbie coraz dalej. Ona się w końcu poddaje i robi jeszcze kilka zdjęć mnie samemu. Pies siedzi, patrząc na nas z dystansu dziesięciu metrów.

- Znasz go? - pyta ona.

- Nigdy go nie widziałem.

- Widać, że cię lubi. Jesteś John, prawda? - Wyciąga do mnie rękę.

- Tak. Skąd wiesz?

- Sara Hart. Moja mama jest agentką nieruchomości. Mówiła, że pewnie zaczniesz dziś szkołę i że powinnam cię znaleźć. A jesteś dzisiaj jedynym nowym chłopakiem.

Śmieję się.

- Tak, poznałem twoją mamę. Była bardzo miła.

- Podasz mi rękę?

Nadal trzyma wyciągniętą w powietrzu dłoń. Uśmiecham się, ściskam jej rękę na powitanie, i, słowo daję, jest to jedno z najprzyjemniejszych uczuć, jakich w życiu doznałem.

- Ojej! - mówi.

- Co?

- Masz gorącą rękę. Strasznie gorącą, jakbyś miał gorączkę.

- Nie wydaje mi się. Ona odpuszcza.

- Więc może jesteś gorącokrwisty

- Może.

Z daleka dobiega dźwięk dzwonka i Sara mówi, że to dzwonek ostrzegawczy. Mamy pięć minut, żeby zdążyć do klasy. Zegnamy się i patrzą za nią, kiedy się oddala. Chwilę później coś uderza mnie pod kolanem. Odwracam się i widzę grupę drałujących obok piłkarzy, wszyscy w reprezentacyjnych sportowych kurtkach. Jeden z nich gapi się na mnie i domyślam się, że to od niego dostałem plecakiem. Wątpię, żeby uderzył mnie niechcący, i ruszam za nimi.

Wiem, że nic nie zrobię, chociaż mógłbym. Tylko nie lubię żuli. Prawie natychmiast podchodzi do mnie chłopak w koszulce z logo NASA.

- Wiem, że jesteś nowy, więc może cię oświecę.

-W jakiej sprawie?

- To jest Mark James. Robi tu za wielkiego ważniaka. Jego ojczulek jest miejscowym szeryfem, a on gwiazdą drużyny futbolowej. Chodził z Sarą, kiedy ona była cheerleaderką, ale wypisała się z drużyny i go rzuciła. Koleś tego nie przebolewał. Na twoim miejscu w nic bym się nie pakował.

- Dzięki.

Chłopak się zmywa. Ja idę do gabinetu dyrektora, żeby zapisać się na lekcje i zacząć od dzisiaj. Odwracam się i sprawdzam, czy pies dalej się gdzieś kręci. Jest, siedzi w tym samym miejscu i patrzy na mnie.

8

Dyrektor nazywa się Harris. Jest gruby i prawie całkiem łysy z wyjątkiem paru długich włosów z tyłu i po bokach głowy. Brzuch wylewa mu się ze spodni. Ma małe świdrujące oczy, osadzone zbyt blisko. Uśmiecha się do mnie zza biurka i ten uśmiech jakby pochłaniał jego oczy.

- Więc jesteś drugoklasistą z Santa Fe? - pyta.

Kiwam głową, potwierdzam, choć nigdy nie byliśmy w Santa Fe ani w ogóle w Nowym Meksyku. Zwykle kłamstwo, które ma nas chronić przed wytropieniem.

- To tłumaczy opaleniznę. Co cię sprowadza do Ohio?

- Praca mojego taty

Henri nie jest moim ojcem, ale zawsze mówię, że jest, dla rozwiania podejrzeń. W rzeczywistości jest moim Stróżem lub, co byłoby lepiej rozumiane na Ziemi, moim opiekunem. Na Lorien były dwa rodzaje obywateli, jedni to ci, którzy przejmują Dziedzictwa, czyli najrozmaitsze moce, jak bycie niewidzialnym albo czytanie w myślach, umiejętność latania czy używanie naturalnych żywności, jak ogień, wiatr i pioruny. Ci z mocami zwą się Gardami, a ci bez - Capanami albo Stróżami. Ja jestem Gardą. Henri jest Capanem. Każdemu Gardzie przydziela się we wczesnym wieku Capan. Capanowie pomagają nam zrozumieć historię naszej planety i rozwinąć nasze moce. Capan i Garda - jedna grupa do zarządzania planetą, druga do jej obrony

Pan Harris kiwa głową.

- A czym on się zajmuje?

- Jest pisarzem. Chciał zamieszkać w małym, spokojnym miasteczku, żeby skończyć coś, nad czym pracuje - to wyjaśnienie jest naszą standardową przykrywką.

Pan Harris kiwa głową i mruży oczy.

- Wyglądasz na silnego młodzieńca. Zamierzasz uprawiać tu sport?

- Chciałbym, proszę pana. Ale mam astmę - zawsze używam tej wymówki, żeby uniknąć wszelkich sytuacji, które mogłyby zdradzić moją siłę i prędkość.

- Wielka szkoda. Wybieramy wysportowanych uczniów do drużyny futbolowej. - Rzuca spojrzenie na półkę z trofeum piłkarskim z wygrawerowaną ubiegłoroczną datą. - Wygraliśmy Ligę

Międzyszkolną -mówi, promieniejąc z dumy.

Sięga do szafki na dokumenty przy swoim biurku, wyjmując dwie kartki i mi je wręcza. Pierwsza jest planem lekcji z kilkoma pustymi okienkami, druga listą przedmiotów fakultatywnych. Wybieram lekcje, wpisuję do planu i wszystko oddaję. Dyrektor udziela mi czegoś w rodzaju wstępnego przeszkolenia, cały czas mówiąc, jakby miał nigdy nie skończyć, wałkując drobiazgowo, strona po stronie, regulamin ucznia. Dzwoni jeden dzwonek, potem drugi. Na koniec, czego się wreszcie doczekuję, pan Harris pyta, czy mam jakieś pytania. Mówię, że nie.

- Doskonale. Zostało pół godziny do końca drugiej lekcji i wybrałeś astronomię z panią Burton. To świetna nauczycielka, jedna z naszych najlepszych. Otrzymała nagrodę stanową podpisaną przez samego gubernatora.

- To wspaniale - mówię.

Kiedy dyrektorowi udaje się podźwignąć z fotela, opuszczamy jego gabinet i ruszamy szkolnym korytarzem. Jego buty stukają o świeżo wypastowaną podłogę. W powietrzu czuć zapach farby i środka czyszczącego. Ściany są zastawione szafkami, na wielu widzę hasła wspierające drużynę piłkarską. W całym budynku może być nie więcej niż dwadzieścia klas. Liczę je po drodze.

- To tutaj - mówi pan Harris i podaje mi rękę. - Cieszę się, że będziesz z nami. Lubię myśleć o szkole jak o zżytej rodzinie. I z radością cię do niej przyjmuję.

- Dziękuję.

Pan Harris otwiera drzwi i wsuwa głowę do klasy. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że jestem podenerwowany, że czuję się dziwnie słabo. Drży mi prawa noga, mam motyle w żołądku. Nie rozumiem dlaczego. To nie może być stres przed wejściem na pierwszą lekcję w nowej szkole. Robiłem to zbyt wiele razy, żeby wciąż reagować nerwowo. Biorę głęboki oddech i staram się opanować.

- Pani Burton, przepraszam, że przeszkadzam. Jest tutaj pani nowy uczeń.

- Och, to wspaniale! Niech wejdzie - mówi nauczycielka pełnym entuzjazmem, piskliwym głosem.

Pan Harris przytrzymuje otwarte drzwi i wchodzi do środka. Sala jest idealnie kwadratowa, dwadzieścioro pięcioro uczniów, plus minus, siedzi przy prostokątnych ławkach wielkości kuchennego stołu, po trzy osoby przy każdej.

Wszystkie oczy są zwrócone na mnie. Ja też na nich patrzę, dopiero potem na panią Burton. Ma około sześćdziesiątki, jest w różowym wełnianym swetrze i w czerwonych plastikowych okularach z łańcuszkiem na szyi. Uśmiecha się szeroko, ma siwiejące kręcone włosy. Mnie pocą się dłonie i pali twarz. Mam nadzieję, że nie jest czerwona. Pan Harris zamyka drzwi.

- Jak się nazywasz? - pyta nauczycielka.

W swoim podenerwowaniu chcę powiedzieć „Daniel Jones”, ale gryzę się w język. Biorę głęboki oddech i mówię

„John Smith”.

- Świetnie. A skąd jesteś?

- Z Fl... - zaczynam, ale znów gryzę się w język. - Z Santa Fe.

- Proszę, powitajmy go ciepło - zwraca się do klasy

Wszyscy klaszczą. Pani Burton wskazuje mi wolne miejsce pośrodku sali, między dwojgiem uczniów. Dziękuję w duchu, że nie zadaje mi więcej pytań. Odwraca się, żeby wrócić do swojego biurka, a ja ruszam między rzędami, prosto w kierunku Marka Jamesa, który siedzi w jednej ławce z Sarą Hart. Kiedy przechodzę obok, on wystawia nogę i mnie podcina. Na moment tracę równowagę, ale nie przewracam się. Po klasie rozchodzi się chichot. Pani Burton wykonuje szybki obrót.

- Co się stało? - pyta.

Nie odpowiadam, tylko piorunuję wzrokiem Marka. W każdej szkole był taki jeden, oprych, zabijaka, jak zwał, tak zwał, ale dotąd żaden nie ujawnił się tak szybko. Jego czarne włosy są sztywne od żelu, starannie ufryzowane, tak że sterczą we wszystkich kierunkach. Ma pieczołowicie przycięte baki, szczecinę na twarzy. Krzaczaste brwi nad

9

ciemnymi oczami. Numer na jego sportowej kurtce mówi, że Mark jest w ostatniej klasie, a tuż nad rokiem złotą kursywą wydrukowane jest jego imię. Nie odrywamy od siebie wzroku i klasa wydaje szyderczy pomruk.

Zerkam na swoje miejsce trzy ławki dalej, potem dalej patrzę na Marka. Gdybym zechciał, mógłbym go dosłownie rozplątać. Mógłbym go przerzucić do sąsiedniego hrabstwa. Gdyby próbował uciec i wsiadł do samochodu, mógłbym przegonić samochód i zawiesić go na czubku drzewa. Ale pomijając fakt, że byłoby to ostre przeszarżowanie, w głowie mam słowa Henriego: „Nie wyróżniaj się i nie zwracaj na siebie za bardzo uwagi”. Wiem, że powinienem pójść za jego radą i zignorować cały incydent, tak jak robiłem do tej pory. To coś, w czym jesteśmy naprawdę dobrzy - wtapianie się w ludzką społeczność i życie w jej cieniu. Ale jakoś kiepsko się czuję, coś mnie niepokoi i zanim mam szansę się zastanowić, pytanie już padło.

- Chciałeś czegoś?

Mark odwraca głowę i rozgląda się po klasie, prostuje się gwałtownie na krześle, potem znowu patrzy na mnie.

- O co ci chodzi? - pyta.

- Podstawiłeś mi nogę. I wpadłeś na mnie przed szkołą. Pomyślałem, że może czegoś chcesz.

- Co tu się dzieje? - pyta pani Burton za moimi plecami. Spoglądam na nią przez ramię.

- Nic takiego - mówię i odwracam się z powrotem do Marka. -No więc?

Zaciska ręce na ławce, ale nic nie mówi. Nasze oczy są w zwarciu, aż w końcu on wzdycha i odwraca wzrok.

- Tak myślałem - mówię do niego z góry i ruszam dalej.

Reszta klasy nie bardzo wie, jak zareagować, i większość wciąż się gapi, kiedy siadam na swoim miejscu między rudą piegowatą dziewczyną a otyłym kolesiem, który patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami.

Pani Burton staje przed klasą. Wydaje się lekko wytrącona z równowagi, ale dochodzi do siebie i opowiada, skąd się wzięły pierścienie wokół Saturna i jak to jest, że tworzą je głównie cząsteczki lodu i pyłu. Wyłączam się po chwili i robię przegląd klasy Cała nowa grupa ludzi, których jak zwykle będę się starał trzymać na dystans. Tu zawsze jest cienka granica - mieć z nimi akurat tyle kontaktu, żeby pozostać kimś tajemniczym, nie robiąc jednocześnie wrażenia dziwaka, przez co rzucalibyśmy się w oczy. Już to dzisiaj zaliczyłem. Fatalna sprawa.

Robię głęboki wdech i długi, wolny wydech. Wciąż mam motyle w żołądku, wciąż uporczywie drży mi noga. Czuję, że moje dłonie są coraz cieplejsze. Mark James siedzi trzy ławki przede mną. W pewnej chwili odwraca się i patrzy na mnie, potem szepcze coś Sarze do ucha. Ona odwraca głowę. Wydaje się, że jest w porządku, ale fakt, że kiedyś z nim chodziła i że teraz z nim siedzi, trochę mnie zastanawia. Sara posyła mi ciepły uśmiech. Chcę się odwzajemnić tym samym, ale jestem zdębiały. Mark znów próbuje do niej szeptać, ona potrząsa głową i go odpycha. Mam o wiele lepszy słuch niż ludzie, jeśli się koncentruję, ale jej uśmiech wytrącił mnie z równowagi. Żałuję, że nie słyszałem, jakie padły słowa.

Otwieram i zamykam dłonie. Są spocone i zaczynają mnie piec. Jeszcze jeden głęboki oddech. Mam mgłę przed oczami. Mija pięć minut, dziesięć minut. Pani Burton wciąż mówi, ale nic z tego do

mnie nie dociera. Na zmianę zaciskam i otwieram pięści, i raptem oddech więźnie mi w gardle. Z mojej prawej dłoni bije lekki blask. Zerkam na nią kompletnie osłupiały. Po kilku sekundach blask nabiera mocy.

Zamykam pięści. W pierwszym odruchu ogarnia mnie strach, że coś się stało jednemu z naszych. Ale co mogło się stać? Nie można nas zabić poza kolejnością. Tak działa czar. Ale czy to znaczy, że nie może ich spotkać żadne inne nieszczęście? Może obcięli komuś prawą rękę? Nie mam sposobu, żeby się dowiedzieć. Ale gdyby coś się stało, czuł-

bym to w bliznach na swoich kostkach. I dopiero wtedy spada na mnie olśnienie. To musi być moje pierwsze Dziedzictwo. Wykluwa się moja pierwsza moc.

Wyciągam z plecaka telefon i wysyłam Henriemu wiadomość o treści „Do mnie”, chociaż chciałem napisać

„Przyjedź”. Jestem zbyt otępiały, żeby zdobyć się na cokolwiek innego. Zaciskam ręce w pięści i kładę je na kolanach.

Są rozpalone i drżące. Otwieram dłonie. Lewa jest jaskrawoczerwona, z prawej wciąż bije blask. Spoglądam na zegar na ścianie i widzę, że lekcja prawie dobiega końca. Jeśli uda mi się stąd wydostać, może znajdę jakąś pustą klasę, zadzwonię do Henriego i spytam, co się dzieje. Zaczynam odliczać sekundy: sześćdziesiąt, pięćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt osiem. Mam uczucie, jakby coś miało wybuchnąć mi w rękach. Skupiam się na odliczaniu. Czterdzieści, trzydzieści dziewięć. Teraz czuję mrowienie, jakby ktoś wkłuwał mi w dłonie cienkie igiełki. Dwadzieścia osiem, dwadzieścia siedem. Otwieram oczy i patrzę przed siebie, koncentrując wzrok na Sarze z nadzieją, że jej widok oderwie moją uwagę od tego, co się dzieje ze mną. Piętnaście, czternaście. Patrząc na nią, czuję się jeszcze gorzej.

Igiełki zamieniają się w gwoździe. Gwoździe wyjęte z paleniska i rozgrzane do czerwoności. Osiem, siedem. Rozlega się dzwonek i w jednej chwili rzucam się do drzwi, wyprzedzając kogo się da. Mam nogi jak z waty i kręci mi się w głowie. Gonię dalej korytarzem i nie mam pojęcia, dokąd pójść. Czuję, że ktoś mi depcze po piętach. Wyjmuję z tylnej kieszeni plan lekcji i sprawdzam numer swojej szafki. Ślepym fartem mam ją po swojej prawej ręce. Przystaję i opieram czoło o metalowe drzwiczki. Kręcę głową, zdając sobie sprawę, że w całym pośpiechu, żeby wydostać się z klasy, zostawiłem plecak z telefonem w środku. I wtedy ktoś mnie popycha.

-I co, twardzielu?

Zataczam się kilka kroków, odwracam głowę. Mark stoi, uśmiechając się do mnie.

- Stało się coś? - pyta.

- Nie - odpowiadam.

Mam zawroty głowy, czuję, że zaraz zemdleję. I palą mnie ręce. Cokolwiek się dzieje, nie mogło mnie to spotkać w gorszym momencie. Mark znów mnie popycha.

- Straszny twardziel, ale tylko przy nauczycielach, no nie? Tracę równowagę, nie mogę się utrzymać na nogach; potykam się

o własną stopę i ląduję na podłodze. Sara staje przed Markiem.

- Zostaw go w spokoju - mówi.

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Akurat. Widzisz, że rozmawia ze mną jakiś nowy chłopak i natychmiast próbujesz z nim zadrzeć.

To jest właśnie jeden z powodów, dla których nie jesteśmy już razem.

10

Dźwigam się na nogi. Sara schyla się, żeby mi pomóc, i gdy tylko mnie dotyka, ból w rękach wybucha z nową siłą i mam uczucie, jakby przez moją głowę przeleciał piorun. Odwracam się i

zwiewam w przeciwnym kierunku do klasy astronomicznej. Wiem, że wszyscy pomyślą, że jestem tchórzem, ale czuję się, jakbym tracił przytomność. Podziękuję Sarze później - i policzę się z Markiem. Teraz muszę znaleźć salę z zamkiem w drzwiach.

Docieram do końca korytarza, który łączy się z holem głównym. Przypominam sobie szkolenie pana Harrisa, które uwzględniało rozmieszczenie różnych pomieszczeń w szkole. Jeśli dobrze zapamiętałem, aula, sale muzyczne i pracownie plastyczne znajdują się na końcu tego holu. Biegnę tam najszybciej, jak mogę w swoim obecnym stanie. Za plecami słyszę wrzeszczącego do mnie Marka i Sarę wrzeszczącą na niego. Otwieram pierwsze z brzegu drzwi i zatrząskuję za sobą. Na szczęście mają zamek, który natychmiast przekręcam.

Jestem w ciemni. Wstęgi negatywów wiszą na linkach do suszenia. Padam na podłogę. Kręci mi się w głowie i palą mnie ręce. Od chwili, kiedy zobaczyłem światło, trzymałem dłonie zaciśnięte w pięści. Oglądam je teraz i widzę, że prawa ręka wciąż świeci i pulsuje. Wpadam w panikę.

Siadam na podłodze, od potu szczypią mnie oczy. Obie ręce potwornie bołą. Wiedziałem, że mam spodziewać się pierwszych dziedzicznych mocy, ale pojęcia nie miałem, że odbędzie się to w taki sposób. Otwieram dłonie. Prawa świeci jasno, światło zaczyna się koncentrować; lewa blade migocze, palące uczucie jest prawie nie do zniesienia.

Chciałbym, żeby Henri był tutaj ze mną. Mam nadzieję, że jest w drodze.

Zamykam oczy i krzyżuję ręce na piersi. Kołyszę się na podłodze w przód i w tył, cały w bólu. Nie wiem, ile upływa czasu. Minuta? Dziesięć minut? Rozlega się dzwonek wzywający na następną lekcję. Słyszę rozmawiających w korytarzu ludzi. Ktoś kilka razy próbuje otworzyć drzwi, ale są zablokowane i nikt nie będzie mógł się dostać do środka. Z zamkniętymi mocno oczami nie przestaję się kołysać. Coraz gwałtowniejsze pukanie do drzwi. Ściszone głosy, których nie rozumiem. Otwieram oczy i widzę, że blask z moich rąk rozświetlił cały pokój. Zaciśkam ręce w pięści, próbując stłumić światło, ale ono wylewa się spomiędzy moich palców. Nagle drzwi zaczynają drzeć naprawdę solidnie. Co oni pomyślą o moich świecących rękach? Nie da się tego ukryć. W jaki sposób to wyjaśnię?

- John? Otwórz drzwi, to ja - mówi głos.

Przenika mnie uczucie ulgi. Głos Henriego, jedyny głos na całym świecie, który chcę usłyszeć.

5

Podczołguję się i przekręcam zamek. Drzwi się otwierają. Henri jest w przykurzonym stroju ogrodniczym, jakby się oderwał od pracy w obojętności domu. Widząc go, jestem tak szczęśliwy, że chciałbym się poderwać i rzucić mu się na szyję; nawet próbuję, ale jest mi zbyt słabo i bezradnie osuwam się na podłogę.

- Jak tam, wszystko w porządku? - pyta pan Harris, który stoi za plecami Henriego.

- Wszystko dobrze. Proszę tylko dać nam minutę.

- Czy mam zadzwonić po karetkę?

- Nie!

Drzwi się zamykają. Henri patrzy na moje ręce. Prawa świeci jasnym światłem, a lewa tylko nieśmiało migocze, jakby próbowała zdobyć wiarę w samą siebie. Henri uśmiecha się szeroko, twarz mu promienieje jak słońce.

- Ach, dzięki, Lorien - wzdycha, po czym wyjmuje z tylnej kieszeni rękawice ogrodnicze. - Co za traf, że pracowałem wokół domu. Włóż je.

Wkładam rękawice, które całkiem zakrywają światło. Pan Harris otwiera drzwi i wsuwa do środka głowę.

- Panie Smith? Czy wszystko w porządku?

- Tak, wszystko dobrze. Proszę tylko dać nam jeszcze pół minuty - mówi Henri i odwraca się do mnie. - Twój dyrektor jest wścibski.

Robię głęboki oddech i wydech.

- Rozumiem, co się dzieje, ale dlaczego to?

- Twoje pierwsze Dziedzictwo.

- Wiem, ale dlaczego światła?

- Porozmawiamy o tym w samochodzie. Jesteś w stanie iść?

- Chyba tak.

Pomaga mi wstać. Mam miękkie nogi, wciąż cały drzę, więc chwytam się jego przedramienia.

- Najpierw muszę zabrać plecak - mówię.

- Gdzie on jest?

- Został w klasie.

- Jaki numer?

- Siedemnaście.

- Zaprowadzę cię do furgonetki i sam po niego pójde. Zakładam prawe ramię na jego barki. Henri mnie podtrzymuje,

obejmując w pasie lewym ramieniem. Chociaż zadzwonił drugi dzwonek, ciągle słyszę ludzi na korytarzu.

- Musisz iść tak prosto i tak normalnie, jak tylko jesteś w stanie. Nabieram w płuca powietrza.

Staram się zebrać resztki sił, żeby

pokonać długą drogę do wyjścia.

- Spróbujmy - mówię.

Ocieram pot z czoła i wychodzę za Henrim z ciemni. Pan Harris wciąż jest za drzwiami na korytarzu.

- Po prostu ciężki przypadek astmy - mówi Henri, mijając go.

11

Na korytarzu stoi jeszcze około dwudziestu osób, większość z aparatami na szyi, czeka, żeby wejść do ciemni na lekcję fotografii. Na szczęście nie ma wśród nich Sary Idę tak pewnie, jak tylko mogę, stawiając jedną stopę przed drugą. Do wyjścia jest ze trzydzieści metrów. Mnóstwo kroków. Ludzie szepczą.

- Jakiś świr.

- Czy on w ogóle chodzi do tej szkoły?

- Mam nadzieję, jest niezły.

- Jak myślisz, co robił w ciemni, że ma taką czerwoną buźkę? Słyszę, jak wszyscy się śmieją.

Tak jak można wyteżyć słuch, można go również wyłączyć, co pomaga, gdy ktoś stara się skoncentrować wśród hałasu i zamieszania. Zamykam się więc na hałas i idę tuż za Henrim. Każdy krok jest dla mnie jak dziesięć kroków, ale w końcu docieramy do drzwi. Henri otwiera je przede mną i próbuję o własnych siłach dojść do furgonetki zaparkowanej na wprost wejścia. Na ostatnie dwadzieścia kroków znów opieram ramię na jego barkach. Henri otwiera samochód i pakuję się do środka. Powiedziałaś siedemnaście?

- Tak.

- Powinieneś go trzymać przy sobie. To takie małe błędy które prowadzą do wielkich błędów. Nie możemy sobie pozwolić na żaden.

- Wiem. Przepraszam.

Zamyka drzwi i wraca do szkoły. Kulę się na siedzeniu, próbując zwolnić oddech. Wciąż czuję pot

na czole. Siadam prosto, opuszczam daszek na przedniej szybie, żeby spojrzeć w lusterko. Moja twarz jest bardziej czerwona, niż myślałem, oczy trochę załzawione. Mimo bólu i wyczerpania uśmiecham się. Nareszcie, myślę. Po latach czekania, po tych wszystkich latach, kiedy moją jedyną obroną przed Mogadorczykami były intelekt i ostrożność, objawiła się moja pierwsza moc. Henri wychodzi ze szkoły z moim plecakiem. Obchodzi furgonetkę, otwiera drzwi, rzuca plecak na siedzenie.

- Dzięki - mówię.

- Nie ma sprawy

Kiedy już jesteśmy poza parkingiem, zdejmuję rękawice i przyglądam się dokładnie swoim dłoniom. Blask w prawej zaczyna się skupiać w wąski snop światła, taki jak z latarki, lecz jaśniejszy. Palące uczucie zaczyna ustępować.

Lewa dłoń wciąż lekko migocze.

- Powinieneś mieć je na rękach, dopóki nie wrócimy do domu - mówi Henri.

Wkładam z powrotem rękawiczki i zerkam na niego. Uśmiecha się z dumą.

- Gównianie długo trzeba było czekać - mówi.

- Słucham...?

Spogląda na mnie kątem oka.

- Gównianie długo czekaliśmy - powtarza. - Na twoje Dziedzictwa. Parskam śmiechem. Z wszystkich rzeczy, które Henri opanował

podczas pobytu na Ziemi, sztuka używania przekleństw nie jest jego mocną stroną.

- Cholernie długo - poprawiam go.

- No. Właśnie to powiedziałem. Skręca w naszą drogę.

- Więc co dalej? Czy to znaczy, że będę mógł strzelać laserami z rąk czy co?

- Pomarzyć dobra rzecz - mówi z uśmiechem - ale nie.

- To co będę robić ze światłem? Kiedy będą mnie ścigać, mam się odwrócić i świecić im w oczy? Ze niby to ma ode mnie odstraszać?

- Cierpliwości - mówi. - Jeszcze nie pora, żebyś to zrozumiał. Wróćmy spokojnie do domu.

I wtedy przypominam sobie coś, co prawie podrywa mnie z siedzenia.

- Czy to znaczy, że otworzymy w końcu Kuferek? Henri kiwa z uśmiechem głową.

- Już niedługo.

- O rany, wreszcie!

Kuferek prześladował mnie całe życie. Jest krucho wyglądającą, opatrzoną symbolem loryjskim na boku skrzynką, co do której Henri zachowuje pełną tajemnicę. Nigdy mi nie powiedział, co jest w środku, a w żaden sposób nie da się jej otworzyć; wiem, bo próbowałem mnóstwo razy, zawsze bez powodzenia. Jest zamknięta na kłódkę z niedostrzegalnym otworem na klucz.

Kiedy docieramy do domu, od razu widzę, że Henri zabrał się do pracy. Trzy krzesła z frontowego ganku zniknęły i wszystkie okna są otwarte. Wewnątrz prześcieradła z mebli zostały pozdejmowane, część powierzchni odkurzona do czysta. Kładę plecak na stole w dużym pokoju i go otwieram. Zalewa mnie fala złości.

- Skurwiel - mówię.

- Co jest?

- Mój telefon. Nie ma go.

- To gdzie jest?

- Rano miałem lekkie starcie z jednym chłopakiem, Markiem Jamesem. To pewnie on go zwinął.

John, byłeś w szkole półtorej godziny Jak w takim czasie, do diabła, mogło dojść do starcia? Masz

swój rozum.

- Jak to w szkole. Jestem nowy. To nie takie trudne.

Henri wyjmując z kieszeni swoją komórkę i wybiera swój numer. Po chwili zamyka gwałtownie klapkę telefonu.

- Jest wyłączony - mówi.

- No jasne. Patrzy na mnie.

- Co się dokładnie stało? - pyta tym głosem, który dobrze znam, głosem, jakiego używa, rozważając kolejny ruch.

- Nic. Głupia kłótnia i tyle. Pewnie upuściłem go na podłogę, wkładając do plecaka - mówię, choć wiem, że to niemożliwe. - Byłem w nie najlepszym nastroju. Pewnie czeka na mnie w pokoju rzeczy znalezionych.

12

Henri rozgląda się po domu i wzdycha.

- Czy ktoś widział twoje ręce?

Przyglądam mu się. Ma zaczerwienione oczy, jeszcze bardziej przekrwione, niż kiedy zostawiał mnie rano w szkole, potargane włosy i nieprzytomne spojrzenie, jakby lada chwila mógł paść ze zmęczenia. Ostatnio spał na Florydzie, dwa dni temu. Nie wiem, jakim cudem trzyma się ciągle na nogach.

- Nie. Nikt nie widział.

- Byłeś w szkole półtorej godziny. Dojrzała twoja pierwsza moc, omal nie wdałeś się w bójkę i zostawiłeś w klasie swój plecak. To ma niewiele wspólnego z wtapianiem się w otoczenie.

- Nic się nie stało. Na pewno nic tak wielkiego, żeby przemieścić się do Idaho albo Kansas, czy diabli wiedzą gdzie tym razem.

Henri mruży oczy, rozważając świeże okoliczności, próbując zdecydować, czy jest wystarczający powód do wyjazdu.

- To nie jest czas, żeby pozwalać sobie na nieostrożność - mówi.

- W każdej, ale to każdej szkole każdego dnia są jakieś kłótnie. Zapewniam cię, oni nie będą nas ścigać tylko dlatego, że jakiś żul zadarł z nowym chłopakiem.

- Nie w każdej szkole nowemu chłopakowi świecą ręce.

- Henri - mówię z westchnieniem - wyglądasz, jakbyś miał za chwilę umrzeć. Zdrzemnij się. Możemy zdecydować później, jak się trochę prześpisz.

- Jest mnóstwo rzeczy, o których musimy porozmawiać.

- Nigdy nie widziałem, żebyś był aż tak zmęczony. Prześpij się kilka godzin. Porozmawiamy później.

Kiwa głową.

- Pewnie masz rację. Drzemka by mi dobrze zrobiła.

Henri idzie do łazienki i zamyka drzwi. Ja wychodzę na zewnątrz, kręcę się jakiś czas po podwórzu. Słońce jest za drzewami, wieje zimny wiatr. Dopiero teraz zdejmuję rękawice i chowam do tylnej kieszeni. Moje ręce są takie same jak przedtem. Prawdę mówiąc, tylko połowa mnie czuje radość, że pierwsze Dziedzictwo wreszcie się objawiło po tylu latach niecierpliwego oczekiwania. Druga połowa mnie jest zdruzgotana. Nasze ciągle przeprowadzki mnie wycieńczyły, a teraz nie będzie nawet mowy, żeby wtopić się w otoczenie czy zostać na pewien czas w jednym miejscu. Nie będzie mowy, żeby pozyskać przyjaciół ani żeby się poczuć, jakbym pasował do reszty. Dość mam fałszywych imion i kłamstw. Dość mam ciągłego oglądania się przez ramię, by sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi.

Pochylam się i wymacuję trzy blizny na swojej prawej kostce. Trzy pierścienie, które reprezentują trójkę nieżyjących.

Wiąże nas ze sobą coś więcej niż rasa. Kiedy czuję pod palcami bliznę, próbuję sobie wyobrazić, kim ten ktoś był, czy był chłopakiem, czy dziewczyną, gdzie mieszkał, ile miał lat w chwili śmierci. Próbuję sobie przypomnieć inne dzieci, które były ze mną na statku, i przypisać każdemu z nich numer. Myślę sobie, jak by to było się spotkać i zwyczajnie ze sobą pobyc. Jak mogłoby być, gdybyśmy nie opuścili Lorien. Jak mogłoby być, gdyby los całej naszej rasy nie zależał

od przetrwania tak niewielu z nas. Jak mogłoby być, gdyby nam wszystkim nie groziła śmierć z rąk naszych wrogów.

Przerażająca jest świadomość, że jestem następny. Ale dotąd nie daliśmy się złapać, przenosząc się z miejsca w miejsce, bez przerwy uciekając. I chociaż dość mam uciekania, wiem, że tylko dzięki temu jeszcze żyjemy. Jeśli się zatrzymamy, oni nas znajdą. Na dodatek teraz, kiedy jestem następny w kolejce, z całą pewnością nasilili poszu-kiwania. Muszą wiedzieć, że przyjmując swoje Dziedzictwa, stajemy się coraz silniejsi.

I jeszcze jedna blizna na drugiej kostce, która powstała, gdy został rzucony czar, w tamtym pięknym czasie przed ucieczką z Lorien. To jest nasz stygmat. Piętno, które nas wszystkich ze sobą wiąże.

6

Wchodzę do środka i kładę się na gołym materacu w swoim pokoju. Z wycieńczenia po wszystkich porannych przejściach zamykają mi się powieki. Kiedy po jakimś czasie otwieram oczy, słońce wisi ponad wierzchołkami drzew.

Wychodzę z pokoju. Henri siedzi przy kuchennym stole z otwartym laptopem i wiem, że jak zwykle przegląda wiadomości, szukając informacji czy historyjek, które mogłyby nam powiedzieć, gdzie są inni.

- Spałeś? - pytam.

- Niewiele. Mamy już internet, a nie sprawdzałem wiadomości od wyjazdu z Florydy. Nie dawało mi to spokoju.

- Jest coś? - pytam. Wzrusza ramionami.

- Czternastolatek w Afryce wypadł z okna na trzecim piętrze i nie miał nawet zadraśnięcia. Jest też piętnastolatek w Bangladeszu, który twierdzi, że jest Mesjaszem.

- Piętnastolatek - mówię ze śmiechem - na pewno nie jest żadnym z nas. Co myślisz o tym drugim?

- E tam. Przeżycie upadku z trzeciego piętra to żaden wyczyn. Poza tym nikt z naszych nie byłby tak nieostrożny -

odpowiada, puszczając oko.

Siadam z uśmiechem naprzeciw niego. Henri zamyka komputer i kładzie ręce na stole. Na jego zegarku jest za dwadzieścia cztery dwunasta. Jesteśmy w Ohio lekko ponad pół dnia, a już tyle się wydarzyło. Unoszę dłonie i widzę, że trochę przygasły.

- Czy wiesz, jaki masz dar? - pyta.

- Światła w rękach. Śmieje się pod nosem.

- To się nazywa Lumen. Będiesz mógł to światło w porę kontrolować.

13

Mam wielką nadzieję, bo jak one się szybko nie wyłączą, to jesteśmy spaleni. A w ogóle to wciąż nie rozumiem, o co w tym chodzi.

- Lumen to coś więcej niż same światła. Wierz mi.

- A co jeszcze?

Henri idzie do swojej sypialni i wraca z zapalniczką w ręce.

- Pamiętasz swoich dziadków? - pyta.

Nasi dziadkowie są tymi, którzy nas wychowują. Rodziców rzadko widzimy, aż do dwudziestego piątego roku życia, kiedy zaczynamy mieć własne dzieci. Loryjczycy żyją około dwustu lat, dużo dłużej niż ludzie, i kiedy rodzą się dzieci, między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia rodziców, zajmuje się nimi starsze pokolenie, podczas gdy rodzice ciągle doskonalą swoje dziedziczne moce.

- Trochę. Dlaczego pytasz?

- Bo twój dziadek miał taki sam dar.

- Nie pamiętam, by jego ręce kiedykolwiek świeciły Henri wzrusza ramionami.

- Może nigdy nie miał powodu, żeby go użyć.

- Cudownie - mówię. - Rzeczywiście wielki dar, coś, czego nigdy nie użyję.

Kręci głową.

- Podaj mi rękę.

Podaję mu prawą, on pstryka zapalniczką i zbliża płomień do czubka mojego palca. Wyrrywam rękę.

- Co robisz?

- Zaufaj mi.

Wyciągam z powrotem rękę. On ją przytrzymuje i jeszcze raz pstryka zapalniczką. Patrzy mi w oczy. Potem się uśmiecha. Opuszczam wzrok i widzę, że Henri trzyma płomień przy czubku mojego palca. Nic nie czuję. Powodowany instynktem cofam jednak rękę. Pocieram palec. W dotyku jest taki sam jak przedtem.

- Czuleś to?

- Nie.

- Daj mi jeszcze raz rękę - mówi. - I powiedz, kiedy coś poczujesz.

Zaczyna znowu od czubka mojego palca, potem bardzo powoli przeciąga płomieniem po wierzchu mojej dłoni.

Czuję lekkie łaskotanie, kiedy płomień dotyka skóry, nic więcej. Dopiero gdy ogień sięga nadgarstka, zaczyna mnie parzyć. Wyszarpuję rękę.

- Auu.

- Lumen - mówi Henri. - Staniesz się odporny na ogień i gorąco. Z rękami samo przyszło, ale resztę ciała będziemy musieli wytrenować.

Na mojej twarzy zakwita uśmiech.

- Odporny na ogień i gorąco - mówię. - Więc potem już nigdy nie będę się parzyć?

- Owszem, w końcu do tego dojdzie.

- Niesamowite!

- I jak, całkiem niezłe to twoje Dziedzictwo, no nie?

- No niezłe. A co z tymi światłami? Czy one się kiedykolwiek wyłączą?

- Wyłączą się, wyłączą. Prawdopodobnie po dobrze przespanej nocy, kiedy twój umysł zapomni, że są włączone.

Ale będziesz musiał uważać przez jakiś czas, żeby nie dać się wyprowadzić z równowagi. Każde rozchwianie emocjonalne spowoduje, że ręce znowu się zaświecą, jeśli za bardzo się zdenerwujesz, wpadniesz w złość albo przygnębienie.

- Przez jaki czas?

- Dopóki nie nauczysz się nad tym darem panować. - Zamyka oczy i pociera twarz dłońmi. - Chyba

spróbuję jeszcze raz zasnąć. Pogadamy o twoim treningu za kilka godzin.

Henri idzie do siebie, a ja zostaję przy kuchennym stole, otwieram i zamykam dłonie, oddycham głęboko i staram się wyciszyć, żeby światła zgasły. Co oczywiście nie działa.

W domu wciąż jest totalny bałagan, nie licząc kilku rzeczy, które zrobił Henri, kiedy byłem w szkole. Czuję, że on skłania się do wyjazdu, choć nie do tego stopnia, żeby nie dał się przekonać do zostania tutaj. Może gdy się obudzi i zastanie dom wysprzątanym i doprowadzonym do ładu, ułatwi mu to podjęcie właściwej decyzji.

Zaczynam od swojego pokoju. Ścieram kurz, myję okna, zamiatam podłogę. Kiedy wszystko jest czyste, rzucam na łóżko pościel, poduszki i koce, potem wieszam i składam swoje ubrania. Komoda jest stara i rozeschnięta, ale zapełniam ją i kładę na wierzchu kilka książek. No i proszę, czysty pokój, cały mój dobytek ułożony i pochowany.

Przenoszę się do kuchni, chowam naczynia i wycieram blaty. To zajęcie odciąga moją uwagę od rąk, za to myślę podczas sprzątania.

O Marku Jamesie. Po raz pierwszy w życiu komuś się postawiłem. Wiele razy miałem ochotę, ale chcąc być posłuszny radzie Henriego, trzymałem się w cieniu. Zawsze starałem się odwlec następny ruch najdłużej jak się da. Ale dzisiaj było inaczej. Miałem wielką satysfakcję z tego, że ktoś mnie popchnął, a ja odpowiedziałem tym samym. No i jest sprawa telefonu, który ktoś mi ukradł. Jasne, że bez problemu możemy kupić nowy, lecz gdzie tu sprawiedliwość?

7

14

Rano otwieram oczy przed dzwonkiem budzika. W domu jest zimno i cicho. Wyciągam spod pościeli ręce. Są normalne, bez światła, bez żadnego blasku. Wyłażę z łóżka, idę do dużego pokoju. Henri przy kuchennym stole czyta miejscową gazetę, popijając kawę.

- Dzień dobry - mówi. - Jak się czujesz?

- Bosko.

Zalewam mlekiem płatki zbożowe i siadam naprzeciw niego.

- Co będziesz dzisiaj robił?

- Głównie załatwiał sprawy. Kończą nam się pieniądze. Może pojedę do banku zrobić przelew.

Lorien jest (albo była, zależy, jak na to patrzeć) planetą bogatą w złoża naturalne, wśród nich są szlachetne kamienie i metale. Kiedy zbieraliśmy się do ucieczki, każdy Cepan dostał woreczek pełen diamentów, szmaragdów i rubinów do sprzedania na Ziemi. Henri uzyskane pieniądze ulokował na zagranicznym rachunku bankowym. Nie wiem, ile tego jest, i nigdy nie pytam. Ale wiem, że wystarczyłoby nam obu co najmniej na dziesięciokrotne życie. Henri robi wypłaty z tego konta mniej więcej raz w roku.

- Ale sam nie wiem - ciągnie. - Wolałbym się dzisiaj za bardzo nie oddalać, bo może zdarzy się coś jeszcze.

Nie chcąc robić wielkiej sprawy z wczorajszych przygód, uspokajam go:

- Nic mi nie będzie. Jedź po kasę.

Wyglądam przez okno. Wstaje świt, rzucając na wszystko blade światło. Furgonetkę okrywa rosa. Sporo czasu obywaliliśmy się bez zimy. Nie mam nawet kurtki i wyrosłem z większości swetrów.

- Wygląda na to, że jest zimno - mówię. - Może któregoś dnia pojedziemy kupić coś do ubrania.

Myślałem o tym wczoraj, właśnie dlatego muszę załatwić bank.

To załatw. Nic się dzisiaj nie stanie. Kończę jedzenie, wrzucam brudne naczynia do zlewu i wskakuję pod prysznic.

Dziesięć minut później jestem ubrany w dzinsy i czarną termoaktywną koszulę z podwiniętymi do

łokci rękawami.

Zerkam w lustro, potem na swoje ręce. Czuję wewnętrzny spokój. I tak muszę trzymać. W drodze do szkoły Henri podaje mi rękawice.

- Pamiętaj, żebyś miał je zawsze przy sobie. Nigdy nie wiadomo. Wkładam je do tylnej kieszeni.
- Pewnie się nie przydadzą. Czuję się całkiem dobrze.

Przed szkołą stoi rząd autobusów. Henri podjeżdża pod sam budynek.

- Martwi mnie, że nie masz telefonu - mówi. - Zawsze coś może pójść nie tak.
- Spokojna głowa, na pewno go odzyskam. Wzdycha i kręci głową.
- Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa. Będę czekał w tym miejscu po lekcjach.
- Nie zrobię.

Wysiadam z furgonetki i Henri odjeżdża.

W szkole na korytarzach panuje wrzawa, ludzie kręcą się przy szafkach, rozmawiają, śmieją się. Niektórzy zerkają na mnie i szepczą. Nie wiem, czy to z powodu starcia w klasie, czy z powodu ciemni. Możliwe, że szepczą o jednym i drugim. To mała szkoła, a w małych szkołach niewiele jest rzeczy, o których bez trudu nie dowiaduje się każdy.

Z głównego wejścia skręcam w prawo i znajduję swoją szafkę. Jest pusta. Mam piętnaście minut do rozpoczęcia lekcji pisania wypracowań. Przechodzę obok klasy, bo chcę mieć pewność, że bez szukania do niej trafię, potem kieruję się do sekretariatu. Sekretarka wita mnie uśmiechem.

- Dzień dobry - mówię. - Zgubiłem wczoraj telefon i chciałem spytać, czy ktoś go przypadkiem nie znalazł i tu nie przyniósł.

Kręci głową.

- Nie, niestety, wśród rzeczy znalezionych nie ma żadnego telefonu.
- Dziękuję.

Wychodzę i w korytarzu nigdzie nie widzę Marka. Wybieram kierunek i wolno zaczynam iść. Ludzie ciągle się gapią i szepczą, ale nic mnie to nie obchodzi. Widzę go jakieś sto pięćdziesiąt metrów przed sobą. Czuję natychmiastowy przyływ adrenaliny. Spoglądam na swoje ręce. Wyglądają normalnie. Mam stracha, że się zaświecą i że właśnie ten strach może to spowodować.

Mark z założonymi rękami opiera się o jedną z szafek, otoczony grupką, w której jest pięciu chłopaków i dwie dziewczyny, wszyscy roześmiani o czymś gadają. Sara siedzi na parapecie z pięćdziesiąt metrów dalej. Dziś też wygląda promiennie z jasnymi włosami ściągniętymi w koński ogon, ubrana w spódnicę i szary sweterek. Czyta książkę, ale podnosi wzrok, gdy do nich podchodzę. Staję, patrzę nieruchomo na Marka i czekam. Zauważa mnie po jakichś pięciu sekundach.

- Czego chcesz? - pyta.
- Wiesz, czego chcę.

Mierzymy się wzrokiem. Krąg wokół nas pęcznieje do dziesięciu osób, po chwili do dwudziestu. Sara wstaje i podchodzi do krawędzi tego zgromadzenia. Mark w swojej kurtce zawodnika i ze starannie nastroszonymi czarnymi włosami wygląda, jakby prosto z łóżka wskoczył w ubranie.

Odpycha się od szafki i rusza ku mnie. Przystaje tak blisko, że prawie stykamy się torsami i korzenny zapach jego wody kolońskiej wypełnia mi nozdrza. Jest sporo wyższy ode mnie, ma co najmniej metr osiemdziesiąt sześć. Mamy taką samą budowę. Do głowy by mu nie przyszło, że w środku mam coś innego niż on. Jestem szybszy i dużo silniejszy. Ta myśl wywołuje pewny uśmiech na mojej twarzy.

- Myślisz, że dzisiaj uda ci się zostać w szkole trochę dłużej? Czy znowu uciekniesz jak dupek?

W tłumie rozchodzi się rżący śmiech.

- To się okaże, no nie?

- Tak, to się okaże - mówi i zbliża się jeszcze bardziej.

Chcę odzyskać swój telefon. Nic mam twojego telefonu. Potrząsam wymownie głową.

- Dwie osoby widziały, jak go brałeś - kłamię.

15

Po tym, jak marszczy brwi, widzę, że zgadłem bez pudła.

- A nawet jeśli to byłem ja? Co mi zrobisz?

Pewnie otacza nas już ze trzydzieści osób. Nie mam wątpliwości, że w dziesięć minut od rozpoczęcia pierwszej lekcji cała szkoła będzie wiedziała, co się stało.

- Zostałeś ostrzeżony - mówię. - Masz czas do końca dnia. Odwracam się i odchodzę.

- Albo co? - wrzeszczy za mną.

Nie reaguję. Niech trochę porozmyśla. Przez cały czas miałem zaciśnięte pięści i teraz zdaję sobie sprawę, że pomyliłem adrenalinę z napięciem nerwowym. Dlaczego byłem taki zdenerwowany? Chodziło o nieprzewidywalność sytuacji? Fakt, że po raz pierwszy wszedłem z kimś w konflikt? Ryzyko, że moje ręce zaczną świecić? Chyba wszystko to naraz.

Idę do toalety, wchodzę do pustej kabiny i zatrząskuję za sobą drzwi. Otwieram dłonie. Lekki blask w prawej.

Zamykam oczy i wzdycham, skupiam się na wolnym oddychaniu. Minutę później blask jest taki sam. Kręcę głową. Nie myślałem, że pierwsze Dziedzictwo będzie takim wrażliwym darem. Zostaję w kabinie. Cienka warstwa potu oblepia moje czoło; obie ręce są ciepłe, ale na szczęście lewa wciąż wygląda normalnie. Ludzie wchodzą i wychodzą z toalety, a ja stoję w kabinie, czekając. Blask nie gaśnie. W końcu słyszę dzwonek na pierwszą lekcję i toaleta pustoszeje.

Ze skwaszoną miną przyjmuję do wiadomości nieuniknione. Nie mam komórki, a Henri jest w drodze do banku.

Jestem sam z własną głupotą i nie mam kogo winić poza sobą. Wyciągam z kieszeni rękawiczki i je wkładam.

Skórzane rękawice ogrodowe. Nawet w butach kłowna i żółtych spodniach nie wyglądałbym głupiej. I to ma być

„wtapianie się w otoczenie”. Zdaję sobie sprawę, że muszę odpuścić Markowi. On jest górą. Może sobie zatrzymać mój telefon; wieczorem kupimy z Henrim nowy Wychodzę z toalety i pustym korytarzem idę do swojej klasy Gdy wchodzę, każdy się gapi na mnie, potem na rękawice. Nie ma sensu próbować ich ukryć. Wyglądam jak głupek. Jestem kosmitą, mam niezwykle moce, będę miał ich więcej, i mogę robić rzeczy, o jakich ludziom się nie marzy, ale i tak wyglądam jak ostatni głupek.

Siadam pośrodku sali. Nikt się do mnie nie odzywa i jestem zbyt wytrącony z równowagi, żeby słyszeć, o czym mówi nauczyciel. Kiedy rozlega się dzwonek, zbieram swoje rzeczy, pakuję i zarzucam plecak na ramię. Ciągle jestem w rękawicach. Za drzwiami odchylam mankiet prawej i sprawdzam dłoń. Wciąż świeci. Przemierzam korytarz równym krokiem. Wolne oddychanie. Staram się rozjaśnić swój umysł, ale to nie działa. Wchodząc do klasy, widzę Marka w tym samym miejscu co poprzedniego dnia, Sara siedzi obok. On się do mnie szyderczo uśmiecha. Próbując zaszpanować, nie zauważa moich rękawic.

- Jak tam, biegaczu? Słyszałem, że drużyna krosowa szuka nowych zawodników.

- Przestań być takim palantem - mówi do niego Sara.

Przechodząc, patrzę na nią, w jej niebieskie oczy, które mnie onieśmielają, wprawiają w skrzępowanie, przez które pieką mnie policzki. Krzesło, na którym siedziałem poprzedniego dnia, jest zajęte, więc idę na sam koniec. Klasa się zapełnia i siada koło mnie chłopak, który ostrzegwał mnie

przed Markiem. Dziś też jest w czarnym T-shir-cie z logo NASA, wojskowych spodniach i tenisówkach marki Nike. Ma rozczochrane włosy blond w odcieniu piaskowym, jego orzechowe oczy są powiększone przez szkła okularów. Wyjmuje notes wypełniony wykresami konstelacji i planet.

Odwraca do mnie głowę i jawnie się gapi.

- Jak leci? - pytam. Wzrusza ramionami.

- Dlaczego nosisz rękawice?

Otwieram usta do odpowiedzi, ale pani Burton zaczyna lekcję. Prawie bez przerwy mój sąsiad z ławki rysuje postacie, które zdają się jego wyobrażeniem Marsjan. Małe korpusy, wielkie głowy, ręce i oczy. Ten sam stereotypowy wizerunek, jaki pokazują w filmach. Na dole każdej kartki pisze małymi literami swoje imię: „Sam Goode”. Gdy zauważa, że się przyglądam, odwracam wzrok.

Podczas wykładu pani Burton mówi o sześćdziesięciu jeden księżycach Saturna, a ja patrzę na tył głowy Marka.

Przygarbiony nad stołem coś pisze. Potem prostuje się i podsuwa Sarze karteczkę. Ona ją bez czytania odrzuca, co wywołuje mój uśmiech. Pani Burton gasi światło i puszcza film. Krążące planety na ściennym ekranie przywodzą mi na myśl Lorien. To jedna z osiemnastu utrzymujących życie planet we wszechświecie. Wśród nich jest Ziemia. I Mogadore, na nieszczęście.

Lorien. Zamykam oczy i uruchamiam pamięć. Stara planeta, stokrotnie starsza od Ziemi. Wszystkie problemy, które ma teraz Ziemia - zanieczyszczenie środowiska, przeludnienie, globalne ocieplenie, niedostatki żywności - miała kiedyś Lorien. W pewnym momencie, dwadzieścia pięć tysięcy lat temu, planeta zaczęła ginąć. To było na długo przed erą podróży kosmicznych i mieszkańcy Lorien musieli coś zrobić, by przetrwać. Powoli, ale z uporem podjęli wysiłek, żeby planeta miała zapewnioną samowystarczalność. Zmienili sposób życia, zrezygnowali ze wszystkiego, co szkodliwe - z armat i bomb, trujących chemikaliów, substancji zanieczyszczających środowisko - i z czasem sytuacja zaczęła się poprawiać. W dobrodziejstwie ewolucji, przez tysiące lat, pewni mieszkańcy - zwani Gardami - rozwinęli moce służące ochronie planety i temu, by jej pomagać. To tak, jakby Lorien nagrodziła moich przodków za ich dalekowzroczność i szacunek.

Pani Burton włącza światło. Otwieram oczy i patrzę na zegar. Prawie koniec lekcji. Znow jestem opanowany i kompletnie zapomniałem o swoich rękach. Biorę głęboki oddech i odchylam mankiet prawej rękawicy. Światło zgasło!

Z uśmiechem ulgi zdejmuję obie rękawice.

Powrót do normalności. Zostało sześć lekcji, podczas których muszę zachować zimną krew.

Pierwsza połowa dnia mija bez przygód. Zachowuję spokój, nie mam też dalszych zatargów z Markiem. W przerwie na lunch idę jak wszyscy do stołówki, napełniam tacę jedzeniem i znajduję pusty stół w końcu sali. Kiedy jestem w połowie kawałka pizzy, Sam Goode, chłopak z lekcji astronomii, siada naprzeciwko mnie.

- Naprawdę masz zamiar walczyć po lekcjach z Markiem? - pyta.

- Nie.

- Tak mówią.

16

- To znaczy, że się mylą.

Wzrusza ramionami, je dalej swój lunch. Za minutę pyta:

- Gdzie się podziały twoje rękawice?

- Zdjąłem je. Już nie jest mi zimno w ręce.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ogromny pulpet, jestem pewien, że przeznaczony dla mnie, wylatuje nie wiadomo skąd i trafia go w tył głowy. Jego włosy i ramiona oblepiają kawałki mięsa i

sos do spaghetti. Trochę tego obryzgało mnie. Kiedy zaczynam się wycierać, drugi pulpet przecina powietrze i ląduje prosto na moim policzku. Po stołówce rozchodzą się „ochy”.

Wstaję, wycieram serwetką bok twarzy i czuję, jak wzbiera we mnie złość. Nie przejmuję się w tym momencie rękami. Mogą sobie świecić jak słońce w zenicie i jeśli do tego dojdzie, ja i Henri możemy po południu stąd wiać. Ale niedoczekanie, bym udawał, że nic się nie stało. Opuściłem rano, a teraz nie.

- Nie rób tego - mówi Sam. - Jeśli z nimi zadrzesz, już nigdy nie dadzą ci spokoju.

Idę. W stołówce zapada cisza. Setka par oczu skupia się na mnie. Wściekłość wykrzywia mi twarz. Przy stole Marka Jamesa siedzi siedem osób, same chłopaki. Cała siódemka wstaje, kiedy się zbliżam.

- Masz jakiś problem? - pyta jeden z nich.

Jest wielki, zbudowany jak zawodnik linii ataku. Ma kępki ryżych włosów na policzkach i dolnej szczęce, jakby próbował zapuścić brodę. Jego twarz wydaje się przez to brudna. Tak jak oni wszyscy jest w swojej kurtce zawodnika.

Krzyżuje ręce na piersi i zachodzi mi drogę.

- To nie dotyczy ciebie - mówię.

- Żeby się dostać się do niego, musisz się przebić przeze mnie.

- Zrobię to, jeśli nie zejdziesz mi z drogi.

- Coś mi się zdaje, że jesteś za cienki.

Podnoszę kolano i trafiam go w krocze. Oddech więźnie mu w gardle, koleś zwija się wpół i pada. Cała stołówka wydaje stłumiony okrzyk.

- Ostrzegalem.

Przestępuję go i idę prosto na Marka. Mam go w zasięgu ręki, kiedy ktoś mnie chwyta od tyłu. Odwracam się z zaciśniętymi pięściami, gotowy do ciosu, ale w ostatniej sekundzie zdaję sobie sprawę, że to pracownik stołówki.

- Dostyc tego, chłopcy.

- Niech pan zobaczy, panie Johnson, co on zrobił Kevinowi - mówi Mark.

Kevin leży skulony na podłodze z twarzą czerwoną jak burak.

- Niech pan go wyśle do dyrektora!

- Zamknij się, James. Pójdziecie wszyscy czterej. Nie myśl sobie, że nie widziałem, jak rzuciłeś tymi pulpetami. -

Pan Johnson spogląda na leżącego Kevina. - Wstawaj.

Raptem, jakby wyrósł spod ziemi, zjawia się Sam. Widać, że próbował zetrzeć tłustą breję z włosów i ramion.

Poradził sobie z kawałkami mięsa, ale sos się tylko rozmazał. Nie bardzo wiem, po co przyszedł. Spoglądam na swoje ręce, gotowy wiać na pierwszy zwiastun światła, ale ku mojemu zdziwieniu nic się nie dzieje. Może dlatego, że sytuacja była nagła i miałem szansę zareagować bez wstępnego zdenerwowania? Nie wiem.

Kevin wstaje i patrzy na mnie. Jest roztrzęsiony, ciągle z trudem oddycha. Chwyta się ramienia koleżki, który stoi u jego boku.

- Dostaniesz za swoje - mówi.

- Wątpię - odpowiadam.

Wciąż mam wściekłą minę, wciąż jestem upaprany jedzeniem. I mam to gdzieś.

We czterech idziemy do gabinetu dyrektora. Pan Harris siedzi za biurkiem i z serwetką zatknięą pod szyję je lunch z mikrofali.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówi pracownik stołówki -ale mieliśmy lekkie zamieszanie podczas lunchu. Ci chłopcy na pewno wszystko wyjaśnią.

Pan Harris wzdycha, wyciąga zza koszuli serwetkę i wrzuca ją do kosza. Wierzchem dłoni odsuwa na bok lunch.

- Dziękuję, panie Johnson.

Pracownik stołówki wychodzi, zamykając za sobą drzwi gabinetu, a my czterej siadamy

- Więc kto chce zacząć? - pyta dyrektor z irytacją w głosie.

Nie odzywam się. Pan Harris ma napięte mięśnie szczęki. Zerkam na swoje ręce. Ciągle nic. Na wszelki wypadek przykładam dłonie do dzinsów. Po dziesięciu sekundach ciszy zaczyna Mark:

- Ktoś rzucił w niego pulpetem. Myśli, że to ja, więc kopnął w jaja Kevina.

- Wyrażaj się - mówi pan Harris, po czym zwraca się do Kevina: - Jak tam? Żyjesz?

Kevin, ciągle czerwony na twarzy, kiwa głową.

- Więc kto rzucił tym pulpetem? - pyta mnie pan Harris. Milczę, wciąż gotując się w środku, zirytowany całą tą sceną. Biorę

głęboki oddech, żeby trochę ochłoniąć.

- Nie wiem - mówię.

Moja złość osiągnęła nowy poziom. Nie chcę rozliczać się z Markiem poprzez pana Harrisa, wolałbym to załatwić poza gabinetem dyrektora.

Sam patrzy na mnie zdziwiony. Sfrustrowany pan Harris wyrzuca w górę rękę.

- Więc co wy tu, chłopcy, do licha, robicie?

Dobre pytanie - mówi Mark. - My sobie zwyczajnie jedliśmy lunch.

Odzywa się Sam:

- To Mark rzucił pulpetem. Widziałem go, pan Johnson też.

17

Spoglądam na Sama. Wiem, że tego nie widział, bo najpierw siedział odwrócony plecami, a potem ścierał z siebie jedzenie. Ale jestem pod wrażeniem, że tak powiedział, że wziął moją stronę, chociaż narażał się Markowi i jego kumplom. Mark łypie na niego z mordem w oczach.

- Błagam, panie Harris - mówi. - Jutro mam wywiad dla „Ga-zette”, a w piątek mecz. Nie mam czasu zajmować się pierdołami. Jestem oskarżany o coś, czego nie zrobiłem. Trudno się skupić, jak tu wpuszczają mnie w jakieś gówno.

- Licz się ze słowami! - wrzeszczy pan Harris.

- To prawda.

- Wierzę ci - mówi dyrektor i bardzo ciężko wzdycha. Patrzy na Kevina, który nadal z trudem łąpie oddech. - Nie powinieneś pójść do pielęgniarki?

- Nie, przejdzie mi. Pan Harris kiwa głową.

- Obydwaj zapomnijcie o incydencie w stołówce. Ty, Mark, pozbieraj myśli. Zabiegaliśmy o ten artykuł sporo czasu. Mogą nas nawet puścić na pierwszej stronie. Wyobraź to sobie, czołówka „Gazette” -mówi z uśmiechem.

- Dziękuję - mówi Mark. - Bardzo się na to cieszę.

- No dobrze. Wy dwaj możecie iść.

Wychodzą, a pan Harris rzuca surowe spojrzenie Samowi, który nie odwraca oczu.

- Powiedz mi, Sam. Tylko żądam prawdy. Widziałeś, jak Mark rzucił pulpetem?

Sam mruży oczy. Dalej nie odwraca wzroku.

- Tak.

Dyrektor kręci głową.

- Nie wierzę ci, Sam. I dlatego zrobimy, co następuje. - Patrzy na mnie. - A więc ktoś rzucił pulpetem...

- Dwoma - wtrąca Sam.

- Co?! - krzyczy pan Harris, znowu gromiąc go wzrokiem.

- Rzucił dwoma pulpetami, nie jednym. Pan Harris wali pięścią w biurko.

- Kogo obchodzi, ile ich było! John, ty napadłeś Kevina. Oko za oko. I na tym skończymy.

Rozumiesz?

Ma czerwoną twarz i wiem, że nie ma sensu się spierać.

- Tak.

- Żebym tu was więcej nie widział. Jesteście wolni. Wychodzimy

- Dlaczego nie powiedziałeś mu o telefonie? - pyta Sam.

- Bo on ma to gdzieś. Myślał tylko o tym, żeby wrócić do jedzenia. I uważaj - mówię - podpadłeś

Markowi.

Po lunchu mam zajęcia z gospodarstwa domowego - nie żeby szczególnie ciekawiło mnie gotowanie, ale do wyboru miałem tylko chór. A choć mam wiele atutów i zdolności uznawanych na Ziemi za wyjątkowe, nie należy do nich śpiew. Idę więc na gospodarstwo domowe i zajmuję pierwsze lepsze miejsce. Sala jest niewielka i tuż przed dzwonkiem wchodzi Sara i siada koło mnie.

- Cześć - mówi.

- Cześć.

Krew napływa mi do twarzy i sztywnieją ramiona. Chwytam ołówek i zaczynam obracać go w prawej ręce, podczas gdy lewą odginam rogi notesu. Wali mi serce. Litości, niech tylko nie zaświecą mi się dłonie. Zerkam na jedną i wzdycham z ulgą; jest normalna. Spokojnie, myślę. To tylko dziewczyna. Sara na mnie patrzy. Mam uczucie, jakby wszystko we mnie w środku zamieniało się w miazgę. Możliwe, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Przykro mi, że Mark jest wobec ciebie takim draniem - mówi.

- To nie twoja wina. - Wzruszam ramionami.

- Chyba nie będziecie na serio się bili, co?

- Ja nie chcę. Kiwa głową.

- On potrafi być strasznym palantem. Zawsze próbuje pokazać, że jest najmocniejszy

- To świadczy o braku pewności siebie.

- On nie jest niepewny siebie. Zwykły palant i tyle.

Jasne, że jest niepewny. Ale nie chcę się spierać. Poza tym ona mówi z takim przekonaniem, że ja sam zaczynam w to wątpić. Sara patrzy na plamy z sosu, które przyschły na mojej koszuli, potem wyciąga rękę i zdejmuje stwardniałe kawałki mięsa z moich włosów.

- Dzięki - mówię. Ona wzdycha.

- Przykro mi, że to się stało. - Zagląda mi w oczy. - My nie jesteśmy razem, wiesz?

- Nie? I Kręci głową. Jestem zaintrygowany faktem, że czuła potrzebę, by mnie o tym zapewnić.

Po dziesięciu minutach instrukcji, jak się robi naleśniki - z czego nic tak naprawdę do mnie nie dociera - nauczycielka, pani Benschhoff, każe nam dwojgu pracować w parze. Wchodzimy przez drzwi na końcu sali do kuchni, która jest trzykrotnie większa od samej klasy. Mieści się w niej dziesięć różnych stanowisk kuchennych wyposażonych w lodówki, szafki, zlewozmywaki, kuchenki. Sara zajmuje jedno z nich, sięga do szuflady po fartuch i go wkłada.

- Zawiążesz? - pyta, odwracając się do mnie plecami. Zaciągam zbyt mocno kokardkę i muszę wiązać od nowa.

Czuję pod palcami linię jej krzyża. Kiedy jej fartuch jest zawiązany, wkładam swój i zabieram się

do wiązania.

- Hej, odwróć się, głuptasie - mówi, po czym bierze troki i robi to za mnie.

- Dzięki.

Próbuję rozbić pierwsze jajko, ale uderzam za mocno i nic nie trafia do miski. Sara się śmieje. Wkłada mi nowe jajko do ręki, bierze moją rękę w swoją i pokazuje, jak się rozbija skorupkę o brzeg miski. Przytrzymuje moją dłoń sekundę dłużej niż to konieczne. Patrzy na mnie z uśmiechem.

- W ten sposób.

18

Kiedy miesza ciasto, kosmyki włosów opadają jej na twarz. Strasznie chciałbym sięgnąć ręką i wsunąć te luźne włosy za jej ucho, ale się nie odważam. Pani Benschhoff wchodzi do naszej kuchni sprawdzić, jak nam idzie. Na razie wszystko dobrze, a to wyłącznie dzięki Sarze, bo ja nie mam pojęcia, co robię.

- Jak ci się wstępnie podoba Ohio? - pyta Sara.

- W porządku. Przydałby się ciekawszy pierwszy dzień szkoły Uśmiecha się.

- No właśnie, co się stało? Martwiłam się o ciebie.

- Uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że jestem kosmitą?

- Spadaj - mówi żartobliwie. - Co się naprawdę stało? Śmieję się.

- Mam wyjątkowo paskudną astmę. Z jakiegoś powodu miałem wczoraj atak - mówię, choć jest mi przykro, że muszę kłamać. Nie chcę, żeby widziała we mnie słabość, szczególnie taką słabość, która nie ma nic wspólnego z prawdą.

- Dobrze, że dziś czujesz się lepiej.

Robimy cztery naleśniki. Sara układa wszystkie w niewielką stertę na jednym talerzu. Polewa je absurdalną ilością syropu klonowego i wręcza mi widelec. Patrzę na innych. Większość par je z dwóch talerzy. Sięgam do naszego po pierwszy kęs.

- Niezłe - mówię, żując.

W ogóle nie jestem głodny, ale pomagam jej zjeść wszystko. Bierzemy kęsy na zmianę, aż zostaje pusty talerz. Pod koniec boli mnie brzuch. Potem Sara myje naczynia, a ja je wycieram. Po dzwonku wychodzimy z klasy razem.

- Wiesz, niezły jesteś jak na drugoklasistę - mówi ona, szturchając mnie w bok. - Nie obchodzi mnie, co gadają.

- Dzięki, ty też jesteś niezła jak na... wszystko jedno, jaki masz staż.

Jestem pierwszakiem. Przez kilka kroków idziemy w milczeniu.

- Może jednak nie będziesz dziś walczył z Markiem, co?

- Muszę odzyskać telefon. Poza tym spójrz, jak wyglądam - mówię, pokazując palcem swoją koszulę.

Wzrusza ramionami. Przystaję przed swoją szafką. Ona zwraca uwagę na numer.

- Nie powinieneś.

- Nie chcę. Przewraca oczami.

- Chłopaki i te ich bójki. Tak czy inaczej do zobaczenia jutro.

- Miłego dnia po szkole - mówię.

Po dziewiątej lekcji, historii Ameryki, idę wolnym krokiem do szafki. Myślę o spokojnym wyjściu ze szkoły bez szukania Marka. Z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że wtedy będę do końca uchodził za i tchórza.

Wykładam do szafki niepotrzebne książki, potem stoję tam i czuję, jak ogarnia mnie zdenerwowanie. Z rękami na razie nic się nie dzieje. Zastanawiam się, czy na wszelki wypadek nie

włożyć rękawic, ale nie, ryzykuję. Oddychając głęboko, zamykam szafkę. i

- Cześć - słyszę głos i wzdrygam się z zaskoczenia. To Sara. Zerka przez ramię. - Mam coś dla ciebie.

- Ale to nie jest dokładka naleśników? Ciągle mam uczucie, że za chwilę pęknę. ; Śmieje się nerwowo.

- To nie są naleśniki. Ale jeśli dam ci to coś, musisz obiecać, że nie będziesz się bił z Markiem.

- Okej - mówię.

Znów zerka przez ramię i sięga szybko do przedniej kieszeni swojego plecaka. Wyjmuje mój telefon i mi go daje.

- Jak go zdobyłaś? Wzrusza ramionami.

- Mark wie?

- Coś ty Więc dalej chcesz być twardzielem? - pyta.

- Chyba nie.

- To dobrze.

- Dzięki - mówię.

Nie mogę uwierzyć, że posunęła się tak daleko, żeby mi pomóc -ledwie mnie zna. Ale nie powiem, żebym się smucił.

- Bardzo proszę.

Odwraca się i szybkim krokiem odchodzi.

Cały czas z nią patrzę, mimowolnie się uśmiechając. Kiedy zmierzam do wyjścia, Mark James z ośmioma kumplami dopada mnie w głównym holu.

- Popatrz, popatrz - mówi. -I co, udało się przeżyć dzień?

- Jasne. I zobacz, co znalazłem.

Na widok mojego telefonu opada mu szczęka. Omijam go, idę dalej przez hol i wychodzę z budynku.

8

Henri zaparkował dokładnie w umówionym miejscu. Wskakuję do furgonetki, ciągle uśmiechnięty.

- Miałeś dobry dzień? - pyta.

- Niezły. Odzyskałem telefon.

- Bez żadnych awantur?

- Nic takiego.

19

Patrzy na mnie podejrzliwie.

- Myślisz, że chciałbym wiedzieć, co to znaczy?

- Raczej nie.

- Czy zaświeciły ci się ręce?

- Nie - kłamię. - A jak tobie minął dzień? Rusza podjazdem wokół szkoły.

- Dobrze. Prosto stąd pojechałem do Columbus, półtorej godziny drogi.

- Dlaczego do Columbus?

- Tam są duże banki. Nie chciałem wzbudzić podejrzeń żądaniem przelewu na sumę większą od tego, co posiada łącznie całe miasto.

- No tak. Sprytne myślenie. Wjeżdża na drogę.

- Więc powiesz mi, jak ona ma na imię?

- Słucham...?

- Musi być jakiś powód tej twojej śmiesznej rozanielonej miny Najbardziej oczywistym powodem

bywa dziewczyna.

- Skąd wiesz?

- John, mój przyjacielu, kiedyś na Lorien ten stary Capan był niezłym kobieciarzem.

- Przestań - mówię. - Na Lorien nie ma czegoś takiego jak kobieciarze.

Kiwa z uznaniem głową.

- Nauka nie idzie w las.

Loryjczycy są monogamistami. Kiedy się zakochujemy, to na całe życie. Na małżeństwo przychodzi pora w wieku dwudziestu pięciu lat, plus minus, i nie ma ono nic wspólnego z kontraktem prawnym. Opiera się bardziej na obietnicy i zobowiązaniu niż na czymkolwiek innym. Henri, zanim opuścił ze mną planetę, był przez dwadzieścia lat żonaty. Minęło dziesięć lat, a wiem, że nie ma dnia, aby nie tęsknił za swoją żoną.

- Więc kim ona jest? - pyta.

- Nazywa się Sara Hart. Jest córką agentki nieruchomości, która wynajęła ci dom. Chodzi ze mną na dwa przedmioty. Jest w pierwszej klasie.

- Uhm. Ładna?

- Bardzo. I bystra.

- No taak... Spodziewałem się tego od dawna. Miej tylko na uwadze, że w każdej chwili możemy być zmuszeni do wyjazdu.

- Wiem - mówię i reszta drogi upływa w milczeniu.

W domu zastaję na stole Loryjski Kuferek. Jest wielkości kuchenki mikrofalowej, o prawie idealnie kwadratowych bokach, czterdzieści pięć na czterdzieści pięć centymetrów. Przebiega mnie dreszcz podniecenia. Podchodzę do stołu i biorę do ręki kłódkę.

- Aż mnie skręca, żeby wiedzieć, jak go się otwiera. Chyba bardziej mnie to interesuje, niż co jest w środku -

mówię.

- Naprawdę? To może ci pokazać, jak go się otwiera, a potem zamkniemy go z powrotem i zapomnimy o tym, co jest w środku.

Uśmiecham się do niego.

- Nie działajmy pochopnie. No powiedz, proszę. Co jest w środku?

- Twoja Sceda.

- Co znaczy „moja Sceda”?

- To jest to, co każdy Garda dostaje wraz z przyjściem na świat, czym posłuży się jego Stróż, gdy Garda będzie przyjmować swoje Dziedzictwo.

Kiwam głową w radosnym podnieceniu.

- Więc co tam jest?

- Twoja Sceda.

Rozdrażniony tą jego powściągliwością, biorę do ręki kłódkę i jak wiele razy wcześniej próbuję otworzyć ją na siłę.

Oczywiście nic z tego.

- Nie otworzysz jej beze mnie, a ja nie otworzę jej bez ciebie - mówi Henri.

- Ale jak mamy ją otworzyć? Tu brakuje otworu na klucz.

- Siłą woli.

- O rany, Henri. Przestań być taki tajemniczy. Odbiera mi kłódkę.

- Ona otwiera się tylko wtedy, gdy jesteśmy razem, i dopiero po ujawnieniu się twojej pierwszej mocy. Podchodzi do drzwi frontowych, wystawia na zewnątrz głowę, potem je szybko zamyka i

przekręca zamek. Wraca.

- Przyciśnij dłoń do kłódki - mówi.
- Jest ciepła.
- Dobrze. To znaczy, że jesteś gotów.
- Co teraz?

Henri przykłada dłoń do przeciwnego boku kłódki i splata swoje palce z moimi. Mija sekunda. Kłódka otwiera się z trzaskiem.

- Niesamowite! - mówię.
- Chroni ją loryjski czar, tak jak ciebie. Jest niezniszczalna. Mógłbyś przejechać po niej walcem i nie byłoby śladu rysy. Tylko my dwaj możemy ją wspólnie otworzyć. Chyba że umrę, wtedy będziesz mógł zrobić to sam.

- Dobra, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Próbuję unieść wieko, ale Henri przytrzymuje moją rękę.

- Jeszcze nie - mówi. - Tu są rzeczy, których nie możesz jeszcze zobaczyć. Nie jesteś gotów. Idź, usiądź na kanapie.

- Henri,dlaczego...

20

- Po prostu mi zaufaj.

Kręcę głową i siadam. Henri otwiera Kuferek, wyjmując kamień, który ma z piętnaście centymetrów długości i pięć grubości. Zamyka wieko na kłódkę, przynosi kamień do mnie. Jest doskonale gładki, o podłużnym kształcie, przezroczysty na zewnątrz, ale matowy w środku.

- Co to jest? - pytam.

- Loryjski kryształ.

- I do czego to służy?

- Potrzymaj.

W zetknięciu z kamieniem moje dłonie rozbłyskują światłem jeszcze jaśniejszym niż poprzedniego dnia. Kryształ

zaczyna się rozgrzewać. Unoszę go, oglądam dokładnie z bliska. Matowa masa w środku kłębi się, zwijając do wewnątrz jak fala. Czuję też, jak amulet na mojej szyi robi się coraz gorętszy. Cały ten nowy stan rzeczy budzi mój zachwyt. Dotąd nic, tylko czekałem i czekałem, i nie mogłem się doczekać na objawienie się moich Dziedzictw.

Bywały co prawda momenty, kiedy miałem nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, że w końcu będziemy mogli gdzieś osiąść i prowadzić normalne życie, ale teraz - trzymając kryształ, który ma w środku coś, co wy-uląda jak kłębek dymu, i wiedząc, że moje ręce są odporne na gorąco

logień i że następne dziedziczne moce są w drodze, a po nich objawi się moja moc główna (ta, która pozwoli mi walczyć) - to wszystko jest całkiem fajne i podniecające. Nie mogę przestać się uśmiechać.

- Co się z nim teraz dzieje?

- Ten kamień jest podległy twojemu Dziedzictwu. Twój dotyk go uaktywnia. Gdyby darem, który rozwijasz, nie był

Lumen, sam kryształ rozświetlałby się tak jak twoje ręce. Tymczasem jest odwrotnie.

Wpatruję się w kryształowy kamień, obserwując, jak dymek kłębi się i jarzy.

- Zaczynamy? - pyta Henri.

- Jasne! - Kiwam ochoczo głową.

Pod koniec dnia zrobił się ziąb. W domu jest cicho, tylko od czasu do czasu powiew wiatru wstrząsa oknem. Leżę na plecach na długim drewnianym stoliku do kawy, ze zwieszonymi luźno rękami. W którymś momencie Henri pod jedną i drugą rozpali ogień. Oddycham wolno i rytmicznie zgodnie z jego wskazówkami.

Musisz mieć zamknięte oczy - mówi. - Wsłuchuj się tylko w wiatr. Mogą cię lekko piec ramiona, kiedy będę przeciągał po nich kryształem. Próbuje to znieść najdzielniej, jak potrafisz.

Słucham wiatru poruszającego drzewami na zewnątrz. W pewien sposób czuję, jak się kołyszą i uginają.

Henri zaczyna od mojej prawej ręki. Przyciska kryształ do wierzchu dłoni, potem przesuwa go do nadgarstka i w górę po przedramieniu. Czuję pieczenie, jak zapowiadał, ale na tyle znośne, że nie cofam ręki.

- Pozwól odpłynąć swojemu umysłowi, John. Udaj się tam, dokąd cię poniesie wewnętrzna potrzeba.

Nie wiem, o czym on mówi, ale próbuję rozjaśnić swój umysł i oddychać wolno. Nagle mam wrażenie, że naprawdę odpływam. Nie wiadomo skąd czuję ciepło słońca na twarzy i wiatr cieplejszy od tego, który wieje za oknem. Kiedy otwieram oczy, nie jestem już w Ohio.

Jestem nad bezmiarem wierzchołków drzew, nic tylko dzungla jak okiem sięgnąć. Błękitne niebo, bijące promieniami słońce, prawie dwukrotnie większe od słońca Ziemi. Ciepły, łagodny wiatr przewiewa mi włosy. W dole rzeki drążą głębokie kaniony pośród łąnów zieleni. Unoszę się nad jedną z nich. Zwierzęta wszelkich kształtów i wielkości - niektóre długie i smukłe, inne o krótkich kończynach i krępych ciałach, niektóre z długą sierścią, inne o ciemnej skórze, która wygląda na szorstką w dotyku - stoją u wodopoju nad brzegiem spokojnej rzeki. W dali widzę zakole na linii horyzontu i wiem, że jestem na Lorien. To planeta dziesięciokrotnie mniejsza od Ziemi i patrząc z wystarczająco dużej odległości, można zobaczyć krzywiznę jej powierzchni.

Jakimś cudem umiem latać. Wzbijam się i obracam w powietrzu, potem pikuję w dół i mknę nad rzeką. Zwierzęta unoszą głowy, patrzą z zaciekawieniem, ale bez strachu. Lorien w pełni swojej świetności, pokryta zielenią, zamieszкана przez zwierzęta. Trochę tak wyobrażam sobie Ziemię sprzed milionów lat, kiedy to natura kierowała życiem stworzeń, zanim pojawili się ludzie i zaczęli kierować naturą. Lorien w czasach rozkwitu; wiem, że dziś już tak nie wygląda. Widocznie żyję pamięcią. Raczej nie własną.

I nagle dzień przechodzi w ciemność. Gdzieś daleko zaczyna się wielki pokaz fajerwerków strzelających wysoko w niebo i rozpryskujących się w kształty zwierząt i drzew, a ciemne niebo, księżycy i milion gwiazd służą za olśniewające tło.

- Czuję ich desperację - słyszę nie wiadomo skąd. Odwracam się i rozglądam. Nikogo tam nie ma.

- Wiedzą, gdzie jest jedna z nas, ale czar wciąż działa. Nie mogą jej tknąć, póki nie zabiją ciebie. Ale stale są na jej tropie.

Skąd ten głos? Wzlatuję wysoko, potem znów nurkuję, szukając jego źródła.

- Właśnie teraz musimy być najbardziej ostrożni. Musimy dać z siebie wszystko, żeby wyprowadzić ich w pole.

Lecę dalej ku fajerwerkom. Ten głos działa mi na nerwy, może zagłuszą go huk.

- Mieli nadzieję, że spokojnie zdążą nas wszystkich pozabijać, zanim dojrzeją wasze moce. Ale nie daliśmy się wyłapać. Musimy zachować zimną krew. Pierwszych troje spanikowało. Pierwszych troje nie żyje. Musimy być dalej sprytni i ostrożni. W panice popełnia się błędy. Oni wiedzą, że będzie im coraz trudniej, w miarę jak reszta z was będzie dojrzewała, a kiedy staniecie się w pełni dojrzały, dojdzie do wojny. Odpowiemy atakiem na atak i poszukamy zemsty.

Widzę bomby spadające z wysokości kilometrów nad powierzchnią Lorien. Eksplozje wstrząsają gruntem i powietrzem, wiatr niesie krzyki, kule ognia spadają na podszycie i drzewa. Płonie las. Musi być z tysiąc różnych statków powietrznych, wszystkie zlatują z wysoka w niebie, żeby wylądować na Lorien. Mogadorscy żołnierze wylę-

gają tłumnie z karabinami i granatami, których siła rażenia jest o wiele większa niż broni używanej tutaj. Są od nas wyżsi, ale zbudowani podobnie; wyróżniają ich tylko twarze. Nie mają powiek, ich tęczęwki są w kolorze głębokiej fuksji, u niektórych czarne. Ciemne mocne obwódki tworzą oprawę ich oczu i jest coś wyjątkowego w ich bladej skórze - prawie pozbawionej koloru, jakby lekko posiniaczonej. Ich zęby połyskują między wargami, które wydają się

21

nigdy nie stykać, zęby wyraźnie opiłowane, zakończone w nienaturalny szpic. Mogadorskie bestie wysiadają ze statków, które wylądowały z tyłu, mają ten sam zimny wyraz oczu. Niektóre są ogromne jak domy, poka- | żują naostrzone zęby, rycząc tak głośno, że bołą mnie uszy.

- Staliśmy się lekkomyślni, John. Dlatego tak łatwo nas pobili. Wiem, że głos, który słyszę, należy do Henriego.

Ale nie widać go nigdzie, a nie mogę oderwać oczu od masakry i spustoszenia pode mną, by go poszukać. Wszędzie biegają ludzie, odpierając atak. Ginie tyle samo Mogadorczyków co Loryjczyków. Ale Loryjczycy przegrywają bitwę z bestiami, które ich dziesiątkują, ziejąc ogniem, zgrzytając zębami, wymachując złowrogo łapami i ogonami.

Czas mknie znacznie szybszym tempem niż normalnie. Ile godzin minęło? Jedna? Dwie?

Bitwie przewodzą Gardowie, dając pełny pokaz swoich dziedzicznych mocy. Niektórzy latają, inni potrafią biegać tak szybko, że stają się niewyraźną plamą, są tacy, którzy całkiem znikają. Z rąk strzelają lasery, ciała oblekają się w ogień, nad wojowników zdolnych władać pogodą ściągają burzowe chmury wraz z wichurami. Ale oni wciąż przegrywają. Jest ich pięćset razy mniej. Ich moce nie wystarczają.

- Osłabła nasza czujność. Mogadorczycy dobrze zaplanowali, wybierając akurat ten moment, kiedy pod nieobecność Starszyny planety byliśmy najbardziej bezbronni. Atak nastąpił po tym, jak Pittacus Lore, najważniejszy z nich, zwołał ich wszystkich na zgromadzenie. Nikt nie wie, co się z nimi stało, dokąd się udali i czy w ogóle jeszcze żyją. Być może Mogadorczycy wyłapali ich pierwszych i dopiero wtedy, usunąwszy z drogi Starszynę, zaatakowali.

Wiemy na pewno, że w dniu zgromadzenia wystrzelił w niebo, daleko jak wzrokiem sięgnąć, słup połyskującego białego światła. Utrzymał się przez cały dzień, potem zniknął. My, jako lud, powinniśmy byli odczytać w tym znak, że coś jest nie w porządku, ale stało się, jak się stało, i możemy za to winić wyłącznie samych siebie. Mieliśmy szczęście, że udało się kogokolwiek wywieźć z planety, tym większe, że uratowało się dziewięćcioro młodych Gardów, zdolnych w przyszłości podjąć walkę i zachować naszą rasę.

W oddali jakiś statek kosmiczny mknie wysoko w chmury, ciągnąc za sobą błękitną smugę. Obserwuję go ze swojego miejsca na niebie tło ostatniej chwili, aż znikną. Jest w nim coś znajomego. I nagle mnie olśniewa: jestem w tym statku razem z Henrim. To jest statek, którym lecimy na Ziemię. Loryjczycy musieli wiedzieć, że zostali pobici. Z

jakiego innego powodu mieliby wysyłać nas na obcą planetę?

Bezcelowa rzeź. Tak to widzę. Sfruwam na pobjowisko i przechodzę przez kulę ognia. Ogarnia mnie furia.

Mężczyźni i kobiety umierają, Gardowie i Capanowie, razem z bezbronnymi dziećmi. Jak można to znieść? Jak zatwardziałe muszą być serca Mogadorczyków zdolnych do czegoś takiego? I dlaczego ja

ocalałem?

Rzucam się na pierwszego z brzegu żołnierza, ale przelatuję przez niego i upadam. Wszystko, czego jestem świadkiem, już się dokonało. Oglądam nasz upadek i nic nie mogę zrobić.

Odwracam się i staję oko w oko z bestią, która ma ze dwanaście metrów wzrostu, szerokie bary, czerwone oczy i co najmniej sześciometrowej długości rogi. Z jej długich ostrych zębów toczy się ślina. Stwór wydaje ryk, a potem rzuca się do ataku.

Przenika przeze mnie, ale wykańcza dziesiątki Loryjczyków naokoło. Tak po prostu, wszyscy po kolei giną. A bestia kroczy dalej, kładąc trupem następnych. Poprzez scenę zagłady słyszę drapiący dźwięk, coś niezwiązanego z masakrą na Lorien. Odpływam gdzieś albo dokądś wracam. Dwie ręce naciskają na moje barki. Otwieram szeroko oczy i jestem z powrotem w naszym domu w Ohio. Ręce zwisają mi ze stolika. Pod jedną i drugą stoi kociołek z ogniem i obie moje dłonie z nadgarstkami są zanurzone w płomieniach. W ogóle tego nie czuję. Henri stoi nade mną. Drapanie, które słyszałem przed minutą, dochodzi z frontowego ganku.

-Co to jest? - pytam szeptem, siadając.

-Nie wiem - mówi. Milkniemy obaj, wytyżając słuch. Jeszcze trzy drapnięcia w drzwi. Henri patrzy na mnie.

- Ktoś tam jest.

Spoglądam na ścienny zegar. Minęła niecała godzina. Jestem spocony, zdyszany, wstrząśnięty scenami rzezi, których byłem świadkiem. Po raz pierwszy w życiu naprawdę rozumiem, co się stało na Lorien. Do tej pory tamte wydarzenia były częścią jeszcze jednej historii, podobnej do wielu innych, jakie czytałem w książkach. Ale teraz widziałem krew, łyzy, zmarłych ludzi. Widziałem zagładę. To wszystko składa się na to, kim jestem.

Na zewnątrz zapadł mrok. Trzy następne drapnięcia w drzwi, niski pomruk. Obaj podskakujemy. Natychmiast myślę o niskich pomrukach, jakie wydobywały się z bestii. Henri wpada do kuchni i chwyta nóż z szuflady obok zlewu.

- Schowaj się za kanapę.

- Dlaczego?

- Bo tak powiedziałem.

- Myślisz, że tym małym nożem załatwisz Mogadorczyka?

- Tak, jeśli trafię go prosto w serce. No, rusz się.

Złazę ze stolika i przykucam za kanapą. W dwóch kociołkach wciąż płonie ogień, a w mojej głowie cały czas, jak przez mgłę, kłębią się wizje Lorien. Zza drzwi frontowych dobiega zniecierpliwiony pomruk. To pewne, że ktoś albo coś tam jest. Moje serce galopuje.

- Siedź - nakazuje Henri.

Unoszę głowę, żeby móc zerkać ponad oparcie kanapy. Tyle krwi, myślę. Oni na pewno wiedzieli, że są na straconej pozycji. A jednak walczyli do końca, ginąc, żeby ocalić innych, ginąc, żeby ocalić Lorien. Henri zaciska w ręce nóż.

Powoli sięga do mosiężnej gałki u drzwi. Zalewa mnie wściekłość. Mam nadzieję, że to jest jeden z nich. Niech jakiś Mogadorczyk wejdzie przez te drzwi. Trafi na godnego przeciwnika.

Nie ma mowy, żebym został za tą kanapą. Sięgam po jeden z kociołków, wsadzam do środka rękę i wydaję płonący kawałek drewna z zaostrozonym końcem. Jest zimny w dotyku, choć ogień dalej płonie, liżąc i ogarniając moją dłoń. Trzymam szczapkę drewna jak sztylet. Niech przyjdą, myślę. Nie będzie więcej uciekania. Henri spogląda na mnie, bierze głęboki oddech i mocnym szarpnięciem otwiera drzwi.

Każdy mięsień mojego ciała jest naprężony, wszystko spięte do bólu. Henri wyskakuje za próg i jestem gotów ruszyć za nim. Czuję łup-łup w piersi. Płonący kawałek drewna ściskam palcami tak mocno, że pobieleły mi kłykcie. Przez otwarte drzwi wtargnął powiew wiatru i teraz ogień tańczy w mojej dłoni i pełza po nadgarstku. Nikogo tam nie ma.

Raptem Henri odpręży się i patrząc pod swoje nogi, chichocze. A tam ze skierowanym ku niemu spojrzeniem stoi ten sam beagle, którego widziałem wczoraj w szkole. Pies macha ogonem i skrobie łapą. Henri pochyla się i go głaszcze; wtedy pies przepycha się przez drzwi i wbiega do domu z wywieszonym językiem.

- Co on tu robi? - pytam.

- Znasz tego psa?

- Widziałem go wczoraj. Przyplątał się do mnie rano przed szkołą.

Odkładam szczapkę na miejsce, potem wycieram rękę o dzinsy, zostawiając na udzie smugę czarnego popiołu. Pies siedzi u moich stóp i patrzy wyczekująco w górę, tłukąc ogonem w twardą drewnianą podłogę. Siadam na kanapie i obserwuję ogień w obu kociołkach. Teraz, kiedy sytuacja się wyjaśniła i podniecenie opadło, wracam myślami do swojej wizji. Wciąż mam w uszach krzyki, wciąż widzę, jak krew połyskiwała na trawie w świetle księżyca, wciąż widzę ciała i zwalone drzewa, czerwony błysk w oczach mogadorskich bestii i przerażenie w oczach Loryjczyków.

Spoglądam na Henriego.

- Widziałem, co tam się działo. W każdym razie początek.

- Tak przypuszczałem, że zobaczysz.

- Słyszałem twój głos. Mówiłeś do mnie?

- Tak.

- Nie rozumiem. To była masakra. Było w nich zbyt dużo nienawiści, żeby mogło chodzić wyłącznie o nasze bogactwa naturalne. Było w tym coś więcej.

Henri wzdycha i siada przy stoliku naprzeciwko mnie. Pies wskakuje mi na kolana. Głaszcę go. Jest brudny, sierść pod moją ręką jest sztywna i zatłuszczona. Ma psi identyfikator w kształcie piłki futbolowej przypięty z przodu obroży.

To stary identyfikator, sądząc po prawie całkiem złuszczonej brązowej farbie. Biorę go do ręki, numer 19 po jednej stronie, imię „Bernie Kosar” po drugiej.

- Bernie Kosar - mówię, na co pies macha ogonem. - To pewnie jego imię. Facet z plakatu na mojej ścianie nazywa się tak samo, musi być popularny w tych stronach. - Przeciagam ręką po psim grzbiecie. - Wygląda na bezdomnego. I jest głodny. - Skądś to wiem.

Henri kiwa głową. Przygląda się Berniemu Kosarowi. Pies wyciąga się, opiera mordkę na łapach, zamyka oczy. Otwieram zapalniczkę i przykładam płomień do swoich palców, dłoni, potem przesuwam go w górę po wewnętrznej stronie przedramienia. Dopiero przed zgięciem w łokciu płomień zaczyna mnie parzyć. Cokolwiek Henri zrobił, to zadziałało i strefa mojej odporności powiększyła się. Zastanawiam się, kiedy całe moje ciało stanie się odporne.

- Więc co tam się wydarzyło? - pytam. Henri bierze głęboki oddech.

- Ja też miałem takie wizje. Tak rzeczywiste jak to, że tu jesteś.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że to wszystko było tak straszne. To znaczy wiem, że mi mówiłeś, ale tak naprawdę tego nie rozumiałem, dopóki nie zobaczyłem na własne oczy.

- Mogadorczycy są inni niż my. To skryci manipulatorzy, wobec wszystkiego nieufni. Mają pewne moce, ale to nie są takie moce jak nasze. Żyją stadnie i są w swoim żywiole w wielkich zatłoczonych miastach. Im gęściej zaludnione, tym lepiej. To dlatego my dwaj trzymamy się teraz z dala od

wielkich miast, chociaż mieszkając w którymś z molochów, łatwiej byłoby się wtopić w tłum. Im też byłoby łatwiej - milion razy łatwiej niż nam.

Słucham nie przerywając. Około stu lat temu ciągnie Henri - Mogadore zaczęła ginąć, podobnie jak Lorien dwadzieścia pięć tysięcy lat wcześniej. Oni jednak nie zareagowali tak jak my. Nie zrozumieli problemu w taki sposób, jak populacja ludzka zaczyna rozumieć go dzisiaj. Zlekceważyli to. Wyniszczyli swoje oceany, wypełnili rzeki i jeziora odpadami i ściekami, żeby dalej powiększać swoje miasta. Roślinność zaczęła ginąć, co spowodowało wymieranie zwierząt roślinożernych, po czym niedaleko w kolejce znalazły się mięsożerne. Mogadorczycy wiedzieli, że muszą wykonać jakiś drastyczny krok.

Henri zamyka oczy, milczy przez pełną minutę.

- Czy wiesz, jaka jest najbliższa Mogadore planeta utrzymująca życie? - pyta w końcu.

- Tak. To jest Lorien. Albo była.

- Tak, to jest Lorien. I na pewno wiesz, że chodziło im o nasze bogactwa naturalne.

Kiwam głową. Bernie Kosar podnosi głowę i wydaje głębokie, ziewnięcie. Henri podgrzewa w mikrofalach ugotowaną pierś kurczaka, kroi ją w paski, po czym wraca na kanapę z talerzem i stawia go przed j psem. Bernie pożera jedzenie, jakby od kilku dni nie miał nic w pysku,

- Na Ziemi jest mnóstwo Mogadorczyków - mówi dalej. - Nie wiem, ilu jest tutaj, ale wyczuwam ich, kiedy śpię.

Czasem widzę ich w swoich snach. Nigdy nie wiem, gdzie są ani co mówią. Ale widzę ich. I nie sądzę, żeby wasza szóstka była jedynym powodem, dla którego jest ich tutaj tak wielu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Z jakiego innego powodu mieliby tu być?

Henri patrzy mi w oczy.

- Czy wiesz, jaka jest druga najbliższa Mogadore planeta utrzymująca życie?

- Ziemia, tak?

- Mogadore jest dwukrotnie większa od Lorien, a Ziemia jest pięciokrotnie większa od Mogadore. Ziemia jest lepiej przygotowana na inwazję. Mogadorczycy, nim zaatakują, będą musieli poznać tę planetę lepiej. Nie do końca umiem powiedzieć, dlaczego zostaliśmy pokonani tak łatwo, bo wielu rzeczy wciąż nie rozumiem. Ale z pełnym

23

przekonaniem mogę powiedzieć, że wpłynął na to zbieg dwóch okoliczności: z jednej strony ich wiedza o naszej planecie i naszym ludzie, a z drugiej to, że nie mieliśmy żadnej innej obrony poza naszą inteligencją i Dziedzictwami Gardów. Cokolwiek by mówić o Mogadorczykach, na pewno są błyskotliwymi strategami wojennymi.

Przeczekujemy następną chwilę w milczeniu, na zewnątrz wciąż huczy wiatr.

- Nie wydaje mi się, żeby byli zainteresowani zdobywaniem bogactw naturalnych Ziemi - mówi Henri.

- Dlaczego nie?

- Mogadore wciąż zmierza ku zagładzie. Mimo że załatali najpilniejsze problemy, śmierć planety jest nieunikniona i oni o tym wiedzą. Myślę, że zamierzają zgładzić ludzi. Myślę, że chcą zawładnąć Ziemią.

Po kolacji kąpię Berniego Kosara, używając szamponu i odżywki do włosów. Czeszę go starym grzebieniem, który został w jednej z szuflad po poprzednim lokatorze. Pies wygląda i pachnie dużo lepiej, ale jego obroża wciąż cuchnie.

Wyrzucam ją. Przed pójściem do łóżka otwieram mu drzwi frontowe, ale nie wybiera się z powrotem pod gołe niebo.

Kładzie się na podłodze z pyskiem na przednich łapach i czuję, że chce zostać z nami w domu. Zastanawiam się, czy on czuje, że chcę tego samego.

-

Myślę, że mamy nowego zwierzaka - mówi Henri. Uśmiecham się. Jak tylko zobaczyłem dziś tego psa, miałem nadzieję, że Henri pozwoli mi go zatrzymać.

- Na to wygląda - odpowiadam.

Kiedy pół godziny później kładę się do łóżka, Bernie Kosar wskakuje ze mną i zwiija się w kłębek przy moich nogach. Za minutę już chrapie. Leżę jakiś czas na plecach, wpatrując się w ciemność, i milion różnych myśli błąka się w mojej głowie. Sceny z wojny: chciwy, wygłodniały wzrok Mogadorczyków, wściekły, twardy wzrok bestii, śmierć i krew. Myślę o urodzie Lorien. Czy kiedyś znowu będzie utrzymywać życie, czy Henri i ja będziemy czekać tu, na Ziemi, w nieskończoność?

Próbuję odpychać od siebie te myśli i obrazy, ale one jeszcze długo mnie nie opuszczają. Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju. Bernie Kosar unosi głowę i przez chwilę mnie obserwuje, ale zaraz z powrotem zasypia. Wzdycham, biorę z szafki nocnej swoją komórkę i sprawdzam, czy Mark James czegoś nie namieszał. W porządku, numer Henriego jest, ale już nie jest jedynym kontaktem. Dodany został inny numer, zapisany pod nazwą „Sara Hart”. Po ostatnim dzwonku, zanim Sara podeszła do mojej szafki, wpisała swój numer do mojej komórki.

Zamykam telefon, kładę go przy łóżku i uśmiecham się. Mijają dwie minuty, na wszelki wypadek znów sprawdzam kontakty, bo może mi się przywidziało. Nie, w porządku, nic mi się nie przywidziało. Zatrząskuję kłapkę telefonu, odkładam go tylko po to, żeby pięć minut później znów spojrzeć na jej numer. Nie wiem, ile czasu można zasypiać, ale w końcu zasypiam. Rano budzę się z komórką przyciśniętą ręką do piersi.

10

Budzę się, słysząc, jak Bernie Kosar skrobie w drzwi mojej sypialni. Wypuszczam go na zewnątrz. Patroluje całe podwórze, pędząc z nosem przy ziemi, po czym rzuca się na przełaj w stronę lasu i znika. Zamykam drzwi i wskakuję pod prysznic. Kiedy wychodzę dziesięć minut później, pies jest w domu, usadowiony na kanapie. Na mój widok macha ogonem.

- Wpuściłeś go? - pytam Henriego, który siedzi przy kuchennym stole z otwartym laptopem i czterema gazetami przed sobą.

- Tak.

Po szybkim śniadaniu wychodzimy. Bernie Kosar biegnie przed nami, potem przystaje i siada przed furgonetką ze wzrokiem skierowanym na drzwi pasażera.

- Dziwne... - mówię. Henri wzrusza ramionami.

- Widocznie nie jest mu obca jazda samochodem. Wpuść go. Otwieram drzwi i pies wskakuje do środka. Siada na środkowym

fotelu z wywieszonym językiem. Kiedy ruszamy z podjazdu, przeskakuje na moje kolana i skrobie w okno. Opuszczam szybę, on wystawia się do połowy z ciągle otwartym pyskiem i łopoczącymi na wietrze uszami. Niecałe pięć kilometrów drogi i jesteśmy przed szkołą. Otwieram drzwi, Bernie Kosar wyskakuje przede mną. Pakuję go z powrotem do furgonetki, a on z powrotem wyskakuje. Wsadzam go jeszcze raz i zamykając drzwi, muszę blokować go ciałem, żeby znów nie wyskoczył. Staje na tylnych łapach z przednimi opartymi na opuszczonej szybie. Klepię go po głowie.

- Masz rękawice? - pyta Henri.

- Tak.

- Telefon?

- Tak.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Okej. Dzwoni w razie najmniejszych kłopotów.

Odjeżdża, Bernie Kosar patrzy za mną przez tylne okno, aż furgonetka znika za zakrętem. Odczuwam podobne zdenerwowanie jak poprzedniego dnia, ale z innych powodów. Z jednej strony chcę natychmiast zobaczyć Sarę, z drugiej mam nadzieję, że w ogóle jej nie zobaczę. Nie bardzo wiem, co jej powiedzieć. A jak nic nie wymyślę i będę stał tam jak głupek? A jeśli ona będzie z Markiem? Czy powinienem ją zauważyć i zaryzykować kolejne starcie, czy po

24

prostu przejść obok, udając, że nie widzę ani jej, ani jego? W najgorszym razie spotkam ich oboje na drugiej lekcji.

Tego nie da się uniknąć.

Idę prosto do swojej szafki. Mój plecak jest wypakowany książkami, które miałem wczoraj czytać, ale żadnej nawet nie otworzyłem. Zbyt dużo myśli i obrazów kotłowało się w głowie. Nie odeszły w zapomnienie i trudno sobie wyobrazić, by kiedykolwiek miały odejść. To wszystko było całkiem inne, niż się spodziewałem. Śmierć nie wygląda jak w filmach. Odgłosy, wygląd szczegółów, zapachy. Tak inne.

Podchodząc do szafki, od razu zauważam, że coś jest nie w porządku. Metalowy uchwyt do zamka jest wysmarowany błotem albo czymś, co wygląda jak błoto. Zastanawiam się, czy powinienem go dotykać, ale biorę głęboki oddech i mocnym ruchem przekręcam uchwyt.

Szafka jest do połowy wypełniona gnojem i gdy otwieram na oścież drzwiczki, prawie wszystko wypada na podłogę, paskudząc moje buty. Smród jest potworny. Zatrząskuję drzwiczki i widzę, że stoi za mną Sam Goode.

Pojawił się tak nagle, nie wiadomo skąd, że lekko się wzdrygam. Wygląda żałośnie, jest w białym T-shircie z logo NASA, ale trochę innym niż tamten, który nosił wczoraj.

- Cześć, Sam - mówię.

Patrzy na kupę gnoju na podłodze, potem z powrotem na mnie.

- Ty też? - pytam. Kiwa głową.

- Idę do dyrektora. Chcesz pójść ze mną?

Potrząsa głową, po czym odwraca się i odchodzi bez słowa. Idę do gabinetu pana Harrisa, pukam do drzwi i wchodzę, nie czekając na zaproszenie. Siedzi za biurkiem, w krawacie we wzorki ze szkolną maskotką, co najmniej dwadzieścia maleńkich głów pirata równomiernie rozrzuconych. Dyrektor uśmiecha się do mnie z dumą.

- To wielki dzień, John - oświadcza, a ja nie wiem, co ma na myśli. - Dziennikarze z „Gazette” powinni być tu nie dalej niż za godzinę. Pierwsza strona!

Przypominam sobie: wielki wywiad Marka Jamesa dla miejscowej gazety.

- Musi pan być bardzo dumny - mówię.

- Jestem dumny z każdego ucznia Paradise bez wyjątku. Uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Przechyla się w tył na krześle,

splata palce, opiera ręce na brzuchu.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałem pana powiadomić, że dzisiaj moja szafka została wypełniona gnojem.

- Jak to? Co to znaczy „wypełniona”?

- To znaczy, że jest pełna gnoju.

- Gnoju? - pyta w konsternacji.

- Tak.

Wybuchają śmiechem. Jestem zaskoczony jego kompletnym lekceważeniem sprawy i zalewa mnie złość. Czuję ciepło na twarzy.

- Chciałem pana powiadomić, żeby to mogło zostać sprzątnięte. Szafka Sama Goodea również jest pełna gnoju.

Dyrektor wzdycha i kręci głową.

- Poślę tam woźnego, pana Hobbsa, i przeprowadzimy dochodzenie.

- Obaj wiemy, kto to zrobił, panie Harris. Rzuca mi protekcyjny uśmiezek.

- Przeprowadzę dochodzenie, panie Smith.

Nie ma co dalej strzępić języka, więc wychodzę i idę do łazienki obmyć zimną wodą ręce i twarz. Muszę się uspokoić. Nie chcę być znowu zmuszony do chodzenia w rękawiczkach. Może w ogóle nie powinienem nic robić, po prostu machnąć na to ręką. Czy to zakończy sprawę? Swoją drogą, mam inne wyjście? Jestem w mniejszości, a moim jedynym sprzymierzeńcem jest ważący tyle co kurczak drugoklasista sfiksowany na punkcie istot pozaziemskich. Choć może to nie do końca prawda - może mam jeszcze jednego sprzymierzeńca w Sarze Hart.

Patrzę na swoje ręce. W porządku, nie świecą. Wychodzę z łazienki. Woźny usuwa już gnój z mojej szafki, razem z książkami, które wyrzuca do śmieci. Mijam go, idę do klasy i czekam na rozpoczęcie lekcji. Omawiane są zasady gramatyki, a głównym tematem jest różnica między gerundium a czasownikiem i dlaczego gerundium nie jest czasownikiem. Uważam trochę bardziej niż poprzedniego dnia, ale im bliżej końca, tym bardziej jestem zdenerwowany przed następną lekcją. Nie dlatego, że mogę spotkać Marka... Dlatego, że mogę spotkać Sarę. Czy dzisiaj też się do mnie uśmiechnie? Myślę sobie, że najlepiej będzie przyjść wcześniej, zając miejsce i patrzeć na nią, kiedy będzie wchodziła. Zobaczę w ten sposób, czy powie mi pierwsza „cześć”.

Równy z dzwonkiem wypadam z klasy i gnam na astronomię. Wchodzę pierwszy, potem sala się zapełnia i znowu Sam siada koło mnie. Sara i Mark wchodzi razem tuż przed dzwonkiem. Ona, w białej zapinanej koszuli i czarnych spodniach, uśmiecha się do mnie, idąc na swoje miejsce. Odpowiadam uśmiechem. Mark w ogóle nie patrzy w moją stronę. Pociągamy nosem i ciągle czuję gnój na swoich butach, albo ten smród pochodzi z butów Sama.

Sam wyciąga z plecaka jakieś pisemko z tytułem na okładce „Oni chodzą wśród nas”. Wygląda na pokątnie wydrukowane w czyjejs piwnicy. Sam przewraca kartki do artykułu w środku i zaczyna z uwagą czytać. Patrzę na Sarę, która siedzi cztery ławki przede mną, na jej włosy związane w koński ogon. Widzę jej delikatny kark. Krzyżuje nogi i prostuje się na krześle. Chciałbym teraz siedzieć koło niej i wziąć ją za rękę. Chciałbym, żeby już była ósma lekcja.

Zastanawiam się, czy znów będę z nią w parze na zajęciach z gospodarstwa domowego.

Pani Burton zaczyna wykład, ciąg dalszy o Saturnie. Sam wyjmuję kartkę i zaczyna z zapalem gryzmolić, robiąc przerwy na zerknięcie do artykułu w piśmie, które przed chwilą otworzył. Zapuszczam żurawia przez jego ramię i czytam tytuł: „Całe miasto Montana uprowadzone przez obcych”.

Do wczoraj w ogóle bym nie rozważał takiej teorii. Ale Henri wierzy, że Mogadorczycy zamierzają przejąć Ziemię, i muszę przyznać, iż choć hipoteza w publikacji Sama jest niedorzeczna, na jej najbardziej podstawowym poziomie coś tu może być na rzeczy. Wiem na pewno, że Loryjczycy wielokrotnie odwiedzali Ziemię w różnych okresach istnienia tej planety. Obserwowaliśmy, jak Ziemia się rozwija, oglądaliśmy ją w czasach rozkwitu i dostatku, gdy wszystko szło

krzesać ogień, dawaliśmy im narzędzia rozwoju mowy i języka, przez co nasz język jest tak podobny do języków Ziemi. I chociaż my nigdy nie uprowadzaliśmy ludzi, nie jest powiedziane, że nigdy coś takiego nie zaszło. Patrzę na Sama. Nie spotkałem dotąd człowieka, który byłby zafascynowany kosmitami aż tak, żeby wyczytywać się w teorii spiskowe i robić z nich notatki.

W tym momencie otwierają się drzwi i pan Harris wsuwa do środka swoją uśmiechniętą twarz.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani Burton. Będę musiał zabrać stąd Marka. Są tu dziennikarze z „Gazette”, którzy przeprowadzą z nim wywiad - mówi na tyle głośno, żeby cała klasa słyszała.

Mark wstaje, bierze plecak i bardzo spokojnie wychodzi z sali. Przez otwarte drzwi widać, jak pan Harris klepie go po plecach. Potem znów patrzę na Sarę, żałując, że nie mogę zająć wolnego miejsca obok niej.

Na czwartej lekcji mam wychowanie fizyczne. Sam jest w mojej grupie. Po przebraniu się siadamy obok siebie na podłodze sali gimnastycznej. On ma na sobie buty tenisowe, szorty i o dwa, trzy rozmiary za duży T-shirt. Wygląda jak bocian, same kolana i łokcie, dosyć tyczkowate mimo że jest niski.

Nauczyciel wuefu, pan Wallace, stoi wyprężony przed nami w szerokim rozkroku, z rękami zaciśniętymi w pięści opartymi na biodrach.

- Dobra, chłopaki, słuchajcie. To pewnie ostatnia szansa, żeby poćwiczyć na zewnątrz, więc trzeba ją dobrze wykorzystać. Bieg na półtora kilometra, na pełny gaz. Czasy będą notowane i zachowane dla porównania z następnym biegiem na wiosnę. Więc dajcie z siebie wszystko!

Odkryta bieżnia zrobiona jest z gumy syntetycznej. Okrąża boisko futbolowe, a za nią są lasy, przez które, jak sobie wyobrażam, może prowadzić droga do naszego domu, ale nie jestem pewien. Wieje zimny wiatr i Sam ma na ramionach gęsią skórę. Próbuje je rozetrzeć.

- Biegliście już ten dystans? - pytam.

- Tak. W drugim tygodniu po wakacjach.

- Jaki miałeś czas?

- Dziewięćdziesiąt minut, pięćdziesiąt cztery sekundy. Patrzę na niego spod oka.

- Myślałem, że chuderlaki powinny być szybkie.

- Spadaj.

Biegnę ramię w ramię z Samem w ogonie grupy Cztery kółka. Tyle razy muszę obieć bieżnię, żeby zaliczyć półtora kilometra. W połowie pierwszego okrążenia zaczynam zostawiać w tyle Sama. Zastanawiam się, jak szybko mógłbym przebiec półtora kilometra, gdybym się naprawdę postarał. W dwie minuty, może minutę, może mniej?

Ruch sprawia mi frajdę i trochę bez zastanowienia wyprzedzam prowadzącego. Potem zwalniam, udaję zmęczenie i nagle widzę białą--brązową ruchomą plamę, która wypada zza krzaków przy wejściu na trybunę... i pędzi prosto na mnie. Halucynacje, myślę. Odwracam głowę i biegnę dalej. Mijam nauczyciela, który ze stoperem w ręku wykrzykuje dopingujące słowa, ale patrzy poza mnie, gdzieś w bok od bieżni. Wiodę wzrokiem za jego oczami. Są skupione na biało-brązo-wej plamie. To coś dalej gna prosto na mnie i nagle wracają wczorajsze wizje. Mogadorskie bestie. Były też małe, z zębami, które połyskiwały w świetle jak ostrza brzytwy, szybkie stworzenia nastawione na zabijanie. Zaczynam pędzić.

Pokonuję dzikim sprintem połowę okrążenia i znów się odwracam. Niczego za mną nie ma. To coś zostało w tyle.

Minęło dwadzieścia sekund. Odwracam się z powrotem i to coś jest wprost przed mną. Musiało biec skrót, przecinając boisko. Staję jak wryty i moje widzenie wraca do normy. To Bernie Kosar! Siedzi z wywieszonym językiem pośrodku bieżni i macha ogonem.

- Bernie Kosar! - wrzeszczę. - Wystraszyłeś mnie jak diabli! Biegnę dalej wolnym tempem, Bernie Kosar równoległe ze mną.

Mam nadzieję, że nikt nie zauważył, jak szybko biegłem. Wkrótce się zatrzymuję, udając, że chwycił mnie kurcz i nie mogę złapać oddechu. Przez jakiś czas idę. Potem trochę podbiegam. Przed końcem drugiego okrążenia wyprzedziło mnie dwóch chłopaków.

- Smith! Co się stało? Miałeś niesamowitą przewagę! - wrzeszczy pan Wallace, kiedy go mijam. Oddycham ciężko, na pokaz.

- Ja... mam... astmę.

Kręci głową z rozczarowaniem.

- A ja myślałem, że jeszcze w tym roku będę miał stanowego mistrza biegni w swojej klasie.

Wzruszam ramionami i biegnę dalej, od czasu do czasu przechodząc do chodu. Bernie Kosar jest ciągle przy mnie i tak jak ja czasem idzie, czasem biegnie. Na początku ostatniego okrążenia dogania mnie Sam i do końca biegniemy razem. Jest czerwony jak burak.

- Co to było, co czytałeś dzisiaj na astronomii? - pytam. - „Całe miasto Montana wprowadzone przez obcych”?

Uśmiecha się do mnie.

- Tak, jest taka teoria - mówi trochę nieśmiało, jakby zakłopotany.

- Po co ktoś miałby wprowadzać całe miasto? Sam wzrusza ramionami, nie odpowiada.

- No nie... - mruczę pod nosem.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Jasne

- No więc jest taka teoria, że władza pozwala obcym na wprowadzenia w zamian za technologię.

- Serio? Jaką technologię?

- Na przykład czipy do superkomputerów, sposoby konstrukcji nowych bomb, zielone technologie.

Tego rodzaju rzeczy

- Zielona technologia za żywe okazy? Dziwne. Po co obcy chcą wprowadzać ludzi?

26

- Żeby móc nas badać.

- Ale po co? Jaki mogliby mieć cel?

- Po to, żeby w dniu nadejścia Armagedonu znać wszystkie nasze słabości i przez demaskowanie tych słabości łatwo nas pokonać.

Ta odpowiedź trochę zbija mnie z tropu, ale tylko z powodu scen z wczorajszych wizji, które ciągle przewijają się w mojej głowie. Pamiętam broń, jakiej używali Mogadorczycy, i tamte straszne bestie.

- To chyba i tak byłoby dla nich łatwe, jeśli mają już broń i technologie o wiele doskonalsze od naszych?

- No właśnie. Zdaniem niektórych ludzi oni mają nadzieję, że najpierw sami się pozabijamy.

Zerkam na Sama. Uśmiecha się do mnie, próbując ustalić, czy traktuję tę rozmowę poważnie.

- Dlaczego mieliby chcieć, żebyśmy się sami pozabijali? Z jakiego powodu?

- Z zazdrości.

- Zazdroszczą nam? Czego? Naszej surowej męskiej urody? Sam parska śmiechem.

- Powiedzmy.

Kiwam głową. Przez minutę biegniemy w milczeniu i widzę, że Sam ledwie zipie.

- Skąd się wzięło twoje zainteresowanie tym wszystkim? Wzrusza ramionami.

- Zwykle hobby - tłumaczy, choć mam niejasne przeczucie, że jest coś, o czym nie chce mi

powiedzieć.

Kończymy bieg z czasem osiem minut, pięćdziesiąt dziewięć sekund, lepszym niż poprzedni wynik Sama. Bernie Kosar idzie za nami do szkoły. Niektórzy go głaszczą, a kiedy wchodzimy do środka, on próbuje wejść z nami. Nie wiem, skąd wiedział, gdzie jestem. Czy mógł zapamiętać drogę podczas porannej jazdy do szkoły? Ta myśl wydaje się śmieszna.

Pies zostaje na zewnątrz. Idę z Samem do szatni i od chwili złapania oddechu mój kumpel sypie jak z rękawa innymi spiskowymi teoriami, z których większość budzi śmiech. Lubię go, jest zabawny, ale czasem chcę, żeby przestał gadać.

Zajęcia z gospodarstwa domowego zaczynają się bez Sary Przez pierwszych dziesięć minut pani Benschhoff udziela instrukcji, a potem idziemy do kuchni. Wchodzę do stanowiska sam, pogodzony z faktem, że będę kucharzył dziś w pojedynkę, i ledwie o tym pomyślałem, wchodzi Sara.

- Czy ominęło mnie coś dobrego? - pyta.

- Około dziesięciu minut wartościowego czasu ze mną - odpowiadam.

Śmieje się.

- Słyszałam rano o twojej szafce. Przykro mi.

- A to ty wpakowałaś tam gnój? Znowu się śmieje.

- Jasne, że nie. Ale wiem, że oni cię prześladowają z mojego powodu.

- Mają szczęście, że nie użyłem swoich supermocy i nie wykopałem ich do następnego hrabstwa.

Łapie mnie żartobliwie za bicepsy

- No tak, te potężne mięśnie. Twoje supermoce. O rany, chłopaki naprawdę mają szczęście.

Naszym zadaniem jest zrobić babeczki z jagodami. Kiedy bierzemy się do mieszania ciasta, Sara zaczyna opowiadać swoją historię z Markiem. Chodzili ze sobą dwa lata, ale im dłużej byli razem, tym bardziej ona odsuwała się od rodziców i swoich przyjaciół. Była dziewczyną Marka, nikim więcej. Miała świadomość, że zaczęła się przy nim zmieniać, przyjmować pewne jego postawy wobec ludzi: złośliwość, krytykowanie wszystkich innych, przekonanie, że jest od nich lepsza. Zaczęła też pić i mieć gorsze oceny. Po poprzednim roku szkolnym rodzice wysłali ją na wakacje do ciotki w Kolorado. Gdy tylko się tam znalazła, zaczęła chodzić na długie wędrowki w góry i robić zdjęcia krajobrazowe aparatem swojej ciotki. Zakochała się w fotografii i spędziła najcudowniejsze wakacje, podczas których zdała sobie sprawę, że w życiu liczy się coś więcej niż bycie cheerleaderką i prowadzenie się z ąterbackiem drużyny futbolowej. Po powrocie do domu zerwała z Markiem, rzuciła futbol i przyrzekła sobie, że będzie dla wszystkich dobra i miła. Mark tego nie przebolewał. Sara mówi, że wciąż uważa ją za swoją dziewczynę i wierzy, iż ona do niego wróci.

Brakuje jej jedynie psów, do których się przywiązała, bywając w jego domu. Opowiadam jej wtedy o Bernie Kosarze, o tym, jak pojawił się u nas ni stąd, ni zowąd po moim pierwszym dniu w szkole.

Rozmawiając, pracujemy. W pewnym momencie sięgam do piekarnika bez rękawic kuchennych i wyjmuję foremkę z babeczką. Ona to widzi i pyta, czy nic mi nie jest, udaję więc, że się oparzyłem, potrząsam ręką, choć tak naprawdę nic nie czuję. Idziemy do zlewozmywaka i Sara odkręca letnią wodę, żeby złagodzić oparzenie, którego nie ma. Kiedy ogląda moją rękę, wzruszam ramionami. Podczas dekorowania babeczek pyta o mój telefon i mówi, że widziała w nim tylko jeden zapisany numer. Tłumaczę jej, że to numer Henriego, że zgubiłem swoją starą komórkę z wszystkimi kontaktami. Pyta, czy zostawiłem tam, gdzie mieszkałem poprzednio, jakąś dziewczynę. Mówię, że nie, ona się uśmiecha, co mnie powala na kolana. Przed końcem zajęć Sara opowiada o zbliżającym się festynie Halloween, wyraża nadzieję, że się tam pojawię i że może spędzimy ten czas razem. Mówię, że byłoby fajnie, udaję luzaka, choć w środku jestem cały wniebowzięty.

Nachodzą mnie wizje w przypadkowych chwilach, zwykle gdy się ich najmniej spodziewam. Czasem są krótkie i przelotne: moja babcia trzymająca szklankę wody i otwierająca usta, żeby coś powiedzieć, ale nie doczekuję się słów, bo obraz znika tak szybko, jak się pojawił. Czasem są dłuższe, bardziej realistyczne: mój dziadek bujający mnie na huśtawce. Czuję siłę jego ramion, kiedy wzbija mnie w górę, i motyle w żołądku, kiedy opadam. Mój śmiech niesiony wiatrem. Potem obraz odpływa. Czasem wyraźnie pamiętam sceny ze swojej przeszłości, pamiętam, że byłem ich częścią. Ale bywa, że są dla mnie całkiem nowe, jakby to, co widzę, nigdy się nie wydarzyło.

27

W dużym pokoju, kiedy Henri przeciąga loryjskim kryształem po moich ramionach, a moje dłonie zwisają nad płomieniami, widzę taką scenę: jestem małym chłopcem - trzy-, może czteroletnim - biegnącym przez nasze frontowe podwórze ze świeżo przyciętą trawą. Jest przy mnie zwierzę z ciałem psa, ale sierścią jak u tygrysa. Ma okrągłą głowę, tułów z wydatną klatką piersiową osadzony na krótkich nogach. Nie przypomina żadnego znanego mi zwierzęcia.

Przykuca i spina się do skoku na mnie. Śmieję się bez opanowania. Potem zwierzątko podskakuje, ja próbuję go złapać, ale jestem za mały i obaj upadamy na trawę. Mocujemy się. On jest ode mnie silniejszy. Nagle wyskakuje w powietrze i zamiast spaść na ziemię, jak się spodziewam, zamienia się w ptaka, podfruwa i kołuje tuż nade mną, poza moim zasięgiem. Krąży jakiś czas, potem opada, przefruwa między moimi nogami i ląduje pięć metrów dalej. Zamienia się w zwierzę, które wygląda jak małpa bez ogona. Przykuca nisko, żeby na mnie skoczyć.

W tym samym momencie pojawia się jakiś mężczyzna. Jest młody, ubrany w srebrnoniebieski gumowy kombinezon przylegający ciasno do jego ciała, tego typu kombinezon, jakich używają nurkowie. Mówi do mnie w języku, którego nie rozumiem. Wymawia imię „Hadley” i kiwa na zwierzę. Hadley podbiega do niego, zmienia postać z małpy na coś większego, podobnego do niedźwiedzia, ale z grzywą lwa. Mają głowy na tym samym poziomie i mężczyzna drapie Hadleya pod brodą. Wtedy wychodzi z domu mój dziadek. Wygląda młodo, ale wiem, że musi mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Podaje mężczyźnie rękę na powitanie. Mówią coś, ale ja nic z tego nie rozumiem. Mężczyzna spogląda na mnie, uśmiecha się, unosi rękę i nagle odrywam się od ziemi i frunę. Hadley mi towarzyszy, znów jako ptak.

Całkowicie panuję nad swoim ciałem, ale to mężczyzna steruje moim lotem, ruszając ręką w prawo lub w lewo. Bawię się z Hadleyem w powietrzu, on łaskocze mnie dziobem, ja próbuję go złapać. I raptem mam otwarte oczy, koniec wizji.

- Twój dziadek potrafił na zawołanie stawać się niewidzialny - mówi Henri, a ja znów zamykam oczy. Kryształ

przesuwa się w górę po moim ramieniu, rozprawdzając neutralizator ognia po całym moim ciele. - To jedno z najrzadszych Dziedzictw, rozwijające się tylko u jednego na stu Loryjczyków, i on należał do tych wybrańców. Umiał,]

sprawić, że on sam i wszystko, czego dotknął, całkowicie zniknęło. Pewnego razu, kiedy jeszcze nie wiedziałem, jakie odziedziczył moce, twój dziadek chciał ze mnie zażartować. Miałeś trzy latka i właśnie zacząłem pracować u twojej rodziny. Poprzedniego dnia zjawiłem się u was po raz pierwszy i kiedy na drugi dzień wspiąłem się na to samo wzgó-

rze, nie zobaczyłem domu. Był podjazd i samochód, i drzewo, ale żadnego domu. Pomyślałem, że miesza mi się w głowie. Ruszyłem na przelaj dalej. W końcu pewien, że się zapędziłem, spojrzałem za siebie i tam w oddali był dom, którego, przysięgłbym, przedtem nie było. Zawróciłem, ale gdy podszedłem dość blisko, on znowu zniknął. Stałem bezradny, patrząc na miejsce, w którym, jak

wiedziałem, musiał być dom, ale widziałem tylko drzewa za nim.

Poszedłem więc dalej. Dopiero przy moim trzecim podejściu twój dziadek sprawił, że dom powrócił na dobre na swoje miejsce. Potem on pękał ze śmiechu. Śmialiśmy się z tego przez następne półtora roku, aż do samego końca.

Kiedy otwieram oczy, jestem ponownie na polu bitwy Cały czas wybuchy, ogień, śmierć.

- Twój dziadek był chodzącą dobrocią - mówi Henri. - Lubił wszystkich rozśmieszać, lubił opowiadać dowcipy Nie było dnia, żebym nie wyszedł od was z obolałym od śmiechu brzuchem.

Niebo poczerwieniało. Całe drzewo przecina powietrze, rzucone przez mężczyznę w srebrnoniebieskim kombinezonie, tego, którego widziałem przed domem. Załatwia dwóch Mogadorczyków i mam ochotę wiwatować z radości. Ale z czego tu się cieszyć? Choćby nie wiem ilu Mogadorczyków zginęło na moich oczach, bilans tamtego dnia już się nie zmieni. Loryjczycy i tak będą pokonani, wszyscy co do jednego wybici. A mnie i tak wyślą na Ziemię.

- Ani razu nie widziałem, żeby twój dziadek wpadł w złość. Kiedy wszyscy inni tracili panowanie nad sobą, kiedy ponosiły ich nerwy, on zachowywał spokój. Właśnie wtedy sięgał po swoje najlepsze dowcipy i każdy znowu się śmiał.

Małe bestie wybierają na ofiary bezbronni dzieci trzymające w rękach świecidełka z festynu. To dlatego przegrywamy - tylko nieliczni Loryjczycy walczą z bestiami, bo reszta próbuje ratować dzieci.

- Twoja babcia była inna. Cicha i powściągliwa, bardzo inteligentna. W ten sposób twoi opiekunowie nawzajem się uzupełniali: dziadek był tym beztróskim, babcia działała za kulisami tak, żeby wszystko szło, jak należy.

Wysoko na niebie wciąż widzę smugę niebieskiego dymu ze statku powietrznego, który wiezie nas na Ziemię, naszą dziewiątkę i naszych Stróżów. Jego obecność drażni Mogadorczyków.

- No i była Julianę, moja żona.

Gdzieś z oddali słychać eksplozję, która przypomina odpalenie ziemskich rakiet. Następny statek wlatuje w powietrze, ciągnąc za sobą ognistą smugę. Najpierw dość wolno, potem nabiera prędkości. Nie wiem, co o tym myśleć.

Nasze statki nie używały do startu ognia; nie używały ropy ani benzyny Wydzielały niewielką smugę błękitnego dymu, który pochodził z kryształów stosowanych do ich zasilania, ale nigdy nic pozostawiały za sobą takiego ognia. Drugi statek w porównaniu z pierwszym jest wolny i przyciężki, ale jakoś leci, wzbijając się w niebo i nabierając szybkości.

Henri nigdy nie wspominał o drugim statku. Kto w nim jest? Dokąd on zmierza? Mogadorczycy krzyczą i pokazują go palcami. Znow okazują zdenerwowanie i na krótki moment Loryjczycy odzyskują pole.

- Miała najzieleńsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem, jasnozielone jak szmaragdy, do tego serce tak wielkie jak sama planeta. Zawsze pomocna innym, wiecznie zносиła do domu jakieś zwierzęta. Nigdy nie zrozumieć, co ona we mnie widziała.

Wielka bestia wróciła, ta z czerwonymi oczami i ogromnymi rogami. Ślina zmieszana z krwią ścieka z ostrych jak brzytwa zębów, tak wielkich, że nie mieszczą się w jej pysku. Mężczyzna w srebrnoniebieskim kombinezonie stoi na wprost niej. Próbuje podnieść bestię, używając swych mocy, i podrywa ją z ziemi na jakiś metr, ale wyżej, mimo wysiłków, nie jest w stanie. Bestia ryczy, szarpie się i spada z powrotem na tylne łapy. Szarżuje, by złamać moce mężczyzny, ale nie może tego zrobić. On podnosi ją jeszcze raz. Jego twarz w świetle księżyca lśni od potu i krwi.

Potem zgina dłonie i bestia zwała się na bok. Pod sceną bitwy drży grunt. Grzmoty i błyskawice przeszywają niebo, ale nie spada ani kropla deszczu.

- Była rannym śpiochem i zawsze budziłem się wcześniej. Siadałem w pokoju i czytałem gazetę, robiłem śniadanie, wychodziłem na spacer. Bywało, że wracałem, a ona wciąż spała. Byłem zniecierpliwiony, nie mogłem się doczekać, żeby zacząć wspólnie dzień. Zawsze dobrze się czułem, kiedy ona była gdzieś blisko. Wchodziłem do sypialni i próbowałem wyciągnąć ją z łóżka. Pomrukując na mnie, chowała głowę pod pościel. Prawie codziennie to samo.

28

Bestia młóci łapami powietrze, ale mężczyzna ciągle panuje nad sytuacją. Przyłączają się inni Gardowie, każdy używa jakiejś mocy przeciwko gigantycznemu stworowi: ogień, deszcz błyskawic, promienie laserowe bombardują go ze wszystkich stron. Niektórzy Gardowie szkodzą mu w sposób niewidoczny, stojąc z dala, z wyciągniętymi w skupieniu rękami. Wreszcie wysoko w górze szykuje się decydująca burza, dzieło ich zbiorowej mocy. Jedna wielka chmura rośnie i płonie blaskiem na skądinąd bezchmurnym niebie, gromadząc jakiś rodzaj energii. Pracują na to wszyscy Gardowie, pomagają stworzyć ten katastrofalny żywioł. I w końcu ostateczny, masowy grom spada i trafia prosto w leżącą bestię. I ta ginie na miejscu.

- Co mogłem zrobić? Czy ktokolwiek mógł coś zrobić? W sumie było nas dziewiętnastoro na tamtym statku.

Dziewięcioro was, dzieci, i dziewięcioro nas, Capanów - wybranych nie według jakiegoś klucza, ale dlatego, że przypadkiem byliśmy tamtej nocy tam, gdzie byliśmy - i pilot, który nas tu dowiózł. My, Capanowie, nie mogliśmy walczyć, zresztą co by to dało, gdybyśmy mogli? Capanowie są urzędnikami, stworzonymi do zarządzania planetą, stworzonymi do nauczania, stworzonymi do szkolenia młodych Gardów, tak żeby rozumieli, na czym polegają ich moce i potrafiłi się nimi posługiwać. Nigdy nie była nam przeznaczona rola wojowników. Bylibyśmy nieskuteczni.

Zginęlibyśmy jak reszta. Mogliśmy jedynie uciec. Uciec z wami, by żyć i by pewnego dnia przywrócić do świetności najpiękniejszą planetę w całym wszechświecie.

Zamykam oczy i gdy je z powrotem otwieram, jest po bitwie. Znad pobojowiska, spomiędzy poległych i umierających unosi się dym. Powalone drzewa, spalone lasy nic nie ocalało poza kilkoma Mogadorczykami, którzy przeżyli, by opowiedzieć, jak było. Słońce wschodzące ku południowi i blada poświata nad jałową ziemią skapaną w czerwieni. Stosy ciał, nie wszystkie nienaruszone, nie wszystkie w całości. Na szczycie jednego ze stosów leży mężczyzna w srebrnoniebieskim kombinezonie. Nie ma wyraźnych śladów na jego ciele, ale nie żyje.

Otwieram szeroko oczy. Nie mogę złapać tchu i mam suche, spieczone wargi.

- No już - mówi Henri.

Pomaga mi zejść ze stołu, prowadzi mnie do kuchni i sadza na krześle. Łzy napływają mi do oczu, choć staram się je powstrzymać. Henri przynosi mi szklankę wody, wypijam ją duszkiem do dna.

Oddaję mu szklankę, po chwili dostaję znów pełną. Zwieszam głowę, ciągle łapiąc oddech. Wypijam drugą szklankę wody, potem patrzę na Henrieo.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś o drugim statku powietrznym? - pytam.

- O czym ty mówisz?

- Był drugi statek.

- Gdzie był drugi statek?

- Na Lorien, w dniu naszego wylotu. Drugi statek, który wystartował po naszym.

- Niemożliwe - odpowiada.

- Dlaczego niemożliwe?

- Bo inne statki były zniszczone. Widziałem to na własne oczy. Kiedy Mogadorczycy wylądowali, najpierw zniszczyli nasze porty. Podróżowaliśmy jedynym statkiem, który ocalał. To był cud, że

uciekliśmy

- Widziałem drugi statek. Mówię ci. Ale on był jakiś inny. Leciał na paliwie, z kłębem ognia za sobą.

Henri przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami. Intensywnie myśli.

- Jesteś pewny, John?

- Tak.

Przechyla się do tyłu na krześle, spogląda przez okno. Bernie Kosar waruje na podłodze, patrząc na nas obu.

- Wystartował z Lorien - mówię. - Patrzyłem na niego bez przerwy, dopóki nie zniknął.

- To się nie trzyma kupy Nie wiem, jak to możliwe. Tam nic nie zostało.

- Był drugi statek. Zapadamy w długie milczenie.

- Henri?

- Tak?

- Co było na tym statku?

Wbijają we mnie wzrok.

- Nie wiem - mówi. - Naprawdę nie wiem.

Siedzimy w dużym pokoju, w kominku płonie ogień, Bernie Kosar leży na moich kolanach. Z rzadka trzask w palenisku przerywa ciszę.

- Pstryk! - mówię, strzelając palcami.

Moja prawa ręka rozświetla się, nie tak jasno jak poprzednio, ale prawie. W krótkim czasie, odkąd Henri zaczął

mnie trenować, nauczyłem się panować nad blaskiem. Umiejętność zmieniać jego natężenie, sprawić, żeby był rozproszony jak światło w domu albo skupiony jak światło latarki. Moja umiejętność posługiwania się tym darem rozwija się szybciej, niż przypuszczałem. Lewa ręka wciąż wypada blado przy prawej, ale nadrabia stratę. Strzelam palcami i mówię „pstryk”, żeby się popisać, ale nie potrzebuję tego robić, żeby manipulować światłem ani żeby je włączać. To się dzieje tak po prostu, od środka, równie bezwysiłkowo jak poruszenie palcem czy mrugnięcie okiem.

- Jak myślisz, kiedy rozwiną się inne Dziedzictwa? - pytam. Henri zerka znad gazety

- Wkrótce. Następne powinno się objawić w ciągu miesiąca, cokolwiek to jest. Musisz tylko zachować czujność.

Nie wszystkie moce będą tak oczywiste jak światło w rękach.

- Jak długo mogę czekać na całą resztę? Henri wzrusza ramionami.

- Czasem wszystko się dokonuje w dwa miesiące, czasem potrzeba nawet roku. Z każdym Gardą bywa trochę inaczej. Ale wszystko jedno, ile czasu to zajmie, twoja główna moc pojawi się ostatnia.

Zamykam oczy i wciskam się w oparcie kanapy Myślę o swoim najważniejszym Dziedzictwie, tym, które pozwoli mi walczyć. Nie jestem pewien, czego bym chciał. Laserów? Czytania w cudzych myślach? Daru wpływania na

29

pogodę, jaki miał mężczyzna w srebrnonie-bieskim kombinezonie? Czy raczej chciałbym czegoś mroczniejszego, bardziej złowrogięgo, jak zdolność zabijania bez dotyku?

Przeciągam ręką po grzbiecie Berniego Kosara. Spoglądam na Henriego. W szlafmycy i okularach na czubku nosa wygląda jak szczur biblioteczny.

- Dlaczego tamtego dnia znaleźliśmy się na lotnisku? - pytam.

- Byliśmy na pokazie lotniczym. Po skończonej imprezie obejrzeliliśmy kilka statków.

- To był naprawdę jedyny powód?

Odwraca się do mnie i kiwa głową. Ma dziwne ciężki oddech, co budzi podejrzenie, że coś przede mną ukrywa.

- W jaki sposób postanowiono, że odlecimy na Ziemię? - pytam. -Tego rodzaju plan musiał wymagać więcej niż paru minut na podjęcie decyzji, prawda?

- Wystartowaliśmy dopiero trzy godziny po rozpoczęciu inwazji. Nic z tego nie pamiętasz?

- Bardzo mało.

- Spotkaliśmy się z twoim dziadkiem przy posągu Pittacusa. On mi ciebie powierzył i kazał zabrać cię na lotnisko.

Powiedział, że to nasza jedyna szansa. Lotnisko miało podziemny kompleks. Twój dziadek powiedział, że od zawsze istniał plan kryzysowy na wypadek, gdyby wydarzyło się coś podobnego, ale nikt tego nie traktował poważnie, bo zagrożenie najazdem wydawało się absurdalne. Identycznie byłoby tutaj, na Ziemi. Gdybyś powiedział teraz jakiemuś Ziemianinowi, że grozi im najazd obcych, wyśmiałyby cię i tyle. Nie inaczej było na Lorien. Kiedy zapytałem go, skąd wie o tym planie, nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko i pożegnał z nami. Wydaje się sensowne, że nikt o tym planie miał nie wiedzieć albo miało wiedzieć tylko niewielu.

- Aha. Więc wy sobie tak po prostu wpadliście na pomysł, że polecicie na Ziemię?

- Oczywiście, że nie. Jeden ze Starszyzny spotkał się z nami na lotnisku. To ten, który rzucił loryjski czar znaczący bliznami wasze kostki i wiążący was wszystkich i dał każdemu z was amulet. Powiedział, że jesteście wyjątkowymi dziećmi, dziećmi błogosławionymi, przez co rozumiał, jak zakładam, że dostaliście szansę ucieczki. Według pierwotnego planu mieliśmy wyprowadzić statek na orbitę i przeczekać inwazję, zaczekać, aż nasi przełamają atak i zwyciężą. Ale tak się nie stało... - mówi zanikającym głosem. Potem wzdycha. - Utrzymywaliśmy się na orbicie przez tydzień. Dokładnie tyle zajęło Mogador-czykom spustoszenie Lorien. Kiedy stało się jasne, że nie będzie dla nas powrotu, obraliśmy kurs na Ziemię.

- Dlaczego on nie rzucił takiego czaru, żeby nikt z nas nie mógł zostać zabity, bez względu na numery?

- Tylko tyle dało się zrobić, John. To, o czym mówisz, byłoby darem niezwyciężoności. To niemożliwe.

Kiwam głową. Ten czar robi tylko tyle. Kiedy jakiś Mogadorczyk próbuje nas zabić poza kolejnością, każda krzywda, jaką chce wyrządzić, obraca się przeciwko niemu samemu. Gdyby wcześniej któryś próbował strzelić mi w głowę, kula przeszłaby jego głowę. Ale teraz już nie. Teraz, jeśli mnie dorwą, zginę.

Siedzę przez moment w milczeniu, myśląc o tym wszystkim. Lotnisko. Loridas, jedyny pozostały ze Starszyzny Lorien, który rzucił na nas czar, już nie żyje. Starsi byli pierwszymi mieszkańcami Lorien, istotami, które uczyniły ją tym, czym była przed zagładą. Na początku było ich dziesięciu i skupiali w sobie wszystkie Dziedzictwa. Tacy starzy, tacy pradawni, że wydawali się bardziej jak z mitu niż z rzeczywistości. Nikt nie wiedział, co się stało z resztą Starszyzny poza Loridasem. Próbuję przypomnieć sobie czas, kiedy orbitowaliśmy nad planetą, czekając w nadziei, że będziemy mogli wrócić, ale nic z tego nie pamiętam. Z podróży zostały mi strzępy wspomnień. Wnętrze statku było okrągłe i otwarte, poza dwiema łazienkami, które miały drzwi. Wszystkie koje mieściły się po jednej stronie, druga strona była przeznaczona do ćwiczeń i zabaw, potrzebnych do rozładowywania zbyt dużego napięcia. Nie pamiętam, jak wyglądali inni. Nie pamiętam, w co się bawiliśmy. Pamiętam, że się nudziłem, w końcu to był cały rok spędzony w statku powietrznym z siedemnastką innych pasażerów. Miałem pluszowe zwierzątko, z którym spałem, i choć jestem pewien, że pamięć kłamie, wydaje mi się, iż to zwierzątko się ze mną bawiło.

- Henri?

- Tak?

- Ciągłe mi się przypomina mężczyzna w srebrnoniebieskim kombinezonie. Widziałem go w naszym domu i na polu walki. Potrafił wpływać na pogodę. I widziałem go martwego.

Henri kiwa głową.

- Za każdym razem, kiedy zagłębisz się w przeszłość, będziesz widział tylko te sceny, które dużo dla ciebie znaczą.

- To był mój ojciec, prawda?

- Tak. Nie powinien był się tyle pokazywać, ale faktem jest, że to robił. Bywał u was bardzo często.

Wzdycham. Mój ojciec dzielnie walczył, zabijając bestię i wielu żołnierzy. Ale to i tak nic nie dało.

- Czy naprawdę mamy szansę zwyciężyć?

- Co masz na myśli?

- Tak łatwo nas wtedy pokonali. Jaka jest nadzieja, że tym razem, kiedy nas znajdą, skończy się inaczej? Nawet kiedy wszyscy rozwiniemy swoje moce i kiedy się wreszcie zejdziemy, i będziemy gotowi walczyć, jaką mamy nadzieję, zważywszy na to, co się działo wtedy?

- Pytasz o nadzieję? - mówi. - Zawsze jest nadzieja, John. Nie znamy rozwoju wydarzeń. Nie wszystko z góry wiadomo. Nie porzucaj jeszcze nadziei, to ostatnia rzecz, jaką można zrobić. Jeśli straciłeś nadzieję, straciłeś wszystko.

A kiedy ci się wydaje, że wszystko stracone, kiedy wszystko wygląda tragicznie i beznadziejnie, zawsze jest nadzieja.

12

30

W sobotę, niecałe dwa tygodnie po przybyciu do Paradise, Henri i ja jedziemy do miasta na paradę Halloween. Myślę, że nam obu zaczyna doskwierać samotność. Nie żebyśmy nie byli przyzwyczajeni do samotności. Jesteśmy. Ale samotność w Ohio różni się od samotności w większości poprzednich miejsc. Jest w niej pewna szczególna cisza, szczególne osamotnienie.

Dzień jest chłodny, słońce tylko od czasu do czasu przeziiera przez sunące nad głowami gęste białe chmury. Miasteczko roi się od ludzi. Wszystkie dzieciaki są poprzebierane. Kupiliśmy obrożę i smycz dla Berniego Kosara, który ma na grzbiecie pelerynę Supermana, z wielkim „S” na piersi. Zdaje się, że to nie robi na nim wrażenia. Nie jest jedynym psem przebranym za superbohatera.

Stoimy na chodniku przed Głodnym Niedźwiedziem, tanią restauracją tuż przy wylocie z głównego ronda, i czekamy na paradę. W oknie wisi wycinek z „Gazette” z artykułem o Marku Jamesie. Na zdjęciu Mark w swojej kurtce zawodnika stoi na linii pięćdziesięciu jardów boiska futbolowego, z założonymi rękami i prawą stopą na piłce, z kpiarskim, pewnym siebie uśmiechem na twarzy. Nawet ja muszę przyznać, że wygląda imponująco.

Henri widzi, że gapię się na gazetę.

- To twój przyjaciel? - pyta z uśmiechem.

Henri zna całą historię, od nieomal bójki po krwi gnój w szafce, i nawet moją słabość do jego byłej dziewczyny.

Odkąd się o wszystkim dowiedział, nie mówi o Marku inaczej niż „twój przyjaciel”.

- Mój najlepszy przyjaciel - poprawiam go.

W tym momencie zaczyna grać orkiestra. Rusza na czele parady za nią rozmaite platformy z halloweenowymi motywami, jedna z nich wiezie Marka i jeszcze kilku piłkarzy. Niektórych znam z

klasy, innych nie. Wszyscy rzucają dzieciakom garście cukierków. Raptem Mark wyłapuje mnie wzrokiem i daje kuksańca koleśowi, który stoi przy nim -

to Kevin, chłopak, którego załatwiłem kopniakiem w krocze w szkolnej stołówce. Mark pokazuje mnie palcem i coś mówi. Obaj parszczą śmiechem.

- To on? - pyta Henri.

- To on.

- Wygląda na palanta.

- Mówiłem ci.

Potem idą cheerleaderki, wszystkie w kostiumach, ze związanymi włosami, uśmiechają się i machają do tłumu.

Sara fotografuje je z boku. Robi wszystko, żeby uchwycić je w ruchu, gdy one podskakują i wymachują pomponami. W dzinsach i bez makijażu jest o wiele ładniejsza od każdej z nich. W szkole coraz więcej rozmawiamy i nie mogę przestać o niej myśleć. Henri widzi, że się w nią wpatruję.

- To ona, co?

- Ona.

Sara mnie zauważa i macha dłonią, potem wskazuje palcem aparat, co znaczy, że chętnie by podeszła, ale robi zdjęcia. Uśmiecham się i kiwam głową.

- No tak - mówi Henri. - Zdecydowanie atrakcyjna.

Oglądamy paradę. Przejeżdża burmistrz Paradise, siedząc na tylnym siedzeniu czerwonego kabrioletu. On też rzuca dzieciom cukierki. Będzie dzisiaj mnóstwo rozszalałych dzieci, myślę.

Czuję klepięcie w ramię, odwracam się.

- Sam Goode. Co słyszać? Wzrusza ramionami.

- Nic. Co u ciebie?

- Oglądałem paradę. To mój tata, Henri. Podają sobie ręce.

- John opowiadał mi o tobie - mówi Henri.

- Naprawdę? - Sam upewnia się z krzywym uśmiechem.

- Naprawdę. - Henri jakby się zastanawiał przez chwilę, potem na jego twarzy wyłania się uśmiech. - Wiesz, coś czytałem. Może już o tym słyszałeś, ale może nie. Czy wiedziałeś, że to przez kosmitów mamy burze z piorunami? Oni je wywołują, żeby dostać się na naszą planetę w niezauważalny sposób. Burza odwraca uwagę, a błyskawice, które widzimy, pochodzą tak naprawdę ze statków kosmicznych wchodzących w atmosferę ziemską.

Sam uśmiecha się i drapie w głowę.

- I co jeszcze - mruczy po nosem. Henri wzrusza ramionami.

- Tak słyszałem.

- W porządku - odpowiada Sam, wyraźnie chcąc zrewanżować się Henriemu. - A wiedział pan, że dinozaury tak naprawdę wcale nie wyginęły? Kosmici byli nimi tak zafascynowani, że postanowili zebrać je wszystkie do kupy i przetransportować na własną planetę.

Henri kręci głową.

- Tego nie wiedziałem - mówi. - A wiedziałeś, że potwór z Loch Ness pochodził z planety Trafalgra? Sprowadzili go na Ziemię w ramach eksperymentu, żeby zobaczyć, czy zdoła przeżyć, i przeżył. Ale kiedy ludzie go odkryli, obcy musieli zabrać go z powrotem do siebie,

1dlatego nikt go więcej nie widział.

Śmieję się nie z samego pomysłu, lecz z nazwy Trafalgra. Nie istnieje planeta o nazwie Trafalgra i zastanawiam się, czy Henri zmyślił ją na poczekaniu.

- Wiedział pan, że piramidy egipskie zostały zbudowane przez obcych?

- Słyszałem o tym - przyznaje Henri z uśmiechem. To go śmieszy, bo chociaż piramidy nie zostały zbudowane przez obcych, przy ich budowie wykorzystano wiedzę Loryczyków oraz ich pomoc. - Wiedziałaś, że koniec świata ma nastąpić dwudziestego pierwszego grudnia 2012 roku?

- Tak, słyszałem - Sam jest rozpromieniony. - Przypuszczalna data ważności Ziemi, koniec kalendarza Majów.

31

- Data ważności? - wtrącam się w ich licytację. - Jak „najlepiej spożyć przed” drukowane na kartonach z mlekiem?

Czy Ziemia ma się zsiaść?

- Śmieję się z własnego dowcipu, ale Sam i Henri nie zwracają na mnie uwagi.

- Czy wiedział pan - pyta Sam - że kręgi zbożowe były pierwotnie stosowane jako narzędzie nawigacyjne dla obcej rasy Agharian? Ale to było tysiące lat temu. Teraz tworzą je tylko znudzeni farmerzy.

Znowu bierze mnie śmiech. Korci mnie, żeby spytać, jakiego typu ludzie tworzą kosmiczne teorie spiskowe, jeśli to znudzeni farmerzy tworzą kręgi zbożowe, ale odpuszczam.

- A lud Centuri? - pyta Henri. - Wiesz coś o nich?

Sam kręci głową.

- To rasa obcych żyjąca w jądrze Ziemi. Są bardzo konfliktowi, pozostają w ciągłej wzajemnej niezgodzie i kiedy prowadzą wojny domowe, powierzchnia Ziemi odmawia posłuszeństwa. To wtedy zdarzają się takie rzeczy jak trzęsienia ziemi i erupcje wulkanów. Tsunami z 2004 roku? Wszystko dlatego, że zaginęła córka króla Centuri.

- Znaleźli ją? - pytam.

Henri kręci głową, patrzy na mnie, potem z powrotem na Sama, który wciąż ma zadowoloną minę, widać podoba mu się ta gra.

- Niestety, teoretycy sądzą, że ona potrafi zmieniać swoją postać i teraz żyje gdzieś w Ameryce Południowej.

Hipoteza Henriego jest dobra i myślę, że nie ma siły, aby wyssał ją z palca ot tak. Stoję tam i rozważam rzecz na serio, choć nigdy nie słyszałem o rasie obcych zwanych Centuri i choć wiem na pewno, że nie istnieje życie w jądrze Ziemi.

- A czy pan wie, że... - Sam urywa.

Przypuszczam, że Henri zabił mu klina, i w momencie, gdy ta myśl świta mi w głowie, Sam mówi coś tak strasznego, iż przechodzi mnie dreszcz grozy:

- Czy pan wie, że Mogadorczycy dążą do zawładnięcia wszechświatem i że już zgładzili jedną planetę, a teraz zamierzają zgładzić

Ziemię? Są tutaj i śledzą ludzkie słabości, żeby nas przechytrzyć, kiedy zacznie się wojna.

Opada mi szczęka, Henri wpatruje się w Sama kompletnie osłupiały Wstrzymuje oddech. Zaciska coraz mocniej rękę wokół kubka z kawą i aż się boję, że zaraz go zgniec. Sam popatruje to na Henriego, to na mnie.

- Hej, wyglądacie, jakbyście zobaczyli ducha. Czy to znaczy, że wygrałem?

- Gdzie to słyszałeś? - pytam, na co Henri rzuca mi tak wściekłe spojrzenie, że wolałbym się w porę ugryźć w język.

- Czytałem w „Oni chodzą wśród nas”.

Henri wciąż nie wie, co odpowiedzieć. Otwiera usta, ale nic mu nie przychodzi do głowy Sytuację ratuje drobna kobieta stojąca za Samem.

- Sam - mówi. - Gdzie byłeś?

Sam odwraca się do niej i wzrusza ramionami.

- Stałem w tym miejscu.

Ona wzdycha i zwraca się do Henriego z wyciągniętą ręką.

- Dzień dobry, jestem matką Sama.

- Henri - mówi. - Miło mi.

Unosi oczy w zdumieniu. Coś w akcencie Henriego wyraźnie ją podekscytowało.

- *Ah bon! Vous parlez francais? Cesi super! Jai personne avec qui je pewc parlerfrancais depuis longtemps.*

Henri uśmiecha się łagodnie.

- Przykro mi. Nie mówię po francusku, choć wiem, że mój akcent to sugeruje.

- Nie? - Jest zawiedziona. - A niech to. Już myślałam, że wreszcie trochę wielkiego świata zawitało do tej miejsciny.

Sam patrzy na mnie, przewracając oczami.

- No cóż, Sam, zbierajmy się - mówi jego matka. Sam znowu wzrusza ramionami.

- Wybieracie się potem do parku i na przejażdżkę na wozie z sianem?

Patrzę na Henriego, potem na Sama.

- Tak, jasne - odpowiadam. - A ty?

Ponownie wzrusza ramionami, tym razem bez słowa.

- No to spróbuj nas znaleźć, jak będziesz mógł. Kiwa z uśmiechem głową.

- Okej, fajnie.

- Pora iść, Sam. I nie wiadomo, jak będzie z tą przejażdżką. Po-trzebuję twojej pomocy w domu - mówi jego matka.

Biedak otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ona odchodzi. Sam idzie za nią.

- Bardzo miła kobieta - zauważa drwiąco Henri.

- Jak ty to wszystko zmyśliłeś? - pytam.

Tłum zaczyna przemieszczać się Main Street w górę, oddalając się od ronda. Henri i ja idziemy za wszystkimi w stronę parku, gdzie można napić się cydru i coś zjeść.

- Normalnie, masz za sobą lata kłamania i zaczynasz się do tego przyzwyczajać.

- No tak. Więc co o tym myślisz?

Bierze głęboki haust powietrza i powoli je wydycha. Jest na tyle zimno, że widzę, jak wychodzi z jego ust.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, co tym myśleć. Zaskoczył mnie.

- Obu nas zaskoczył.

- Będziemy musieli zajrzeć do pisma, z którego czerpie te informacje, dowiedzieć się, kto i gdzie to pisze.

Patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

- Co?

- Będziesz musiał zdobyć jeden egzemplarz - mówi.

- Zdobędę. Tak czy inaczej to jakaś bzdura. Skąd ktoś miałby wie- i dzieć o takich rzeczach?

- Ktoś to podrzuca.

- Myślisz, że jedno z nas?

- Nie.

- Oni?

32

- Możliwe. Nigdy nie pomyślałem, żeby sprawdzać te szmatławce z teoriami spiskowymi. Być

może oni myślą, że my je czytamy i że wypuszczając takie informacje, będą mogli nas wyłuskać. To znaczy... - urywa, myśli o tym przez kilka chwil. - Cholera, nie wiem, John. Będziemy musieli się temu przyjrzeć. W każdym razie to na pewno nie jest zbieg okoliczności.

Idziemy w milczeniu, wciąż trochę zszokowani, wałkując w myślach możliwe rozwiązania zagadki. Bernie Kosar truchta między nami ze zwieszonym językiem, jego pelerynka opada na jeden bok i szarga się po chodniku. Pies ma wielkie powodzenie u dzieci i niektóre nas zatrzymują, żeby go pogłaskać.

Park jest położony na południowym obrzeżu miasta. Na samym krańcu przylegają do niego dwa jeziora oddzielone wąskim pasmem ziemi, które prowadzi do lasu. Sam park składa się z trzech boisk do baseballa, placu zabaw i wielkiego pawilonu, w którym wolontariusze podają cydr i placek z dyni. Po jednej stronie szutrowego podjazdu stoją trzy wozy z sianem z wielką tablicą:

DRŻYJCIE, LUDZIE!

HALLOWEENOWE STRASZENIE NA SIANIE ODJAZD @ ZMIERZCH

5 DOL. OD GŁOWY

Przed granicą lasu szutrowa aleja przechodzi w piaszczystą drogę. Wjazd do lasu jest udekorowany wyciętymi sylwetkami duchów i karykaturami goblinów. Wygląda na to, że trasa przejażdżki ze straszeniem prowadzi przez las.

Wypatruję wkoło Sary, ale nigdzie jej nie widzę. Zastanawiam się, czy ona będzie na jednym z tych wozów.

Wchodzimy do pawilonu. Po jednej stronie jest grupa cheerleade-rek, niektóre malują dzieciom twarze w motywy halloweenowe, inne sprzedają kupony loteryjne na losowanie, które odbędzie się o szóstej.

- Cześć, John - słyszę za sobą, więc odwracam się i widzę Sarę z aparatem fotograficznym. - Jak ci się podobała parada?

Uśmiecham się do niej, wsuwając ręce do kieszeni. Przyglądam się j białemu duszkowi namalowanemu na jej policzku.

- Cześć - odpowiadam. - Podobała mi się. Chyba powoli się przyzwyczajam do małomiasteczkowego uroku Ohio.

- Uroku? Masz na myśli nudę, prawda?

- Nie wiem. - Wzruszam ramionami. - To nie jest tak źle.

- Hej, to ten maluch ze szkoły. Pamiętam cię - mówi Sara, kucając, żeby pogłaskać Berniego Kosara. |

Pies wachluje ogonem, podskakuje i próbuje polizać ją po twarzy! Sara się śmieje. Odwracam się przez ramię.

Henri jest parę metrów dalej, gawędzi z mamą Sary przy jednym z piknikowych stołów. Jestem ciekaw, o czym rozmawiają.

- Myślę, że cię lubi. Ma na imię Bernie Kosar.

- Bernie Kosar? To nie jest imię dla takiego cudownego psa. I ta peleryna... no nie. Sama słodycz.

- Wiesz, że jeśli pociągniesz tak dalej, stanę się zazdrosny o własnego psa.

Uśmiecha się i wstaje.

- Więc kupisz ode mnie los na loterię czy nie? Dochód jest przeznaczony na odbudowanie niedochodowego schroniska dla zwierząt w Kolorado, które miesiąc temu zniszczył pożar.

- Naprawdę? W jaki sposób dziewczyna z Paradise w Ohio dowiaduje się o jakimś schronisku dla zwierząt w Kolorado?

- Prowadzi je moja ciotka. Namówiłam do akcji wszystkie dziewczyny z drużyny cheerleaderek.

Pojedziemy tam i weźmiemy udział w odbudowie. Wyrwiemy się na tydzień ze szkoły i z Ohio i będziemy pomagać zwierzętom. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Wyobrażam sobie Sarę w kasku budowlanym i z młotem w ręce i nie mogę się nie uśmiechnąć.

- Więc mówisz, że przez cały tydzień będę musiał sam zajmować się kuchnią? - Wzdycham z udawaną irytacją i kręcę głową. - Nie wiem, czy mogę wspomóc taką wyprawę, nawet jeśli mają skorzystać na tym zwierzęta.

Ona wybuchła śmiechem i daje mi kuksańca w ramię. Wyjmuję portfel i wręczam jej pięć dolarów za sześć losów.

- To jest sześć szczęśliwych losów - zapewnia.

- Naprawdę?

- Jasne. Kupiłeś je ode mnie, głuptasie.

W tej samej chwili ponad ramieniem Sary widzę, jak Mark i reszta piłkarzy z platformy wchodzi do pawilonu.

- Wybierasz się na straszenie na sianie? - chce wiedzieć Sara.

- Tak, myślałem o tym.

- Powinieneś, to niezła zabawa. Wszyscy ją mają. I to naprawdę napędza sporo strachu.

Mark zauważa Sarę i mnie i wykrzywia twarz we wściekły grymas. Rusza w naszą stronę. W tym samym stroju co zawsze - kurtka zawodnika, niebieskie džinsy, włosy sztywne od żel.

- A ty jedziesz? - pytam Sarę.

Nie ma szansy odpowiedzieć, bo wcześniej włącza się Mark.

- Ja ci się podobała parada, Johnny? - zagaduje.

Sara odwraca się błyskawicznie i piorunuje go wzrokiem.

- Bardzo mi się podobała.

- Jedziesz na wieczorne straszenie czy miałbyś za dużego cykora? Uśmiecham się do niego.

- Wyobraź sobie, że jadę.

- Odwali ci palma jak w szkole i będziesz zwiewał z lasu, płacząc jak dziecko?

- Nie bądź dupkiem, Mark - mówi Sara.

On patrzy na mnie, kipiąc z wściekłości. Przy takim tłumie dookoła nie może nic zrobić bez narażania się na zbiegowisko, zresztą i tak nie wierzę, że cokolwiek by zrobił.

- Wszystko w swoim czasie - warczy Mark.

- Tak myślisz?

- Doczekasz się swego niedługo.

- To całkiem możliwe - odpowiadam. - Ale na pewno nie od ciebie.

- Przestańcie! - krzyczy Sara, staje między nami dwoma i jednego od drugiego odpycha.

Patrzą na nas ludzie. Ona rozgląda się wokół, jakby zażenowana publiczną uwagą, w końcu wydziera się, najpierw na Marka, potem na mnie:

- W porządku. Bijcie się, proszę bardzo, jeśli tego właśnie chcecie! Powodzenia!

Sara odwraca się i odchodzi. Patrzą za nią. Mark nie.

- Sara! - wołam, ale ona idzie dalej, aż znika za pawilonem.

- Niedługo - mówi Mark.

- Wątpię.

On wraca do swoich kumpli, wtedy podchodzi do mnie Henri.

- Chyba nie pytał o pracę domową z matematyki?

- Niezupełnie.

- Nie przejmowałbym się nim - rzuca lekceważąco Henri. - Wygląda na takiego, co dużo gada,

mało robi.

- Nie przejmuję się - odpowiadam i zerkam na miejsce, w którym zniknęła Sara.

- Powiniennem za nią pójść? - pytam i patrzę w twarz Henriego, który był kiedyś żonaty i zakochany, Henriego, który wciąż, każdego dnia, tęskni za swoją żoną, a nie Henriego Stróza, który dba o moje bezpieczeństwo.

Tak - mówi z westchnieniem. - Jakkolwiek bardzo nie chcę tego przyznać, myślę, że powinieneś za nią pójść.

34

13

Dzieci biegające, rozkrzyczane, na zjeżdżalniach i drabinkach. Każde z torebką cukierków w ręce, z buzią wypchaną słodyczami. Dzieci przebrane za bohaterów kreskówek, różne potwory, upiory i duchy. Wszyscy mieszkańcy Paradise są teraz w parku. I pośród całego tego szaleństwa widzę Sarę, całkiem samą, łagodnie bujającą się na huśtawce. Toruję sobie drogę między wrzaskami i piskami. Sara uśmiecha się na mój widok; te jej ogromne niebieskie oczy są jak la-tarnie.

- Pobujać? - pytam.

Kiwa brodą na sąsiednią huśtawkę, którą przed sekundą ktoś zwolnił. Siadam obok niej.

- Już dobrze? - pytam.

- Tak, w porządku. On mnie normalnie załamuje. Zawsze musi grać twardziela, a przy swoich kumplach jest tak wredny, że bardziej nie można.

Zakręca się na huśtawce aż do naprężenia liny, potem unosi stopy i wiruje w przeciwną stronę, najpierw wolno, stopniowo nabierając prędkości, jej blond włosy fruną za nią jak złota smuga. I cały czas się śmieje. Ja robię to samo.

Kiedy w końcu huśtawka się zatrzymuje, świat nie przestaje wirować.

- Gdzie jest Bernie Kosar?

- Zostawiłem go z Henrim.

- Twoim tatą?

- Tak, z moim tatą.

Nie mogę nad tym zapanować, ciągle nazywam Henriego po imieniu, zamiast mówić „tata”.

Temperatura szybko spada i moje dłonie, zaciśnięte na linach, pobielały na kostkach. Przyglądamy się dzieciom, które szaleją wokół nas. Sara zatrzymuje spojrzenie na mnie i jej błękitne oczy wydają się jeszcze błękitniejsze w nadchodzącym zmierzchu. Nie odrywamy od siebie wzroku, po prostu patrzymy jedno na drugie, bez słowa, ale wiele się między nami dzieje. Dzieci jakby wtapiały się w tło. Potem ona uśmiecha się niepewnie i odwraca głowę.

- Więc co zamierzasz zrobić? - pytam.

- Z czym?

- Z Markiem.

- A co mogę zrobić? - Wzrusza ramionami. - Już z nim zerwałam.

I ciągle mu powtarzam, że to nieodwołalne.

Kiwam głową. Nie bardzo wiem, jak na to odpowiedzieć.

- Wiesz co? Powinnam sprzedać resztę tych kuponów loteryjnych.

Za godzinę losowanie.

- Pomóc ci?

- Nie, dam sobie radę. Idź się rozerwać. Bernie Kosar pewnie już za tobą tęskni. Ale naprawdę powinieneś zostać na przejażdżkę na sianie. Może pojedziemy razem?

- Zostanę.

Rozpiera mnie szczęście, ale staram się to ukryć. No to niedługo się zobaczymy.

- Powodzenia z kuponami.

Sara bierze mnie za rękę i trzyma ją dobre trzy sekundy. Potemj zeskakuje z huśtawki i w pośpiechu odchodzi. Ja siedzę tam jeszcze chwilę, lekko się huśtam i cieszę rześkim wiatrem, jakiego nie czułem od bardzo dawna, bo ostatnią zimę spędziliśmy na Florydzie, a przedostatnią w południowym Teksasie. Kiedy wracam do pawilonu, Henri, z Berniem Kosarem przy nogach, siedzi przy piknikowym stole, jedząc placek z dyni.

Jak poszło? - pyta.

- Dobrze - mówię z uśmiechem.

Skądś wystrzela pomarańczowo-niebieski fajerwerk i eksploduje na niebie. Przypominam sobie Lorien i fajerwerki, które widziałem w dniu inwazji.

- Zastanawiałeś się nad tym drugim statkiem, który widziałem? Henri rozgląda się dla pewności, czy nikt nas nie słyszy. Mamy stół

tylko dla siebie, usytuowany w odległym kącie, z dala od tłumu.

- Trochę. Ale ciągle nie mam pojęcia, co to znaczy.

- Myślisz, że on mógł dotrzeć tutaj?

- Nie. Niemożliwe. Jeśli był napędzany paliwem, jak mówisz, nie doleciałby tak daleko bez uzupełniania baku.

Siedzę przez chwilę zamyślony.

- Chciałbym, żeby się okazało, że tak.

- Ze co „tak”?

- Że doleciał na Ziemię z nami.

- Krzepiąca myśl.

Mija godzina i widzę, jak wszyscy piłkarze z Markiem na czele idą przez trawnik. Są przebrani za mumie, zombi, duchy, w sumie dwudziestu pięciu. Siadają na otwartej trybunie boiska baseballowego i cheerleaderki, które malowały buzie dzieciom, zabierają się do charakteryzacji Marka i jego kolegów. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że to piłkarze będą straszyć podczas przejażdżki na sianie, że to oni będą czekać na nas w lesie.

- Widzisz to? - zagaduję Henriego.

Przebiega wzrokiem po nich wszystkich i kiwa głową, potem podnosi swoją kawę i upija długi łyk.

- Uważasz, że mimo wszystko powinieneś tam jechać? - pyta.

- Nie. Ale i tak pojedę.

- Tak myślałem.

Mark jest przebrany za coś w rodzaju zombi: ciemne poszarpane łachy, czarno-szary makijaż, maźnięte na chybił

trafił czerwone plamy udające krew. Po skończonej charakteryzacji podchodzi do niego Sara i coś mówi. On wyraźnie podnosi głos, ale nie słyszę jej słów. Gestykuluje z ożywieniem i mówi tak szybko, że pewnie się zacina. Sara krzyżuje ręce na piersi i kręci głową. On cały sztywnieje. Podrywam się, ale Henri chwytą mnie z ramię.

- Zostań - mówi. - On ją tylko jeszcze bardziej do siebie zraza. j Patrzę na nich i wiele bym dał, żeby słyszeć, co mówią, ale dooko- **J**

ła jest zbyt dużo wrzeszczących dzieci, żeby to wyłapać. Po skończo- j nej pyskówce stoją oko w oko: Mark z bolesnym grymasem na twarzy, i Sara z niewiarygodnym uśmiechem. W końcu ona kręci głową i od-chodzi.

- Co powinienem teraz zrobić? - pytam Henriego.

- Nic - odpowiada. - Absolutnie nic.

Mark wściekły, ze zwieszoną głową, wraca do swoich kumpli. Kilku z nich patrzy w moją stronę. Pojawiają się znaczące uśmiešky. Potem ruszają do lasu. Wolno maszerując, dwudziestu pięciu koleś w halloweenowych kostiumach niknie w oddali.

Dla zabicia czasu wracam z Henrim do miasta i jemy obiad w Głodnym Niedźwiedziu. W parku zjawiamy się tuż po zachodzie słońca i pierwszy wyładowany sianem wóz doczepiony do zielonego traktora wyrusza do lasu. Tłum znacznie się przerzedził, a ci, którzy zostali, to w większości uczniowie szkoły średniej i wyluzowani dorośli, w sumie około setki ludzi. Wypatruję wśród nich Sary, ale nigdzie jej nie ma. Następny wóz rusza za dziesięć minut.

Przeczytałem w ulotce, że cała zabawa trwa półtorej godziny, traktor jedzie przez las wolno, napięcie rośnie, potem jest postój, wysiadka, wszyscy na piechotę ruszają innym szlakiem i odtąd zaczynają się strachy.

Henri i ja stoimy pod dachem pawilonu i znowu przebiegam wzrokiem długi ogonek ludzi czekających na swoją kolej. Ciągłe jej nie widzę, ale w tym momencie zaczyna wibrować w kieszeni mój telefon. Nie pamiętam, kiedy ostatnio dzwonił do mnie ktoś inny niż Henri. Kiedy czytam na wyświetlaczu „Sara Hart”, ogarnia mnie podniecenie. Musiała wprowadzić mój numer do swojej komórki tego samego dnia, kiedy wprowadziła swój numer do mojej.

- Halo? - mówię.

- John?

- Tak.

- Hej, to ja, Sara. Jesteś jeszcze w parku? - mówi w taki sposób, jakby telefonowanie do mnie było czymś normalnym, podobnie jak to, że ma mój numer, chociaż nigdy go jej nie dałem.

- Tak.

- Fajnie! Będę tam za jakieś pięć minut. Pierwszy wóz już odjechał?

- Tak, kilka minut temu.

- Ale ty się jeszcze nie zabrałeś?

- Nie.

- Och, to dobrze! Zaczekaj, to pojedziemy razem.

- No jasne. Drugi rusza za chwilę.

- Dobrze, czyli zdążę na trzeci.

- To do zobaczenia.

Rozłączam się z wielkim uśmiechem na twarzy.

- Bądź tam bardzo ostrożny - prosi Henri.

- Będę.

Potem chwilę odczekuję, żeby nadać swojemu głosowi lekkości.

- Nie musisz tu tkwić. Jestem pewien, że ktoś mnie podwiezie do domu.

- John, chciałbym zostać i pożyć w tym mieście. Chociaż pewnie mądrzej z naszej strony byłoby się zwinąć, biorąc pod uwagę wydarzenia, do których już doszło. Ale w pewnych sprawach będziesz musiał wychodzić mi naprzeciw. I to jest jedna z takich spraw. Nie podobało mi się, w jaki sposób te typki na ciebie patrzyły.

- Poradzę sobie.

- W to nie wątpię. Ale na wszelki wypadek zostanę tu i poczekam na ciebie.

- Dobrze - mówię z westchnieniem.

Sara zjawia się pięć minut później z ładną koleżanką, którą widziałem wcześniej, ale której nigdy

nie zostałem przedstawiony. Przebrała się w dżinsy, wełniany sweter i czarną kurtkę. Zmyła z prawego policzka namalowanego duszka i rozpuściła włosy.

- Hej - mówi.

-Cześć.

Owija mnie ramionami w niepewnym uścisku i czuję zapach perfum unoszących się z jej szyi. Potem się odsuwa.

- Dobry wieczór, tato Johna - zwraca się do Henriego. - To moja przyjaciółka Emily

- Miło mi poznać was obie. Więc wybieracie się, kochani, w nieznaną straszność?

- Właśnie. Czy ten tu da sobie radę? Nie chcę, żeby się mnie za bardzo wystraszył - mówi Sara i uśmiecha się do Henriego, wskazując mnie brodą.

On promienieje i jestem pewien, że już ją lubi.

- Na wszelki wypadek trzymajcie się blisko siebie.

Sara ogląda się przez ramię. Trzeci wóz jest w jednej czwartej wypełniony

- Będę go pilnowała - obiecuje Sara. - Chyba powinniśmy się zbierać.

- Dobrej zabawy - rzuca Henri.

Sara, ku mojemu zdziwieniu, bierze mnie za rękę i we trójkę ruszamy w stronę wozu z sianem, który parkuje sto metrów za pawilonem. W kolejce jest około trzydziestu osób. Stajemy na końcu i zaczynamy rozmawiać, chociaż ja czuję się trochę onieśmielony i głównie słucham rozmowy dwóch dziewczyn. W pewnej chwili widzę Sama, który kręci się z boku, jakby nie wiedział, czy do nas podejść, czy nie.

- Sam! - wrzeszczę z większym od zamierzonego entuzjazmem. Podchodzi niepewnym krokiem.

- Zabierzesz się z nami?

- Mogę?

- Chodź - mówi Sara, przywołując go machnięciem ręki.

Sam staje obok Emily i na jej uśmiech gwałtownie się rumieni. Ja prawie skaczę z radości, że pojedzie z nami.

Nagle zjawia się chłopak z walkie-talkie, którego kojarzę z drużyną piłkarską.

- Cześć, Tommy - mówi Sara.

- Heja. Na wozie zostały cztery miejsca. Chcecie się załapać?

36

- Mówisz serio?

- Tak.

Omijamy kolejkę, wskakujemy na wóz i w czwórkę siadamy na jednej beli siana. Wydaje się dziwne, że Tommy nie pyta nas o bilety. I w ogóle jestem ciekaw, dlaczego wpuścił nas poza kolejką. Niektórzy czekający patrzą na nas z urazą. Nie powiem, żebym miał im to za złe.

- Bawcie się dobrze - mówi Tommy z uśmiechem, takim, który pojawia się u ludzi na wiadomość, że komuś, kogo nie znoszą, stało się coś złego.

- Dziwne - mruczę. Sara wzrusza ramionami.

- Pewnie Emily wpadła mu w oko.

- O Boże, mam nadzieję, że nie - jęczy Emily, po czym udaje odruch wymiotny.

Obserwuję Tommyego ze swojego miejsca na sianie. Wóz jest tylko do połowy wypełniony, co jest kolejną rzeczą, która mnie dziwi, bo tylu ludzi czeka.

Traktor rusza, podskakuje na żwirze i gdy wjeżdża do lasu, z ukrytych głośników dobiegają upiorne odgłosy. Las jest gęsty i poza przednimi lampami traktora nie dociera tam żadne światło. Jak tylko zgasną, myślę, będzie kompletna ciemność. Sara znów bierze mnie za rękę. Ma chłodną dłoń, a

mimo to przejmuję mnie poczucie ciepła.

- Trochę się boję - szepcze mi do ucha.

Na niskich gałęziach, tuż nad nami, wiszą sylwetki duchów, a spod drzew na poboczu drogi wykrzywiają się różne zombi. Traktor staje w miejscu i gasną reflektory. Potem przez dziesięć sekund świecą pulsujące stroboskopy. Nie ma w nich nic strasznego i dopiero, gdy przestają migać, rozumiem ich efekt: nasze oczy potrzebują paru sekund na adaptację i wtedy nic nie widzimy. Nagle czarną ciemność przesywa krzyk. Sara nieruchomieje, gdy wkoło nas przemykają jakieś sylwetki. Wyteżam wzrok, widzę, że Emily przesiadła się na miejsce obok Sama i że on się szeroko uśmiecha. Prawdę mówiąc, ja też się trochę boję. Delikatnie obejmuję ramieniem Sarę. Jakaś ręka omiata nasze plecy i Sara chwyta się mojej nogi. Niektórzy piszczą. Z gwałtownym szarpnięciem traktor z powrotem zapala i rusza dalej, w zasięgu jego świateł są tylko zarysy drzew.

Jedziemy jeszcze trzy, cztery minuty. Napięcie rośnie wraz z prze-czuwalnym lękiem, że tę samą odległość będziemy zmuszeni pokonać na piechotę. Wreszcie traktor zjeżdża na okrągłą polanę i gasi silnik.

- Wszyscy z wozu! - wrzeszczy kierowca.

Kiedy ostatnia osoba schodzi z platformy, traktor odjeżdża. Jego światło blednie w oddali, w końcu znika, nie zostawiając niczego poza nocnym mrokiem i ani jednego dźwięku poza odgłosem naszej obecności.

- Niech to szlag - mówi ktoś tam i wszyscy się śmiejemy.

W sumie jest nas jedenaścioro. Rozbłyska smuga światła, pokazując nam drogę, i zaraz gaśnie. Zamykam oczy, chcę się skupić na dotyku palców Sary splecionych z moimi.

- Nie mam pojęcia, dlaczego robię to co roku - mówi nerwowo Emily, obejmując się ramionami.

Inni poszli już wyznaczonym szlakiem, więc ruszamy i my. Od czasu do czasu błyska rząd świateł, które torują nam drogę. Reszta ludzi jest na tyle daleko z przodu, że ich nie widzimy. Ja ledwie dostrzegam grunt pod stopami. Nagle bardzo blisko rozlegają się trzy albo cztery wrzaski.

- O nie - szepcze Sara, ściskając moją rękę. - To brzmi jak zapowiedź kłopotów.

W tej samej chwili spada na nas coś ciężkiego. Obydwie dziewczyny krzyczą, Sam też. Potykam się i przewracam, ocierając sobie kolano, zaplątany w cholera wie co. Nagle do mnie dociera, że to siatka!

- Co jest, do cholery? - pyta Sam.

Rozrywam skręcany sznurek, ale w momencie, gdy jestem wolny, dostaję mocne pchnięcie od tyłu. Ktoś mnie łapie i odciąga od dziewczyn i Sama. Uwalniam się i wstaję, ale natychmiast zostaję po walony następnym ciosem od tyłu.

Tego nie było w programie prze jażdżki.

- Zostaw mnie! - krzyczy jedna z dziewczyn.

Jakiś typ odpowiada śmiechem. Nic nie widzę. Głosy dziewczyn oddalają się.

- John? - woła Sara.

- Gdzie jesteś, John? - krzyczy Sam.

Wstaję, żeby za nimi pobiec, ale znów zarabiam cios w plecy. Nie, to nie w porządku. Zostałem powalony. Jakby uszło ze mnie całe powietrze, kiedy leżę tam wbity w ziemię. Podrywam się i staram złapać oddech, podpierając się ręką o drzewo. Zgarniam z ust piasek i liście.

Stoję tak kilka sekund, nie słysząc żadnego innego dźwięku niż własny ciężki oddech. I kiedy już myślę, że dali mi spokój, ktoś popycha mnie ramieniem i ląduję na sąsiednim drzewie. Trzasnąłem głową o pień i przez moment widzę gwiazdy. Zaskakuje mnie siła tej osoby. Sięgam ręką do czoła i czuję krew na czubkach palców. Rozglądam się, ale nie widzę niczego poza konturami drzew.

Słyszę krzyk jednej z dziewczyn, po nim odgłosy szamotaniny Zaciskam zęby. Cały się trzęsę. Czy pomiędzy najbliższymi drzewami są ludzie? Nie wiem. Ale czuję na sobie czyjaś parę oczu.

- Odwal się ode mnie! - wrzeszczy Sara. Ktoś odciąga ją dalej. Tyle mogę powiedzieć.

- Okej - zwracam się do ciemności, do drzew. Ogarnia mnie furia. - Chcesz ze mną pograć? - tym razem mówię głośno.

Ktoś z bliska się śmieje. Robię krok w tamtą stronę. Dostaję pchnięcie od tyłu, ale przed upadkiem udaje mi się złapać równowagę. Wyrzucam ślepy cios i wierzch mojej dłoni szoruje o korę drzewa.

I tyle. Nie da się zrobić nic więcej. Co komu z tych Dziedzictw, jeśli nie używa się ich wtedy, kiedy są potrzebne?

Nawet gdybym miał jeszcze dzisiaj spakować z Henrim manatki i wiać do innego miasteczka, przynajmniej będę wiedział, że zrobiłem to, co należało.

Chcesz ze mną pograć? - wyrzaskuję jeszcze raz. - Proszę bardzo, masz to jak w banku!

Strużka krwi spływa po moim policzku. Okej, myślę, do dzieła. Ze mną mogą robić, co chcą, ale nie pozwolę, żeby włos spadł z głowy Sarze. Albo Samowi czy Emily

Biorę głęboki oddech i czuję przyływ adrenaliny. Złowrogi uśmiech nabiera kształtu, a moje ciało jakby urosło, zmężniało. Ręce zapalają się jak latarki i świecą żywym, jasnym światłem, które przedziera się przez ciemność i nagle świat jest staje się jasny.

Patrzę w górę. Świecę rękami po drzewach i skaczę w noc.

14

Kevin, przebrany za mumię, wychodzi spomiędzy drzew. To on mnie powalił. Światła go zaskakują i wygląda na osłupiałego, próbując zrozumieć, skąd się wzięły. Jest w goglach noktowizyjnych. Więc to dlatego nas widzą, myślę.

Skąd oni je mają?

Rzuca się na mnie, ja w ostatniej sekundzie robię unik w bok i go podcinam.

- Odczep się ode mnie! - słyszę ze szlaku gdzieś dalej. Podnoszę wzrok, omiatam swoimi światłami drzewa, ale nic się nie

rusza. Nie wiem, czy tamten głos należy do Emily, czy do Sary W odpowiedzi rozlega się męski śmiech.

Kevin próbuje wstać, ale dostaje ode mnie kopa w bok i pada z powrotem na ziemię z głośnym plaśnięciem.

Zdzieram mu z twarzy gogle i rzucam jak najdalej, wiedząc, że wylądują najmarniej kilometr stąd, może dwa, trzy, a może pięć, bo jestem tak wściekły, że moja siła jest poza kontrolą. Potem puszczam się biegiem przez las, zanim Kevin zdążył usiąść. Ścieżka skręca w lewo, potem w prawo. Moje ręce świecą tylko wtedy, gdy potrzebuję widzieć.

Czuję, że jestem blisko. I nagle widzę przed sobą Sama stojącego w kleszczach ramion jednego z zombi. Trzej inni są blisko obok.

Zombi go puszcza.

- Wyluzuj, my się tylko wygłupiamy Jak się nie będziesz stawiał, nic ci nie grozi - mówi do Sama. - Usiądź albo co.

Strzelam z dłoni oślepiającym światłem prosto w ich oczy. Kiedy najbliżej stojący przebieraniec robi krok w moją stronę, dzieram go w twarz i facet pada bez ruchu na ziemię. Jego gogle lecą w jeżynowe zarośla i znikają. Drugi próbuje zrobić mi niedźwiedzia, ale zrywam chwyt i unoszę go w powietrze.

- Kurde, co jest? - mówi ogłupiały.

Rzucam nim jak piłką i koleś uderza w pień drzewa z sześć metrów dalej. Trzeci, widząc to,

ucieka, więc zostaje mi tylko czwarty, ten, który trzyma Sama. Podnosi rękę, jakbym celował z broni w jego pierś.

- To nie był mój pomysł - mówi.

- Co on planuje?

- Nic takiego. Chcieliśmy tylko zrobić sobie z was jaja, postraszyć was trochę.

- Gdzie oni są?

- Puścili Emily. Sara jest dalej, na przedzie.

- Dawaj mi swoje gogle - mówię.

- Mowy nie ma, stary Pożyczamy je od policji. Wpadnę w kłopoty. Robię krok w jego stronę.

- Dobra, już!

Zdejmuje gogle i podaje mi je.

Ciskam nimi jeszcze mocniej niż poprzednią parą. Mam nadzieję, że lądują w następnym mieście.

Niech to chłopaki wytłumaczą policji.

Chwytam prawą ręką koszulę Sama. Bez swoich świateł nic nie widzę. Dopiero wtedy do mnie dociera, że powinienem zostawić dwie pary gogli dla nas. Ale nie zostawiłem, więc biorę głęboki oddech i świecąc lewą ręką, ruszam ścieżką dalej z Samem po prawej stronie. Jeśli dla niego to podejrzanę, zupełnie się z tym nie zdradza.

Przystaję, nasłuchując. Nic. Idziemy dalej, lawirując między drzewami. Gaszę światło.

- Sara! - wołam.

Znowu przystaję i nie słyszę niczego poza świstem wiatru między gałęziami i ciężkim oddechem Sama.

- Ilu ludzi jest z Markiem? - pytam.

- Chyba pięciu.

- Wiesz, którądy poszli?

- Nie widziałem.

Pchamy się dalej, choć nie mam pojęcia, w jakim kierunku. Z dość daleka słyszę warkot traktora. Rusza czwarty wóz z sianem. Czuję się jak w gorączce i chciałbym pognać byle szybciej, ale wiem, że Sam nie nadaży. Już oddycha ciężko i nawet ja się pocę, mimo że temperatura nie przekracza siedmiu stopni. A może biorę krew za pot. Nie wiem.

Kiedy mijamy grube drzewo o sękowatym pniu, ktoś mnie napada od tyłu. Sam wrzeszczy, ja dostaję pięścią w tył

głowy i przez moment jestem ogłuszony, ale potem obracam się, chwytam gościa za gardło i świecę mu w twarz.

Próbuje oderwać moje palce, ale jest bez szans.

- Co planuje Mark?

- Nic - mówi.

- Zła odpowiedź.

Rzucam go na najbliższe drzewo półtora metra dalej, potem stawiam na nogi i ręką owiniętą wokół jego szyi podnoszę go pół metra w powietrze. Wierzga jak szaleniec, ale napinam mięśnie i jego kopniaki są bezbolesne.

- Co on planuje?

Stawiam go na ziemi, zwalniając uścisk, żeby mógł mówić. Czuję, jak Sam mnie obserwuje, chłonie to wszystko jak gąbka, ale trudno, nic na to nie poradzę.

- Chcieliśmy was postraszyć i tyle - wydusza.

- Przysięgam, że rozerwę cię na pół, jeśli nie powiesz prawdy.

- Mark myśli, że tamci z tyłu ciągną was teraz do Shepherd Falls. Zabrał tam Sarę. Chciał, żeby widziała, jak będzie dawał ci wciroy, a potem miał cię puścić.

- Prowadź - mówię.

Rusza niemrawo, ja gaszę swoje światło. Sam łapie się mojej koszuli i idzie z tyłu. Kiedy przechodzimy przez polankę rozjaśnioną światłem księżyca, widzę, że patrzy na moje ręce.

- To są rękawice - mówię. - Kevin Miller miał je na dłoniach. Rodzaj rekwizytu halloweenowego.

Kiwa głową, ale wyczuwam, że jest skołowany i nie do końca to kupuje. Idziemy prawie minutę, wreszcie słyszymy odgłos płynącej wody w prostej linii przed nami.

- Daj mi gogle - nakazuję piłkarzowi, który nas prowadzi.

Waha się, więc wykręcam mu rękę. Zwiją się z bólu i zrywa gogle z twarzy.

38

- Dobra, weź je sobie, weź - skomle.

Zakładam je i świat przybiera zielony odcień. Mocnym pchnięciem powalam przebierańca na ziemię.

- Chodź - mówię do Sama i dalej idziemy we dwóch. Wkrótce widzę przed sobą grupę. Jeśli dobrze policzyłem, ośmiu

facetów i Sarę.

- Widzę ich. Chcesz tu poczekać czy idziesz ze mną? Może być nieprzyjemnie.

- Idę z tobą - mówi Sam.

Widzę, że się boi, choć nie jestem pewien, czy dlatego, że zobaczył, do czego jestem zdolny, czy z powodu bliskiego spotkania z piłkarzami.

Resztę drogi pokonuję najciszej, jak mogę, Sam na palcach drecze za mną. Przed nami jeszcze tylko parę kroków, gdy pod stopą Sama strzela sucha gałązka.

- John? - pyta Sara.

Siedzi na wielkim kamieniu, z rękami wokół podciągniętych kolan. Nie ma gogli i wypatruje nas, mrużąc oczy.

- Tak. I Sam.

-

Mówiłam ci - uśmiecha się i zakładam, że zwraca się do Marka. Woda, którą słyszałem, jest niczym więcej niż szemrzącym strumykiem. Mark robi krok w przód.

- No, no, no...

- Zamknij się, Mark - mówię. - Gnój w mojej szafce to było jedno, ale tu się posunąłeś o wiele za daleko.

- Tak myślisz? Jest nas ośmiu na dwóch.

- Sam nie ma z tym nic wspólnego. Bałeś się ze mną zmierzyć jeden na jednego? - pytam. - Na co ty liczysz?

Próbowałeś porwać dwie osoby. Naprawdę myślisz, że oni będą milczeć?

- Tak. Kiedy zobaczą, jak ci skopię tyłek.

- Jesteś mocny z urojenia - mówię, potem zwracam się do pozostałych. - Tym, którzy nie chcą znaleźć się w wodzie, radzę odejść teraz. Mark znajdzie się w niej tak czy inaczej. Stracił swoją szansę na barter.

Wszyscy piłkarze chichoczą. Jeden z nich pyta, co znaczy „barter”.

- Teraz macie ostatnią szansę - mówię. Żaden ani drgnie.

- Niech i tak będzie.

Nerwowe podniecenie skupia się w centralnym punkcie mojej klatki piersiowej. Kiedy robię krok

w przód, Mark cofa się i potyka o własną stopę, lądując na ziemi. Dwóch jego kumpli rzuca się na mnie, obaj są ode mnie potężniejsi.

Jeden zamierza się pięścią, ale robię unik, posyłam mu cios, po którym on zgina się jak scyzoryk z rękami przyciśniętymi do brzucha. Popycham drugiego i jego stopy tracą kontakt z podłożem. Ląduje z głuchym łomotem dwa metry dalej i siłą rozpędu wpada do wody. Wyłania się z pluskiem. Pozostali stoją jak wryci. Wyczuwam, że Sam przesuwa się bliżej Sary. Chwytam pierwszego kolesia i przeciągam po ziemi. Jego bezładne kopniaki młóć powietrze, ale w nic nie trafiają. Nad brzegiem strumienia podnoszę go za pasek dżinsów i wrzucam do wody. Szarżuje następny, ja się tylko uchylam, on ląduje twarzą w strumieniu. Trzech z głowy, zostało czterech. Zastanawiam się, ile z tego mogą widzieć bez gogli Sara i Sam.

- Chłopaki, zróbcie coś, żeby to nie była taka łatwizna. Który następny?

Najpotężniejszy z paczki wyrzuca cios, który nie ma szansy mnie trafić, bo odparowuję tak błyskawicznie, że jego łokieć zahacza o moją twarz i strzela pasek gogli. Gogle spadają na ziemię. Widzę teraz mgliste cienie, nic więcej.

Wyrzucam cios i trafiam człowieka w szczękę, po czym on zwała się na ziemię jak worek kartofli. Wygląda jak nie-

żywy i boję się, że uderzyłem za mocno. Zrywam mu z twarzy gogle i sam je natychmiast zakładam.

- Jacyś ochotnicy?

Dwóch podnosi ręce w geście kapitulacji, trzeci stoi jak debil z rozdziawionymi ustami.

- Zostałeś ty, Mark. Na to wychodzi.

Mark odwraca się, jakby chciał uciec, ale doskakuję do niego i zakładam mu pełnego nelsona. Facet skręca się z bólu.

- To ma się natychmiast skończyć, rozumiesz mnie? - Zaciskam chwyt, on jęczy i rzezi. - Cokolwiek masz przeciwko mnie, od w tej chwili dajesz sobie spokój. To dotyczy też Sama i Sary. Rozumiesz?

Mój chwyt jest coraz mocniejszy. Boję się, że jeśli docisnę jeszcze trochę, Markowi wyskoczy bark ze stawu.

- Pytam, czy mnie rozumiesz.

- Tak!

Ciągnę go do Sary Sam siedzi teraz na kamieniu obok niej.

- Przeprós.

- Odpuść, co? Pokazałeś już swoje. Dociskam.

- Przepraszam! - wrzeszczy.

- Powiedz to tak, jakbyś mówił szczerze. Bierze głęboki oddech.

- Przepraszam.

- Jesteś dupkiem, Mark! - mówi Sara i daje mu z całej siły w twarz.

On się napręża, ale cały czas go trzymam i nic nie może zrobić. Ciągnę go do wody Jego kumple są w szoku. Ten, którego znokautowałem, siedzi, drapiąc się po głowie, jakby próbował zrozumieć, co się stało. Oddycham z ulgą, że nie zrobiłem mu większej krzywdy

- Nikomu o tym nie piśniesz, rozumiemy się? - mówię tak niskim głosem, że tylko Mark może mnie słyszeć. -

Wszystko, co się wydarzyło tego wieczoru, zostaje pogrzebane tutaj. Przysięgam, że jeśli usłyszę o tym jedno słowo w szkole, dzisiejsza nauczka jest małym piwem w porównaniu z tym, co się z tobą stanie. Rozumiesz? Ani słowa.

- Naprawdę myślisz, że coś bym powiedział? - pyta.

- Nie zapomnij powtórzyć tego swoim kumplom. Jeśli powiedzą komukolwiek, ja policzę się z tobą.

- Nic nie powiemy.

Daję spokój. Stawiam nogę na jego tyłku i spycham go głową naprzód do wody. Sara stoi na kamieniu z Samem u boku. Kiedy podchodzę, rzuca mi się na szyję.

- Znasz kung-fu czy coś takiego? - pyta. Śmieję się nerwowo.

- Dużo widziałaś?

- Nie za dużo, ale i tak miałam pojęcie, co się dzieje. Powiedz, trenowałeś całe życie w górach czy co? Nie rozumiem, jak to zrobiłeś.

- Chyba bałem się po prostu, że stanie ci się krzywda. A swoją drogą, tak, ostatnie dwanaście lat spędziłem wysoko Himalajach, gdzie trenowałem sztuki walki.

- Jesteś niesamowity. - Śmieje się Sara. - Spadajmy stąd.

Żaden z piłkarzy nie odzywa się ani słowem. Po paru metrach zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, dokąd idę, więc daję gogle Sarze, by mogła prowadzić.

- Nie mogę w to, cholera, uwierzyć - mówi. - Że też można być takim dupkiem. Zobaczmy, jak będą się tłumaczyć przed policją. Nie podaruję mu tego.

- Chcesz iść na policję? Przecież ojciec Marka jest szeryfem.

- Dlaczego miałabym nie pójść po czymś takim? To był pieprzony rozbój. Do ojca Marka należy egzekwowanie prawa, nawet jeśli prawo łamie jego synek.

W ciemności wzruszam ramionami.

- Uważam, że już dostali za swoje.

Przygryzam wargę. Na myśl o interwencji policji przechodzą mnie ciarki. Jeśli do tego dojdzie, będę musiał uciekać, nie ma innego wyjścia. Jak tylko dowie się Henri, w godzinę będziemy spakowani i gotowi do drogi. Wzdycham.

- Przemyśl to - mówię. - Oni stracili kilka par gogli noktowizyjnych. Będą musieli to wytłumaczyć. Nie mówiąc o kąpieli w lodowatej wodzie.

Sara nie odpowiada. Idziemy w milczeniu i mam pobożną nadzieję, że ona rozważa sensowność moich argumentów na to, żeby dać spokój z policją.

Wreszcie wyłania się koniec lasu i przezierają światła z parku. Kiedy się zatrzymuję, oboje, Sam i Sara, patrzą na mnie. Sam przez cały czas milczał; mam cichą nadzieję, że po prostu nie był w stanie widzieć, co się działo - ciemność choć raz posłużyłaby za niespodziewanego sprzymierzeńca - i że może jest tym wszystkim lekko wstrząśnięty

- Jak uważacie - mówię - ale ja jestem za tym, żeby pozwolić sprawie umrzeć. Naprawdę nie chcę rozmawiać z policją o tym, co się stało.

Sara kręci głową. Światło pada na jej sceptyczną twarz.

- Myślę, że on ma rację - przyznaje Sam. - Nie chce mi się siedzieć i pisać jakiegoś głupiego zeznania przez najbliższe pół godziny. Będę miał straszny syf; moja mama myśli, że godzinę temu poszedłem do łóżka.

- Mieszkasz gdzieś blisko? - pytam.

- Tak, i muszę wrócić, zanim ona sprawdzi mój pokój. Cześć wam, na razie.

Bez jednego słowa więcej Sam pospiesznie odchodzi. Jest wyraźnie podminowany. Prawdopodobnie nigdy nie brał

udziału w bójce, a już na pewno nikt go dotąd nie porwał i nie napadł w ciemnym lesie. Spróbuję pogadać z nim jutro.

Jeśli jednak widział coś, czego nie powinien był widzieć, przekonam go, że miał omamy

wzrokowe.

Sara odwraca moją twarz do swojej i kciukiem śledzi linię moich włosów, sunąc delikatnie, samą opuszką palca, po czole. Potem przeciąga po brwiach, patrząc mi w oczy.

- Dziękuję za wszystko. Wiedziałam, że przyjdiesz. Wzruszam ramionami.

- Nie mogłem pozwolić, żeby cię straszyl.

Uśmiecha się i widzę, jak w świetle księżycy błyszczą jej oczy. Przysuwa się do mnie i kiedy zdaję sobie sprawę, co się zaraz wydarzy, oddech więźnie mi w gardle. Sara przykłada swoje wargi do moich i wszystko we mnie topnieje. To jest łagodny pocałunek. Mój pierwszy. Potem ona się odsuwa i jej oczy mnie pochłaniają. Nie wiem, co powiedzieć.

Milion różnych myśli przebiega mi przez głowę. Nogi mam jak z waty i ledwie mogę ustać.

- Od pierwszej chwili, jak tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że jesteś niezwykły - mówi.

- Czuję to samo, kiedy zobaczyłem ciebie.

Unosi rękę i znów mnie całuje, przyciskając lekko dłoń do mojego policzka. Przez kilka pierwszych sekund zatracam się w dotyku jej warg i w myśli, że jestem z tą piękną dziewczyną.

Ona się odsuwa i oboje się uśmiechamy, nic nie mówiąc, tylko patrząc sobie w oczy.

- Lepiej chodźmy zobaczyć, czy jest tam jeszcze Emily - mówi Sara po jakichś dziesięciu sekundach. - Jak nie, to będę zdana na samą siebie.

- Jestem pewien, że jest.

Wracamy do pawilonu, trzymając się za ręce. Nie mogę przestać myśleć o naszych pocałunkach. Na szlak wyjeżdża piąty traktor. Wóz jest pełen, a jeszcze z dziesięć osób czeka w kolejce. I po wszystkim, co wydarzyło się w lesie, z ciepłą dłonią Sary w mojej dłoni, uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

15

Dwa tygodnie później spada pierwszy śnieg. Cienka warstewka, tyle, żeby pokryć furgonetkę drobnym sytkim puchem. Tuż po Halloween, gdy tylko loryjski kryształ rozproszyl Lumen po całym moim ciele, Henri rozpoczął ze mną prawdziwy trening. Ćwiczymy codziennie, bez wymówek, w chłód i deszcz czy jak teraz przy śniegu. Chociaż on tego nie mówi, czuję, że nie może się doczekać, kiedy będę gotów. Zaczęło się od pełnych niepokoju spojrzeń, marszczenia brwi z jednoczesnym przygryzaniem dolnej wargi, potem doszły głębokie westchnienia, w końcu bezsenne noce, skrzywienie podłogi w rytm jego kroków, kiedy leżałem z otwartymi oczami w swoim pokoju, i wreszcie to, co mamy teraz: nieodłączna desperacja w spiętym głosie Henriego. Stoimy za domem naprzeciw siebie w odległości trzech metrów.

- Naprawdę nie jestem dzisiaj w nastroju - mówię.

- Wiem, że nie jesteś, ale i tak musimy zrobić swoje. Wzdycham i patrzę na zegarek. Jest czwarta.

- O szóstej przyjdzie Sara.

- Wiem. Dlatego musimy się pospieszyć.

W jednej i drugiej ręce Henri trzyma piłkę tenisową.

- Jesteś gotowy?

- Tak, że bardziej nie można.

Rzuca piłkę wysoko w górę i w momencie, gdy osiąga ona najwyższy punkt, próbuję wydobyć z siebie moc, która zatrzyma ją w powietrzu. Nie wiem, jak mam to zrobić, wiem tylko, że powinienem być zdolny to zrobić z czasem i

40

poprzez ćwiczenia, jak mówi Henri. Każdy Garda rozwija zdolność poruszania przedmiotami na odległość za pomocą myśli. Dar telekinezy I zamiast pozwolić, żebym sam to w sposób naturalny

odkrył - tak jak było z rękami - Henri wyraźnie się uparł, by tę zahibernowaną gdzieś moc obudzić.

Piłka spada tak jak z tysiąc razy wcześniej, bez chwili zatrzymania, odbija się dwukrotnie, po czym leży nieruchomo w przysypanej śniegiem trawie.

Wydaję głębokie westchnienie.

- W ogóle tego dzisiaj nie czuję.

- Jeszcze raz - mówi Henri.

Rzuca drugą piłkę. Próbuję nią poruszyć, zatrzymać ją na moment, spinam się cały, by to cholerstwo przemieściło się choć o centymetr w prawo czy w lewo, ale bez powodzenia. Piłka spada na ziemię. Bernie Kosar, który nas cały czas obserwuje, idzie po nią i, trzymając ją w zębach, odchodzi.

- To przyjdzie w swoim czasie - mówię.

Henri, kręcąc głową, napina mięśnie szczęki. Jego humory i niecierpliwość zaczynają mnie dobijać. Patrzy, jak Bernie Kosar oddala się truchtem z piłką, potem wzdycha.

- Co? - pytam. Znowu kręci głową.

- Próbujmy dalej.

Odchodzi kilka kroków i schyla się po następną piłkę. Wyrzuca ją wysoko w powietrze. Staram się ją zatrzymać, ale oczywiście nic z tego. Piłka spada.

- Może jutro - mówię.

Henri kiwając głową, patrzy w ziemię.

- Może jutro.

Po naszym treningu jestem pokryty potem, błockiem i stopniałym śniegiem. Dziś Henri dawał mi do wiwatu ostrzej niż normalnie i atakował z agresją, która mogła być wyłącznie przejawem paniki. Poza ćwiczeniami telekinezy większość sesji zeszła nam na naukę technik walki - zapasów, walki wręcz, kombinowanej sztuki bojowej - a zaraz potem elementów sztuki opanowania - zachowania zimnej krwi w każdej sytuacji, kontroli umysłu, tego, jak dostrzec strach w oczach przeciwnika, a potem go jak najlepiej obnażyć. To nie ciężki trening narzucony przez Henriego mnie dobijał, lecz wyraz jego oczu. Przygnębiony wzrok naznaczony lękiem, smutkiem, rozczarowaniem. Nie wiem, czy on się po prostu martwi brakiem postępów, czy jest w tym coś głębszego, ale te sesje stają się bardzo wyczerpujące - emocjonalnie i fizycznie.

Sara zjawia się punktualnie. Wychodzę i całuję ją na frontowym ganku. Za progiem biorę od niej płaszcz i wieszam. Za tydzień mamy sprawdzian półsemestralny z gospodarstwa domowego i to ona wpadła na pomysł, by przeciwiczyć danie, które będziemy musieli przyrządzić w klasie. Ledwie zaczynamy gotować, Henri łapie swoją kurtkę i wychodzi na spacer. Zabiera Berniego Kosara i jestem wdzięczny za trochę prywatności. Robimy pieczone piersi kurczaka z ziemniakami i warzywami gotowanymi na parze i danie wychodzi dużo lepiej, niż miałem nadzieję. Kiedy wszystko jest gotowe, we trójkę siadamy do stołu. Henri prawie się nie odzywa. Sara i ja przełamujemy niewygodne milczenie rozmową o tym i owym, o szkole, o wypadzie do kina w przyszłą sobotę. Henri rzadko unosi głowę znad talerza, raz tylko coś mówi o pysznym jedzeniu.

Po kolacji ja i Sara myjemy naczynia, po czym sadowimy się na kanapie. Sara przyniosła film, który oglądamy na małym telewizorze, ale Henri prawie cały czas patrzy w okno. Mniej więcej w połowie wstaje i wychodzi na zewnątrz.

Sara i ja odprowadzamy go wzrokiem do drzwi. Trzymamy się za ręce, Sara opiera głowę na moim ramieniu, a Bernie Kosar leży obok, z głową na jej kolanach, są przykryci kocem. Może za oknem chłód i wiatr, ale w domu jest ciepło i przytulnie.

- Czy twój tata dobrze się czuje? - pyta Sara.

- Nie wiem. Zachowuje się dziwnie.

- Przy kolacji był strasznie milczący

- Tak. Wiesz co, pójdę zobaczyć, co z nim. Zaraz wrócę. Henri stoi na ganku wpatrzony w ciemność.

- Co się dzieje? - pytam. Spogląda w zamyśleniu na gwiazdy.

- Coś jest nie tak.

- Co masz na myśli?

- Nie spodoba ci się to, co powiem.

- Okej - mówię. - Miejmy to z głowy.

- Nie wiem, jak długo jeszcze powinniśmy tu zostać. To nie wydaje się bezpieczne.

Zamiera mi serce i nic nie mówię.

- Oni dostają szału i myślę, że są blisko. Czuję to. Czuję, że nie jesteśmy tu bezpieczni.

- Nie chcę wyjeżdżać.

- Wiedziałem, że to powiesz.

- Przecież cały czas się kryjemy.

Henri patrzy na mnie z uniesionymi brwiami.

- Bez urazy, John, ale trudno powiedzieć, żebyś trzymał się w cieniu.

- Tam, gdzie to ma znaczenie, tak. Kiwa głową.

- No nic, zobaczymy.

Podchodzi do krawędzi ganku i kładzie ręce na balustradzie. Staję przy nim. Zaczyna sypać świeży śnieg, drobne płatki bieli iskrzą się na tle czarnej nocy.

- To nie wszystko - mówi Henri.

- Tak myślałem, że jest coś jeszcze. Wzdycha ciężko.

- Powinieneś mieć już dar telekinezy To prawie zawsze przychodzi z pierwszym Dziedzictwem, bardzo rzadko po nim, ale wtedy najwyżej tydzień później.

Przyglądam mu się z bliska. Z jego oczu bije niepokój, czoło ma poźłobione zmarszczkami zmartwień.

- Wasze Dziedzictwa pochodzą od Lorien. Zawsze pochodziły od Lorien.

- Co chcesz mi przez to powiedzieć?

- Nie wiem, ile od tej pory możemy się spodziewać - mówi i robi pauzę. - Skoro już nie jesteśmy na swojej planecie, nie wiem, czy reszta twoich Dziedzictw w ogóle się objawi. Jeśli moje obawy są słuszne, nie ma nadziei na

podjęcie walki z Mogadorczykami, nie mówiąc o ich pokonaniu. A jeśli ich nie pokonamy, nigdy nie będziemy mogli wrócić.

Patrzę na śnieg, niezdecydowany, czy powinienem się martwić, czy odetchnąć z ulgą, bo może to zakończyłoby naszą tułaczkę i w końcu moglibyśmy gdzieś osiąść. Henri wskazuje palcem gwiazdy.

- O tam - mówi. - Właśnie tam jest Lorien.

Oczywiście sam dobrze wiem, gdzie jest Lorien, nie trzeba mi o tym mówić. Jest jakiś magnes, coś, co zawsze przyciąga mój wzrok ku tamtemu miejscu, gdzie miliardy kilometrów stąd znajduje się Lorien. Próbuję złapać płatek śniegu na czubek języka, potem zamykam oczy i wdycham zimne powietrze. Z otwartymi z powrotem oczami odwracam się i patrzę przez okno na Sarę. Siedzi z podwiniętymi nogami, Bernie Kosar wciąż trzyma głowę na jej kolanach.

- Myślałeś kiedyś, żeby zapuścić tu korzenie, powiedzieć do diabła z Lorien i urządzić sobie życie na tu na Ziemi? -

pytam Henriego.

- Uciekliśmy, kiedy byłeś mały. Pewnie niewiele stamtąd pamiętasz, prawda?

- Niewiele. Od czasu do czasu coś do mnie wraca, jakieś strzępy obrazów. Choć nie bardzo mogę powiedzieć, czy to są rzeczy, które pamiętam, czy wizje z naszych treningów.

- Nie sądzę, żebyś czuł w ten sposób, gdybyś pamiętał.

- Ale nie pamiętam. I pewnie w tym tkwi problem.

- Możliwe. Ale czy chcesz wrócić, czy nie, Mogadorczycy i tak nie przestaną cię szukać. A jeśli staniemy się nieostrożni i osiadziemy w jednym miejscu, możesz być pewien, że nas znajdą. I obu zabiją. Nie da się tego zmienić.

W żaden sposób.

Wiem, że ma rację. W jakiś sposób wyczuwam to wszystko, tak jak Henri czuję to głęboką nocą, kiedy włoski na moich rękach stoją na baczność, kiedy przenika mnie lekki dreszcz, choć nie jest mi zimno.

- Nie zdarza ci się żałować, że tak długo masz mnie na karku?

- Żałować? Dlaczego miałbym żałować?

- Dlatego, że zupełnie nie mamy do czego wracać. Twoja rodzina nie żyje. Tak samo jak moja. Na Lorien są tylko zgłiszczą do odbudowania. Gdyby nie ja, mógłbyś bez problemu stworzyć sobie tutaj jakąś tożsamość i spędzić resztę życia w miejscu, do którego zacząłbyś należeć. Mógłbyś mieć przyjaciół, może nawet znów się zakochać.

Henri się śmieje.

- Jestem już zakochany i będę do dnia swojej śmierci. Nie wymagam, żebyś to zrozumiał. Lorien jest inna niż Ziemia.

Wzdycham z irytacją.

- Ale mógłbyś należeć do jakiegoś miejsca.

- Należę do jakiegoś miejsca. W tej chwili razem z tobą należę do Paradise w stanie Ohio.

- Henri - mówię, kręcąc głową - dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Czego mi według ciebie brakuje?

- Życia.

- Dzieciaku, ty jesteś moim życiem. Ty i moje wspomnienia są wszystkim, co mnie wiąże z przeszłością. Bez ciebie nie mam niczego. Taka jest prawda.

W tym momencie otwierają się drzwi za nami i Bernie Kosar wybiega przed Sarą, która staje jedną nogą przed progiem, drugą za nim.

- Hej, wy dwaj, czy naprawdę mam obejrzeć ten film całkiem sama? - pyta.

Henri uśmiecha się do niej.

- Wykluczone.

Po filmie odwozimy Sarę do domu. Odprowadzam ją do drzwi i przez chwilę stoimy na szczycie schodów, uśmiechając się do siebie bez słowa. Żegnaj ją na dobranoc długim, leniwym pocałunkiem, trzymając delikatnie jej dłonie w swoich.

- Do jutra - mówi Sara, ściskając mi rękę.

- Słodkich snów.

Wracam do furgonetki. Henri rusza z podjazdu Sary i jedziemy do domu. Nie mogę zapanować nad uczuciem strachu, wspominając, co powiedział Henri, kiedy przyjechał po mnie pierwszego dnia szkoły: „Miej tylko na uwadze, że w każdej chwili możemy być zmuszeni do wyjazdu”. On ma rację, wiem o tym, ale pierwszy raz w życiu ktoś wywołuje we mnie takie uczucia. Kiedy jesteśmy razem, to jakbym się unosił w powietrzu, i czuję lęk, kiedy się rozstajemy, jak teraz, mimo że spędziłem z nią kilka ostatnich godzin. Sara nadaje jakiś cel naszemu ukrywaniu się i uciekaniu, jakiś powód,

który wykracza poza samo przetrwanie. Powód, aby zwyciężyć. Mam też świadomość, że będąc z nią, mogę narazić na niebezpieczeństwo jej życie - i to mnie przeraża. Po powrocie Henri idzie do swojej sypialni i wychodzi z Loryjskim Kuferkim. Stawia go na kuchennym stole.

- Naprawdę? - pytam.

- Tak. Jest tu coś, co od lat chciałem ci pokazać.

Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co jeszcze jest w środku. Otwieramy razem kłódkę i Henri unosi wieko w taki sposób, żebym nie mógł zajrzeć do środka. Wyjmuje aksamitną sakiewkę, zamyka Kuferek i zatrzaskuje kłódkę.

- One nie są częścią twojego Dziedzictwa, ale kiedy ostatnim razem otwieraliśmy Kuferek, schowałem je tutaj pod wpływem złych przeczuc, jakie mnie dręczą. Gdyby Mogadorczycy nas złapali, tego nigdy nie będą w stanie otworzyć

- mówi.

- Więc co jest w tej sakiewce?

- Układ Słoneczny.

- Jeśli nie jest częścią mojego Dziedzictwa, dlaczego mi go dotąd nie pokazałeś?

- Bo żeby go uaktywnić, najpierw musiałeś rozwinąć dziedziczną moc.

Sprząta z kuchennego stołu i siada naprzeciwko mnie z sakiewką na kolanach. Uśmiecha się do mnie, wyczuwając mój entuzjazm. Potem wyjmuje z sakiewki siedem szklanych kul różnej wielkości. Podnosi je w złożonych dłoniach do swojej twarzy i na nie dmucha. Ze szklanych kul wydobywają się maleńkie iskierki światła, wtedy Henri podrzuca je w powietrze i nagle wszystkie ożywają, zawieszane nad kuchennym stołem. Szklane kule są repliką naszego Układu Słonecznego. Największa jest wielkości pomarańczy - słońce Lorien - i wisi pośrodku, emitując laką samą ilość światła

42

jak żarówka, a wygląda jak pojedyncza kula lawy. Pozostałe kule krążą wokół niej; te, które są najbliżej Słońca, poruszają się szybciej, te będące najdalej jakby się ledwie toczyły. Wszystkie wirują, dni wschodzą i zachodzą w zawrotnym tempie. Czwartą planetą od Słońca jest Lorien. Obserwujemy jej ruch, widzimy, jak zaczyna kształtować się jej powierzchnia. Wielkością przypomina piłkę do ra-equetballa. Model układu nie zachowuje odpowiedniej skali, bo w rzeczywistości Lorien jest o wiele mniejsza od naszego Słońca.

- Więc co się dzieje? - pytam.

- Kula przybiera dokładnie taką postać, jaką ma Lorien w tym momencie.

- Jak to jest możliwe?

- To jest wyjątkowe miejsce, John. Stara magia kryje się w samym jej jądrze. To stamtąd pochodzą twoje Dziedzictwa. To jest to, co daje życie i realność przedmiotom składającym się na twoją Schedę.

- Ale powiedziałaś, że ten Układ Słoneczny nie jest częścią mojego Dziedzictwa.

- Nie, ale pochodzi z tego samego miejsca.

Tworzą się zagłębienia, rosną góry, głębokie bruzdy przecinają powierzchnie, gdzie wiem, że kiedyś biegły rzeki. I nagle wszystko ustaje. Szukam jakiejś barwy, śladu ruchu, może wiejącego wiatru, czegokolwiek. Ale nic tam nie ma.

Cały krajobraz jest monochromatyczną plamą szarości i czerni. Nie wiem, co miałem nadzieję zobaczyć, czego się spodziewałem. Jakiegoś ruchu, śladu żywotności. Tracę humor. Potem powierzchnia planety się rozmywa, tak że można ją przejrzeć na wylot, i w samym jądrze globu wylania się słaby blask. Jaśnieje, blednie, potem znowu jaśnieje, jakby naśladując bicie serca śpiącego zwierzęcia.

- Co to jest? - pytam.

- Planeta wciąż żyje i oddycha. Wycofała się w głąb siebie, czekając na swój moment. Poddając się hibernacji, jak kto woli. Ale pewnego dnia się obudzi.

- A co daje ci taką pewność?

- Ten wąły blask tutaj - mówi. - To jest nadzieja, John. Przyglądam mu się. Widok tego blasku sprawia mi dziwną przyjemność. Próbowali zgładzić naszą cywilizację, samą planetę, a ona wbrew wszystkiemu ciągle oddycha. Tak, myślę, zawsze jest nadzieja, H jak od początku mówił Henri.

- To nic wszystko. Henri wstaje, strzela palcami i planety nieruchomieją. Przysuwa twarz na parę centymetrów od Lorien, potem zwija dłonie wokół ust i znów na nią dmucha. Odrobiny zieleni i błękitu omiatają kulę i po ulotnieniu się pary z ust Henriego prawie natychmiast znikają.

- Co zrobiłeś?

- Poświeć na nią rękami - mówi. Zapalam światła i zielen z błękitem wracają, lecz tym razem, póki trzymam ręce nad kulą, nie znikają.

- Tak wyglądała Lorien dzień przed inwazją. Widzisz, jakie to wszystko jest piękne? Czasem nawet ja zapominam.

To jest piękne. Wszystko zielone i błękitne, bujne i soczyste. Roślinność zdaje się falować na wietrze, który w jakiś sposób odczuwam. Na wodzie pojawiają się zmarszczki. Planeta naprawdę żyje, jest cała kwitnąca. Ale kiedy gaszę swoje światła, wszystko z powrotem blaknie do odcieni szarości.

Henri wskazuje punkt na powierzchni globu.

- To jest dokładnie to miejsce - mówi. - Stąd wystartowaliśmy w dzień inwazji. - Potem przesuwa palec centymetr niżej. - A tu było kiedyś Loryjskie Muzeum Eksploracji.

Kiwam głową, patrząc na jakiś punkt w morzu szarości.

- Co mają do tego muzea? - pytam, siadając z powrotem na krześle. Trudno na to patrzeć bez smutku.

- Wiele myślałem o tym, co widziałeś...

- Aha... - zachęcam go, żeby mówił dalej.

- To było olbrzymie muzeum poświęcone w całości rozwojowi wypraw kosmicznych. W jednym ze skrzydeł

budynku mieściły się stare rakiety wynalezione tysiące lat temu. Rakiety napędzane pewnym rodzajem paliwa, które znali tylko Loryjczycy... - urywa, patrząc znowu na szklaną kulę wiszącą pół metra nad naszym kuchennym stołem.

- Jeśli to, co widziałeś, naprawdę się wydarzyło, jeśli jakiemuś drugiemu statkowi udało się wystartować i uciec z Lorien w środku wojny, to on musiał pochodzić z muzeum kosmicznego. Nie ma na to innego wytłumaczenia. Nadal trudno mi uwierzyć, żeby taki eksponat mógł odpalić, a nawet jeśli to zrobił, żeby doleciał bardzo daleko.

- Więc gdyby miał nie dolecieć bardzo daleko, dlaczego wciąż o tym myślisz?

Henri kręci głową.

- Sam już wiem. Może dlatego, że przedtem byłem w błędzie. A może mam nadzieję, że teraz jestem w błędzie. I, no cóż, jeśli on jednak dokądś dotarł, to musiał dotrzeć tutaj, na najbliższą utrzymującą życie planetę, nie licząc Mogadore. Wtedy należy przypuszczać, że były na nim przede wszystkim żywe istoty, że nie był pełen muzealnych ar-tefaktów ani nie leciał wyłącznie po to, żeby zdezorientować Mogadorczyków. Myślę, że musiał być przynajmniej jeden Loryjczyk pilotujący statek, bo, jak zapewne wiesz, statki tego rodzaju nie pilotują się same.

Kolejna bezsenna noc. Stoję nagi do pasa przed lustrem, z obu zapalonymi światłami w dłoniach.

„Nie wiem, ile od tej pory możemy się spodziewać,” powiedział dziś Henri. Światło w jądrze Lorien wciąż się tli, przedmioty, które stamtąd mamy, wciąż działają, więc niby dlaczego tam miałyby się skończyć magia? I co z innymi: czy mają takie same problemy? Czy pozostają bez swoich Dziedzictw?

Napinam się przed lustrem, wykonuję zamach w powietrzu z nadzieją, że lustro pęknie albo huk wstrząśnie drzwiami. Ale nic się nie dzieje. Wyglądam jak idiota, walcząc półnagi z cieniem, podczas gdy Bernie Kosar obserwuje mnie z łóżka. Jest prawie północ i w ogóle nie jestem zmęczony. Bernie Kosar zeskakuje z łóżka, siada przy mojej nodze i patrzy na moje lustrzane odbicie. Kiedy uśmiecham się do niego, macha ogonem.

-A ty? - pytam. Masz jakieś wyjątkowe dary? Jesteś superpsem? Może powinienem włożyć ci pelerynkę, żebyś mógł sobie polatać w powietrzu?

Macha dalej ogonem i skrobie w podłogę, patrząc na mnie. Unoszę go nad swoją głowę i przelatuję z nim po pokoju.

- Patrzcie ludzie! To Bernie Kosar, wspaniały superpies!

Wije się w moim uścisku, więc stawiam go na łóżku. Przewraca się na bok, tłukąc ogonem o materac.

- No tak, stary, jeden z nas powinien mieć supermoce. A coś się nie zanoszi, że to będę ja. Chyba że wrócimy do Ciemnych Wieków i będę mógł przydać się światu jako dostarczyciel światła. Inaczej, niestety, jestem bezużyteczny Bernie Kosar obraca się na grzbiet i patrzy na mnie wielkimi oczami, domagając się drapania po brzuchu.

16

Sam mnie unika. W szkole chowa się na mój widok albo upewnia się, czy jesteśmy w grupie. Pod wpływem nalegań Henriego - który koniecznie chce dostać do rąk pisemko Sama po tym, jak dokładnie przeczesał internet i nie znalazł

niczego takiego - postanawiam złożyć swojemu koledze wizytę bez zapowiedzi. Henri podwozi mnie do niego po codziennym treningu. Sam mieszka na peryferiach Pa-radise, w małym skromnym domu. Nikt nie odpowiada na moje pukanie, więc naciskam klamkę. Drzwi się otwierają i wchodzę do środka.

Podłogę pokrywa brązowa włochata wykładzina, na ścianach wyłożonych boazerią wiszą rodzinne zdjęcia z czasów, kiedy Sam był bardzo mały On, jego matka i mężczyzna, który, jak zakładam, jest jego ojcem, który nosi równie grube okulary jak Sam. Potem przyglądam się bliżej. Wyglądają na dokładnie te same okulary.

Skradam się korytarzem, aż znajduję drzwi, które muszą być drzwiami do sypialni Sama; na kołku wisi tabliczka z napisem „Wejście na własne ryzyko”. Drzwi są uchylone i zerkam do środka. W pokoju jest bardzo czysto, wszystko świadomie poukładane, bez śladów bałaganu. Pojedyncze łóżko jest zasłane, czarna kołdra ma powtarzający się deseń z Saturnem. Poduszki do kompletu. Ściany obwieszane plakatami. Dwa z NASA, plakat filmowy z *Obcego*, plakat z *Gwiezdnych wojen* i świecący w ultrafioletowym świetle plakat z zieloną głową kosmity na tle z czarnego filcu.

Pośrodku pokoju wisi na przezroczystej nici Układ Słoneczny, wszystkie dziewięć planet i Słońce. Od razu mam przed oczami to, co Henri pokazał mi na początku tygodnia, i myślę, że gdyby Sam zobaczył to samo, zbzikowałby do reszty.

W końcu widzę Sama, zgarbionego nad małym dębowym biurkiem, ze słuchawkami na uszach. Kiedy otwieram drzwi na oścież, odwraca się przez ramię. Jest bez okularów i ze swoją drobną posturą i świdrującym wzrokiem wygląda prawie karykaturalnie.

- Co słyhać? - pytam zwyczajnie, jakbym bywał w jego domu co dzień.

Jest zszokowany i przerażony, gwałtownie ściąga słuchawki i sięga do jednej z szuflad. Spoglądam na jego biurko i widzę, że czyta „Oni chodzą wśród nas”. Kiedy patrzę z powrotem na niego, celuje we mnie z pistoletu.

- Hej - mówię, instynktownie podnosząc ręce. - Co jest grane? Wstaje. Trzęsą mu się dłonie. Broń jest wymierzona w moją pierś.

Myślę, że zwariował.

- Powiedz mi, kim jesteś.

- O czym ty mówisz?

-

Widziałem, co robiłeś wtedy w lesie. Ty nie jesteś istotą ludzką. Obawiałem się tego, że widział więcej, niż miałem nadzieję, iż zobaczy w tamtych ciemnościach.

- To jakieś szaleństwo, Sam! Dołożyłem im, to wszystko. Trenuję sztuki walki od lat.

- Twoje ręce świeciły jak latarki. Rzucałeś ludźmi, jakby byli kukłami z papieru. To nie jest normalne.

- Nie bądź głupi - mówię z podniesionymi ciągle rękami. - Spójrz na nie. Widzisz jakieś światła? Mówiłem ci, że to były rękawice, które zabrałem Kevinowi.

- Pytałem Kevina! Powiedział, że nie miał żadnych rękawic!

- Myślisz, że powiedziałaby ci prawdę po tym, co się stało? Odłóż ten pistolet.

- Powiedz mi! Kim naprawdę jesteś? Przewracam oczami.

- Dobra, jestem kosmitą, Sam. Jestem z planety położonej setki milionów kilometrów stąd. Mam supermoce. Czy to chciałeś usłyszeć?

Gapi się na mnie z dygoczącymi rękami.

- Sam słyszysz, jak to kretyńsko brzmi. Przestań świrować i odłóż ten pistolet.

- Czy to, co właśnie powiedziałeś, jest prawdą?

- Że świrujesz? Tak, to prawda. Masz zwyczajną obsesję. Wszędzie, na każdym kroku widzisz obcych i jakieś kosmiczne spiski, nawet w swoim przyjacielu. Hej! Przestań we mnie celować tą cholerną pukawką.

Wpatruje się we mnie i widać, że intensywnie myśli. W końcu, kiedy opuszczam ręce, on wzdycha i opuszcza pistolet.

- Przepraszam - mówi. Biorę głęboki, nerwowy oddech.

- Jest za co. Cholera, Sam, co ci przyszło do głowy?

- Nie był naładowany.

- Powinieneś powiedzieć mi to wcześniej. Dlaczego tak strasznie chcesz wierzyć w te historie?

Kręci głową i odkłada broń do szuflady. Daję sobie minutę na uspokojenie i staram się zachowywać normalnie, jakby nic wielkiego się nie zdarzyło.

- Co czytasz? - pytam. Wzrusza ramionami.

- Jak zwykle, rzeczy o kosmitach. Może powinienem trochę odpuścić.

- Albo czytać to jako fikcję, a nie fakty. Chociaż te historyjki muszą być bardzo przekonujące.

Mogę to zobaczyć?

Sam wręcza mi najnowszy numer „Oni chodzą wśród nas” i siadam niepewnie na brzegu jego łóżka. Myślę, że ochłonął na tyle, że przynajmniej nie wyskoczy znów z pistoletem. Pisemko, tak samo jak egzemplarz, który widziałem w szkole, jest kiepską fotokopią, wydruk jest nierówny. Nie jest zbyt grube - osiem stron, góra dwanaście, w formacie papieru podaniowego. Ma grudniową datę na górze, więc to na pewno najświeższy numer.

- Dziwne to jakieś.

- Dziwni ludzie lubią dziwne rzeczy - Sam odpowiada z uśmiechem.

- Gdzie to dostajesz?

- Prenumeruję.

- Wiem, ale jak?

Sam wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Któregoś dnia to zaczęło po prostu przychodzić. Nie wiem skąd.

- Prenumerujesz jakieś inne czasopismo? Może stamtąd wyciągnęli twoje namiary

44

- Poszedłem kiedyś na takie zebranie. Chyba zgłosiłem się do konkursu czy coś w tym rodzaju. Nie pamiętam.

Uznałem w każdym razie, że to stamtąd wzięli mój adres.

Przyglądam się dokładnie okładce. Nigdzie nie podają strony internetowej, ale się jej nie spodziewałem, biorąc pod uwagę, że Henri przeszukał już internet w tę i we w tę. Czytam tytuł głównego artykułu: CZY TWÓJ SĄSIAD JEST KOSMITĄ? DZIESIĘĆ BEZPIECZNYCH SPOSOBÓW, ABY TO STWIE1DZIĆ W środku artykułu jest zdjęcie mężczyzny trzymającego w jednej ręce torbę ze śmieciami, a w drugiej pokrywę do pojemnika na śmiecie. Stoi na końcu podjazdu i mamy się domyślać, że jest w trakcie wrzucania torby do pojemnika.

Choć cała publikacja jest czarno-biała, mężczyzna ma w oczach jakiś nienaturalny blask. To okropne zdjęcie - jak gdyby ktoś sfotografował znieczeka sąsiada i obrysował mu oczy kredką. Chce mi się śmiać.

- Co? - pyta Sam.

- Okropne zdjęcie. Facet wygląda jak postać z *Godzilli*. Sam przygląda się, potem wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Mógłby być prawdziwy. Tak jak powiedziałaś, ja widzę obcych wszędzie, we wszystkim.

- A ja myślałem, że obcy wyglądają jak tamten gość na ścianie. -Kiwam brodą na fosforyzujący plakat.

- Na pewno nie wszyscy. Powiedziałaś, że jesteś kosmitą z super-mocami, a wcale tak nie wyglądasz.

Obaj wybuchamy śmiechem i ciągle myślę, jak się z tego wyplątać. Przy odrobinie szczęścia Sam nigdy się nie dowie, że powiedziałem mu prawdę. Choć z jednej strony chciałbym mu powiedzieć - o sobie, o Henrim, o Lorien - i zastanawiam się, jak by zareagował. Uwierzyłby mi czy nie?

Przewracam kartkę, szukając stopki redakcyjnej, jaką zamieszczają wszystkie gazety i czasopisma. Nie ma niczego takiego, same artykuły i hipotezy

- Nie ma stopki redakcyjnej.

- To znaczy?

- Wiesz, że w gazetach i czasopismach jest taka strona, na której podają skład zespołu redakcyjnego, nazwiska redaktorów, dziennikarzy, gdzie to jest drukowane i tak dalej. No wiesz, „prosimy kontaktować się drogą taką a taką”.

Każda publikacja ma stronę redakcyjną, a tu tego nie ma.

- Muszą chronić swoją anonimowość - mówi Sam.

- Przed czym?

- Przed obcymi - mówi, uśmiechając się, jakby przyznawał, że to absurd.

- Masz poprzedni numer?

Wyjmuje go z szafki. Przerzucam błyskawicznie strony, mając nadzieję, że artykuł o

Mogadorczykach jest w tym, a nie wcześniejszym numerze. I jest. Znajduję go na czwartej stronie.

MOGADOBSKA BASA CBCE ZAWŁADNAĆ ZIEMIĄ

Mogadorska rasa kosmitów, z planetę nieco podobną do Ziemi, nęły Mogadore w Dziewiątej Galaktyce i zamierzają obnażyć ziemskie słabości, by następnie je wyko-

jest obecna na Ziemi. Jest to rzystać i przejąć naszą planetę, bezwzględna rasa dążąca do za-władnięcia wszechświatem. Krążą

(więcej o tym w następnym numerze)

pogłoski, że zgładzili już inną

Czytam artykuł trzykrotnie. Miałem nadzieję, że jest w nim coś więcej niż to, co usłyszeliśmy od Sama, ale niestety.

Poza tym nie ma Dziewiątej Galaktyki. Zastanawiam się, skąd oni to wzięli. Prze-kartkuję dwukrotnie ostatni numer. Nie ma najmniejszej wzmianki o Mogadorczykach. Moja pierwsza myśl jest taka, że nie mieli nic więcej do napisania, że nie pojawiły się żadne nowe rewelacje. Ale nie bardzo wierzę, że o to chodzi. Myślę raczej, że Mogadorczycy przeczytali ten tekst i od ręki załatwili problem, czymkolwiek ten problem był.

- Mógłbym pożyczyć ostatni numer? - pytam.

- Dobra, ale uważaj z tym.

Trzy godziny później matki Sama wciąż nie ma w domu. Pytam go, gdzie jest, ale on wzrusza ramionami, jakby nie wiedział i jej nieobecność nie była niczym nowym. Gramy w gry wideo i oglądamy telewizję, a na kolację jemy gotowe dania z mikrofalówki. Ani razu od chwili, kiedy przyszedłem, Sam nie założył okularów, co jest dziwne, bo wcześniej nigdy nie widziałem go bez nich. Nawet kiedy biegliśmy półtora kilometra na wuefie, miał te swoje grube szkła na nosie. Biorę je z jego komody i przymierzam. Świat staje się niewyraźną plamą i już po sekundzie boli mnie głowa.

Patrzę na Sama. Siedzi po turecku na podłodze, plecami oparty o łóżko, z książką o jakichś obcych na kolanach.

- Jezu, ty naprawdę masz taki zły wzrok? - pytam. Podnosi wzrok.

- To były okulary mojego taty. Zdejmuję je i odkładam.

- Sam, czy ty w ogóle potrzebujesz okularów?

- Właściwie nie.

- Więc po co je nosisz?

- To były okulary mojego taty. Zakładam je z powrotem.

- Rany, nie wiem, jak ty w nich możesz prosto chodzić.

- Przyzwyczyły mi się oczy.

- A wiesz, że spieprzysz sobie wzrok, jak będziesz je dalej nosił?

- Wtedy będę mógł widzieć to, co widział mój tata.

Zdejmuję okulary i kładę tam, skąd wzięłem. Nie bardzo rozumiem, dlaczego Sam je nosi. Z powodów sentymentalnych? Naprawdę myśli, że to ma sens?

- Sam, gdzie jest twój tata?

- Nie wiem.

- Jak to?

- Zniknął, kiedy miałem siedem lat.

- Nie wiesz, dokąd poszedł?

Wzdycha, spuszcza głowę i wraca do czytania. Wyraźnie nie chce o tym rozmawiać.

- A ty wierzysz w te rzeczy? - pyta po kilku minutach milczenia.

- W kosmitów?

- Tak.

- Tak, wierzę w kosmitów.

- Myślisz, że oni naprawdę uprowadzają ludzi?

- Nie mam pojęcia. Pewnie nie można tego wykluczyć. A ty wierzysz, że to robią?

Kiwa głową.

- Tak, raczej tak. Ale czasem to wydaje się głupie.

- No właśnie. Patrzy prosto na mnie.

- Myślę, że mój tata został uprowadzony.

Sztywnieje w momencie, gdy te słowa opuszczają jego usta, i jego twarz przybiera taki niewinny, bezbronny wyraz.

Przychodzi mi na myśl, że podzielił się kiedyś tym podejrzeniem z kimś, kto zareagował mniej niż życzliwie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo on po prostu zniknął. Pojechał do sklepu po chleb i mleko i już nie wrócił. Jego furgonetka była zaparkowana przed samym sklepem, ale nikt go tam nie widział. Po prostu się rozpułnął, a jego okulary leżały na chodniku koło furgonetki. - Milknie na moment. - Bałem się, że przyszedłeś mnie uprowadzić.

Hipoteza trudna do uwierzenia. Jak to możliwe, żeby w środku miasta nikt nie widział, jak porywali jego ojca?

Może jego tata miał powód, żeby porzucić dom i uknuł własne zniknięcie. Nie tak znowu trudno jest się ulotnić; Henri i ja robimy to od dziesięciu lat. Ale zainteresowanie Sama kosmitami całkiem niespodziewanie nabiera sensu. Możliwe, że Sam chce widzieć świat takim, jaki wydawał się jego ojcu, ale może jakaś część jego naprawdę wierzy w to, że ostatnia rzecz, jaką widział jego ojciec, została uchwycona w jego okularach, w jakiś sposób wryta w soczewki. Być może myśli, że jeśli starczy mu uporu, kiedyś też to zobaczy, i że ostatnie, co widział jego ojciec, potwierdzi to, co on ma już w głowie. A może wierzy, że jeśli będzie szukał niezmordowanie, trafi w końcu na artykuł, który udowodni nie tylko to, że jego ojciec został uprowadzony, ale że można go uratować.

A kim ja jestem, by mówić, że pewnego dnia nie znajdzie dowodu?

- Wierzę ci. Myślę, że uprowadzenia przez obcych są bardzo możliwe.

17

Następnego dnia budzę się wcześniej niż normalnie, gramolę się z łóżka i idę do kuchni, gdzie Henri siedzi przy stole z otwartym laptopem i przegląda strony gazet. Słońce jeszcze nie wstało i w domu jest ciemno, jedyne światło daje ekran komputera.

- Jest coś?

- Nie, nic ciekawego.

Zapalam światło. Bernie Kosar skrobie we frontowe drzwi. Otwieram je i pies wyskakuje jak co dzień na poranny patrol, obiega teren z podniesioną głową, szukając czegokolwiek podejrzanego. Węszy to tu, to tam, na chybił trafił, w końcu zadowolony, że wszystko jest, jak być powinno, wyrywa do lasu i znika.

Na kuchennym stole leżą dwa egzemplarze „Oni chodzą wśród nas”, oryginał i fotokopia, którą

Henri zrobił dla siebie. Między nimi leży szkło powiększające.

- Znalazłeś coś szczególnego na oryginale?

- Nie?

- To co teraz? - pytam.

- Miałem trochę szczęścia. Poszukałem odniesień do innych artykułów w tym numerze i znalazłem kilka prawdziwych ciekawostek, jedna z nich naprowadziła mnie na prywatną stronę internetową jakiegoś mężczyzny.

Wysłałem mu e-maila.

Patrzę na Henriego szeroko otwartymi oczami.

- Spokojnie - mówi. - Nie wyśledzą drogi moich emaili.

- A jaką drogą je wysyłasz?

- Przepuszczam je przez różne serwery w miastach całego świata, tak że pierwotna lokalizacja gubi się po drodze.

- Niezłe.

Bernie Kosar drapie w drzwi i wpuszczam go do środka. Zegar na mikrofali wskazuje za minutę szóstą. Za dwie godziny muszę być w szkole.

- Czy my naprawdę chcemy grzebać wokół tego wszystkiego? - pytam. - Bo jeśli to jest jedna wielka zasadzka? Jeśli oni próbują nas i w ten sposób wyciągnąć z kryjówek?

- Hm. Wiesz, gdyby w tym artykule była jakaś wzmianka o nas, to pewnie bym się głęboko zastanawiał. Ale to było tylko o szykowaniu inwazji na Ziemię podobnej do tej, jakiej dokonali na Lorien. Jest w tym tyle rzeczy, których nie rozumiemy. Miałeś rację kilka tygodni temu, mówiąc, że pokonali nas tak łatwo. Fakt. To wszystko nie trzyma się kupy. Cała sytuacja ze zniknięciem Starszyny też jest niezrozumiała. Nawet wysłanie ciebie i innych dzieci na Ziemię, czego nigdy nie kwestionowałem, wydaje się dziwne. I skoro widziałeś, co się stało - a ja miałem takie same wizje - coś tu się ciągle nie zgadza. Jeśli pewnego dnia wrócimy, myślę, że trzeba będzie zrozumieć, co się wydarzyło, i nie dopuścić, by to samo wydarzyło się znowu. Znasz powiedzenie: Kto nie rozumie historii, jest skazany na jej powtarzanie.

A kiedy historia się powtarza, to stawka jest podwójna.

- Okej - mówię. - Ale z tego, co powiedziałeś w sobotę wieczorem, nasza szansa na powrót maleje z dnia na dzień. Więc biorąc to pod uwagę, myślisz, że sprawa jest warta ryzyka?

Henri wzrusza ramionami.

46

- Poza tobą wciąż jest pięcioro innych. Może oni już otrzymali swoje Dziedzictwa. Może twoje się tylko spóźniają. Myślę, że najlepiej jest planować, zakładając wszystkie możliwości.

- No dobrze, co zamierzasz zrobić?

- Po pierwsze zadzwonić do tego faceta. Jestem ciekaw, co wie. Zastanawiam się, co spowodowało, że nie pociągnął tematu. Jedna z dwóch możliwości: albo nie znalazł więcej informacji i stracił zainteresowanie sprawą, albo po ukazaniu się tej notatki ktoś go dopadł.

- No właśnie - mówię z westchnieniem. - Bądź ostrożny.

Wciągam dresowe spodnie, bluzę na dwa T-shirty, zawiązuję sportowe buty i rozciągam mięśnie. Wrzucam do plecaka ubranie do włożenia w szkole, razem z ręcznikiem, kostką mydła i buteleczką szamponu, żebym mógł przed lekcjami wziąć prysznic. Odtąd codziennie będę biegał do szkoły. Henri rzekomo wierzy, że dodatkowa porcja ruchu pomoże w moim treningu, ale tak naprawdę ma nadzieję, że to pomoże w przemianie mojego ciała i wydobędzie z uspienia moje moce, jeśli one

rzeczywiście gdzieś śpią. Patrę w dół na Berniego Kosara.

- I co, stary, jesteś gotowy do przebieżki? No jak? Biegniesz ze mną?

Pies macha ogonem i kręci się w kółko.

- Do zobaczenia po szkole.

- Miłego biegu - mówi Henri. - Uważaj na drodze.

Wychodzimy na zimne, rześkie powietrze. Bernie Kosar poszczekuje z podniecenia. Wybiegam truchtem z podjazdu na zwirową drogę, pies przy mojej nodze, tak jak się spodziewałem. Pierwsze pół kilometra traktuję jak rozgrzewkę.

- I co, stary, dodamy trochę gazu?

Nie zwraca uwagi na moje gadanie, po prostu biegnie obok z wywieszonym językiem, wyraźnie uszczęśliwiony.

- No dobra, koniec żartów.

Wrzucam wyższy bieg, przechodząc do prawdziwego biegu, i zaraz potem gnam jak najszybciej. Zostawiam Berniego Kosara daleko w tyle. Oglądając się za siebie, widzę, że biegnie tak szybko, jak tylko może, ale nie jest w stanie mnie dogonić. Wiatr przewiewa mi włosy, drzewa rozmazują się w oczach. Jest fantastycznie. Nagle Bernie Kosar rzuca się w las i znika z pola widzenia. Nie wiem, czy nie powinienem się zatrzymać i poczekać na niego.

Odwracam się, a tu Bernie Kosar wyskakuje z lasu trzy metry przede mną.

Patrę na niego, on na mnie, z językiem dyndającym z boku i dziką satysfakcją w oczach.

- Jesteś dziwnym psem, wiesz o tym?

Po pięciu minutach w oddali wylania się szkoła. Biegnę jeszcze niecały kilometr, wykonując maksymalny wysiłek, bo jest na tyle wcześnie, że przed szkołą ani w okolicy nie ma nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć. W końcu przystaję i z rękami splecionymi za głową łapię oddech. Bernie Kosar przybiega pół minuty później, siada i obserwuje mnie.

Klękam, żeby go pogłaskać.

- Dobra robota, kolego. Zdaje się, że mamy nowy poranny zwyczaj. Ściągam z ramion plecak, odpinam suwak i wyjmuję zawiniątko

z kilkoma plasterkami bekonu, które daję psu. Pożera je naraz.

- Okej, stary idę. Wracaj do domu. Henri czeka.

Patrzy na mnie przez chwilę, potem odwraca się i biegnie truchtem w stronę domu. Jego zdolność pojmowania kompletnie mnie zadziwia. Odwracam się, wchodzę do budynku i idę wziąć prysznic.

Jestem drugą osobą, która wchodzi na astronomię. Pierwszy był Sam, siedzi już na swoim zwykłym miejscu w końcu klasy.

- No, no - mówię. - Bez okularów. Co się stało? Wzrusza ramionami.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś. To chyba głupie, żebym je nosił.

Siadam obok niego z uśmiechem. Nie wiem, czy kiedykolwiek się przyzwyczaję do tych jego świdrujących oczu.

Oddaję mu pożyczony numer „Oni chodzą wśród nas”. Wtyka go do plecaka. Układam palce w pistolet i dżgam go w bok.

- Pif-paf!

Sam zaczyna się śmiać. Potem ja też. Obaj ryczymy, nie mogąc się opanować. Za każdym razem, kiedy jeden z nas prawie przestaje, drugi zaczyna się śmiać i głupawka zaczyna się od początku. Powoli schodzą się ludzie i wszyscy na nas patrzą. Zjawia się też Sara. Wchodzi sama, idzie do nas z niepewnym spojrzeniem i siada obok mnie.

- Hej, z czego się śmiejecie?

- Właściwie nie bardzo wiem - odpowiadam i to mnie jeszcze bardziej rozśmiesza.

Ostatnią osobą, która wchodzi na lekcję, jest Mark. Siada tam, gdzie zwykle, ale koło niego zamiast Sary siedzi dzisiaj inna dziewczyna. Myślę, że jest z ostatniej klasy Sara sięga pod stołem po moją rękę.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Co?

- Wiem, że to na ostatnią chwilę, ale moi rodzice chcą, żebyś przyszedł do nas jutro ze swoim tatą na obiad świętodziękczynny

- O rany. Super, bardzo bym chciał. Muszę zapytać, ale wiem, że nie mamy żadnych planów, więc zakładam, że odpowiedź brzmi „tak”.

- Fajnie - mówi z uśmiechem.

- Jesteśmy tylko we dwóch, więc zwykle w ogóle nie urządzamy Święta Dziękczynienia.

- My to naprawdę idziemy na całego. I moi bracia przyjadą z col-legeu. Chcą ciebie poznać.

- Skąd o mnie wiedzą?

- A jak myślisz?

Wchodzi nauczycielka, więc Sara puszcza do mnie oko, potem oboje zaczynamy notować.

Henri czeka na mnie jak zwykle, Bernie Kosar, wspięty na tylnych łapach, tłucze ogonem we drzwi od chwili, kiedy nie mnie zobaczył. Wsiadam.

- Athens - mówi Henri.

- Athens?

- Athens w Ohio.

- I co z tym Athens?

- To tam piszą i drukują „Oni chodzą wśród nas”. Tam dochodzą e-maile.

- Jak się dowiedziałeś?

- Mam swoje sposoby. Patrzą na niego.

- Okej, okej. Kosztowało mnie to trzy e-maile i pięć rozmów telefonicznych, ale mam ich numer. -

Rzuca mi wymowne spojrzenie. -Czyli przy odrobinie wysiłku znalezienie ich nie było takie trudne.

Kiwam głową. Wiem, co chce mi powiedzieć. Mogadorczycy do-szliby do tego równie łatwo jak on. Co oznacza, że szala przechyliła się na korzyść drugiej hipotezy Henriego - że ktoś dopadł wydawcę, zanim historia mogła się rozwinąć.

- Jak daleko jest do Athens?

- Dwie godziny samochodem.

- Pojedziesz?

- Mam nadzieję, że nie. Najpierw chcę zadzwonić.

Po wejściu do domu Henri natychmiast bierze telefon i siada przy kuchennym stole. Siadam po drugiej stronie i słucham.

- Tak, dzwonię, żeby dowiedzieć się o artykuł z poprzedniego numeru „Oni chodzą wśród nas”.

Odpowiada niski głos. Nie słyszę, co mówi. Henri się uśmiecha.

- Nie, nie jestem prenumeratorem. Jest nim mój przyjaciel. - Następna pauza. - Nie, dziękuję. -

Kiwa głową. -

Zainteresował mnie artykuł o Mogadorczykach. W najnowszym numerze nie ukazał się zapowiadany ciąg dalszy.

Pochylam się i wytyżam słuch, jestem cały sztywny i spięty Głos, który udziela odpowiedzi, wydaje się roztrzęsiony, niespokojny Potem zalega cisza.

- Halo?

Henri odsuwa telefon od ucha, przygląda mu się, próbuje jeszcze raz.

- Halo?

Zrezygnowany zamyka klapkę i kładzie telefon na stole. Patrzy na mnie.

- Powiedział: „Proszę tu więcej nie dzwonić”. I rozłączył się.

18

Po kilku godzinach wieczornych rozważań Henri budzi się następnego rana i drukuje szczegółową trasę do Athens w stanie Ohio. Mówi, że wróci na tyle wcześnie, byśmy mogli zdążyć na świąteczny obiad w domu Sary, i wręcza mi kartkę z adresem oraz numerem telefonu.

- Jesteś pewien, że to jest warte świeczki? - pytam.

- Musimy się dowiedzieć, o co tu chodzi. Wzdycham.

- Myślę, że obaj wiemy, o co tu chodzi.

- Być może - mówi, ale z pełnym przekonaniem, bez śladu niepewności zwykle towarzyszącej tym słowom.

- Zdajesz sobie sprawę, co ty byś mi powiedział, gdyby role były odwrócone, prawda?

Henri się uśmiecha.

- Tak, John. Wiem, co bym powiedział. Ale myślę, że to nam pomoże. Chcę się dowiedzieć, co oni zrobili, żeby tak bardzo przestraszyć tego człowieka. Chcę wiedzieć, czy wspomnieli coś o nas, czy szukają nas metodami, o jakich jeszcze nie pomyśleliśmy. To pomoże nam pozostać w ukryciu, zachować nad nimi przewagę. I jeśli ten człowiek ich widział, dowiemy się, jak wyglądają.

- Wiemy już, jak wyglądają.

- Wiemy, jak wyglądali podczas najazdu, ponad dziesięć lat temu, ale mogli się zmienić. Są na Ziemi od dawna.

Chcę wiedzieć, jak się kamuflują.

- Nawet jeśli się dowiemy, jak wyglądają, to kiedy zobaczymy ich na ulicy, raczej i tak będzie za późno.

- Może tak, może nie. Jak tylko takiego zobaczę, zrobię wszystko, żeby go zabić. I wcale nie jest powiedziane, że on będzie w stanie zabić mnie - mówi Henri, tym razem z niepewnością, bez śladu przekonania.

Poddaję się. Nie podoba mi się ani trochę jego pomysł wyprawy do i Athens, podczas gdy ja będę siedział w domu.

Ale wiem, że każdy mój argument będzie jak grochem o ścianę.

- Jesteś pewien, że wrócisz na czas?

- Zaraz wyjeżdżam, więc powinienem tam być około dziewiątej. Wątpię, by cała wizyta zajęła mi dłużej niż godzinę, góra dwie. Do ! pierwszej powinienem wrócić.

- Więc po co mi to? - pytam, podnosząc kartkę z adresem i telefonem.

- No wiesz, nigdy nie wiadomo.

- Właśnie dlatego myślę, że nie powinieneś tam jechać.

- Punkt dla ciebie - przyznaje, kończąc dyskusję. Zbiera swoje papiery, wstaje od stołu i zasuwa krzesło.

- Zobaczymy się po południu.

- Okej.

Wychodzi do furgonetki i wsiada za kierownicę. Bernie Kosar i ja patrzymy z ganku, jak odjeżdża. Nie wiem dlaczego, ale mam złe przeczucia. Mam nadzieję, że uda mu się wrócić.

To jest bardzo długi dzień. Jeden z tych dni, kiedy czas zwalnia i każda minuta jest jak dziesięć minut, każda godzina jak dwadzieścia godzin. Gram w gry wideo i przeglądam internet. Szukam

wiadomości, które mogłyby mieć związek z którymś z innych dzieci. Nie znajduję niczego, co mnie cieszy. To znaczy, że pozostajemy poza zasięgiem radaru.

Unikając naszych wrogów.

Co jakiś czas sprawdzam komórkę. W południe wysyłam Henriemu wiadomość. Nie odpowiada. Jem lunch i karmię Berniego, potem wysyłam następną wiadomość. Bez odzewu. Robię się niespokojny i podenerwowany. Henri zawsze

48

natychmiast odpisuje. Może ma wyłączony telefon. Może padła bateria. Staram się przekonać do tych możliwości, choć w żadną z nich tak naprawdę nie wierzę.

O drugiej zaczynam się martwić. I to bardzo poważnie. Za godzinę powinniśmy być u Hartów. Henri wie, że ten obiad jest dla mnie ważny. I za nic by ot tak nie nawalił. Idę pod prysznic z nadzieją, że kiedy wyjdę, Henri będzie siedział przy kuchennym stole z kubkiem kawy. Odkręcam na pełny strumień gorącą wodę, nie zwracając sobie głowy ustawianiem temperatury. I tak jej nie czuję. Całe moje ciało jest teraz nieczułe na gorąco. Mam wrażenie, jakby spływała po mnie letnia woda, i prawdę mówiąc, brakuje mi uczucia gorąca. Zawsze lubiłem „wyparzyć się”

pod prysznicem. Stać pod wodą, póki leciała gorąca. Z zamkniętymi oczami czuć, jak strumień uderza w moją głowę i spływa w dół. To mnie odrywało od życia. Pozwalało zapomnieć na krótką chwilę, kim i czym jestem.

Po wyjściu z łazienki otwieram szafę i szukam najlepszych ubrań. Nie powiem, żeby to było coś specjalnego: płócienne spodnie, zapinana koszula, sweter. Ponieważ wiemy życie uciekinierów, mam tylko buty do biegania, co jest tak zabawne, że po raz pierwszy tego dnia chce mi się śmiać. Idę do pokoju Henriego, by zajrzeć do jego szafy. Ma mokasyny, które są na mnie dobre. Widok wszystkich jego ubrań wprawia mnie w jeszcze większe przygnębienie.

Chcę wierzyć, że zeszło mu się dłużej, niż planował, ale powinien się ze mną skontaktować. Coś musi być nie tak. Idę do frontowych drzwi, gdzie siedzi Bernie, by wyjrzeć przez okno. Pies patrzy na mnie i skomle. Poklepuję go po głowie, wracam do swojego pokoju. Patrzę na zegar. Minęła trzecia. Sprawdzam telefon. Nie ma żadnych wiadomości.

Postanawiam iść do Sary i jeśli Henri nie odezwie się do piątej, wtedy wymyślę, co dalej.

Może im powiem, że Henri zachorował, i ja też nie czuję się najlepiej. Może powiem, że nawalił mu w drodze samochód i muszę jechać mu pomóc. A nuż Henri się zjawi i świętodziękczynny obiad będzie uratowany. Swoją drogą nasz pierwszy w życiu. Jeśli nie, coś im powiem. Będę musiał.

Nie mając innego wyjścia, postanawiam pobiec. Zadyszka mi raczej nie grozi, a dotrę tam nawet szybciej, niż gdybym pojechał samochodem. Poza tym w takie święto drogi powinny być puste. Żegnaj się z Berniem, mówię mu, że wrócę później, i wyruszam. Biegnę skrajem pól, przez las. Dobrze jest spalić trochę energii. To łagodzi moje zdenerwowanie. Kilka razy zbliżam się do swojej pełnej prędkości, co prawdopodobnie wynosi około setki na godzinę.

Niesamowite uczucie, kiedy zimne powietrze smaga moją twarz. I fantastyczny jest ten dźwięk, taki sam, jaki słyszę, wychylając głowę przez okno furgonetki, kiedy jedziemy autostradą. Zastanawiam się, jak szybko będę biegał w wieku dwudziestu, dwudziestu pięciu lat.

Zwalniam do chodu jakieś sto metrów przed domem Sary. Nie mam nawet śladu zadyszki. Kiedy wchodzę na podjazd, widzę w oknie twarz Sary. Macha do mnie z uśmiechem, otwiera drzwi, jak tylko wchodzę na ganek.

- Cześć, przystojniaku.

Odwracam się przez ramię, jakbym sprawdzał, czy mówi do kogoś innego. Potem pytam, czy mówi do mnie.

Odpowiada śmiechem.

- Jesteś głupi - mówi, szturchając mnie w ramię, i zaraz przyciąga mnie blisko na długi, słodki pocałunek.

Wciążam głęboko powietrze i wyczuwam zapachy: indyk z nadzieniem, słodkie ziemniaki, brukselka, placek z dyni.

- Nieźle pachnie - mówię.

- Moja mama gotowała cały dzień.

- Nie mogę się doczekać, kiedy usiądę do jedzenia.

- Gdzie jest twój tata?

- Coś go zatrzymało. Powinien niedługo tu być.

- Wszystko z nim dobrze?

- Tak, nic się nie dzieje.

Wchodzimy do środka i Sara oprowadza mnie po wielkim domu. To klasyczny rodzinny dom z sypialniami na piętrze, mansardą, gdzie swój pokój ma jeden z jej braci, i całą przestrzenią wspólną na parterze - z salonem, pokojem jadalnym, kuchnią i pokojem dziennym. Kiedy wchodzimy do jej pokoju, zamyka drzwi i mnie całuje. Jestem zaskoczony, ale ogarnia mnie radość.

- Czekałam na tę chwilę cały dzień - mówi łagodnie, odsuwając się. Kiedy odwraca się w stronę drzwi, przyciągam ją z powrotem i całujemy się jeszcze raz.

- A ja będę czekał na następny pocałunek - szepczę. - Później. Ona się uśmiecha i znów daje mi kuksańca w ramię.

Schodzimy do pokoju dziennego, gdzie obaj jej starsi bracia, którzy przyjechali z collegeu na weekend, oglądają futbol z jej ojcem. Siadam z nimi, a Sara idzie do kuchni pomóc swojej mamie i młodszej siostrze przy obiedzie. Nigdy nie byłem prawdziwym kibicem. Chyba dlatego, że żyjąc z Henrim w wiadomy sposób, nie miałem właściwie szansy zainteresować się czymkolwiek, co by wykraczało poza nasze tułaczkie życie. Zajmowało mnie dopasowywanie się do każdego nowego otoczenia i to, żeby zawsze być gotowym przenieść się gdzieś indziej. Jej bracia, tak samo jak kiedyś jej ojciec, grali w piłkę w szkole średniej. Wszyscy trzej uwielbiają futbol. I oglądając dzisiejszy mecz, jeden z braci i jej ojciec kibicują przeciwnej drużynie niż drugi brat. Kłócą się, wzajemnie drażnią, krzyczą z radości i pomrukują, zależnie od tego, co dzieje się na boisku. Widać, że robią to od lat, pewnie całe życie, i mają z tego wielką frajdę.

Trochę mi smutno, że Henri i ja nie mamy niczego -poza moimi treningami oraz bezustannym uciekaniem i maskowaniem się - co by nas obu wciągało i przy czym moglibyśmy się dobrze bawić. Smutno mi, że nie mam prawdziwego ojca i braci.

W przerwie matka Sary woła nas na obiad. Sprawdzam komórkę i ciągle nic. Zanim usiądziemy do stołu, idę do łazienki i próbuję zadzwonić do Henriego, ale od razu włącza się poczta głosowa. Jest prawie piąta i wpadam w panikę.

Wracam do stołu, gdzie wszyscy już siedzą. Stół wygląda niesamowicie. Pośrodku kwiaty, przed każdym krzesłem równiutko ułożona podkładka z nakryciem. Półmiski są rozstawione wkoło na całym stole, z indykiem na honorowym miejscu przed panem Hartem. Ledwie zajmuję miejsce, do pokoju wchodzi pani Hart. Zdjęła kuchenny fartuszek i jest w pięknej spódnicy i sweterku.

- Masz jakieś wieści od taty? - pyta.

- Właśnie próbowałem do niego zadzwonić. On, umm... spóźnia się i prosił, żeby na niego nie czekać. Bardzo przeprasza za kłopot.

Pani Hart zaczyna dzielić indyka. Sara uśmiecha się do mnie przez stół, co na pół sekundy poprawia mi nastrój.

Zaczynają krążyć półmiski i nakładam sobie wszystkiego po trochu. Wątpię, żebym był w stanie dużo zjeść. Trzymam na kolanach telefon nastawiony na wibrowanie z wyłączonym dźwiękiem. Jednak z każdą mijającą sekundą coraz mniej wierzę, że doczekam się wiadomości i że w ogóle zobaczę jeszcze Henriego. Myśl, że zostanę sam - z

rozwijającymi się mocami, i bez nikogo, kto mi je wyjaśni i będzie mnie trenował; myśl o życiu na własną rękę, o samotnym uciekaniu, samotnym ukrywaniu się, o znalezieniu własnej drogi, o walce z Mogadorczykami, walce na śmierć i życie przeraża mnie.

Obiad trwa w nieskończoność. Czas znowu zwolnił. Cała rodzina Sary zasypuje mnie pytaniami. Nigdy dotąd nie byłem w sytuacji, w której aż tylu ludzi chciałoby się dowiedzieć tak mnóstwa rzeczy w tak krótkim czasie. Pytają o moją przeszłość, o to, gdzie wcześniej mieszkałem, o Henriego, o moją matkę - która, mówię jak zwykle, osierociła mnie we wczesnym dzieciństwie. To jedyna odpowiedź, która ma cokolwiek wspólnego z prawdą. Nie mam pojęcia, czy wszystkie inne trzymają się w ogóle kupy. Telefon na kolanach ciąży mi, jakby ważył z pół tony. Nie wibruje. Po prostu leży jak zdechły.

Po obiedzie, a przed deserem, Sara prosi wszystkich, żeby wyszli do ogrodu, bo chciałyby zrobić trochę zdjęć. Kiedy wychodzimy razem, Sara pyta mnie, czy coś się stało. Mówię, że martwię się o Henriego. Próbuje mnie uspokoić, mówi, że wszystko będzie dobrze, ale to nie działa. Jeśli w ogóle, to na odwrót, bo czuję się jeszcze gorzej. Próbuję sobie wyobrazić, gdzie on jest, co robi, i jedyny obraz, który mogę wywołać, to Henri stojący przed Mogadorczykiem, przerażony i mający świadomość, że zaraz zginie.

Kiedy ustawiamy się do zdjęć, jestem bliski paniki. Jak mogę dostać się do Athens? Mógłbym pobiec, ale byłoby mi ciężko ustalić trasę, zwłaszcza że musiałbym unikać ruchu samochodowego i trzymać się z dala od głównych dróg.

Mógłbym pojechać autobusem, ale to by zabrało zbyt dużo czasu. Mógłbym poprosić Sarę, ale to wymagałoby wielu wyjaśnień, łącznie z tym, że jestem kosmitą i przypuszczam, iż Henri został porwany albo zabity przez innych wrogich kosmitów, których głównym celem jestem ja. Nie najlepszy pomysł.

Podczas gdy pozujemy, ogarnia mnie rozpaczliwa potrzeba wyjścia, ale muszę to zrobić w taki sposób, żeby nie zezłościć Sary ani jej rodziców. Kieruję wzrok na aparat, patrzę prosto w obiektyw, próbując wymyślić usprawiedliwienie, które wywoła jak najmniej pytań. Nagle przestaję panować nad paniką. Zaczynają drzeć mi ręce, czuję, że są gorące. Zerkam na nie, czy przypadkiem nie świecą. Nie świecą, ale kiedy podnoszę z powrotem głowę, widzę, że aparat w rękach Sary cały się trzęsie. Wiem, że ja to powoduję, ale nie mam pojęcia w jaki sposób ani co zrobić, żeby to powstrzymać. Zimny dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. Oddech więźnie mi w gardle i w tym samym momencie pęka obiektyw aparatu i roztrzaskuje się na proszek. Sara krzyczy, puszcza aparat i patrzy na niego w oszołomieniu. Otwiera usta i łzy napływają jej do oczu. Podbiegają do niej wystraszeni rodzice, a ja stoję tam w szoku jak skamieniały. Nie wiem, co robić. Jest mi strasznie przykro z powodu aparatu i dlatego, że Sara to przeżywa, ale też cieszę się jak diabli, bo wreszcie objawiła się moja telekineza. Czy będę umiał nad nią panować? Henri, kiedy się dowie, oszaleje z radości. Henri. Wraca panika. Zaciskam dłonie w pięści. Muszę się stąd zmyć. Muszę go znaleźć.

Jeśli dopadli go Mogadorczycy, choć mam nadzieję, że nie, zatłukę wszystkich po kolei, żeby go uwolnić.

Myśląc szybko, podchodzę do Sary i odciągam ją od rodziców, którzy oglądają aparat, chcąc zrozumieć, co się stało.

- Właśnie dostałem wiadomość od Henriego. Strasznie mi przykro, ale muszę iść.

Jest zdezorientowana, patrzy to na mnie, to na rodziców.

- Wszystko z nim dobrze?

- Tak, ale naprawdę muszę iść, on mnie potrzebuje.

Kiwa głową i delikatnie się całujemy Mam nadzieję, że nie po raz ostatni.

Dziękuję jej rodzicom, braciom i siostrze i wychodzę, nie dając im czasu na zbyt dużo pytań. Przechodzę przez dom do drzwi frontowych i tuż za progiem rzucam się do biegu. Wracam tą samą drogą, trzy- i mając się z dala od głównej szosy biegnąc przez las. Jestem w domu I po kilku minutach. Już z podjazdu słyszę, jak Bernie Kosar skrobie I w drzwi.

Jest wyraźnie niespokojny, jak gdyby on też wyczuwał, że coś jest nie w porządku. Idę prosto do swojego pokoju.

Wyjmuję z plecaka kartkę z telefonem i adresem, którą zostawił mi Henri. Wybieram numer. „Przepraszamy, wybrany abonent jest niedostępny lub numer jest nieczynny”. I Patrę na kartkę i próbuję jeszcze raz. Ten sam komunikat. -

Szlag! - wrzeszczę. Kopię w krzesło, które leci przez kuchnię do dużego pokoju. Wchodzę do swojej sypialni.

Wychodzę. Wracam z powrotem. Patrę w lustro. Mam czerwone oczy, nabrzmiałe łzami, ale żadna nie spada. Trzęsą mi się ręce. Pożera mnie złość, furia i potworny strach, że Henri nie żyje. Zaciskam powieki i wpycham cały gniew w głąb żołądka. Po chwili z nagłym wrzaskiem otwieram oczy, wyrzucam ręce w kierunku lustra i szkło się roztrzaskuje, choć stoję trzy metry dalej. Przyglądam się. Większa część lustra nadal trzyma się ściany. To, co wydarzyło się u Sary, nie było czystym przypadkiem. Patrę na rozkruszone szkło na podłodze. Wyciągam przed siebie rękę i koncentrując się na jednym pojedynczym odłamku, próbuję nim poruszyć. Kontroluję oddech, ale cały strach i gniew we mnie tkwi.

Strach jest zbyt prostym słowem. Groza. Właśnie ją czuję.

Na początku odłamek się nie porusza, dopiero po piętnastu sekundach zaczyna drżeć. Najpierw powoli, potem szybko. I wtedy sobie przypominam. Henri mówił, że zwykle to emocje wywołują dziedziczne moce. Wytężam siły, by podnieść kawałeczek szkła. Kropelki potu występują mi na czoło. Skupiam w sobie całą energię, wszystko, co mam, i wszystko, czym jestem, niezależnie od wszystkiego, co się dzieje. Strasznie ciężko jest oddychać. Powoli, bardzo wolno odłamek szkła zaczyna się unosić. Centymetr po centymetrze. Jest pół metra nad podłogą, coraz wyżej, moja wyciągnięta prawa ręka unosi się wraz z nim, aż szkiełko osiąga poziom oczu, i wtedy je zatrzymuję.

Gdyby tak Henri mógł to widzieć, myślę. I raptownie, w oszołomieniu nowo odkrytą radością, wraca panika i strach.

Patrę na odłamek, na to, jak odbija się w nim boazeria, wyglądając w szkłe staro i krucho. Drewno. Stare i krucho. I nagle moje oczy otwierają się szerzej niż kiedykolwiek dotąd w całym moim życiu.

- Kuferek!

Henri powiedział tak: „Tylko my dwaj możemy go wspólnie otworzyć. Chyba że umrę, wtedy będziesz mógł zrobić to sam”.

Upuszczam szkiełko i gnam do sypialni Henriego. Kuferek leży na podłodze przy jego łóżku. Chwytam go, biegnę do kuchni i stawiam na stole. Kłódka w kształcie loryjskiego godła patrzy mi w twarz.

Siadam przy stole i wpatruję się w kłódkę. Drży mi warga. Staram się zwolnić oddech, ale to na nic; pierś mi faluje, jakbym przebiegł na czas z piętnaście kilometrów. Boję się poczuć w dłoni cichy trzask. Biorę głęboki oddech i zamykam oczy.

- Proszę, nie otwieraj się.

Chwytam kłódkę. Ściskam tak mocno, jak tylko mogę, na wstrzymanym oddechu, z mgłą w oczach, mięśniami przedramienia napięty mi do ostateczności. Czekać na trzask. Trzymając kłódkę i czekając na trzask.

Nie ma trzasku.

Daję sobie spokój i wiotczeję na krześle, chowając głowę w rękach. Iskierka nadziei. Przeczesuję rękami włosy i wstaję. Na kuchennym blacie półtora metra dalej leży brudna łyżeczka. Skupiam się na niej, omiatam dłońmi swoje

50

ciało i łyżeczka zaczyna latać. Henri byłby taki szczęśliwy. Henri, myślę, gdzie jesteś? Gdzieś jesteś i ciągle żyjesz. I ja mam zamiar cię stamtąd wyciągnąć.

Wybieram numer Sama, jedyne przyjaciela oprócz Sary, jakiego mam w Paradise, jedyne w swoim życiu, prawdę mówiąc. Odbiera po drugim sygnale.

- Halo?

Zamykam oczy i skubię brzeg nosa. Nabieram głęboko powietrza. Drzączka wróciła, jeśli w ogóle choć na moment ustała.

- Halo? - powtarza.

- Sam.

- Hej... Ale masz głos. Wszystko w porządku?

- Nie. Potrzebuję twojej pomocy

- Pomocy? Co się stało?

- Jest jakaś szansa, żeby twoja mama cię tu przywiozła?

- Nie ma jej. Wzięła dyżur w szpitalu, bo w dni świąteczne zarabia podwójnie. Co się dzieje?

- Niedobrze się dzieje, Sam. Potrzebuję twojej pomocy. Następna chwila milczenia.

- Przyjadę do ciebie najszybciej, jak mi się uda.

- Na pewno?

- Na razie.

Zamykam telefon i opuszczam głowę na stół. Athens. Tam jest Henri. W jakiś sposób muszę tam jechać. I muszę dostać się tam szybko.

19

Czekając na Sama, chodzę po domu i unoszę w powietrze różne przedmioty bez dotykania ich: jabłko z kuchennego blatu, widelec ze zlewu, małą roślinę w doniczce z parapetu frontowego okna. Umieję to robić tylko z małymi rzeczami, a i te odrywają się od podłoża jakby nieśmiało. Kiedy próbuję z czymś cięższym - krzesłem, stołem - nic się nie dzieje.

W koszyku na drugim końcu pokoju są trzy piłki tenisowe, których Henri i ja używamy do treningów. Jedną z nich przenoszę zdalnie do siebie, a Bernie Kosar, gdy piłka przekracza linię jego widzenia, staje na baczność. Potem rzucam piłkę, nie dotykając jej, i pies za nią biegnie; ale nim zdąży ją capnąć, szybko ją cofam, albo kiedy uda mu się piłkę złapać, wyciągam mu ją z pyska - wszystko to bez wstawania z fotela. W ten sposób uciekam myślami od Henriego, od krzywdy, która mogła mu się stać, i od poczucia winy za kłamstwa, jakich będę musiał naopowiadać Samowi.

Przejechanie na rowerze sześciu kilometrów, które dzielą nasze domy, zajmuje mu dwadzieścia pięć minut. Słyszę, jak wjeżdża na podjazd. Zeskakuje z roweru, który pada z łomotem na ziemię, gdy on wbiega przez frontowe drzwi bez pukania, ciężko dysząc. Twarz ma zlaną potem. Rozgląda się, jakby badał miejsce zajścia.

- Więc o co chodzi? - pyta.

- Cała sprawa wyda ci się absurdalna. Ale musisz obiecać, że potraktujesz to serio.

- O czym ty mówisz?

O czym ja mówię? Mówię o Henrim. On zniknął z powodu nieostrożności, tej samej nieostrożności, przed jaką

mnie zawsze przestrzegał. Mówię o tym, że kiedy mierzyłeś we mnie tamtym pistoletem, powiedziałem ci prawdę.

Jestem kosmitą. Henri i ja przybyliśmy na Ziemię dziesięć lat temu i ściga nas złowroga rasa innych obcych. Mówię

o rozumowaniu Henriego, że może uda mu się im wymknąć, jeśli ich lepiej zrozumie. A teraz go nie ma, przepadł. O

tym mówię, Sam. Rozumiesz? Ale nie, tego nie mogę mu powiedzieć.

- Sam, mój tata został porwany. Nie jestem całkiem pewien przez kogo ani co z nim robią. Ale coś się wydarzyło i myślę, że jest więziony. Albo gorzej.

Uśmiech rozjaśnia mu twarz.

- Daj sobie spokój - mówi. Potrząsam głową i zamykam oczy Powaga sytuacji sprawia, że znowu ściska mnie w gardle. Odwracam się i patrzę błagalnie na Sama. Łzy napływają mi do oczu.

- Ja się nie wygłupiam. Sam zmienia się na twarzy

- Jak to? Kto go porwał? Gdzie on jest?

- Namierzył autora jednego z artykułów w twojej gazecie. Facet drukuje ją w Athens w Ohio i Henri tam dzisiaj pojechał. Pojechał

i nie wrócił. Ma wyłączony telefon. Coś mu się stało. Coś złego. Sam jest oszołomiony.

- Co? Co go to obchodziło? Czegoś tu nie kapuję. To tylko głupia gazeta.

- Nie wiem, Sam. On jest taki jak ty... uwielbia historie o kosmitach i te wszystkie teorie spiskowe. Od zawsze miał

takie głupie hobby. Jeden z artykułów wyjątkowo go zaniepokoił i pewnie chciał się dowiedzieć czegoś więcej, więc tam pojechał. '

- Ten o Mogadorczykach?

- Tak. Skąd wiesz?

- Wyglądał, jakby zobaczył ducha, kiedy wspomniałem o tym na Halloween - mówi, kręcąc głową.

- Ale dlaczego ktoś miałby się przejmować pytaniami na temat jakiegoś głupiego artykułu?

- Nie wiem. To znaczy wyobrażam sobie, że ci ludzie nie mają najrówniej pod sufitem. Pewnie są paranoikami i mają urojenia. Może wzięli go za obcego. Ty z tego samego powodu celowałaś we mnie z pistoletu. Miał wrócić do pierwszej i jego komórka jest wyłączona. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Wstaję i podchodzę do kuchennego stołu. Biorę karteczkę z adresem i telefonem człowieka, z którym rozmawiał

Henri.

- To tam pojechał dziś rano - mówię. - Czy masz blade pojęcie, gdzie to jest?

Patrzy na kartkę, potem na mnie.

- Chcesz tam jechać?

- Nie wiem, co innego mógłbym zrobić.

- Może zadzwonić na policję i powiedzieć im, co się stało?

Siadam na kanapie, próbując wymyślić najsensowniejszą odpowiedź. Chciałbym móc powiedzieć mu prawdę: że zawiadomienie gliniarzy w najlepszym wypadku zmusiłoby mnie i Henriego do pożegnania się z Paradise. W

najgorszym wypadku Henri byłby przesłuchiwany, może zdjęliby mu odciski palców, wpuściliby sprawę w niemrawą machinę biurokratyczną, co dałoby Mogadorczykowi szansę na działanie. A kiedy ci nas dopadną, nie ma ratunku przed pewną śmiercią.

- Na którą policję mam dzwonić? Do gliniarzy z Paradise? Jak myślisz, co oni by zrobili, gdybym powiedział im prawdę? Nie wiem, ile dni to by trwało, zanim potraktowaliby mnie poważnie, a ja nie mam czasu.

Sam wzrusza ramionami.

- Możliwe, że potraktowaliby cię poważnie. Poza tym może twój tata coś zatrzymało albo ma uszkodzony telefon? Może jest teraz w drodze do domu.

- Może, ale ja w to nie wierzę. Mam złe przeczucie i muszę się tam jak najszybciej dostać. Powinien być w domu wiele godzin temu.

- A może miał wypadek. Kręczę głową.

- Może masz rację, ale nie wydaje mi się. A jeśli dzieje mu się krzywda, to tracimy czas.

Sam zerka na kartkę z adresem. Przygryza wargę i kilkanaście sekund milczy.

- Mniej więcej wiem, jak się jedzie do Athens. Gorzej będzie ze znalezieniem tego adresu.

- Mogę wydrukować trasę z internetu. O to się nie martwię. Martwię się, czym tam dojechać. W swoim pokoju mam sto dwadzieścia dolarów. Mogę zapłacić komuś, żeby nas zawiózł, ale nie mam pojęcia, kogo poprosić. O ile wiem, w Paradise nie ma za wiele taksówek.

- Możemy pojechać naszą furgonetką.

- Jaką furgonetką?

- Mojego taty Wciąż ją mamy Stoi w garażu. Odkąd zaginął, nikt jej nie tknął.

- Mówisz poważnie? Kiwa głową.

- Jak długo ona tam stoi? Myślisz, że jest na chodzie?

- Osiem lat. Dlaczego miałyby nie być na chodzie? Była prawie nowa, kiedy ją kupił.

- Zraz, zaraz, ustalmy. Proponujesz, żebyśmy pojechali tam sami, ty i ja, dwie godziny do Athens?

Twarz Sama wykrzywia się w chytrym uśmiechu.

- Dokładnie to proponuję.

Odrywam plecy od oparcia kanapy. Ja też nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Chyba wiesz, że jak nas złapią, będziemy mieli totalnie prze-chlapane. Żaden z nas nie ma prawa jazdy.

- Wiem. Moja mama mnie zabije, a może zabije i ciebie. No i przepisy. Ale co tam, jeśli naprawdę myślisz, że twój tata jest w niebezpieczeństwie, jaki mamy wybór? Na twoim miejscu, gdyby to mój tata był w niebezpieczeństwie, pojechałbym natychmiast.

Patrzę na Sama. Nie widzę na jego twarzy cienia wahania, gdy proponuje wyprawę bez prawa jazdy do miasta odległego o dwie godziny drogi, wiedząc o tym, że żaden z nas nie umie prowadzić i że nie mamy pojęcia, co nas tam czeka. A jednak Sam na to idzie. I to nawet był jego pomysł.

- W porządku, w takim razie jedziemy do Athens.

Wrzucam do plecaka telefon, sprawdzam, czy wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Później obchodzę dom, chłonąc wszystko oczami, jakby to było moje ostatnie pożegnanie z nim. To głupie myślenie i wiem, że zachowuję się sentymentalnie, ale jestem zdenerwowany, a w tym jest coś uspokajającego. Biorę do ręki rzeczy, oglądam i odkładam je na miejsce. Po pięciu minutach jestem gotów.

- Chodźmy - mówię do Sama.

- Pojedziesz na bagażniku?

- Jedź sam, ja będę biegł obok.

- A twoja astma?

- Dam radę.

Sam wsiada na rower, stara się jechać najszybciej, jak tylko może, ale nie jest w formie. Biegnę parę kroków za nim i udaję, że jestem zdyszany. Bernie nam towarzyszy. Kiedy docieramy na miejsce, Sam ocieka potem. Biegnie do swojego pokoju i wraca z plecakiem. Kładzie go na kuchennym blacie i idzie się przebrać. Zerkam do środka. Jest krucyfiks, kilka ząbków czosnku, drewniany kołek, młotek, bryłka sprężystej modeliny i scyzoryk.

- Zdajesz sobie sprawę, że ci ludzie nie są wampirami? - pytam Sama, gdy wraca po minucie.

- Tak, ale nigdy nie wiadomo. Pewnie są szaleńcami, jak powiedziałeś.

- Nawet gdybyśmy ścigali wampirów, po co ci, do diabła, modelina?

- Chcę być przygotowany - mówi ze wzruszeniem ramion. Nalewam miskę wody dla Berniego, który natychmiast ją wychleptuje. Zmieniam w łazience ubranie i wyjmuję z plecaka wydrukowaną trasę podróży. Potem idziemy przez dom do garażu, w którym jest ciemno i śmierdzi benzyną oraz starymi ścinkami trawy Sam zapala światło.

Na dziurkowanych płytach wiszą zardzewiałe od nieużywania narzędzia. Furgonetka stoi na środku garażu, przykryta wielką niebieską plandeką, którą powleka gruba warstwa kurzu.

- Kiedy ta plandeka była ostatnio zdejmowana? - pytam.

- Od zaginięcia taty nigdy.

Chwytam za jeden róg, Sam za drugi i razem ją ściągamy, po czym kładziemy w kącie. Sam patrzy na furgonetkę szeroko otwartymi oczami i z uśmiechem na twarzy. Wóz jest niewielki, ciemnoniebieski, z miejscem w kabinie tylko dla dwóch osób, od biedy trzech, gdyby siedzący w środku chciał znosić niewygodę. Doskonałe miejsce dla Berniego Kosara. Ani odrobina kurzu z minionych ośmiu lat nie przedostała się pod plandekę, więc karoseria lśni jak świeżo wywoskowana. Rzucam swój plecak na pakę.

- Furgonetka mojego taty - mówi z dumą Sam. - Tyle lat. Wygląda dokładnie tak samo.

- Nasza złota karoca. Masz kluczyki?

Idzie do ściany narzędziami i zdejmuje z haka komplet kluczyków. Otwieram drzwi garażu.

- Kto prowadzi? - pytam. - Chcesz zagrać w papier, kamień, nożyce?

- Nie - mówi Sam, po czym otwiera drzwi od strony kierowcy i wsiada za kierownicę.

Silnik długo kręci i w końcu zapala. Sam opuszcza szybę.

52

- Myślę, że mój tata byłby dumny, gdyby zobaczył, że prowadzę. Uśmiecham się.

- Też tak myślę. Wyjedź, a ja zamknę drzwi.

Bierze głęboki oddech, rusza i bardzo wolno, nieśmiało wyprowadza samochód z garażu. Wcisną hamulec za mocno, za wcześnie i furgonetka się zatrzymuje.

- Nie wyjechałeś do końca - mówię.

Zdejmuję stopę z hamulca i wysuwa się dalej na podjazd. Zamykam za nim garaż. Bernie Kosar z własnej woli wskakuje do środka, ja siadam przy nim. Dłonie Sama, pobielające na kostkach, ściskają kierownicę w pozycji za dziesięć drugą.

- Zdenerwowany? - pytam.

- Przerażony

- Poradzisz sobie. Obaj tysiące razy widzieliśmy, jak to się robi.

- Okej. W którą stronę mam skrócić z podjazdu?

- Naprawdę chcemy to zrobić?

- Tak - mówi pewnie.

- Skręcamy w prawo i kierujemy się na wyjazd z miasta.

Obaj zapinamy pasy Opuszczam szybę, tak żeby Bernie Kosar mógł wystawić głowę, co robi natychmiast, stając tylnymi łapami na moich kolanach.

- Skicham się ze strachu - mówi Sam.

- Ja też.

Bierze głęboki oddech, zatrzymuje powietrze w płucach, po czym wolno wydycha.

- I... już... jedziemy - mówi, zdejmując stopę z hamulca przy ostatnim słowie.

Samochód, podskakując, zaczyna zjeżdżać z podjazdu. Sam depcze w hamulec i gwałtownie stajemy Rusza znowu, tym razem jedzie wolniej, aż zatrzymuje się na końcu, patrzy w obie strony i skręca w prawo na drogę. Znowu najpierw wolno, potem nabierając prędkości. Jest spięty, pochylony do przodu i raptem, po pierwszym kilometrze, pogodnie i odchyła się od kierownicy.

- To nie jest takie trudne.

- Jesteś do tego stworzony.

Trzyma się linii namalowanej po prawej stronie drogi. Denerwuje się za każdym razem, kiedy jedzie coś z naprzeciwka, ale wkrótce mu przechodzi i widzę, że nie zwraca na inne samochody większej uwagi. Robi jeden skręt, drugi i po dwudziestu pięciu minutach wjeżdżamy na autostradę międzystanową.

- Nie mogę uwierzyć, że to robimy - mówi w końcu Sam. - To jest, kurde, największe szaleństwo, na jakie się w życiu zdobyłem.

- Mogę powiedzieć to samo.

- Wiesz, co chcesz zrobić, jak dojedziemy na miejsce? Masz jakiś plan?

- Żadnego. Mam nadzieję, że będziemy mogli przyjrzeć się temu miejscu, a potem się zobaczy. Nie mam pojęcia, czy to jest dom, czy jakiś biurowiec, czy cholera wie co. Nawet nie wiem, czy Henri tam jest.

Kiwa głową.

- Myślisz, że wszystko z nim okej?

- Nie wiem.

Oddycham głęboko. Mamy przed sobą półtorej godziny drogi i będziemy w Athens.

I znajdziemy Henriego.

20

Jedziemy na południe, aż naszym oczom ukazuje się Athens, miasteczko kiełkujące wśród drzew, wtulone w podnóża Apalachów. W blednym świetle widać wijącą się łagodnie rzekę, która obejmuje miasto, służąc za jego granicę po wschodniej, południowej i zachodniej stronie, na północy są wzgórza i drzewa. Jak na listopad jest dosyć ciepło.

Mijamy stadion futbolowy collegeu. Tuż za nim stoi przykryta białą kopułą arena.

- Tym zjazdem - mówię.

Sam zjeżdża z autostrady i skręca prosto w Richland Avenue. Obaj jesteśmy wniebowzięci, że udało nam się tu dotrzeć cało i zdrowo i nie złapała nas policja.

- Więc tak wygląda miasto akademickie...

- Chyba tak - mówi Sam.

Po obu stronach mijamy budynki wydziałów i akademiki. Trawa jest zielona, pieczołowicie przycięta, mimo że to już listopad. Podjeżdżamy pod strome wzniesienie.

- Na szczycie jest Court Street i tam skręcimy w lewo.

- Daleko to jest?

- Ponad kilometr.

- Chcesz najpierw przejechać obok tego miejsca?

- Nie, myślę, że powinniśmy zaparkować gdzieś w okolicy i pójść na piechotę.

Jedziemy wzdłuż Court Street, która jest główną arterią centrum miasta. Wszystko jest zamknięte z powodu świąt -

księgarnie, kafejki, bary. I nagle ją zauważam, wyróżnia się z otoczenia jak klejnot.

- Zatrzymaj się! - mówię. Sam wciska hamulec.

- Co jest?!

Trąbi za nami samochód.

- Nic, nic. Jedź dalej. Zaparkujmy gdzieś.

Przejeżdżamy całą przecnicę, nim znajdujemy wolne miejsce. Na oko mamy pięć minut spacerem do właściwego adresu.

- Co to było? Wystraszyłeś mnie jak cholera.

- Tam stała furgonetka Henriego. Sam kiwa głową.

- Dlaczego czasem nazywasz go Henri?

- Nie wiem, tak po prostu. To taki nasz prywatny dowcip - mówię, spoglądając na Berniego Kosara. - Myślisz, że powinniśmy go zabrać?

Sam wzrusza ramionami.

- Może nam przeszkadzać.

Daję Berniemu kilka smakołyków i zostawiam go w wozie z uchyloną szybą. Nie jest zadowolony, zaczyna skomleć i drapać w okno, ale myślę, że niedługo wrócimy. Ruszamy Court Street w przeciwnym kierunku. Zarzucam plecak na ramię, Sam trzyma swój w rękę.

Wyciągnął modelinę i ściska ją tak, jak to robią ludzie z piłeczkami z pianki, kiedy są zdenerwowani. Dochodzimy do furgonetki Henriego. Drzwi są zamknięte. Na siedzeniach ani desce rozdzielczej nie widzę niczego godnego uwagi.

- No tak - mówię. - To oznacza dwie rzeczy. Henri ciągle tu jest i ktokolwiek go przetrzymuje, jeszcze nie znalazł

jego furgonetki, czyli Henri nic nie powiedział. Co zresztą jest oczywiste.

- A co by powiedział, gdyby jednak zaczął mówić?

Na moment o tym zapomniałem. Przecież Sam nie zna prawdziwych powodów, dla których Henri tu przyjechał. Już wcześniej się zapomniałem i niechcący nazwałem go Henrim. Muszę uważać, żeby nie chlapnąć czegoś więcej.

- Nie wiem... To znaczy, kto wie, o co tym typom chodzi.

- Okej, co dalej?

Wyciągam mapę z adresem, który podał mi Henri.

- Idziemy

Wracamy tą samą drogą. Duże budynki ustępują miejsca pojedynczym domom, zaniedbanym i brudnym. Nim się spostrzegam, jesteśmy na miejscu.

Spoglądam na kartkę z adresem, potem na dom. Biorę głęboki oddech.

- To tutaj.

Stoimy, przyglądając się jednopiętrowemu domowi z szarym winylowym sidingiem. Ścieżka prowadzi do niepomalowanego ganku z zepsutą, zwisającą krzywo huśtawką.

Trawa jest wysoka i niepielęgowana. Dom wygląda na niezamieszkały, ale na tylnym podjeździe stoi samochód.

Nie wiem, corobić. Wyjmuję telefon. Jest dwanaście po jedenastej. Wybieram numer Henriego,

choć wiem, że nie odbierze. Próbuję w ten sposób dodać sobie otuchy, wymyślić jakiś plan. Nie wybiegałem myślami zbyt daleko do przodu i teraz, w zderzeniu z rzeczywistością, mam pustkę w głowie. W komórce włącza się od razu poczta głosowa.

- Zapukam do drzwi - mówi Sam.

- I co powiesz?

- Nie wiem, byle co.

Sam nie ma szansy się wykazać, bo w tym momencie z domu wychodzi mężczyzna. Jest wielki, przynajmniej dwa metry wzrostu, ponad sto kilogramów wagi. Ma kozią bródkę i ogoloną głowę. Jest w roboczych butach, dżinsach i czarnej bluzie z podwiniętymi rękawami. Na prawym przedramieniu ma tatuaż, ale stoję za daleko, żeby zobaczyć, co to jest. Spluwa na podwórze, potem odwraca się i zamyka drzwi, schodzi z ganku i rusza w naszą stronę. Szttywnieję, gdy do nas podchodzi. Tatuaż przedstawia kosmitę trzymającego w jednej ręce bukiet tulipanów, jakby je podawał jakiejś niewidocznej istocie. Mężczyzna mija nas bez słowa. Sam i ja obracamy się za nim i patrzymy, jak odchodzi.

- Widziałeś tatuaż? - pytam.

- Tyle jest wart stereotyp, że kosmici fascynują tylko wychudzonych kujonów. Ten facet jest ogromny i wygląda na wrednego.

- Weź mój telefon, Sam.

- Co? Dlaczego? - pyta.

- Musisz go śledzić. Weź mój telefon. Ja wejdę do domu. Wiadomo, że nikogo tam nie ma, inaczej nie zamknąłby drzwi. Henri może być w środku. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mógł.

- Niby jak do mnie zadzwonisz?

- Nie wiem, znajdę jakiś sposób. Masz. Sam z ociąganiem bierze telefon.

- A jeśli Henriego tam nie ma?

- Dlatego chcę, żebyś go śledził. Może on idzie do Henriego.

- A co zrobimy, jak wróci?

- Coś wymyślimy. Idź już, obiecuję, że zadzwonię, jak tylko będę mógł.

Sam odwraca się, patrzy w kierunku mężczyzny, który jest już pięćdziesiąt metrów dalej. Potem z powrotem na mnie.

- Okej, zrobię, jak chcesz. Ale uważaj na siebie.

- Ty też uważaj. Nie spuszczaaj go z oczu. I staraj się, żeby cię nie zauważył.

- Nie ma szans.

Obraca się i pędzi w ślad za mężczyzną. Patrząc, jak się oddalają, i kiedy nikną mi z oczu, ruszam w stronę domu.

Okna są zasłonięte białymi roletami. Nie mogę zajrzeć do środka. Obchodzę dom dookoła. Z tyłu jest betonowe patio prowadzące do tylnych drzwi, które są zamknięte. Robię pełne okrążenie wokół budynku. Przerośnięte chwasty i krzaki nieprzycięte po lecie.

Próbuję otworzyć okno, ale jest zamknięte. Wszystkie są zamknięte. Może jedno wybić? Szukam kamieni pośród jeżyn i w momencie, gdy widzę jeden i podnoszę go z ziemi, wpada mi do głowy pomysł. Pomysł tak szalony, że właściwie może się udać. Upuszczam kamień i idę z powrotem do tylnych drzwi. Mają prosty zamek, bez rygla. Biorę głęboki oddech, zamykam w skupieniu oczy i chwytam za gałkę. Potrząsam nią. Moje myśli migrują z głowy do serca, z serca do żołądka, wszystko się tam koncentruje. Zacieśniam chwyt i wstrzymuję oddech, próbując wywołać wizję pracy zamka. I wtedy słyszę i czuję w swojej dłoni delikatny trzask zapadki. Na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

Przekręcam gałkę i drzwi się otwierają. Nie mogę uwierzyć, że potrafię tak po prostu otworzyć

zamek, wyobrażając sobie jego wewnętrzny mechanizm.

Kuchnia jest zaskakująco czysta, w zlewie nie ma żadnych brudnych naczyń. Na blacie leży świeży bochenek chleba. Idę wąskim korytarzem do salonu, którego ściany są obwieszane plakatami sportowymi, a w kącie stoi telewizor z dużym ekranem. Po lewej stronie są drzwi do sypialni. Zaglądam do środka. Pokój jest w nieładzie, pościel

54

skotłowana na łóżku, bałagan na toalecie. W powietrzu unosi się smród brudnych ubrań przesiąkniętych niewyschniętym potem.

We frontowej części domu przy drzwiach wejściowych są schody prowadzące na piętro. Zaczynam wchodzić na górę. Trzeci stopień trzeszczy pod moją stopą.

- Hej, Frank! - krzyczy głos z góry Zastygam i wstrzymuję oddech.

- Frank, to ty?

Nie odzywam się. Słyszę, jak ktoś wstaje z krzesła, skrzypienie kroków na drewnianej podłodze zbliża się w moją stronę. Nie szczyt schodów pojawia się mężczyzna. Ciemne zmierzwione włosy, bokobrody, nieogolona twarz. Nie tak olbrzymi jak ten, który wyszedł, ale też niemały

- Co jest, do diabła? Kim jesteś?

- Szukam swojego przyjaciela - mówię.

Patrzy na mnie spode łba, znika i za chwilę pojawia się z kijem baseballowym w rękę.

- Jak się tu dostałeś?

- Na twoim miejscu odłożyłbym kij.

- Jak się tu dostałeś?

- Jestem szybszy od ciebie i dużo silniejszy.

- Akurat.

- Szukam swojego przyjaciela. Był tu dziś rano. Chcę wiedzieć, gdzie jest teraz.

- Jesteś Jednym z nich, co?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jesteś jednym z nich! - krzyczy

Trzyma kij jak prawdziwy zawodnik: zaciska ręce na cienkim trzonku, aż mu kostki bieleją, i robi zamach. Ma niekłamaną strach w oczach, zaciśnięte nerwowo szczęki.

- Jesteś jednym z nich! Zostawcie nas wreszcie w spokoju!

- Nie jestem jednym z nich. Przyszedłem po mojego przyjaciela. Powiedz mi, gdzie on jest.

- Twój przyjaciel jest jednym z nich!

- Nie, nie jest.

- Więc wiesz, o kim mówię?

- Tak.

Schodzi o jeden stopień w dół.

- Ostrzegam cię - cedzę przez zęby - Opuść kij i powiedz, gdzie on jest.

Ręce mi się trzęsą z dezorientacji, dlatego, że on ma w rękach kij, a ja nie mam nic oprócz własnych umiejętności.

Niepokoi mnie lęk w jego oczach. Schodzi jeszcze jeden stopień w dół. Teraz dzieli nas tylko sześć schodów.

- Rozwalę ci łeb. To będzie jasne przesłanie dla tych twoich przyjaciół.

- To nie są moi przyjaciele. Zapewniam cię, że krzywdząc mnie, zrobisz im tylko przysługę

- No to zobaczymy - mówi.

Rzuca się schodami w dół. Nie mam innego wyjścia, niż zareagować. Facet zamachuje się kijem.

Robię unik i kij uderza z głuchym łoskotem o ścianę, zostawiając sporą dziurę w drewnianych panelach. Zachodzę go od tyłu i unoszę w powietrze. Jedną ręką ściskam go za gardło, drugą trzymam pod pachą, niosąc go na piętro. Rzuca się, kopie mnie po nogach i w krocze. Kij wypada mu z rąk. Stacza się ze schodów, objijając się o stopnie, słyszę za sobą dźwięk tłuczonego szkła któregoś z okien.

Na piętrze jest otwarta przestrzeń. Jest ciemno. Część ścian jest pokryta egzemplarzami pisemka „Oni chodzą wśród nas”, resztę zajmują inne przedmioty związane z kosmitami. Ale inaczej niż u Sama plakaty są prawdziwymi zdjęciami robionymi przez lata, powiększonymi do takiej ziarnistości, że ciężko rozpoznać, co na nich jest - głównie białe plamki na czarnym tle. W kącie siedzi gumowy manekin kosmita z pętlą na szyi. Ktoś założył mu na głowę meksykańskie sombrero. Na suficie są przyklejone fosforyzujące gwiazdki. Wydają się nie na miejscu, pasowałyby do sypialni dziesięcioletniej dziewczynki.

Rzucam mężczyznę na podłogę. Odsuwa się ode mnie i wstaje. Wtedy skupiam całą swoją moc w żołądku i skierowuję ją na niego gwałtownym pchnięciem ręki, które wyrzuca go w powietrze i ciska o ścianę.

- Gdzie on jest? - pytam.

- Nigdy ci nie powiem, on jest jednym z was.

- Nie jestem tym, za kogo nie masz.

- Nigdy wam się nie uda, nigdy! Zostawcie Ziemię w spokoju! Podnoszę rękę i duszę go. Czuję pod dłonią naprężone ścięgna,

choć go nie dotykam. Nie może oddychać i czerwienieje mu twarz. Puszczam go.

- Zapytam jeszcze raz.

- Nie.

Przyduszam go jeszcze raz, ale tym razem, gdy czerwienieje na twarzy, przyciskam mocniej. Kiedy odpuszczam, zaczyna płakać i jest mi przykro, że go skrzywdziłem. Ale on wie, gdzie jest Henri, coś mu zrobił, i moje współczucie znika równie szybko, jak się pojawiło.

Łapiąc oddech pomiędzy szlochami, mężczyzna mówi:

- Jest na dole.

- Gdzie? Nie widziałem go.

- W piwnicy. Drzwi są za plakatem Steelersów w salonie. Wykręcą numer swojej komórki z telefonu stojącego na biurku.

Sam nie odbiera. Wyciągam kabel telefoniczny ze ściany i rozbijam aparat.

- Daj mi swoją komórkę.

- Nie mam komórki.

Podchodzę do gumowego kosmita i ściągam pętlę z jego szyi.

- Nie rób tego, człowieku... - błaga.

- Zamknij się. Porwałś mojego przyjaciela. Trzymasz go wbrew jego woli. Masz szczęście, że tylko cię związę.

Ściągam mu rękę za plecami i obwiązuję ciasno sznurem, potem przywiązuję go do jednego z krzesel. Obawiam się, że to go nie zatrzyma na zbyt długo. Zaklejam mu taśmą usta, żeby nie mógł krzyczeć. Zbiegam na dół i zdzieram ze

ściany plakat Steelersów, odsłaniając zamknięte czarne drzwi. Otwieram je w taki sposób jak poprzednie. Drewniane schody prowadzą w dół w absolutną ciemność.

Do moich nozdrzy dociera zapach pleśni. Zapalam światło i ruszam na dół powoli, przerażony myślą, co mogę tam znaleźć. Belki stropowe są upstrzone pajęczynami. Docieram do podnóża

schodów i natychmiast czuję obecność innej osoby, kogoś, kto jest tu ze mną. Zamieram, biorę głęboki oddech, a potem się odwracam. Przede mną, w kącie piwnicy, siedzi Henri.

- Henri!

Mruży oczy przed światłem. Usta ma zakneblowane taśmą klejącą, ręce spętane za plecami, kostki przywiązane do nóg krzesła, na którym siedzi. Do tego rozczochrane włosy, na prawym policzku strużka zaschniętej krwi, która wydaje się prawie czarna. Jego widok napętnia mnie furją. Podchodzę i zrywam taśmę z jego ust. Bierze głęboki oddech.

- Dzięki Bogu - mówi słabym głosem. - Miałeś rację, John, to był głupi pomysł. Przepraszam, powinienem być cię posłuchać.

- Cii - szepczę.

Schylam się, żeby uwolnić mu kostki. Śmierdzi uryną.

- Wpadłem w zasadzkę.

- Ilu ich jest? - pytam.

- Trzech.

- Jednego związałem na górze. Henri prostuje z ulgą rozwiązane nogi.

- Siedzę na tym cholernym krześle cały dzień.

Zaczynam uwalniać jego ręce.

- Jak się tu dostałeś? - pyta.

- Przywiózł mnie Sam.

- Żartujesz sobie?

- Nie było innego sposobu.

- Czym przyjechaliście?

- Starą furgonetką jego ojca.

Henri milczy przez chwilę, zastanawiając się, co to oznacza.

- On nic nie wie - mówię. - Powiedziałem mu, że kosmici to twoje hobby, nic więcej.

Kiwa głową.

- No cóż, cieszę się, że ci się udało. Gdzie on jest?

- Śledzi jednego z nich. Nie wiem, dokąd poszli.

Z góry dochodzi skrzypienie drewnianej podłogi. Wstaję, ręce Henriego są tylko do połowy rozwiązane.

- Słyszałeś to? - pytam szeptem.

Obydwaj obserwujemy drzwi z zapartym tchem. Na górnym stopniu pojawia się stopa, potem druga i nagle wyłania się ten sam ogromny mężczyzna, którego śledził Sam.

- Zabawa skończona, chłopaki - mówi. Trzyma broń wycelowaną w moją twarz. - Odsuń się od niego.

Podnoszę ręce i robię krok w tył. Zastanawiam się nad użyciem swoich mocy, żeby wyrwać mu broń, ale jeśli przez przypadek broń wypali? Jeszcze nie całkiem wierzę w swoje umiejętności. To zbyt ryzykowne.

- Powiedzieli nam, że się pojawicie. Że będziecie wyglądać jak ludzie. Że jesteście naszymi prawdziwymi wrogami.

- O czym ty mówisz? - pytam.

- Coś im się roi - mówi Henri. - Myślą, że jesteśmy ich wrogami.

- Zamknij się! - krzyczy mężczyzna.

Robi trzy kroki ku mnie. Potem zabiera broń sprzed mojej twarzy i celuje nią w Henriego.

- Jeden fałszywy ruch i on dostanie kulkę. Rozumiesz?

- Tak.

- Teraz łap to - mówi.

Z półki obok siebie zdejmuję rolkę taśmy klejącej i rzuca ją w moją stronę. Zatrzymuję ją w locie dwa metry nad ziemią, w połowie drogi między nami. Mężczyzna gapi się na taśmę oszołomiony.

- Co za...

Korzystając z jego nieuwagi, wykonuję ruch, jakbym czymś rzucał. Rolka taśmy leci z powrotem i uderza go w nos.

Leje się krew i kiedy mężczyzna sięga do rozbitego nosa, wypuszcza z ręki broń, która uderza o beton i strzela. Kieruję dłoń w stronę pocisku, zatrzymując go w locie, i słyszę za sobą śmiech Henriego. Przesuwam pocisk, tak żeby zawisł

przed twarzą mężczyzny

- Hej, grubasie - mówię.

Otwiera oczy i widzi pocisk zawieszony w powietrzu przed swoją twarzą.

- Będziesz musiał przynieść więcej.

Pozwalam kulce upaść na posadzkę u jego stóp. Facet rzuca się do ucieczki, ale ściągam go z powrotem przez całe pomieszczenie i rzuca nim o wielki słup podpierający sufit. Olbrzym traci przytomność i osuwa się na ziemię. Biorę taśmę i przywiązuję go do słupa. Dopiero kiedy mam pewność, że jest unieszkodliwiony, wracam do Henriego i kończę go rozwiązywać.

- John, to chyba najpiękniejsza niespodzianka, jaka spotkała mnie w całym życiu - mówi szeptem z taką ulgą w głosie, jakby miał się za chwilę rozplakać.

Uśmiecham się z dumą.

- Dzięki. To wyszło przy dzisiejszym obiedzie.

- Tak żałuję, że mnie przy tym nie było.

- Powiedziałem Hartom, że coś cię zatrzymało. Uśmiecha się.

- Dzięki Bogu, że ujawniło się to Dziedzictwo.

Nagle zdaję sobie sprawę, że stres związany z ujawnieniem się moich mocy - albo strach związany z ich brakiem -

odbija się na Henrim bardziej, niż sobie wyobrażałem.

- Więc co tu się wydarzyło? - pytam.

- Zapukałem do drzwi. Wszyscy trzej byli w domu. Kiedy wszedłem do środka, jeden z nich dzielił mnie kijem w głowę. Potem obudziłem się w tym krześle.

56

Potrząsa głową i wypowiada długą wiązaną przekleństw po loryj-sku. Kończę go rozwiązywać. Wstaje i rozprostowuje nogi.

- Musimy się stąd wydostać - mówi.

- Musimy znaleźć Sama. I wtedy go słyszymy.

- John, jesteś tam?

21

Wszystko zwalnia. Widzę drugą osobę na szczycie schodów. Sam wydaje z siebie jęk zaskoczenia. Odwracam się w jego stronę, cisza wypełnia moje uszy tym niepokojącym szumem akustycznym, jaki towarzyszy projekcji w zwolnionym tempie. Mężczyzna za jego plecami popycha go gwałtownie i stopy Sama odrywają się od ziemi. Kiedy

uderzy o ziemię, będzie już u podnóża schodów, gdzie czeka na niego betonowa podłoga. Patrząc, jak szybuje w powietrzu, macha rękami z wyrazem przerażenia na twarzy. Mój instynkt przejmuje kontrolę nad myślami i w ostatniej chwili podnoszę ręce, żeby go złapać. Głowa Sama zatrzymuje się

kilka centymetrów nad posadzką. Delikatnie układam go na podłodze.

- Cholera - mówi Henri.

Sam siada i wycofuje się rakiem, aż dociera do ściany z pustaków. Ma szeroko otwarte oczy, gapi się na stopnie schodów, rusza ustami, ale nie wydobywa z siebie ani słowa. Postać, która go popchnęła, stoi na szczycie schodów, próbując zrozumieć, tak jak Sam, co się stało. To ' musi być ten trzeci. I

- Sam, próbowałem... - mówię. I Mężczyzna na górze odwraca się i rzuca do ucieczki, ale ja go ścigam dwa stopnie w dół. Sam widzi człowieka, którego trzyma niewidzialna siła, i moje ramię wyciągnięte w jego stronę. Jest zszokowany i oniemiały. Biorę taśmę klejącą, unoszę mężczyznę w powietrze i przemieszczam go na piętro, utrzymując przez całą drogę zawieszonoego w powietrzu. Kiedy przywiązuję go do krzesła, wykrzykuje przekleństwa, ale ja ich nie słyszę - mój skupiony umysł pracuje na maksymalnych obrotach, próbując wymyślić, co powiemu Samowi.

- Zamknij się - mówię.

Wyrzuca kolejny potok obelg. Mam dość, więc zaklejam mu usta i wracam do piwnicy Henri stoi obok Sama, który wciąż siedzi pod ścianą, z tym samym tępyim spojrzeniem.

- Nie rozumiem - bąka. - Co tu się stało?

Henri i ja wymieniamy spojrzenia. Wzruszam ramionami.

- Powiedźcie mi, co się dzieje. - W błagalnym głosie Sama jest desperacja, by poznać prawdę, by się przekonać, że nie zwariował i że to, co widział, nie było wytworem jego wyobraźni.

Henri wzdycha i kręci głową. Potem mówi:

- A właściwie to o co chodzi?

- O co chodzi z czym? - pytam.

Ignoruje mnie i odwraca się do Sama. Zaciska usta w zamyśleniu, patrzy na mężczyznę zwieszonoego bezwładnie na krzesle, by upewnić się, że ciągle jest nieprzytomny, a potem na Sama.

- Nie jesteśmy tym, kim myślisz - mówi krótko i robi pauzę.

Sam wpatruje się w Henriego bez słowa. Nic nie odczytuję z jego twarzy i nie mam pojęcia, co Henri mu powie -

czy znowu wymyśli jakąś wydumaną historię, czy wreszcie powie mu prawdę, a mam szczerą nadzieję, że to drugie.

Kiedy spogląda na mnie, kiwam głową na zgodę.

- Przybyliśmy na Ziemię dziesięć lat temu z planety Lorien. Przybyliśmy, bo nasza planeta została zniszczona przez mieszkańców innej planety o nazwie Mogadore. Zniszczyli Lorien dla jej bogactw naturalnych, ponieważ własne środowisko życia zamienili w cywilizacyjną kloakę. Jesteśmy tu, żeby się ukrywać do dnia, kiedy będziemy mogli wrócić na Lorien, co kiedyś nastąpi. Ale Mogadorczycy podążyli za nami. Polują na nas. I mam podstawy sądzić, że chcą zawładnąć Ziemią. Właśnie dlatego tu dzisiaj przyszedłem, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Sam milczy. Jestem pewien, że gdybym ja mu to wszystko powiedział, nie uwierzyłby mi i tylko by się rozżłościł.

Ale powiedział mu to Henri, a w nim jest wyjątkowa uczciwość i prawość, którą zawsze wyczuwałem i którą Sam też musi wyczuwać.

Miałem rację, jesteście kosmitami. Nie żartowałeś wtedy - Sam mówi do mnie.

- Tak, miałeś rację. Patrzy z powrotem na Henriego.

- A te historyjki, które opowiadałeś mi w Halloween?

- Nie, to były tylko historyjki - przyznaje Henri. - Idiotyczne bajeczki z internetu, które mnie rozśmieszały, nic więcej. Ale to, co powiedziałem ci teraz, jest najprawdziwszą prawdą.

- No tak... - Sam szuka właściwych słów. - Więc co się stało tutaj przed chwilą?

- John rozwija w sobie pewne moce. Jedną z nich jest telekineza. Kiedy zostałeś popchnięty, John cię uratował.

Sam ciągle się uśmiecha, przygląda mi się z boku. Kiedy odwracam do niego wzrok, kiwa głową.

- Wiedziałem, że jesteś inny

- To oczywiste - mówi Henri do Sama - że będziesz musiał zachować to wszystko dla siebie. -

Potem spogląda na mnie. - Musimy zdobyć informacje i wydostać się stąd. Oni są na pewno w pobliżu.

- Faceci na piętrze mogą być przytomni.

- Chodźmy z nimi pogadać.

Henri podnosi z podłogi broń i wyciąga magazynek. Jest pełny. Wyjmuje wszystkie pociski, kładzie je na półce obok, potem wkłada magazynek z powrotem i wsuwa pistolet za pasek swoich dzinsów. Pomagam Samowi wstać i wszyscy trzej idziemy na piętro. Mężczyzna, którego telekineza przeniosłem na górę, ciągle się szamocze. Ten drugi siedzi bez ruchu. Henri podchodzi do niego.

- Zostałeś ostrzeżony - oświadcza. Mężczyzna przytakuje skinięciem głowy.

- Teraz będziesz mówił. - Henri zrywa mu z ust taśmę. - A jak nie będziesz... - Odbezpiecza broń i celuje w pierś mężczyzny. - Kto 1 cię odwiedzał?

- Było ich trzech.

- Nas też jest trzech i kogo to obchodzi. Mów dalej.

- Powiedzieli mi, że jeśli się zjawicie i puszczą parę z ust, to mnie zabiją. Nic więcej wam nie powiem.

Henri przyciska lufę do jego czoła. Jakoś nie czuję się z tym najlepiej. Sięgam do pistoletu i kieruję wylot lufy na podłogę. Henri patrzy na mnie z zaciekawieniem.

- Są inne sposoby - mówię.

Henri wzrusza ramionami i opuszcza broń.

- W takim razie proszę, masz pole do popisu.

Staję jakieś półtora metra przed mężczyzną. Patrzy na mnie ze strachem w oczach. Jest ciężki, ale po tym, jak złapałem Sama w locie, wiem, że mogę go bez trudu podnieść. Wyciągam ramiona, moje ciało napina się w koncentracji. Początkowo nic się nie dzieje, a potem bardzo wolno mężczyzna zaczyna unosić się nad podłogą.

Samocze się, ale przymocowany taśmą do krzesła nie może nic zrobić. Skupiam się całym sobą, ale kątem oka widzę, że Henri uśmiecha się z dumą, podobnie jak Sam. Wczoraj nie potrafiłem unieść nawet piłeczki tenisowej, a teraz podnoszę krzesło ze stukilowym człowiekiem. Szybko rozwinęła się moja moc. Po podniesieniu go na wysokość swojej twarzy odwracam krzesło i wisi teraz do góry nogami.

- Przestań! - krzyczy

- Zaczynaj mówić.

- Nie! Powiedzieli, że mnie zabiją.

Puszczam go i krzesło zaczyna spadać. Mężczyzna krzyczy przeraźliwie, ale zatrzymuję go tuż nad podłogą. I podnoszę z powrotem.

- Było ich trzech! - mówi szybko. - Pojawili się tego samego dnia, kiedy rozesłaliśmy nowy numer. Przyszli tego samego wieczoru.

- Jak wyglądali? - pyta Henri.

- Jak upiory. Byli bladzi, prawie jak albinosi. Mieli okulary przeciwsłoneczne, ale kiedy nie chcieliśmy mówić, jeden z nich je zdjął. Mieli czarne oczy i spiczaste zęby, które wyglądały

nienaturalnie, nie jak u zwierząt. Ich wyglądały tak, jakby zostały złamane i opiłowane w szpic. Wszyscy mieli na sobie długie płaszcze i kapelusze jak ze starego filmu szpiegowskiego. Czego więcej chcecie?

- Po co przyszli?

- Chcieli znać źródło naszego tekstu. Powiedzieliśmy im. Ktoś zadzwonił, powiedział, że ma dla nas materiał na wyłączność, zaczął wykrzykiwać coś o grupie kosmitów chcących zniszczyć naszą cywilizację. Ale zadzwonił akurat w dniu, kiedy pismo szło do druku, więc zamiast całej historii daliśmy krótką wzmiankę z zapowiedzią dalszego ciągu.

Mówił tak szybko, że ledwie można było zrozumieć, o co mu chodzi. Mieliśmy do niego zadzwonić następane-I

go wieczoru, ale to nie doszło do skutku, bo wcześniej pojawili się Mogadorczycy.

- Skąd wiedzieliście, że to Mogadorczycy?

- A kim innym, do diabła, mogli być? Napisaliśmy artykuł o rasie kosmitów z Mogadore, a tu niespodzianka, grupa kosmitów pojawia się tego samego dnia, żądając źródła informacji. Nietrudno było się domyślić.

Mężczyzna jest ciężki, zaczynam mieć trudności z utrzymaniem go w powietrzu. Pot występuje mi na czoło i z trudem oddycham.

Przekręcam go z powrotem i zaczynam powoli opuszczać. Kiedy jest jakieś pół metra nad podłogą, upuszczam go i spada z głośnym stęknieniem. Pochylam się i z rękami opartymi na kolanach próbuję złapać oddech.

- Co jest, człowieku? Przecież odpowiadam na twoje pytania.

- Przepraszam - mówię. - Jesteś za ciężki.

- I to była ich jedyna wizyta? - pyta Henri.

Mężczyzna kręci głową.

- Wrócili.

- Po co?

- Zeby się upewnić, że nie wydrukowaliśmy nic więcej. Nie sądzę, żeby nam ufali, ale ten człowiek, który do nas zadzwonił, nie odebrał więcej telefonu, więc i tak nie mieliśmy o czym pisać.

- Co się z nim stało?

- A jak myślisz? - pyta mężczyzna. Henri kiwa głową.

- Więc wiedzieli, gdzie on mieszkał?

- Mieli numer telefonu, na który mieliśmy oddzwonić. Na pewno łatwo znaleźli adres.

- Grozili wam?

- Jasne, że tak. Zdemolowali nam biuro. Pobełtali mi w głowie. Od tej pory nie jestem sobą.

- W jaki sposób pobełtali ci w głowie? Zamyka oczy i znowu bierze głęboki oddech.

- Wyglądali jak nie z tego świata - mówi. - Wyobraź sobie, stoi przed nami trzech mężczyzn mówiących głębokimi, chrapliwymi głosami, wszyscy w prochowcach i okularach przeciwsłonecznych, mimo że była noc. Zupełnie jakby się wystroili na Halloween czy coś takiego. Wyglądali zabawnie i trochę odjazdowo, więc zacząłem się z nich śmiać... -

ciągnie załamującym się głosem. - Ale już w momencie, kiedy się zaśmiałem, zrozumiałem, że to był błąd. Pozostali dwaj zdjęli okulary i ruszyli w moją stronę. Próbowałem oderwać od nich wzrok, ale nie mogłem. Te oczy, musiałem w nie patrzeć, jakby coś mnie wciągało do środka. Jakbym widział śmierć. Własną i ludzi, których kocham. Już nie było mi do śmiechu. Nie tylko musiałem być świadkiem śmierci, ale czułem ją. Niepewność. Ból. Potworne przerażenie. Nie byłem już w tamtym pokoju, tylko zupełnie gdzieś indziej. Potem przyszły wszystkie te rzeczy, których bałem się jako

dziecko. Pluszaki, które nagle ożyły, z ostrymi zębiskami i ostrzami w miejscu pazurów. Wszystko, czego zwykle boją się dzieci. Wilkołaki, demoniczne klauny, ogromne pająki. Oglądałem to wszystko oczami dziecka i byłem śmiertelnie przerażony. Za każdym razem, gdy któryś z tych stworów wgryzał się we mnie, czułem, jak jego zęby wyszarpują mi kawałek ciała. Czułem, jak krew leje się z ran. Nie mogłem przestać krzyczeć.

- Próbowales w ogóle walczyć?

- Mieli ze sobą takie dwa stworzenia, wyglądały jak łasice, grube, na krótkich łapach. Nie większe od psa. Miały pianę na pyskach. Jeden z tych typów trzymał je na smyczy, widzieliśmy, że mają na nas ochotę. Powiedzieli, że puszczą je luzem, jeśli będziemy się stawiać. Mówię ci, człowieku, to nie były ziemskie stworzenia. Gdyby to były psy, próbowałbym walczyć. Ale te stwory mogłyby nas pożreć w całości, chociaż nie były za wielkie. I wyrywały się na tych smyczach, warczały, normalnie chciały nas dopaść.

- Więc zacząłeś mówić?

- Tak.

58

- A kiedy przyszli znowu?

- Dzień przed wydaniem ostatniego numeru, ponad tydzień temu. Henri rzuca mi zaniepokojone spojrzenie.

Zaledwie tydzień temu

Mogadorczycy pokazali się niewiele dalej niż sto kilometrów od nas. Mogą tu ciągle gdzieś być, może śledzą los każdej gazetki. Może to dlatego Henri czuje od pewnego czasu ich obecność. Sam stoi obok mnie, próbując to wszystko zrozumieć.

- Dlaczego po prostu was nie zabili, tak jak waszego informatora?

- Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Może dlatego, że wydajemy poważaną gazetę?

- Skąd facet, który dzwonił, wiedział o Mogadorczykach?

- Powiedział, że jednego złapał i torturował.

- Gdzie?

- Nie wiem, jego numer telefonu był z okolic Columbus. Czyli na północ stąd. Dziewięćdziesiąt, może sto kilometrów stąd.

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak. Nie byłem pewien, czy jest świrem, czy nie, ale słyszeliśmy podobne plotki wcześniej. Zaczął mówić o tym, że oni chcą zgładzić naszą cywilizację. Chwilami mówił tak szybko, że trudno było zrozumieć sens jego słów. Ale powtarzał na okrągło, że oni na coś czy na kogoś polują. Potem zaczął sypać liczbami.

Wytrzeszczam oczy

- Jakimi liczbami? Czego dotyczyły te liczby?

- Nie mam pojęcia. Mówiłem już, że gadał tak szybko, że jedyne, co mogłem zrobić, to próbować wszystko zapisać.

- Pisałeś w trakcie rozmowy? - pyta Henri.

- Oczywiście, jesteśmy dziennikarzami - mówi z niedowierzaniem. - Myślisz, że zmyślamy historie, które opisujemy?

- Tak myślę.

- Masz jeszcze te notatki? - pytam. Kiwa głową.

- Zapewniam cię, że są bezużyteczne. Większość z tego, co naba-zgrolilem, jest o planach zgładzenia ludzkiej rasy.

- Muszę je zobaczyć - prawie krzyczę. - Gdzie one są? Wskazuje biurko pod ścianą.

- Na wierzchu. Na żółtych karteczkach do przylepiania. Podchodzę do biurka, które jest zarzucone papierami, i zaczynam

przeglądać żółte karteczki. Znajduję niejasne zapiski o tym, jak Mogadorczycy chcą podbić Ziemię. Nic konkretnego, żadnych planów ani detali, tylko kilka niewyraźnych słów.

„Przeludnienie”.

„Zasoby naturalne Ziemi”.

„Broń biologiczna?”

„Planeta Mogadore”.

Wreszcie znajduję notatkę, której szukam. Czytam ją uważnie trzy, cztery razy.

PLANETA LORIEN? LORYJCZYCY?

1-3 NIE ŻYJĄ

4?

7 NAMIERZONY W HISZPANII

9 UKRYWA SIĘ W AP

(O CZYM ON MÓWI? JAKI ZWIĄZEK MAJĄ TE NUMERY Z PODBOJEM ZIEMI?)

- Dlaczego po numerze czwartym jest znak zapytania? - pytam.

- Bo powiedział coś o tym, ale mówił za szybko i nic nie zrozumiałem.

- Żarty sobie stroisz?

Potrząsa głową. Wzdycham. Takie mam szczęście, myślę. Akurat tego jednego zdania, które powiedział o mnie, nie udało się zapisać.

- Co znaczy AP? - pytam.

- Ameryka Południowa.

- Powiedział gdzie w Ameryce Południowej?

- Nie.

Kiwam głową, wpatrując się w skrawek papieru. Żałuję, że nie mogłem słyszeć tej rozmowy, zadać własnych pytań.

Czy Mogadorczycy rzeczywiście wiedzą, gdzie jest Siódemka? Czy naprawdę ją lub jego śledzą? Jeśli tak, to loryjski czar ciągle działa. Zwijam karteczki, wsuwam je do swojej tylnej kieszeni.

- Wiecie, co oznaczają te liczby? - pyta mężczyzna.

- Nie mam pojęcia.

- Nie wierzę ci.

- Zamknij się - mówi Sam i szturcha go w brzuch grubym końcem kija baseballowego.

- Czy jest coś jeszcze, co możesz mi powiedzieć? - pytam. Zastanawia się przez chwilę, potem mówi:

- Myślę, że przeszkadza im jaskrawe światło. Miałem wrażenie, że zdejmowanie okularów słonecznych sprawia im ból.

Słyszemy hałas z dołu. Jakby ktoś powoli próbował otworzyć drzwi. Wymieniamy spojrzenia. Ja patrzę na mężczyznę na krześle.

- Kto to? - pytam szeptem.

- Oni.

- Co?

- Powiedzieli, że będą nas obserwować. Wiedzieli, że ktoś się może pojawić.

Słyszemy ciche kroki na parterze. Henri i Sam patrzą po sobie przerażeni.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś?

- Zagrozili, że mnie zabiją. Mnie i moją rodzinę.

Podbiegam do okna, wyglądam na tylne podwórze. Jesteśmy na piętrze, do ziemi mamy jakieś sześć metrów.

Dookoła podwórka jest ogrodzenie. Drewniane sztachety wysokości dwóch i pół metra. Podchodzę z powrotem do schodów i patrzę w dół. Widzę trzy postacie w długich czarnych prochowcach, czarnych kapeluszach i okularach słonecznych. Mają ze sobą długie lśniące miecze. Nie ma szans, żeby zejść po schodach. Moje Dziedzictwa nabierają mocy, ale nie są jeszcze wystarczająco silne, żebym mógł się zmierzyć się z trzema Mogadorczykami. Jediną drogą ucieczki jest któreś okno albo przylegający do pokoju mały taras od frontu. Okna są mniejsze, ale z tylnego podwórza mamy szansę uciec niezauważeni. Jeśli wyjdziemy od frontu, będziemy widoczni jak na dłoni. Słyszę głosy dochodzą-

ce z piwnicy i Mogadorczyków rozmawiających w okropnym, gardłowym języku. Dwóch z nich idzie w stronę piwnicy, trzeci rusza ku schodom.

Mam sekundę czy dwie na reakcję. Żeby wyjść przez okna, muszę je wybić. Jediną szansą są drzwi prowadzące na taras. Otwieram je, używając telekinezy. Na zewnątrz jest całkiem ciemno. Słyszę kroki na schodach. Przyciągam do siebie Henriego i Sama, zarzucam ich na ramiona jak worki kartofli.

- Co robisz? - szepcze Henri.

- Nie mam pojęcia - mówię. - Ale mam nadzieję, że się uda.

W momencie, gdy widzę czubek kapelusza pierwszego Moga-dorczyka, rzucam się do drzwi i tuż przed krawędzią ganku skaczę. Lecimy w nocne niebo. Przez dwie, trzy sekundy unosimy się w powietrzu. Widzę samochody jadące ulicą pod nami. Widzę ludzi na chodniku. Nie wiem, gdzie wylądujemy ani czy moje ciało wytrzyma ciężar, który na sobie dźwigam. Kiedy trafiamy w dach domu po drugiej stronie ulicy, upadam na niego wraz z Henrim i Samem. Nie mogę złapać oddechu i czuję się, jakbym miał połamane nogi.

Sam zaczyna się podnosić, ale Henri go przytrzymuje. Ciągnie mnie do krawędzi dachu i pyta, czy mogę użyć telekinezy, żeby spuścić ich obu na ziemię. Mogę i robię to. Mówi, że muszę zeskoczyć. Staję na drżących, obolałych nogach i na moment przed skokiem odwracam się: widzę Mogadorczyków, którzy stoją na ganku po drugiej stronie ulicy i wyglądają na zdezorientowanych. Ich miecze lśnią w ciemności. Uciekamy nim nas zauważą.

Wracamy do furgonetki Sama. Henri i Sam pomagają mi iść. W samochodzie czeka na nas Bernie. Postanawiamy zostawić furgonetkę Henriego, bo Mogadorczycy raczej wiedzą, jak ona wygląda, i mogliby nas namierzyć.

Wyjeżdżamy z Athens i Henri bierze kurs na Paradise, miasteczko, które po tym, co nas dzisiaj spotkało, może się wydać prawdziwym rajem.

Henri zaczyna od początku, opowiada Samowi o wszystkim. Mówi przez całą drogę, bez przerwy, aż do chwili, kiedy wjeżdżamy na nasz podjazd. Ciągłe jest ciemno. Sam odwraca się do mnie.

- Nie do wiary - mówi z uśmiechem. - To najfajniejsza rzecz, jak w życiu słyszałem.

Patrzę na niego i czytam w jego oczach potwierdzenie, którego szukał od lat. Potwierdzenie, że cały ten czas, który spędził z nosem w piśmidłach specjalizujących się w kosmicznych teoriach spiskowych - po to, żeby znaleźć jakiś klucz do zaginięcia swojego ojca - nie był stracony Naprawdę jesteś odporny na ogień? - pyta.

- Tak.

- Boże, to niesamowite.

- Dzięki, Sam.

- Umiesz latać?

W pierwszej chwili myślę, że żartuje, ale potem widzę, iż pyta poważnie,

- Nie umiem latać. Jestem odporny na ogień i umiem świecić dłońmi. Mam moc telekinezy, której nauczyłem się używać dopiero wczoraj. Reszta Dziedzictw powinna się wkrótce rozwinąć. Przynajmniej tak nam się wydaje. Ale nie mam pojęcia, jakie to będą moce, póki się nie pojawią.

- Mam nadzieję, że będziesz mógł stawać się niewidzialny.

- Mój dziadek to potrafił. Wszystko, czego dotknął, stawało się niewidzialne.

- Poważnie?

- Tak.

Zaczyna się śmiać.

- A ja cały czas nie mogę uwierzyć, że sami przyjechaliście do Athens - mówi Henri. - Niezłe z was ziółka. Kiedy zatrzymaliśmy się po benzynę, sprawdziłem, że rejestracja samochodu jest nieważna od czterech lat. Nie wiem, jakim cudem nie zatrzymała was policja.

- W każdym razie od tej pory możecie na mnie liczyć - mówi Sam. - Zrobię wszystko, żeby pomóc ich powstrzymać. Zwłaszcza że jestem pewien, że to oni porwali mojego ojca.

- Dzięki, Sam - mówi Henri. - Najważniejsze, co możesz dla nas zrobić, to zachować milczenie. Jeśli ktoś jeszcze się o tym dowie, możemy być w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Spokojnie. Nigdy nikomu nie powiem. Nie chcę, żeby John użył swoich mocy na mnie.

Śmiejemy się i jeszcze raz mu dziękujemy, potem Sam odjeżdża. Wchodzimy z Henrim do domu.

Mimo że spałem trochę w samochodzie, jestem wyczerpany. Kładę się na kanapie. Henri siada w fotelu naprzeciwko mnie.

- Sam nic nie powie - odzywam się.

Henri nie odpowiada, tylko wpatruje się w podłogę.

- Oni nie wiedzą, gdzie jesteśmy. Podnosi na mnie wzrok.

- Nie wiedzą - powtarzam. - Gdyby wiedzieli, już by za nami przyjechali.

Nadal nic nie mówi. Nie wytrzymuję tego.

- Nie wyjadę z Ohio z powodu nieudowodnionych podejrzeń. Henri wstaje.

- Cieszę się, że znalazłeś przyjaciela. Uważam, że Sara jest wspaniałą dziewczyną. Ale nie możemy zostać. Zaczynamy pakować.

- Nie.

- Kiedy będziemy już spakowani, pojedę do miasta i kupię nową furgonetkę. Musimy stąd zniknąć.

Może za nami nie pojechali, ale wiedzą, jak niewiele brakowało, żeby nas złapać, i wiedzą, że możemy być gdzieś blisko. Jestem przekonany, że mężczyzna, który zadzwonił do tego pisma, rzeczywiście jednego z nich złapał. Taką opowiedział

historię: że dorwał któregoś i torturował, aż tamten zaczął mówić, a potem go zabił. Nie wiemy, jaką oni mają technikę śledzenia, ale nie sądzę, żeby znalezienie nas zajęło im dużo czasu. A kiedy nas znajdą, będzie po nas. Twoje

60

Dziedzictwa wreszcie się ujawniają i twoja siła rośnie, ale jeszcze długo nie będziesz gotowy, żeby się zmierzyć z Mogadorczykami.

Wychodzi z pokoju. Podnoszę się na kanapie. Nie chcę stąd wyjeżdżać. Po raz pierwszy w życiu mam prawdziwego przyjaciela. Przyjaciela, który wie, kim jestem, i nie boi się, nie uważa mnie za dziwadło. Przyjaciela, który gotów jest razem ze mną walczyć i razem ze mną narażać się na niebezpieczeństwo. I mam dziewczynę. Kogoś, kto chce być ze mną, jeszcze nie wiedząc, kim naprawdę jestem. Dziewczynę, z którą jestem szczęśliwy, za którą jestem gotów walczyć i narażać się

na niebezpieczeństwo, żeby ją chronić.

Moje moce nie ujawniły się jeszcze w całości, ale mam ich dostatecznie dużo. Pokonałem trzech dorosłych mężczyzn. Nie mieli ze mną szans. Zupełnie jakbym walczył z małymi dziećmi. Mogłem z nimi robić, co chciałem.

Poza tym już wiemy, że ludzie też mogą walczyć, że są w stanie złapać, unieszkodliwić i nawet zabić Mogadorczyka.

Jeśli oni mogą, my też z pewnością damy radę. Nie chcę wyjeżdżać. Mam przyjaciela, mam dziewczynę. Nie wyjadę.

Henri wychodzi ze swojego pokoju. Niesie Loryjski Kuferek, naszą najcenniejszą rzecz.

- Henri.

- Tak?

- Nie wyjeżdżamy

- Właśnie, że wyjeżdżamy

- Jeśli chcesz, możesz wyjechać, wtedy ja zamieszka u Sama. Nie wyjeżdżam.

- Nie do ciebie należy decyzja.

- Jak to nie? Myślałem, że to na mnie polują. Że to ja jestem w niebezpieczeństwie. Ty mógłbyś w każdej chwili odejść i Mogadorczycy w ogóle by cię nie szukali. Mógłbyś żyć normalnie, długo i spokojnie. Mógłbyś robić, cokolwiek zechcesz. Ja nie mogę. Oni zawsze będą mnie ścigać. Zawsze będą próbowali mnie znaleźć i zabić. Mam piętnaście lat. Nie jestem już dzieckiem. To jest moja decyzja.

Wpatruje się we mnie przez całą minutę.

- To była ładna przemowa, ale niczego nie zmienia. Pakuj się. Wyjeżdżamy.

Wyciągam rękę w jego kierunku i unoszę go nad podłogę. Jest tak zdziwiony, że nic nie mówi.

Wstaję i przenoszę go w róg pokoju, wysoko pod sufit.

- Zostajemy - mówię.

- Opuść mnie na podłogę, John.

- Opuść mnie, kiedy zgodzisz się zostać.

- To zbyt niebezpieczne.

- Nie wiemy tego. Ich nie ma w Paradise. Mogą nie mieć pojęcia, gdzie jesteśmy.

- Opuść mnie.

- Nie, dopóki nie zgodzisz się zostać.

- Opuść mnie.

Nie odpowiadam. Po prostu trzymam go pod sufitem. Szamocze się, próbuje odepchnąć się od sufitu i ściany, ale nie może się ruszyć. Moja moc trzyma go w miejscu. Nagle czuję się bardzo silny. Silniejszy niż kiedykolwiek w życiu.

Nie wyjeżdżam. Nie będę uciekał. Kocham swoje życie w Paradise. Jestem szczęśliwy, że mam przyjaciela, i kocham swoją dziewczynę. Jestem gotowy walczyć o to, co kocham. Zmuszony, będę walczył z Mogadorczykami, ale z Henrim również.

- Wiesz, że nie znajdziesz się na podłodze, dopóki ja cię nie sprowadzę na podłogę.

- Zachowujesz się jak dziecko.

- Nie, zachowuję się jak ktoś, kto zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, kim jest i co potrafi.

- I naprawdę będziesz mnie trzymał tu, w górze?

- Dopóki nie zasną albo się nie zmęcą, ale zrobię to znowu, jak tylko odpoczną.

- Dobrze, możemy zostać. Ale pod pewnymi warunkami.

- Jakimi?

- Opuść mnie, to porozmawiamy

Opuszczam go powoli i stawiam na podłodze. Przytula mnie. Jestem kompletnie zaskoczony, myślałem, że się wkurzy. Puszczą mnie i siadamy razem na kanapie.

- Jestem dumny z twoich postępów. Wiele lat czekałem, szykując cię na to, co powinno się wydarzyć, na pojawienie się twoich Dziedzictw. Wiesz, że całe moje życie służy zapewnieniu ci bezpieczeństwa i warunków, żebyś rozwinął swoje moce. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. Gdybyś zginął na mojej warcie, nie wiem, jak mógłbym dalej żyć. Kiedyś Mogadorczycy na pewno nas znajdą. Chcę, żebyśmy byli gotowi na ich przyście. Nie sądzę, żebyś już był gotowy, nawet jeśli ty tak sądzisz. Masz przed sobą jeszcze długą drogę. Możemy na razie tu zostać, jeśli się zgodzisz, że najważniejszy będzie trening. Ważniejszy niż Sara, niż Sam, niż cokolwiek innego. A na pierwszy znak, że są blisko albo na naszym tropie, wyjeżdżamy bez żadnych pytań, kłótni i bez trzymania mnie pod sufitem.

- Zgoda - przytakuję z uśmiechem.

22

Zima przychodzi wcześniej i z rozmachem do miasteczka Paradise w Ohio. Najpierw wiatr, potem mróz, na koniec śnieg. Najpierw lekko prószy, potem potężna nawałnica grzebie ziemię pod śniegiem tak skutecznie, że dźwięk szorowania pługów śnieżnych jest równie wszechobecny jak gwizd wiatru, a wszystko pokrywa się warstwą soli. Na dwa dni zamykają szkołę. Śnieg przy drogach przechodzi od bieli do obskurnej czerni i w końcu topnieje w stojące kałuże brei, która nie chce wsiąkać.

Henri i ja spędzamy czas na treningach, na dworze i w domu. Żongluję już trzema piłeczkami bez ich dotykania, co oznacza, że potrafię robić więcej niż jedną rzecz naraz. Dochodzą coraz większe i cięższe przedmioty: stół kuchenny, odśnieżarka, którą Henri kupił w zeszłym tygodniu, nasza nowa furgonetka, która wygląda jak miliony innych w

Ameryce. Wszystko, co mogę podnieść siłą mięśni, potrafię też już podnieść siłą swojego umysłu. Henri jest przekonany, że z czasem siła mojego umysłu przewyższy tę fizyczną.

W ogródku za domem drzewa pełnią wokół nas straż, zamrożone gałęzie wyglądają jak szklane figurki, na każdej piętrzy się kilka centymetrów białego puchu. Śnieg sięga nam do kolan, poza niewielkim skrawkiem, który odśnieżył

Henri. Bernie Korsar przygląda się wszystkiemu ze swojego miejsca na ganku. Nawet on nie ma ochoty na bliskie spotkania ze śniegiem.

- Jesteś przekonany? - pytam.

- Musisz się nauczyć, jak sobie z tym radzić - mówi Henri.

Za nim stoi Sam i przygląda nam się z niezdrową ciekawością. Po raz pierwszy jest świadkiem mojego treningu.

- Jak długo to się będzie palić? - pytam.

- Nie wiem.

Mam na sobie łatwopalny kombinezon, zrobiony głównie z naturalnych włókien nasączonych różnymi rodzajami olejów; niektóre z nich palą się wolno, inne szybko. Chcę to już wszystko podpalić, choćby po to, żeby pozbyć się wstrętnych zapachów, od których łzawią mi oczy. Biorę głęboki oddech.

- Jesteś gotowy? - pyta.

- Tak.

- Nie oddychaj. Nie jesteś odporny na dym i mógłbyś poparzyć sobie wnętrzności.

- Mnie to się wydaje głupie.

- To jest element twojego szkolenia. Sztuka zachowania zimnej krwi. Musisz się nauczyć

wielozadaniowości, nawet w płomieniach.

- Ale po co?

- Bo kiedy dojdzie do starcia, oni będą mieli wielką przewagę liczebną. Ogień będzie naszym sojusznikiem. Musisz się nauczyć walczyć w płomieniach.

- Uff.

- W razie kłopotów, skacz w śnieg i zacznij się tarzać. Spoglądam na Sama, któremu nie schodzi z twarzy promienny

uśmiech. Trzyma czerwoną gaśnicę, na wszelki wypadek.

- Tak, wiem - mówię.

Wszyscy zachowują ciszę, podczas gdy Henri grzebie w zapalkach.

- Wyglądasz w tym kombinezonie jak yeti - mówi Sam.

- Wypchaj się, co?

- No to zaczynamy - rozkazuje Henri.

Nabieram powietrza w płuca i zaraz potem Henri przykłada zapalną do kombinezonu. Ogień ogarnia całe moje ciało. Wydaje się nienaturalne, żeby w takiej sytuacji mieć otwarte oczy, ale ja patrzę w górę. Płomienie wystrzeliwiają trzy metry nad moją głowę. Cały świat spowity jest w pomarańcze, czerwienie i żółcie, które tańczą na linii mojego wzroku. Odczuwam ciepło, ale łagodne, jakby słońce świeciło w letni dzień. Nic więcej.

- Ruszaj! - krzyczy Henri.

Wyciągam ręce na boki i z szeroko otwartymi oczami wstrzymuję oddech. Mam wrażenie, jakbym się unosił.

Wchodzę w głęboki śnieg, który zaczyna skwierczeć, topnieje pod moimi stopami i wydobywa się spod nich para.

Wyciągam prawą rękę i unoszę pustak, który wydaje się dużo cięższy niż zwykle. Czy to dlatego, że nie oddycham? A może z powodu stresu wywołanego przez ogień?

- Nie ma czasu do stracenia! - krzyczy Henri.

Rzucam pustakiem najmocniej, jak potrafię, w kierunku drzewa stojącego jakieś piętnaście metrów dalej. Siła uderzenia powoduje, że pustak rozbija się na miliony kawałeczków, zostawiając wgniecenie w drzewie. Potem podnoszę trzy piłeczki tenisowe nasączone benzyną. Żongluję nimi zdalnie w powietrzu, jedną za drugą. Przyciągam je bliżej siebie. Zapalają się, a ja nie przerywam żonglerki. Jednocześnie podnoszę długi, cienki kij od szczotki. Zamykam oczy. Jest mi ciepło. Ciekawe, czy się pocę. Jeśli tak, to pot musi wyparowywać w tej samej sekundzie, w której pojawia się na powierzchni skóry

Zaciskam zęby, otwieram oczy, wyrzucam tułów do przodu i wszystkie swoje moce kieruję do wnętrza kija.

Eksploduje, rozpryskując się w drzazgi. Nie pozwalam ani jednej opaść na ziemię, trzymam je w zawieszaniu i razem wyglądają jak unosząca się w powietrzu chmura pyłu. Przyciągam je ku sobie na spalenie. Trzaski płonącego drewna przebijają się przez szum płomieni. Zbieram drzazgi z powrotem w zwartą włócznię ognia, która wygląda jak wystrzelona prosto z czeluści piekielnych.

- Doskonale! - woła Henri.

Minęła jedna minuta. W płucach pojawia się palący ból od żaru płomieni, od tego, że tyle czasu wstrzymuję oddech.

Całe swoje jestestwo skupiam na ognistej włóczni i rzucam nią tak mocno, że przeszywa powietrze jak kula z pistoletu.

Uderza w drzewo z taką siłą, że setki płonących drobinek wylatują w powietrze i gasną niemal na

tychmiast. Miałem nadzieję, że suche drzewo zajmie się ogniem, ale nie wyszło. Upuściłem też piłeczki tenisowe. Skwierczą w śniegu dwa metry dalej.

- Zapomnij o piłeczkach! - wrzeszczy Henri. - Drzewo, zajmij się drzewem!

Martwe drzewo wygląda upiornie ze swymi artretycznymi kończynami na tle otaczającej go bieli. Zamykam oczy.

Nie dam rady wstrzymać dłużej oddechu. Rodzi się frustracja i gniew podsycane płomieniami i niewygodą kombinezonu oraz zadaniami, których nie wykonałem. Skupiam się na dużej gałęzi, która wychodzi z pnia drzewa, staram się ją odłamać, ale nie puszcza. Zgrzytam zębami, marszczę brwi, w końcu rozlega się trzask jak wystrzał z pistoletu i gałąź leci prosto do mnie. Łapię ją i trzymam nad sobą. Niech płonie, myślę. Musi mieć z sześć metrów długości. W końcu zajmuje się ogniem i unoszę ją w powietrze, jakieś dwadzieścia metrów nad sobą. Potem, nie dotykając jej, wbijam gałąź prosto w ziemię, jakbym uznawał swoje zwycięstwo, jak jakiś starodawny rycerz stojący na wzgórzu po wygranej bitwie. Dymiąca gałąź chwieje się w przód i w tył, płomienie tańczą wzdłuż jej górnej połowy.

Otwieram usta, instynktownie biorę wdech i nagle płomienie wdzierają się do środka, a moje wnętrzości przejmuje palący ból. Jestem tak zszokowany i cierpię tak bardzo, że nie wiem, co zrobić.

- Śnieg, śnieg! - krzyczy Henri.

Rzucam się głową do przodu i zaczynam się tarzać. Ogień gaśnie prawie natychmiast, ale tarzam się dalej, słysząc tylko, jak śnieg skwierczy w zetknięciu z poszarpanym kombinezonem, i widząc unoszące się nade mną smugi pary

62

wodnej i dymu. I wtedy wreszcie Sam wyciąga zawleczkę z gaśnicy i zasypuje mnie gęstym proszkiem, który jeszcze bardziej utrudnia mi oddychanie.

- Nie! - krzyczę.

Sam przestaje. Leżę, próbując złapać oddech, ale każdy wdech sprawia ból w płucach, który promieniuje na całe ciało.

- Cholera, John. Miałeś nie oddychać - mówi Henri, stając nade mną.

- Nie wytrzymałem.

- Jak się czujesz? - pyta Sam.

- Płuca mnie palą.

Wszystko jest rozmazane, ale powoli świat wokół mnie z powrotem nabiera kształtów. Leżę, patrząc w nisko zawieszony szary niebo i spadające na nas posępnie płatki śniegu.

- Jak mi poszło?

- Nieźle jak na pierwszą próbę.

- Spróbujemy jeszcze raz, prawda?

- W swoim czasie.

- To było niesamowite - mówi Sam. Wzdycham, potem biorę z wysiłkiem głęboki oddech.

- To było do dupy.

- Poszło ci dobrze jak na pierwszy raz - powtarza Henri. - Nie możesz oczekiwać, żeby wszystko przychodziło z łatwością.

Kiwam głową, nie wstając. Leżę jeszcze minutę, może dwie, potem Henri podaje mi rękę i pomaga wstać, kończąc w ten sposób trening.

Dwa dni później budzę się w środku nocy, na zegarze jest za trzy minuty trzecia. Słyszę, jak Henri pracuje przy kuchennym stole. Wyczoł-guję się z łóżka i wychodzę ze swojego pokoju. Henri siedzi

zgarbiony nad jakimś dokumentem, na nosie ma dwuogniskowe okulary i trzyma pęsetą znaczek. Podnosi na mnie wzrok.

- Co robisz? - pytam.
- Wyrabiam ci papiery
- Po co?

- Myślałem o tym, jak ty i Sam przyjechaliście po mnie samochodem. Wydaje mi się głupie, że posługujemy się ciągle twoim prawdziwym wiekiem, kiedy możemy go zmieniać w zależności od potrzeb.

Podnoszę akt urodzenia, który Henri już sfabrykował. Widnieje na nim nazwisko James Hughes. Data urodzenia dodałaby mi rok. Miałbym szesnaście lat i mógłbym już prowadzić. Potem pochylam się nad papierem, nad którym Henri jeszcze pracuje. Nazwisko Jobie Frey, osiemnaście lat, według prawa dorosły człowiek.

- Dlaczego wcześniej na to nie wpadliśmy? - pytam.
- Dotąd nie mieliśmy powodu.

Papiery różnych rozmiarów i grubości są rozrzucone na blacie, duża drukarka stoi na krawędzi stołu. Butelki z atramentem, gumowe stemple, urzędowe pieczęcie, metalowe tabliczki, przeróżne narzędzia, które kojarzą się najbardziej z gabinetem dentystycznym. Proces wyrabiania dokumentów zawsze pozostawał dla mnie zagadką.

- Zmienimy tak w ogóle mój wiek?

- Nie. Za późno, żeby zmienić twój wiek w Paradise. Te dokumenty przydadzą nam się na przyszłość. Kto wie, co się zdarzy. Myśl o ewentualnych przenosinach wywołuje we mnie mdłości. Wolę zostać piętnastolatkiem i nigdy nie prowadzić samochodu, niż przeprowadzić się w nowe miejsce.

-

Sara wraca z Kolorado tydzień przed Bożym Narodzeniem. Nie widziałem jej osiem dni, a wydaje się, jakby minął

miesiąc. Autobus podwozi wszystkie dziewczyny do szkoły, a jedna z jej przyjaciółek podrzuca ją prosto do mnie.

Kiedy słyszę szmer opon na podjeździe wybiegam z domu. Witam ją uściskiem i pocałunkiem, potem podnoszę i obracam nią w powietrzu. Ostatnie dziesięć godzin spędziła w samochodzie i samolocie, ma na sobie spodnie dresowe, ani śladu makijażu, włosy ściągnięte w koński ogon, a mimo to jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem, i nie chcę wypuścić jej z objęć. Patrzymy sobie w oczy w świetle księżycy a żadne z nas nie może przestać się uśmiechać.

- Tęskniłeś za mną? - pyta.
- W każdej sekundzie każdego dnia. Całuje mnie w czubek nosa.
- Ja też za tobą tęskniłam.
- Czy zwierzęta mają już swoje nowe schronisko?

- Och, John, to było niesamowite! Żałuję, że cię tam nie było. Zebrało się ze trzydzieści osób, które nam pomagały na okrągło. Budynek wyrósł bardzo szybko i jest o wiele ładniejszy niż poprzedni. Na jednym rogu zbudowaliśmy takie drzewo dla kotów i mówię ci, przez cały czas, kiedy tam byliśmy, koty się na nim bawiły Uśmiecham się.

- To brzmi super. Ja też żałuję, że nie mogłem tam z tobą być. Biorę jej torbę i razem idziemy do domu.

- Gdzie jest Henri? - pyta.
- Na zakupach. Wyszedł z dziesięć minut temu.

Sara przechodzi przez pokój i rzuca kurtkę na oparcie fotela po drodze do mojej sypialni. Siada na krawędzi łóżka i ściąga buty

- Co będziemy robić? - pyta.

Stoję i przyglądam jej się. Ma na sobie czerwoną bluzę z kapturem zapinaną na suwak. Jest zasunięty tylko do połowy Uśmiecha się i patrzy na mnie przez rzęsy

- Chodź tu do mnie. Wyciąga do mnie dłoń.

Podchodzę do niej, a ona bierze mnie za rękę. Podnosi wzrok i mruży oczy przed światłem, które świeci nad moją głową. Strzelam palcami wolnej ręki i światło gaśnie.

- Jak to zrobiłeś?

- Czary

Siadam obok niej. Zakłada za ucho kilka luźnych kosmyków włosów i całuje mnie w policzek. Potem ujmuję mój podbródek, obraca twarz do siebie, delikatnie mnie całuje. Cały drzę. Odsuwa się, jej ręka ciągle spoczywa na moim policzku.

- Naprawdę za tobą tęskniłam.

- Ja też.

Przez chwilę siedzimy w ciszy. Sara przygryza dolną wargę.

- Nie mogłam się doczekać powrotu. W Kolorado przez cały czas myślałam tylko o tobie. Nawet kiedy bawiłam się ze zwierzętami, myślałam tylko o tym, że chciałabym to robić razem z tobą. A kiedy w końcu wyjechaliśmy dziś rano, cała podróż wydawała mi się piekłem, mimo że z każdym kilometrem byłam bliżej ciebie.

Uśmiecha się, głównie oczami, jej usta tworzą cienki, zwrócony w górę półksiężyc, za którym chowają się zęby. Całuje mnie znowu, pocałunek zaczyna się powoli i delikatnie. Oboje siedzimy na krawędzi łóżka, jej dłoń jest na moim policzku, moja na jej plecach. Pod palcami czuję zarys jej ciała, czuję smak jagodowego błyszczycu na jej ustach. Przyciągam ją do siebie. Chcę być jeszcze bliżej, chociaż nasze ciała są do siebie ciasno przytulone. Wędruję ręką w górę jej pleców, czuję porcelanową gładkość skóry. Jej dłonie zaplątują się w moje włosy, oboje ciężko oddychamy. Upadamy na łóżko, obydwój na boku. Mamy zamknięte oczy, ja swoje ciągle otwieram, żeby na nią popatrzeć. W pokoju jest ciemno poza światłem księżyca wpadającym przez okno. Zauważa, że na nią patrzę, i przestajemy się całować. Przykłada swoje czoło do mojego i wpatruje się we mnie.

Kładzie mi rękę na karku, przyciąga mnie do siebie i nagle znowu się całujemy. Spleceni, zamknięci w ciasnym kokonie naszych ramion. Moje myśli są wolne od wszelkiej zarazy, która je zwykle prześladowa, wolne od obcych planet, od pościgu Mogadorczyków'. Sara i ja na łóżku, całujący się, zatraceni w sobie nawzajem. Nic innego na świecie się nie liczy. I wtedy otwierają się drzwi frontowe. Oboje podskakujemy

- Henri wrócił - mówię. Wstajemy i szybko wyglądzamy swoje ubrania. Uśmiechnięci, połączeni sekretem, który wywołuje w nas chichot, wychodzimy z sypialni, trzymając się za ręce. Henri stawia torbę zakupów na kuchennym stole.

- Witaj, Henri - mówi Sara.

On uśmiecha się do niej. Sara puszcza moją rękę, podchodzi do Henriego, ściska go na powitanie, po czym zaczynają rozmawiać o jej pobycie w Kolorado. Wychodzę na zewnątrz po resztę zakupów. Wdycham zimne powietrze, staram się zrzucić z siebie napięcie po wydarzeniach sprzed chwili i rozczarowanie tym, że Henri wrócił do domu w takim momencie. Ciągle ciężko oddycham, wchodząc do pokoju, gdzie Sara opowiada już Henriemu o kotach ze schroniska.

- I nie przywiozłaś dla nas żadnego?

- Henri, wiesz, że chętnie bym jakiegoś przywiozła, gdybyś mi wcześniej o tym powiedział - mówi

Sara z założonymi rękami i wysuniętym na bok biodrem.

On uśmiecha się do niej.

- Wiem, że na pewno byś to zrobiła.

Henri rozpakowuje zakupy, a my wychodzimy na zewnątrz pospacerować na lodowatym powietrzu, zanim po Sarę przyjedzie jej mama. Bernie Kosar idzie z nami na spacer. Przejmuje prowadzenie i wybiega do przodu. Ja z Sarą idziemy przez podwórze, trzymając się za ręce, temperatura jest ciut powyżej zera. Śnieg topnieje, ziemia jest mokra i błotnista. Bernie Kosar znika w lesie, po chwili wybiega z powrotem z umorusaną sierścią na łapach i brzuchu.

- O której ma przyjechać twoja mama? - pytam. Sara spogląda na zegarek.

- Za dwadzieścia minut. Kiwam głową.

- Tak się cieszę, że już wróciłaś.

- Ja też.

Podchodzimy do skraju lasu, ale jest za ciemno, żeby tam wchodzić. Spacerujemy wzdłuż granicy podwórka, ręka w rękę, co jakiś czas zatrzymujemy się na pocałunek, mając za świadków księżyc i gwiazdy. Żadne z nas nie mówi o tym, co się wydarzyło, zanim przyszedł Henri, choć wiadomo, że oboje o tym myślimy.

Kiedy kończymy pierwsze okrążenie wokół podwórza, mama Sary podjeżdża pod dom. Jest dziesięć minut za wcześnie. Sara podbiega i rzuca się jej na szyję. Ja wchodzę do domu zabrać torbę Sary. Żegnamy się, a potem patrzę, jak tylne światła samochodu znikają w oddali.

Stoję jeszcze chwilę przed domem i z Berniem Kosarem wracam do środka. Henri szykuje kolację. Idę wykąpać psa, a kiedy wracam, kolacja jest gotowa. Siedzimy przy stole i jemy bez słowa. Nie mogę przestać o niej myśleć. Gapię się bezmyślnie w talerz. Nie jestem głodny, ale staram się wmusić w siebie jedzenie. Udaje mi się przełknąć kilka kęsów, a potem odstawiam talerz i siedzę w milczeniu.

- No więc powiesz mi wreszcie? - pyta Henri.

- Co mam ci powiedzieć?

- Co ci leży na sercu.

Wzruszam ramionami.

- Nie wiem. Kiwa głową, wraca do jedzenia. Zamykam oczy. Wciąż czuję zapach Sary na kołnierzu swojej koszuli, wciąż czuję na policzku dotyk jej dłoni. Jej wargi na swoich ustach, dotyk jej włosów, kiedy przeczesuję je palcami.

Mogę myśleć tylko o tym, co ona w tej chwili robi i jak bardzo bym chciał, żeby tu ze mną była.

- Uważasz, że my możemy być kochani? - pytam.

- O czym mówisz?

- Przez ludzi. Czy ludzie mogą nas naprawdę kochać?

- Myślę, że mogą nas kochać tak, jak kochają siebie nawzajem, zwłaszcza jeśli nie wiedzą, kim naprawdę jesteśmy.

Ale nie sądzę, żebyś mógł kochać Ziemiankę tak, jak byś kochał Loryjkę.

- Dlaczego?

- Bo w głębi duszy jesteśmy inni. I kochamy inaczej. Jednym z da- i rów naszej planety jest miłość absolutna. Bez zazdrości, niepewności czy strachu. Bez małostkowości. Bez gniewu. Możesz mieć silne uczucia dla Sary, ale to nie to, co byś poczuł do dziewczyny z Lorien.

- Nie mam kontaktu z Loryjkami.

- To tym bardziej powód, żeby zachować ostrożność w kontaktach z Sarą. Kiedyś, jeśli przetrwamy dostatecznie długo, będziemy musieli odrodzić naszą rasę i zaludnić z powrotem naszą

planetę. Masz oczywiście jeszcze dużo czasu, zanim będziesz musiał się tym martwić, ale nie liczyłbym na to, że Sara będzie twoją partnerką.

- Co się dzieje, kiedy próbujemy mieć dzieci z Ziemianami?

- To się nieraz zdarzało. Zwykle owocem takiego związku jest niezwykle utalentowany człowiek. Niektóre z wielkich postaci w historii Ziemi były potomkami Ziemian i Loryjczyków, między innymi Budda, Arystoteles,

64

Juliusz Cezar, Aleksander Wielki, Czyngis-chan, Leonardo da Vinci, Isaac Newton, Thomas Jefferson i Albert Einstein.

Wielu z bogów starożytnej Grecji, którzy dla większości ludzi są postaciami mitycznymi, pochodziło ze związków Ziemian z Loryjczykami głównie dlatego, że bywało nas na tej planecie o wiele więcej, kiedy pomagaliśmy ludziom rozwijać cywilizację. Afrodyta, Apollo, Hermes i Zeus, oni istnieli naprawdę i mieli jednego loryjskiego rodzica.

- A więc to możliwe.

- To było możliwe. W naszej obecnej sytuacji byłoby lekkomyślne i niepraktyczne. Wiem, chociaż niestety nie znam jej numeru, że jednym z dzieci, które przybyły z nami na Ziemię, była córka przyjaciół twoich rodziców.

Żartowali, że waszym przeznaczeniem jest być razem. Mogli mieć rację.

- Więc co mam robić?

- Ciesz się czasem, który spędzasz z Sarą. Ale nie przywiązuj się do niej zbyt mocno i nie pozwól, by ona przywiązała się do ciebie.

- Ach tak?

- Zaufaj mi, John. Nawet gdybyś już nigdy miał nie uwierzyć w żadne moje słowo, uwierz w to jedno.

- Wierzę we wszystkie twoje słowa, nawet jeśli nie chcę w nie wierzyć.

Henri puszcza do mnie oko.

- To dobrze.

Później idę do siebie i dzwonię do Sary. Jeszcze przez moment myślę o tym, co powiedział Henri, ale nie mogę się powstrzymać. Ja już się do niej przywiązałem. Chyba jestem w niej zakochany. Rozmawiamy przez dwie godziny.

Kończymy rozmowę o północy. Potem leżę w łóżku, uśmiechając się w ciemnościach.

23

Dzień przeszedł w ciemność. Ciepła noc niesie łagodny wiatr, a niebo zasypują urywane błyski światła, które powleka chmury jaskrawą czerwienią, błękitem i zielenią. Fajerwerki, na początku. Fajerwerki, które przechodzą w coś innego, głośniejszego, groźnego, ochy i achy przeradzają się we wrzaski i okrzyki strachu. Rozpętuje się chaos. Biegający ludzie, płacz dzieci. Ja stoję w samym środku tego wszystkiego, obserwując bezradnie, nie mogąc nic zrobić.

Żołnierze i bestie wylęgają z każdej strony, jak to już wcześniej widziałem, ciągły huk spadających bomb uszkadza bębniaki w uszach, drżenie wybuchów czuję aż na dnie żołądka. Tak ogłuszają, że bolą mnie zęby. Potem Loryjczycy dają odpór z taką zaciekłością i odwagą, że jestem dumny, będąc jednym z nich.

Zmiana sceny Pędzę w powietrzu z taką prędkością, że świat pode mną jest zamazany, nie mogę na niczym skupić wzroku. Nagle się zatrzymuję i teraz jestem na płycie lotniska. Obok mnie stoi srebrny statek powietrzny, na rampie prowadzącej do jego wnętrza tłoczy się ze stu czterdzieści osób. Dwoje ludzi już weszło do środka, stoją w drzwiach faceci z wzrokiem zwróconym ku niebu, bardzo

młoda dziewczyna i mężczyzna w wieku Henriego. Raptem widzę siebie, czteroletniego chłopca, zapłakanego, ze skulonymi ramionami. Dużo młodsza wersja Henriego stoi tuż za mną. On też obserwuje niebo. Przede mną przyklęła moja babcia i trzyma mnie za ramiona. Dziadek stoi za nią, z surowym wyrazem twarzy, soczewki jego okularów zbierają światło z nieba.

„Wróć do nas, słyszysz? Wróć do nas”, mówi moja babcia na zakończenie dłuższej przemowy. Żałuję, że nie mogę usłyszeć słów, które padły wcześniej. Dotąd nie przypominałem sobie niczego, co zostało powiedziane tamtej nocy.

Teraz mam chociaż tyle. Czteroletni ja nie odpowiada. Czteroletni ja jest zbyt wystraszony. Nie rozumie, co się dzieje, skąd ten pośpiech i strach w oczach wszystkich dookoła. Babcia mnie przytula, potem wypuszcza z objęć. Wstaje i odwraca się do mnie plecami, żebym nie widział jej łez. Czteroletni ja wie, że babcia płacze, lecz nie wie dlaczego.

Teraz kolej na mojego dziadka, który jest cały pokryty potem, brudem i krwią. Widać, że walczył, ma twarz wykrzywioną od napięcia, jakby był gotów do dalszej bitwy, gotów iść i zrobić wszystko w walce o przetrwanie. Swoje i jego planety. Przyklęka przede mną jak wcześniej babcia. Pierwszy raz rozglądam się dookoła.

Powykręcane sterty metalu, bryły betonu, wielkie dziury w ziemi tam, gdzie spadły bomby. Wszędzie płomienie, potłuczone szkło, pył, rozłupane drzewa. A w środku tego wszystkiego jeden statek powietrzny, nieuszkodzony, ten, do którego wsiadamy.

„Musimy ruszać!”, ktoś krzyczy. Mężczyzna o ciemnych włosach i oczach. Nie wiem, kim jest. Henri spogląda na niego i przytakuje skinieniem głowy. Dzieci wchodzą po rampie.

Dziadek zatrzymuje mnie twardym spojrzeniem. Otwiera usta, ale nim zdąży coś powiedzieć, znowu porywa mnie pęd powietrza, świat w dole jest rozmazaną plamą. Próbuję rozpoznać kształty pod mną, ale poruszam się zbyt szybko.

Udaje mi się wypatrzeć jedynie miejsca wybuchu nieustannie spadających bomb, jasne rozbłyski światła we wszystkich kolorach podczas eksplozji.

Potem znowu zmiana sceny. Jestem w środku wielkiego otwartego budynku, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Panuje absolutna cisza. Sufit jest regularną kopułą, podłoga jedną wielką betonową płytą o powierzchni boiska futbolowego. Nie ma okien, ale huk wybuchów i tak przenika do środka, odbijając się echem od ścian. Na samym środku stoi samotnie, wysoka i dumna, biała rakietka, która sięga szczytu kopuły.

Nagle w dalekim rogu pomieszczenia z głośnym trzaskiem otwierają się drzwi. Obracam instynktownie głowę. Do hali wchodzi dwóch mężczyzn, mówią szybko i głośno, są zdenerwowani. Niespodziewanie za nimi do środka wbiega stado zwierząt. Na oko piętnaście sztuk, wszystkie bez przerwy zmieniają kształt. Niektóre lecą, inne biegną, na dwóch nogach, potem na czterech. Za stadem wchodzi jeszcze jeden mężczyzna i drzwi się zamykają. Pierwszy mężczyzna podchodzi do statku powietrznego, otwiera klapę przy spodzie i zaczyna zaganiać zwierzęta do środka.

- Dalej! Dalej! Do środka! - krzyczy

Zwierzęta idą, wszystkie zmieniają kształt, żeby zmieścić się w wejściu. Kiedy ostatnie znikają we wnętrzu, jeden z mężczyzn podciąga się do wjazdu i wchodzi do środka. Pozostali dwaj zaczynają wrzucać torby i pudła. Załadowanie wszystkiego na pokład zajmuje im dobrych dziesięć minut. Potem wszyscy trzej krzają wokół rakiety, przygotowując ją do startu. Mężczyźni dyszą z wysiłku, uwijają się jak szaleni, dopóki wszystko nie jest gotowe. W ostatniej chwili, zanim znikną we wnętrzu, ktoś podbiega do nich z zawiniątkiem, które wygląda jak opatulone dziecko, ale zbyt słabo widzę, żeby mieć pewność. Zabierają zawiniątko i wchodzą na pokład. Zatrząskują się drzwi i uszczelniają.

Mijają minuty. Wydaje się po odgłosach wybuchów, jakby bomby spadały tuż przy ścianach budynku. I nagle znikąd

nadchodzi eksplozja wewnątrz budynku, widzę, jak z dna rakiety wystrzeliwuje ogień, który szybko się rozprzestrzenia, ogień, który pochłania wszystko wewnątrz budynku. Ogień, który pochłania nawet mnie.

Otwieram oczy. Jestem z powrotem w domu, w Ohio, leżę w łóżku. W pokoju jest ciemno, ale czuję, że nie jestem sam. Jakaś postać się porusza, rzucając cień na łóżko. Czeka w napięciu, gotowy wycelować w nią swoim światłem, gotowy rzucić nią o ścianę.

- Mówiłeś przez sen - odzywa się Henri. - Przed chwilą mówiłeś przez sen.

Zapalam swoje światła. Henri stoi przy łóżku, w spodniach od piżamy i białym T-shircie. Ma zmierzwiłone włosy, oczy zaczerwienione od snu.

- A co mówiłem?

- Mówiłeś tylko: „Dalej, dalej, do środka!”. Co się działo?

- Byłem na Lorien.

- We śnie?

- Raczej nie. Po prostu tam byłem, tak jak poprzednio.

- Co widziałeś?

Przesuwam się na łóżku, żeby oprzeć się plecami o ścianę.

- Zwierzęta.

- Jakie zwierzęta?

- W tym statku kosmicznym, który widziałem, jak startował. W tym starym, w muzeum. W rakiecie, która wyleciała po naszej. Widziałem, jak ładowano do niej zwierzęta. Niedużo. Może piętnaście sztuk. I jeszcze trzech Loryjczyków. Raczej nie byli Gardami. I coś jeszcze. Jakieś zawiniątko. Wyglądało jak dziecko, ale nie jestem pewien.

- Dlaczego myślisz, że nie byli Gardami?

- Ładowali do rakiety zapasy, z pięćdziesiąt pudeł i toreb. Nie używali telekinezy.

- Do rakiety w muzeum?

- Przypuszczam, że to było muzeum. Byłem w dużym budynku krytym kopułą, w środku nie było nic oprócz rakiety. Mogę się tylko domyślać, że to było muzeum.

Henri przytakuje.

- Jeśli pracowali w muzeum, to byli Capanami.

- Ładowali zwierzęta - mówię. - Zwierzęta, które zmieniały kształt.

- Chimery.

- Co?

- Chimery Tak na Lorien nazywały się zwierzęta, które mogły zmieniać kształt.

- Czy takim zwierzęciem był Hadley? - pytam, przypominając sobie wizję sprzed kilku tygodni, wspomnienie o tym, jak bawiłem się przed domem swoich dziadków, kiedy mężczyzna w srebrnoniebieskim kombinezonie uniósł mnie w powietrze.

- Pamiętasz Hadleya? - Henri się uśmiecha.

- Tak, widziałem go, podobnie jak widzę wszystko inne.

- Masz wizje nawet wtedy, kiedy nie trenujemy?

- Zdarza się.

- Jak często?

- Henri, kogo obchodzą wizje? Dlaczego oni ładowali zwierzęta do rakiety? Co robiło z nimi

dziecko i czy to w ogóle było dziecko? Dokąd polecieci? Jaki mogli mieć cel?

Henri zastanawia się przez chwilę. Przenosi ciężar ciała z nogi na nogę.

- Prawdopodobnie taki sam cel, jaki my mieliśmy. Pomyśl, John. Jak inaczej nasze zwierzęta mogłyby na nowo zasiedlić Lorien? One też, żeby przetrwać, musiałyby się znaleźć w czymś w rodzaju rezerwatu. Tam nastąpiła zagłada.

Nie tylko ludzi, ale zwierząt i całej roślinności. Może w zawiniątku też było jakieś zwierzę. Wrażliwe, a może młode.

- No dobrze, ale dokąd oni polecieci?

- Myślę, że na jedną ze stacji kosmicznych. Rakieta z loryjskim paliwem raczej powinna tam dotrzeć. Może myśleli, że inwazja będzie krótkotrwała i że będą mogli ją tam przeczekać. Ale na stacji kosmicznej mogliby mieszać tak długo, dopóki wystarczyłoby im zapasów.

- Czy są stacje kosmiczne w pobliżu Lorien?

- Tak, dwie. W każdym razie były dwie. Wiem na pewno, że większa została zniszczona w czasie inwazji.

Straciliśmy z nią kontakt niecałe dwie minuty po tym, jak spadła pierwsza bomba.

- Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej, kiedy pierwszy raz powiedziałem ci o rakiecie?

- Założyłem, że była pusta, że wystrzelono ją w powietrze na wabia. Poza tym myślę, że jeśli jedna ze stacji została zniszczona, to druga z pewnością też. Obawiam się, że ich wyprawa, bez względu na cel, był daremna.

- A jeśli po wyczerpaniu zapasów wrócili? Myślisz, że mieli szansę przeżyć na Lorien? - pytam w desperacji.

Znam już odpowiedź, wiem, co powie Henri, ale pytam i tak, czepiając się nadziei, że nie jesteśmy w tym wszystkim sami. Ze może gdzieś, daleko stąd, są inni, którzy tak jak my czekają, obserwują naszą planetę, aby któregoś dnia na nią wrócić. I że kiedy my wrócimy, nie będziemy na niej sami.

- Nie, tam nie ma teraz wody. Widziałeś to na własne oczy. Sama jałowa pustynia. A nic nie przetrwa bez wody.

Osuwam się na plecy z ciężkim westchnieniem. Przykładam głowę do poduszki. Po co się sprzeczać? Henri ma rację i dobrze o tym wiem. Jeśli szklanym kulom, które wyciągnął z Kuferka, można zaufać, Lorien rzeczywiście jest teraz pustynią, śmietniskiem. Planeta wciąż żyje, ale na powierzchni nie ma nic. Nie ma wody. Nie ma roślinności. Nie ma życia. Nic oprócz pyłu, skał i gruzów cywilizacji, która kiedyś tam istniała.

- Czy widziałeś coś jeszcze? - pyta Henri.

- Widziałem nas w dniu, w którym uciekliśmy. Wszystkich nas na statku na chwilę przed startem.

- To był smutny dzień.

Potakuję. Henri krzyżuje ramiona i wygląda przez okno, pogrążony w myślach. Biorę głęboki oddech.

- Gdzie była wtedy twoja rodzina?

Moje światła są wyłączone od dobrych dwóch, trzech minut, ale widzę wpatrzony we mnie oczy Henriego.

- Nie ze mną, nie tamtego dnia - odpowiada.

Przez chwilę obaj milczymy, potem Henri odsuwa się od okna.

- No cóż, pójdę się położyć - mówi, kończąc naszą rozmowę. - Wyśpij się.

66

Po jego wyjściu leżę z otwartymi oczami, myśląc o zwierzętach, o rakiecie, o rodzinie Henriego i o tym, że nigdy nie miał szansy się z nimi pożegnać. Wiem, że już nie zasnę. Nigdy mi się to nie

udaje, kiedy nachodzą mnie wizje, kiedy wyczuwam smutek Henriego. Ta myśl musi być ciągle w jego głowie; trudno byłoby się od niej uwolnić każdemu, kto został zmuszony do ucieczki w podobnych okolicznościach - zostawiając jedyny znany sobie dom i wiedząc, że już nigdy nie zobaczy tych, których kocha. Biorę komórkę i wysyłam SMS-a do Sary. Zawsze do siebie piszemy, kiedy jedno z nas nie może zasnąć.

Potem rozmawiamy tak długo, aż zmęczenie przyniesie sen. Sara dzwoni do mnie dwadzieścia sekund po tym, jak nacisnąłem „wyślij”.

- Hej - mówię.

- Nie możesz spać?

- Nie.

- Co się stało? - pyta, ziewając do słuchawki.

- Stęskniłem się za tobą, to wszystko. Leżę w łóżku i gapię się w sufit od jakiejś godziny.

- Jesteś niemądry. Widzieliśmy się sześć godzin temu.

- Chciałbym, żebyś wciąż tu była.

Sara pomrukuje. W ciemności słyszę, jak się uśmiecha. Przewracam się na bok i trzymam telefon pomiędzy uchem a poduszką.

- Ja też chcę ciągle być z tobą.

Rozmawiamy dwadzieścia minut. Właściwie dziesięć, bo przez drugie dziesięć leżymy bez słów, słuchając wzajemnie swoich oddechów. Czuję się po tym lepiej, ale jeszcze trudniej mi zasnąć.

24

W końcu choć raz, odkąd mieszkamy w Ohio, życie na jakiś czas się uspokaja. Szkoła kończy się bez wrażeń i mamy jedenaście dni ferii zimowych. Sam wyjeżdża ze swoją mamą do ciotki w Illinois. Sara zostaje w domu. Spędzamy razem Boże Narodzenie. Całujemy się, gdy o północy w sylwestra spada kryształowa kula. Mimo śniegu i zimna, może nawet na złość pogodzie, chodzimy na długie spacery do lasu za moim domem, trzymając się za ręce, całując się, wdychając zimowe powietrze pod niskim szarym niebem. Spędzamy ze sobą coraz więcej czasu. Nie ma dnia w czasie całych tych ferii, żebyśmy przynajmniej raz się nie spotkali.

Spacerujemy ręka w rękę pod białą czapą śniegu pokrywającą gałęzie nad naszymi głowami. Sara ma przy sobie aparat i od czasu do czasu przystaje, żeby robić zdjęcia. Większość śniegu na ziemi leży nietknięta poza dwiema koleinami, które wydeptaliśmy, idąc z domu. Teraz wracamy po własnych śladach. Bernie Kosar prowadzi, rzucając się co rusz w jeżyny, zaganiając króliki w leśne kępy i gąszcze kolczastych krzaków, wypłaszając na drzewa wiewiórki.

Sara ma czarne nauszники. Policzki i czubek nosa poczerwieniały jej z zimna, przez co oczy wydają się jeszcze bardziej niebieskie. Nie mogę oderwać od niej oczu.

- Co? - pyta, uśmiechając się.

- Nic, po prostu podziwiam widok.

Przewraca oczami. W większości las jest gęsty poza pojedynczymi polanami, na które ciągle trafiamy. Nie jestem pewien, jak daleko ciągnie się ten las w różnych kierunkach, ale na żadnym z naszych spacerów nie dotarliśmy jeszcze do jego skraju.

- Musi tu być pięknie latem - mówi Sara. - Chyba będziemy urządzać pikniki na polanie.

Zaczyna ścisnąć mnie w dołku. Do lata jeszcze pięć miesięcy, a gdybyśmy dotrwali tu z Henrim do maja, to byłoby siedem miesięcy w Ohio. Prawie nasz najdłuższy pobyt w jednym miejscu.

- Tak - zgadzam się. I Sara patrzy na mnie podejrzliwie.

- Hej...?

- No co?

- To nie było bardzo przekonujące - mówi. Chmara wron przelatuje nam nad głowami, głośno kracząc.

- Chciałbym po prostu, żeby teraz było lato.

- Ja też. Nie chce mi się wierzyć, że jutro wracamy do szkoły

- Uff, nie przypominaj mi. j Wchodzimy na następną polanę, większą niż poprzednia, prawie idealne koło o średnicy trzydziestu metrów. Sara puszcza moją rękę, biegnie na środek i ze śmiechem pada na śnieg.

Obraca się na plecy i zaczyna robić śnieżnego aniołka. Padam bok niej i robię to samo. Czubki naszych palców muskają się leciutko, kiedy robimy skrzydła. Wstajemy

- Zupełnie, jakbyśmy się trzymali za skrzydła - mówi.

- Czy to możliwe? To znaczy, jak byśmy latali, gdybyśmy trzymali się za skrzydła?

- Oczywiście, że to możliwe. Anioły mogą wszystko.

Odwraca się i wtula we mnie. Jej zimna twarz przy mojej szyi sprawia, że odruchowo się cofam.

- Auu! Twoja twarz jest jak lód.

- To ogrzej mnie - mówi ze śmiechem.

Biorę ją w ramiona i całuję pod otwartym niebem, w otoczeniu drzew. Nic nie zakłóca leśnej ciszy poza ptakami i pacynami śniegu spadającymi z gałęzi. Dwie zimne twarze przyciśnięte mocno do siebie. Bernie Kosar przybiega truchtem, zziębnięty, z wywieszonym językiem. Macha ogonem, poszczekuje i siada na śniegu, patrząc na nas oboje z przechyloną na bok głową.

- Bernie Kosar! Urwałeś się na pogoń za królikami? - pyta Sara.

Szczeka dwa razy, podbiega i wskakuje na nią. Znowu szczeka, odpycha się i patrzy na nią wyczekująco.

Sara podnosi z ziemi patyk, otrząsa ze śniegu i rzuca go w stronę drzew. Pies goni za nim i znika z pola widzenia.

Wylania się z lasu po dziesięciu sekundach, ale nie w tym miejscu, gdzie zniknął, tylko po przeciwnej stronie polany.

Sara i ja obracamy się błyskawicznie, słysząc, jak biegnie.

- Jak on to zrobił? - pyta ona.

- Nie wiem. To jest wyjątkowy pies.

- Słyszałeś, Bernie Kosar? On nazwał cię wyjątkowym!

Bernie wypuszcza z zębów patyk u jej stóp. Ruszamy w stronę domu, trzymając się za ręce, dzień idzie ku zmierzchowi. Przez całą drogę Bernie drepcze obok, głowa mu chodzi, jakby nas pilnował, chronił nas przed tym, co a nuż wyłoni się z ciemności poza linią naszego wzroku.

Pięć gazet rozłożonych na kuchennym stole, Henri przy komputerze, zapalone górne światło.

- Jest coś? - pytam wyłącznie z przyzwyczajenia.

Od miesiący nie było żadnej obiecującej historii, i dobrze, ale nic na to nie poradzę, że zawsze, kiedy pytam, na coś liczę.

- Owszem, myślę, że tak.

Natychmiast się ozywiam, obchodzę stół i zerkam przez ramię Henriego na ekran komputera.

- Co?

- Wczoraj wieczorem było trzęsienie ziemi w Argentynie. W małej miejscowości na wybrzeżu szesnastoletnia dziewczyna uwolniła starszego mężczyznę spod stosu gruzów.

- Numer Dziewięć?

- No cóż, myślę, że ona na pewno jest jedną z nas. Czy jest Numerem Dziewięć, czy nie, to się okaże.

- Skąd ta pewność? Wyciągnięcie człowieka spod gruzów to jeszcze nic niezwykłego.

-

Spójrz - mówi Henri, przewijając strony do początku artykułu. Widzę zdjęcie potężnej betonowej płyty, grubości co najmniej trzydziestu centymetrów, ze dwa i pół metra szerokości i długości.

- Podniosła ją, żeby go wyciągnąć. Ta płyta musi ważyć z pięć ton, I popatrz na to - mówi, przewijając z powrotem na koniec strony. Podświetla ostatnie zdanie: „Nie udało się odszukać Sofii Garcii, żeby poprosić ją o komentarz”.

Czytam ostatnie zdanie trzykrotnie.

- Nie udało się jej odszukać - mówię.

- Właśnie. Ona nie odmówiła komentarza, po prostu nie mogli jej znaleźć.

- Skąd wiedzieli, jak się nazywa?

- To mała miejscina, mniej niż jedna trzecia Paradise. Każdy tam musiał ją znać.

- Uciekła, prawda?

- Na to wygląda. Pewnie jeszcze przed ukazaniem się gazety. To jest ta zła strona małych miejscowości, trudno pozostać niezauważonym.

- Dla Mogadorczyków to też jest trudne.

- No właśnie.

- Dziewczyna ma przechlapane, szkoda gadać - mówię, odchodząc od stołu. - Kto wie, co musiała zostawić za sobą.

Henri rzuca mi sceptyczne spojrzenie, otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnuje i pochyla się nad komputerem. Wracam do swojego pokoju. Pakuję do plecaka świeżą zmianę ciuchów i książki na dzisiejsze lekcje.

Znowu do szkoły. Nie tęsknię za nią, choć miło będzie spotkać się z Samem, którego nie widziałem prawie dwa tygodnie.

- Okej - mówię. - Spadam.

- Dobrego dnia. Pilnuj się tam.

- Do południa.

Bernie Kosar wybiega z domu przede mną. Jest dzisiaj kłębkim energii. Myślę, że polubił nasze poranne bieganie, wygląda na to, że po półtoratygodniowej przerwie aż się pali, żeby wrócić do normalności.

Przez większość drogi dotrzymuje mi kroku. Przed szkołą głaszczę go i drapię za uchem.

- No dobra, leć do domu - mówię, na co Bernie odwraca się i rusza truchtem w drogę powrotną.

Biorę spokojnie prysznic i kiedy jestem gotów, zaczynają się schodzić ludzie. Idę korytarzem do swojej szafki, potem do szafki Sama. Klepię go w plecy. Odwraca się wystraszony, ale widząc mnie, uśmiecha się od ucha do ucha.

- A już myślałem, że będę musiał komuś skopać tyłek.

- To tylko ja, przyjacielu. Jak było w Illinois?

- Uff... - Przewraca oczami. - Ciotka robiła mi herbatki i oglądałem z nią powtórki *Małego domku na prerii*. Prawie dzień w dzień, nie było wyjścia.

Wybucham śmiechem.

- To brzmi jak masakra.

- Horror, wierz mi - mówi, sięgając do plecaka. - To zastałem w skrzynce, kiedy wróciliśmy. Wręcza mi najnowszy numer „Oni chodzą wśród nas”. Zaczynam go przeglądać.

- Nie ma nic o nas ani o Mogadorczykach - mówi Sam.

- To dobrze. Musieli się nas przestraszyć.

- No tak, jasne.

Widzę ponad ramieniem Sama, że w naszą stronę idzie Sara. Na środku korytarza zatrzymuje ją Mark James i daje jej kilka pomarańczowych kartek. Potem ona idzie dalej.

- Cześć, przystojniaku - mówi, podchodząc do nas.

Wspina się na palce, żeby dać mi całusa. Jej pociągnięte błyszczącym ustami mają smak truskawek.

- Cześć, Sam. Jak się masz?

- W porządku. A co u ciebie?

Widać, że czuje się już przy niej swobodnie. Przed akcją ratowania Henriego, co wydarzyło się półtora miesiąca temu, obecność Sary wyraźnie go krępowała; unikał jej wzroku i nie wiedział, co zrobić z rękami. Teraz patrzy na nią normalnie, uśmiecha się i mówi pewnym głosem.

- Wszystko dobrze. Mam wam to dać.

Wręcza nam po jednej z pomarańczowych kartek, które dostała przed chwilą od Marka. Zaproszenia na przyjęcie w jego domu, które ma się odbyć w najbliższą sobotę.

- Ja jestem zaproszony? - pyta Sam. Sara kiwa głową.

- Tak. Cała nasza trójka.

- Chcesz iść? - pytam.

68

- Możemy zaryzykować, zobaczymy jak będzie.

- Okej. A ty, Sam? Jesteś zainteresowany?

Patrzy gdzieś poza nami. Odwracam się i przy szafce po drugiej stronie korytarza widzę Emily, dziewczynę, która była z nami na przejażdżce halloweenowej, do której Sam od tamtej pory wyraźnie wzdycha. Emily przechodzi obok nas, widzi, że Sam na nią patrzy, i uprzejmie się uśmiecha.

- Emily? - mówię do Sama.

- Co Emily? - pyta, patrząc z powrotem na mnie. Odwracam się do Sary.

- Myślę, że Sam bardzo lubi Emily Knapp.

- Nieprawda.

- Mogłabym ją poprosić, żeby zabrała się na to przyjęcie z nami.

- Myślisz, że by poszła? - pyta Sam. Sara zerka na mnie.

- Wiesz, może nie powinnam jej zapraszać, skoro Sam jej nie lubi.

- Dobra, dobra, okej. - Sam się uśmiecha. - Ja tylko... Nie wiem.

- Ona ciągle pyta, dlaczego do niej od tamtej pory nie zadzwoniłeś. Wygląda na to, że cię lubi.

- To prawda - przyznaję. - Słyszałem, jak to mówiła.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - obrusza się Sam.

- Bo ty nigdy nie zapytałeś. Sam spogląda na zaproszenie.

- Więc to jest w tę sobotę?

- Tak.

- Jestem za tym, żebyśmy poszli - oświadcza, patrząc na mnie. Wzruszam ramionami.

- Nie ma sprawy.

Kiedy ostatni dzwonek kończy lekcje, Henri już na mnie czeka. Bernie Kosar jak zwykle stoi na przednim siedzeniu i na mój widok zaczyna machać ogonem z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Wskakuję do furgonetki. Henri włącza stacyjkę i odjeżdża.

- Była dalsza część historii o dziewczynie z Argentyny - mówi.

- I?

- Tylko krótka notatka o tym, że ona zaginęła. Burmistrz miasteczka wyznaczył skromną nagrodę za informację o miejscu jej pobytu. To brzmi, jakby zakładali, że ktoś ją porwał.

- Boisz się, że dopadli ją Mogadorczycy, nim zdążyła uciec?

- Jeśli jest Dziewiątką, jak wskazywałaby na to tamta notatka z rozmowy telefonicznej, i Mogadorczycy byli na jej tropie, to dobrze, że zniknęła. A jeśli została porwana, Mogadorczycy nie mogą jej zabić, nie mogą jej nawet zranić. To daje nam nadzieję. Dobrą rzeczą dla nas, pomijając samą wiadomość, jest to, że teraz pewnie wszyscy Mogadorczycy na Ziemi szturmują Argentynę.

- A propos, Sam ma ostatni numer tej gazetki.

- Jest tam coś?

- Nie.

- Tak jak się spodziewałem. Twój numer z lewitacją musiał zrobić na nich ogromne wrażenie.

W domu zmieniam ubranie i wychodzę z Henrim na codzienny trening. Ćwiczenie różnych umiejętności w płomieniach ognia nie jest już takie trudne. Nie denerwuję się tak bardzo jak za pierwszym razem. Potrafię dłużej wstrzymać oddech, blisko cztery minuty. Lepiej panuję nad przedmiotami, które unoszę w powietrze, i umiem to zrobić z kilkoma rzeczami naraz. Stopniowo, z dnia na dzień, zmartwienie, jakie widziałem na twarzy Henriego podczas pierwszych moich prób, się rozwiało. Mój Stróż częściej kiwa głową. Częściej się uśmiecha. W dni, kiedy idzie mi naprawdę dobrze, w jego oczach pojawia się lekko szalone spojrzenie, wyrzuca w górę ręce i krzyczy „Tak!”

najgłośniejszym, jak może. W ten sposób nabieram zaufania do swoich Dziedzictw. Pozostałe są jeszcze w drodze, ale myślę, że niezbyt daleko. Wśród nich to najważniejsze, moja główna moc, czymkolwiek ona będzie.

Podniecające oczekiwanie nie daje mi w nocy zasnąć. Chcę walczyć. Marzę, by jakiś Mogadorczyk zawitał na nasze tylne podwórze i żebym w końcu mógł się upomnieć o zemstę.

To łatwy dzień. Bez ognia. Głównie unoszenie przedmiotów i manipulowanie nimi w powietrzu. Przez ostatnie dwadzieścia minut Henri rzuca we mnie różnymi rzeczami - czasem pozwalam im po prostu upaść na ziemię, innym razem używam ich jak bumerangu, tak że skręcają w powietrzu i błyskawicznym lotem wracają ku Henriemu. W

pewnym momencie tłuczek do mięsa zawraca tak szybko, że Henri nurkuje twarzą w śnieg, żeby nie dostać w głowę.

Śmieję się w głos. Henri nie. Bernie Kosar leży na ziemi, nie spuszczając z nas oczu, sprawiając wrażenie, jakby nas dopingował. W końcu jestem wolny i wracam do domu. Biorę prysznic, odrabiam lekcje i siadam do kolacji.

- W tę sobotę jest przyjęcie, na które chcę iść. Henri podnosi wzrok znad talerza, przełyka jedzenie.

- Jakie przyjęcie?

- U Marka Jamesa. Robi zdziwioną minę.

- Tamto już się skończyło - mówię, nim zdąży zaprotestować.

- No cóż, przypuszczam, że wiesz, co robisz. Tylko pamiętaj, co ryzykujesz.

25

I nagle się ociepla. Po rzeźkich wiatrach, przejmującym zimnie i ciągle sypiącym śniegu nadchodzą dni z niebieskim niebem i temperaturą dziesięciu stopni. Śnieg topnieje. Najpierw są stojące kałuże przed domem i na podjeździe, mokra droga z dźwiękiem chlapiących opon, ale po jednym dniu cała woda wsiąka i wyparowuje, samochody przejeżdżają normalnie jakby nigdy nic. Przerwa w akcji, krótkie wytchnienie, zanim staruszka zima z powrotem przejmie cugle.

Siedzę na ganku, czekając na Sarę, patrząc w wieczorne niebo z migoczącymi gwiazdami i księżycem w pełni.

Cienka jak ostrze chmura przecina w pół księżyc i zaraz szybko znika. Słyszę chrzęst żwiru pod

kołami, potem ukazują się światła i samochód zatrzymuje się na podjeździe. Sara wysiada od strony kierowcy. Jest w ciemnoszarych spodniach z rozszerzonymi nogawkami i granatowym rozpinanym sweterku pod beżową kurtką. Wystająca nad suwakiem kurtki niebieska bluzka podkreśla kolor jej oczu. Jej złote włosy opadają za ramiona. Uśmiecha się z udawaną skromnością i

podchodząc do mnie, trzepocze rzęsami. Czuję motyle w żołądku. Prawie trzy miesiące razem i wciąż jestem zdenerwowany, kiedy ją widzę. I nie wierzę, żeby to mi kiedykolwiek przeszło.

- Wyglądasz pięknie - mówię.

- Dzięki - odpowiada i odwzajemnia się uprzejmością: - Ty też wyglądasz nie najgorzej.

Całuję Sarę w policzek. Wtedy wychodzi z domu Henri i macha do mamy Sary, która siedzi w samochodzie na miejscu dla pasażera.

- Zadzwoń, kiedy będziecie chcieli, żeby po was przyjechać, tak? - pyta Henri.

- Tak.

Wsiadamy do samochodu, ja na tylne siedzenie, Sara za kierownicę. Od kilku miesięcy ma młodzieżowe prawo jazdy, co oznacza, że może prowadzić pod warunkiem, że obok niej siedzi dorosły kierowca. W poniedziałek, za dwa dni, ma egzamin na zwykłe prawo jazdy i denerwuje się tym, odkąd w czasie ferii zimowych ustaliła termin. Wycofuje się z podjazdu i rusza, odchyłając trochę lusterko wsteczne, żeby się do mnie uśmiechnąć. Odwzajemniam uśmiech.

- Jak ci minął dzień, John? - pyta jej mama, odwracając do mnie głowę.

Rozmawiamy o tym i o owym. Ona opowiada o dzisiejszej wyprawie z Sarą do centrum handlowego i o tym, jak Sara prowadziła. Ja mówię o zabawie z Berniem na podwórzu i o przebieżce, jaką później zrobiliśmy. Nie mówię o późniejszym trzygodzinnym treningu za domem. Nie mówię o tym, jak za pomocą telekinezy rozłupałem na pół

obumarły pień drzewa, ani o tym, jak Henri rzucał we mnie nożami, którym zmieniałem kierunek lotu, tak żeby trafiły w worek z piaskiem pięć metrów dalej. Nie mówię jej o smażeniu się w ogniu ani o przedmiotach, które podnoszę bez dotykania, jak je miażdżę i rozłupuję. Jeszcze jeden skrywany sekret. Jeszcze jedna półprawda, która ciąży jak kłamstwo. Chciałbym powiedzieć Sarze. Czuję się trochę, jakbym ją zdradzał, ukrywając, kim jestem, i od kilku tygodni to mnie naprawdę męczy. Ale też wiem, że nie mam innego wyjścia. W każdym razie nie w tym momencie.

- To tutaj? - pyta Sara.

- Tak.

Wjeżdża na podjazd Sama. On drepcze u jego wylotu ubrany w dzinsy i wełniany sweter. Patrzy na nas błędnym wzrokiem jak pochwycony w światła reflektorów jeleni. Ma żel we włosach. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby układał

włosy na żel. Podchodzi do samochodu, otwiera tylne drzwi i siada koło mnie.

- Cześć, Sam - mówi Sara, potem przedstawia go swojej mamie, wycofuje samochód z podjazdu i jedzie dalej.

Sam ze zdenerwowania przyciska ręce do siedzenia. Sara skręca w drogę, której nigdy przedtem nie widziałem, i zaraz potem zjeżdża w prawo na kręty podjazd. Po jednej stronie stoi ze trzydzieści zaparkowanych samochodów. Na końcu podjazdu, otoczony drzewami, wyłania się wielki jednopiętrowy dom. Już wcześniej słyszemy muzykę.

- Jezu, niezła chałupa - mówi Sam.

- Bądźcie wszyscy grzeczni - upomina mama Sary - I uważajcie na siebie. Zadzwoń - zwraca się do mnie -

gdybyście czegokolwiek potrzebowali albo gdybyś nie mógł się dodzwonić do swojego taty.

- Dobrze, pani Hart.

Wysiadamy i ruszamy w stronę frontowych drzwi. Zza domu wybiegają do nas dwa psy, golden retriever i buldog.

Machają ogonami i przypadają do moich spodni, niuchając zapach Berniego Kosara. Buldog trzyma w pysku patyk.

Wrywam mu go, rzucam przez podwórze i oba psy rzucają się w pogoń.

- Buldożer i Abby - mówi Sara.

- Rozumiem, że Buldożer to buldog.

Kiwa głową i uśmiecha się do mnie jakby przepraszająco. Niechcący mi uświadomiła, czy przypomniała, jak dobrze musi znać ten dom. Zastanawiam się, czy to nie jest dla niej dziwne uczucie pojawienie się tu ze mną.

- Fatalny pomysł - mówi do mnie Sam. - Dopiero teraz to do mnie dociera.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo zaledwie trzy miesiące temu koleś, który tu mieszka, zapaskudził obie nasze szafki krowim gnojem i walnął

mnie w głowę klopsem podczas lunchu. A my tu przyjeżdżamy na imprezę.

- Założę się, że Emily już tu jest - zmieniam temat, szturchając go łokciem.

Otwierają się drzwi do holu. Psy mijają nas pędem i znikają w kuchni, która znajduje się w głębi na wprost wejścia.

Widzę, że teraz Abby trzyma patyk. Wita nas głośna muzyka, którą musimy przekrzykiwać, żeby słyszeć się nawzajem. W salonie tańczą ludzie, prawie każdy z puszką piwa w ręce, niektórzy piją butelkowaną wodę albo jakiś napój gazowany. Najwyraźniej rodzice Marka gdzieś wyjechali. Cała drużyna futbolowa jest w kuchni, połowa w klubowych kurtkach.

Mark podchodzi uścisnąć Sarę. Potem wita się ze mną, wytrzymuje mój wzrok przez sekundę i odwraca oczy. Nie podaje ręki Samowi. W ogóle go nie zauważa. Być może Sam ma rację. Może przyście tutaj było błędem.

- Fajnie, że udało wam się wpaść. Wchodźcie. Piwko jest w kuchni.

Emily stoi w odległym kącie, rozmawia z innymi ludźmi. Sam popatruje w jej stronę, potem pyta, gdzie jest łazienka. Mark pokazuje mu drogę.

- Zaraz wracam - mówi do mnie.

Większość chłopaków stoi wokół wyspy pośrodku kuchni. Patrzą na mnie, kiedy wchodzę z Sarą. Zatrzymuję wzrok na każdym z nich i biorę butelkę wody z kubelka z lodem. Mark otwiera puszkę piwa i podaje Sarze. Sposób, w jaki na nią patrzy, uświadamia mi znowu, jak mało mu ufam. I teraz zdaję sobie sprawę, jak dziwaczna jest cała ta sytuacja. Ja w jego domu z Sarą, jego byłą dziewczyną. Cieszę się, że jest ze mną Sam. Pochyliam się i bawię z psami do powrotu Sama z łazienki. Tymczasem Sara przeniosła się na koniec salonu i rozmawia z Emily. Sam jest wyraźnie spięty, widząc, że nie mamy nic innego do roboty, jak podejść do nich i przywitać się z Emily. Bierze głęboki oddech. W

kuchni dwaj faceci przykładają ogień do rogu gazety tylko po to, żeby zobaczyć, jak się będzie palić.

- Nie zapomnij powiedzieć jej komplementu - radzę Samowi w ostatniej chwili.

- O, jesteście - mówi Sara. - Już myślałam, że zostawiliście mnie na pastwę losu.

- Nie ma takiej możliwości - odpowiadam. - Cześć, Emily. Jak leci?

-

W porządku - mówi i zwraca się do Sama: - Fajne masz włosy. Sam patrzy na nią bez słowa, więc szturcham go w ramię. Uśmiecha się.

- Dziękuję. Bardzo ładnie wyglądasz.

Sara rzuca mi wymowne spojrzenie. Wzruszam ramionami i całuję ją w policzek. Muzyka jest coraz głośniejsza.

Sam rozmawia z Emily jakoś nerwowo, ale ona się zaśmiewa i po chwili mój przyjaciel trochę wyluzowuje.

- I jak, wszystko dobrze? - pyta mnie Sara.

70

- Jasne. Jestem z najładniejszą dziewczyną na imprezie. Czy mogłoby być lepiej?

- Przestań - mówi i daje mi kuksańca w brzuch.

Tańczymy we czwórkę mniej więcej przez godzinę. Piłkarze cały czas piją. Ktoś pojawia się z butelką wódki i niedługo potem jeden z nich - nie wiem który - puszcza w łazience pawia, tak że smród wymiocin roznosi się po całym parterze. Inny, spity do nieprzytomności, zwała się na sofę w salonie, a kilku jego kumpli maże mu twarz markerem.

Ludzie przewalają się w tę i w tę przez drzwi prowadzące do suterenu. Nie mam pojęcia, co tam się dzieje. Od dziesięciu minut nie widzę nigdzie Sary. Zostawiam Sama, przechodzę przez salon i kuchnię, potem idę schodami na piętro. Biały gruby dywan, na ścianach obrazy i rodzinne portrety. Drzwi do kilku sypialni są otwarte. Niektóre są zamknięte. Nie znajduję Sary. Wracam na dół. Sam stoi sam w kącie z ponurą miną. Podchodzę do niego.

- Co jest? - pytam. Kręci głową.

- Chyba nie chcesz, żebym cię zawiesił w powietrzu i odwrócił do góry nogami jak tamtego gościa w Athens?

Uśmiecham się, Sam nie.

- Zostałem zapędzony do rogu przez Aleksa Davisa - mówi. Alex Davis to jeszcze jeden ze zgrai Marka Jamesa, skrzydłowy

w jego drużynie. Pierwszoklasista, wysoki i chudy. Nigdy z nim nie rozmawiałem i niewiele o nim wiem.

- Co rozumiesz przez „zapędzony do rogu“?

- Tylko sobie gadaliśmy. On zobaczył, że rozmawiam z Emily. Zdaje się, że przez całe wakacje ze sobą chodzili.

- No to co? Dlaczego cię to martwi? Wzrusza ramionami.

- To jest do dupy i martwi mnie, okej?

- Sam, wiesz jak długo Sara chodziła z Markiem?

- Długo.

- Dwa lata.

- Martwi cię to? - pyta.

- Ani trochę. Kogo obchodzi przeszłość? Poza tym spójrz na Aleksa, tam w kuchni.

Alex kiwa się pochylony nad kuchennym blatem, ma rozbiegane oczy i błyszczące od potu czoło.

- Naprawdę myślisz, że ona za nim tęskni?

Sam przygląda mu się chwilę, wzrusza ramionami.

- Jesteś porządnym facetem, Samie Goode. Nie dołuj tak sam siebie.

- Wcale się nie dołuję.

- No to przestań się martwić przeszłością Emily. Niekoniecznie świadczy o nas to, co robiliśmy lub czego nie robiliśmy w swojej przeszłości. Niektórzy ludzie pozwalają, żeby kierował nimi żal. Może jest czego żałować, może nie. To jest tylko coś, co się wydarzyło. Zostaw to, daj sobie spokój.

Sam wzdycha. Wciąż się z tym zmagają.

- Hej, rusz się. Ona cię lubi. Nie ma się czego bać - mówię.

- Ale ja się boję.

- Najlepszym sposobem na strach jest stawić mu czoło. Po prostu podejdź do niej i pocałuj ją.

Jestem pewien, że też cię pocałuje.

Sam patrzy na mnie i kiwa głową, potem idzie do sutereny gdzie kręci się Emily Dwa kotłujące się ze sobą psy wpadają do salonu. Z wywieszonymi jęzorami. Obydwa ogony w ruchu. Buldożer przypada brzuchem do podłogi i czeka, dopóki Abby nie podejdzie wystarczająco blisko, wtedy na nią skacze, a ona odskakuje. Obserwuję je do chwili, gdy znikają na schodach, bawiąc się w przeciąganie gumowej zabawki. Jest za kwadrans północ. Po drugiej stronie pokoju jakaś para obściskuje się na kanapie. Piłkarze okupujący kuchnię dalej piją. Zaczynam być śpiący. Wciąż nie mogę znaleźć Sary.

Właśnie wtedy jeden z drużyny futbolowej wybiega z sutereny z gorączkowym, oszalałym spojrzeniem w oczach.

Rzuca się do zlewozmywaka, odkręca wodę na pełny strumień i zaczyna otwierać wszystkie po kolei szafki.

- Na dole się pali! - mówi do stojących obok.

Zaczynają napełniać wodą garnki i patelnie, co się da, i jeden za drugim pędzą na dół.

Emily i Sam wbiegają po schodach. Sam jest roztrzęsiony.

- Co jest? - pytam.

- Dom się pali!

- Bardzo źle to wygląda?

- Czy pożar może wyglądać dobrze? I chyba to my go roznieciliśmy My... umm, strąciliśmy świeczkę na zasłonę.

Sam i Emily, oboje trochę rozmamłani, wyglądają, jakby się obści-skiwali. Notuję sobie w głowie, żeby nie zapomnieć Samowi pogratulować.

- Widziałaś gdzie Sarę? - pytam Emily Kręci głową.

Następni ludzie wybiegają z sutereny, wśród nich Mark James. Widzę w jego oczach strach. I dopiero teraz czuję dym. Patrzę na Sama.

- Wychodźcie na zewnątrz - mówię.

Kiwa głową, bierze Emily za rękę i wychodzą razem. Część ludzi idzie za nimi, ale niektórzy zostają, obserwując sytuację z pijanym zaciekawieniem. Kilku chłopaków stoi jak banda kretynów, poklepując po plecach piłkarzy, którzy biegają schodami w górę i w dół, dopingując ich okrzykami, jakby to wszystko było żartem. Idę do kuchni i łapię metalowy garnek średniej wielkości - największą rzecz, jaka została. Nalewam wody i schodzę na dół. Wszyscy się stąd wynieśli poza tymi, którzy walczą z pożarem, o wiele większym, niż się spodziewałem. Połowa sutereny jest zajęta ogniem. Gaszenie go małą ilością wody, jak mi została, jest nadaremne. Nawet nie próbuję, tylko rzucam garnek i gnam z powrotem na parter. Mark pędzi w dół. Zatrzymuję go na schodach. Ma błędne pijane oczy, ale widzę w nich strach i rozpacz.

- Daj sobie spokój - mówię. - Nie ma szansy Musimy wyprowadzić wszystkich z domu.

Patrzy w dół schodów na ogień. Wie, że mam rację. Maski twardej opadła. Żadnego udawania.

- Mark! - wrzeszczę.

Kiwa głową, wypuszcza z rąk garnek i wracamy razem na górę.

- Wszyscy wychodź! Już! - wydzieram się ze szczytu schodów. Kilku pijanych ani drgnie.

Niektórzy się śmieją.

Jeden koleś pyta

„Gdzie jest pianka?” i Mark zdzielił go w twarz.

- Wyłazić! - krzyczy.

Zrywam ze ściany bezprzewodowy telefon i wpycham go do ręki Markowi.

- Dzwon na 911 - przekrzykuję jazgot głosów i muzykę, która ciągle skądś grzmi jak ścieżka dźwiękowa do wybuchającego pandemonium.

Rozgrzewa się podłoga. Dym zaczyna buchać w górę spod naszych stóp. Dopiero wtedy ludzie zaczynają brać to na poważnie. Zaczynam ich popychać w stronę drzwi. Zostawiam Marka, który dzwoni po straż, i lecę przeszukać dom.

Wbiegam po trzy schody naraz i otwieram kopniakiem kolejne drzwi. Jedna para migdali się na łóżku. Wrzeszczę na oboje, żeby uciekali. Nigdzie nie ma Sary. Wracam pędem na dół i wybiegam na zewnątrz w ciemną, zimną noc. Wkoło stoją ludzie, przyglądając się. Niektórzy, widząc to po nich, są podnieceni perspektywą, że dom cały spłonie. Niektórzy się śmieją. Mnie ogarnia panika. Gdzie jest Sara? Sam stoi na końcu tłumu, który musi liczyć około setki osób. Biegnę do niego.

- Widziałeś Sarę? - pytam.

- Nie.

Patrzę z powrotem na dom. Ludzie wciąż wychodzą. Okna sutereny jarzą się na czerwono, płomienie liżą od wewnątrz szyby. Z jedyne go otwartego okna wydobywa się dym i wznosi wysoko w powietrze. Zaczynam przemykać się przez tłum i w tym momencie domem wstrząsa eksplozja. Wszystkie okna sutereny wypadają i roztrzaskują się na kawałki. Są tacy, którzy wiwatują. Płomienie dosięgły piętra i szybko zagarniają resztę przestrzeni. Mark James stoi na przedzie tłumu niezdolny oderwać od nich wzroku. Pomarańczowa poświata rozświetla mu twarz. Ma łzy w oczach i taki sam wyraz rozpacz, jaki widziałem w spojrzeniu Loryjczyków w dniu inwazji. Jak dziwną rzeczą musi być oglądanie gwałtownego zniszczenia tego wszystkiego, co się w życiu znało. Ogień rozprzestrzenia się z wrogością.

Mark może tylko patrzeć. Płomienie wznoszą się już ponad okna parteru. Czujemy żar na twarzach.

- Gdzie jest Sara? - pytam go.

Nie słyszy mnie. Potrząsam jego ramieniem. Odwraca się i patrzy na mnie z tak błędnym wyrazem twarzy, jakby wciąż nie wierzył w to, co mówią mu oczy.

- Gdzie jest Sara? - pytam jeszcze raz.

- Nie wiem.

Zaczynam przedzierać się przez tłum, wypatrując jej, coraz bardziej opętany strachem. Wszyscy gapią się w ogień.

Winyłowy siding zaczął się marszczyć i topić. Wszystkie zasłony w oknach spłonęły. Frontowe drzwi są otwarte, dym wylewa się spod górnej futryny jak odwrócony do góry nogami wodospad. Widzimy całe przejście do kuchni, która jest istnym piekłem. Po lewej stronie domu ogień sięgnął piętra. I wtedy wszyscy to słyszemy.

Długi przeraźliwy krzyk. I szczekanie psów. Zamiera mi serce. Wszyscy wyteżamy słuch, mając cholerną nadzieję, że nie słyszeliśmy tego, co każdy z nas bez wyjątku wie, że słyszał. I nagle to samo. Nieomylnie. Rozlega się ze wzmożoną siłą i tym razem nie milknie. Po tłumie przelatuje stłumiony okrzyk.

- Och nie - mówi Emily - O Boże, nie, błagam nie.

26

Nikt się nie odzywa. Wszystkie oczy są szeroko otwarte, zszokowane spojrzenia zwrócone w górę. Sara i psy muszą być gdzieś z tyłu. Zamykam oczy i opuszczam głowę. Czuję tylko zapach dymu. „Pamiętaj, co ryzykujesz”, ostrzegął

mnie Henri.

Dobrze wiem, co ryzykuję, ale ciągle słyszę jego słowa. Swoje życie, a teraz też życie Sary.

Słysząc kolejny krzyk. Pełen bólu i przerażenia. Czuję na sobie wzrok Sama. On widział na własne oczy moją odporność na ogień. Ale wie też, że mnie ścigają. Rozglądam się dookoła. Mark klęczy na ziemi, kiwając się w przód i w tył. Chce, żeby to się skończyło. Chce, żeby psy przestały szczekać. Ale nie przestają, a z każdym szczeknięciem Mark kuli się, jakby dostał nożem w brzuch.

- Sam - mówię cicho, żeby nikt inny nie słyszał. - Wchodzę do środka.

Zamyka oczy, bierze głęboki oddech, wbija we mnie nieruchome spojrzenie.

- Idź po nią - mówi.

Zostawiam mu swój telefon i proszę, żeby zadzwonił do Henriego, jeśli z jakiegoś powodu nie wrócę. Kiwa głową.

Zaczynam się przemieszczać na koniec tłumu, lawirując wśród masy ciał. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Kiedy już nie mam nikogo za sobą, pędzę po obrzeżach dziedzińca na tyły domu, żeby wejść niezauważony. Kuchnia jest cała w płomieniach. Przez moment przyglądam się temu z zewnątrz. Słyszę Sarę i psy. Wydaje mi się, że teraz są gdzieś bliżej. Biorę głęboki oddech i wraz z nim przychodzą różne emocje. Złość. Determinacja. Nadzieja i strach. Nie bronię się przed tym, wszystko to czuję. Potem ruszam przez podwórze i wpadam do domu. W ułamku sekundy pochłania mnie piekło ognia, nie słyszę nic oprócz trzasków i syku płomieni. Moje ubranie zajmuje się ogniem. Ogień jest już wszędzie. Idę w stronę frontowej części domu i widzę, że połowa schodów jest spalona. To, co z nich zostało, pali się, wygląda niepewnie, ale nie ma czasu na sprawdzanie wytrzymałości. Biegnę na górę, jednak schody załamują się pod moim ciężarem w połowie drogi. Spadam na dół razem z nimi, płomienie strzelają w górę, jakby ktoś dołożył do ognia.

Coś rani mnie w plecy. Zaciskam zęby, ciągle wstrzymując oddech. Wydostaję się z rumowiska i nasłuchuję wołania Sary. Krzyczy, jest przerażona i umrze, umrze potworną śmiercią w męczarniach, jeśli zaraz do niej nie dotrę. Nie ma czasu do stracenia. Będę musiał wskoczyć na piętro.

Odbijam się, łapię krawędzi podłogi i podciągam się na rękach. Ogień zajął drugą stronę domu. Sara z psami jest gdzieś po mojej prawej. Pędzę wielkimi susami korytarzem, sprawdzam po kolei pokoje. Zdjęcia na ścianach spłonęły w ramkach, zostały tylko poczerńnięte sylwetki wtopione w ściany. Raptem moja stopa wpada w dziurę w podłodze i w zaskoczeniu biorę oddech. Zamiast powietrza łapię haust dymu i żaru. Zaczynam się krztusić. Zakrywam ramieniem usta, ale to niewiele pomaga. Dym i ogień wypalają mi płuca. Osuwam się na kolana, kaszląc, dusząc się w bólu. Nagle ogarnia mnie furia i tylko dzięki niej jakoś wstaję i ruszam dalej. Zgarbiony, z zaciśniętymi szczękami, gotów na wszystko.

I wreszcie ich znajduję: w ostatnim pokoju po lewej stronie. Sara wzywa pomocy. Psy piszczą i skomlą. Drzwi są zamknięte, wyważam je kopniakiem, wypadają z zawiasów. Wbici w najdalszy kąt siedzą wtuleni w siebie ciasno. Sara mnie widzi, wykrzykuje moje imię i zaczyna wstawać. Pokazuję jej na migi, żeby została tam, gdzie jest. W momencie,

72

gdy wchodzę do pokoju, pomiędzy nas spada wielka płonąca belka stropowa. Podnoszę rękę i bez dotykania wyrzucam belkę do góry, przez resztki płonącego dachu. Sara nie może pojąć tego, co zobaczyła. Rzucam się do niej, pokonując pięć metrów jednym skokiem. Przedzieram się przez płomienie i nic mi nie jest. Psy stoją przy nogach Sary. Wpycham jej do rąk buldoga, sam biorę retrievera. Drugą ręką pomagam jej wstać.

- Przyszedeś po mnie.

- Póki żyję, nikt i nic cię nie skrzywdzi.

Spada kolejna belka i zabierając ze sobą część podłogi, łąduje w kuchni na parterze. Musimy wyjść tyłem, żeby nikt mnie nie zobaczył ani nie zobaczył tego, co raczej będę zmuszony zrobić. Przyciskam mocno Sarę do swojego boku, a psa do piersi. Robimy dwa kroki w przód, potem przeskakujemy płonąca wyrwę w podłodze, tę, którą wybiła spadająca belka. Kiedy próbujemy uciekać korytarzem, wielki wybuch pod nami niszczy większą jego część. Nie ma korytarza, została tylko ściana z oknem, błyskawicznie pożerana przez ogień. Naszą jedyną szansą jest wydostać się przez okno.

Sara krzyczy, trzyma się kurczowo mojego ramienia, na piersi czuję wbijające się w ciało psie pazury. Unoszę rękę w kierunku okna, wpatruję się w nie, skupiam całą swoją energię. Okno wylatuje z framugi, zostawiając po sobie otwór, którego potrzebujemy. Spoglądam na Sarę, przyciągając ją bliżej siebie.

- Trzymaj się mocno - mówię.

Biorę trzy kroki rozpędu i rzucam się naprzód. Płomienie pochłaniają nas w całości, ale pędzimy w powietrzu jak kula wystrzelona z pistoletu, prosto w kierunku otworu. Boję się, że nam się nie uda. I ledwie się mieścimy; czuję, jak potrzaskana framuga szoruje o moje ramiona i nogi. Trzymam Sarę i psy najlepiej jak potrafię, obracam się w locie, żeby wylądować na plecach pod nimi. Uderzamy o ziemię z głuchym łomotem. Buldożer turla się po ziemi. Abby skomle. Słyszę długi, przeciągły oddech Sary. Jesteśmy jakieś dziesięć metrów od domu. Dotykam czubka swojej głowy pokaleczonej odłamkami szyby z framugi okna.

Buldożer podnosi się pierwszy. Wygląda na to, że wszystko z nim dobrze. Abby jest bardziej niemrawa. Kuleje na przednią łapę, ale zdaje się, że to nic poważnego. Leżę na plecach, obejmując mocno Sarę, która zaczyna płakać. Czuję swąd jej nadpalonych włosów. Strużka krwi z rany na mojej głowie spływa bokiem po twarzy i zbiera się w uchu. Siadam w trawie, żeby złapać oddech. Sara jest w moich ramionach. Podeszwy moich butów całkiem się roztopiły, koszula się spaliła, podobnie jak większa część dzinsów. Całe ramiona mam pokaleczone. Ale w ogóle nie jestem poparzony. Buldożer liże moją rękę. Głaszczę go.

- Dobry pies - mówię między szlochami Sary. - Śmiało, weź swoją siostrę i idźcie przed dom.

W oddali słyhać wycie syren, straż powinna zjawić się za minutę, może dwie. Las jest jakieś sto pięćdziesiąt metrów od tyłów domu. Obydwa psy siedzą i obserwują mnie. Wskazują gestem głowy front domu i razem wstają, jakby zrozumiały, o co mi chodzi. Ruszają w dobrym kierunku. Sara jest ciągle w moich ramionach. Obracam ją, tak żeby móc ją nieść, wstaję i ruszam w stronę lasu. Sara płacze w moje ramie. W chwili, kiedy mijamy linię drzew, tłum zaczyna wydawać okrzyki radości. Musieli zauważyć Buldożera i Abby. Las jest gęsty. Na niebie jest księżyc w pełni, ale daje niewiele światła. Oświetlam drogę rękami. Zaczynam drżeć i ogarnia mnie panika. Jak to wytłumaczę Henriemu? Mam na sobie spalone ubranie. Rany na głowie. Rany na plecach. Pokaleczone ramiona i nogi. Pali mnie w płucach przy każdym oddechu. I trzymam w ramionach Sarę. Ona wie już, do czego jestem zdolny, co potrafię zrobić, widziała wystarczająco dużo. Będę musiał jej wszystko wytłumaczyć. Będę musiał powiedzieć Henriemu, że ona wie.

Lista moich wykroczeń jeszcze się wydłużyła. Henri powie, że w końcu ktoś komuś niechcący sypnie. Będzie nalegał, żebyśmy wyjechali. To jest nieuniknione.

Stawiam Sarę na ziemi. Przestała już płakać. Patrzy na mnie zagubiona, wystraszona, oszołomiona. Wiem, że muszę znaleźć jakieś ubrania i wrócić do ludzi, żeby nie nabrali żadnych podejrzeń. Muszę zaprowadzić tam Sarę, aby nie myśleli, że zginęła w pożarze.

- Możesz chodzić? - pytam.

- Chyba tak.

- Idź za mną.

- Dokąd?

- Musimy znaleźć jakieś ubranie. Może któryś z piłkarzy ma coś na zmianę po treningu.

Ruszamy przez las. Mam zamiar pokręcić się i pozaglądać do samochodów, żeby znaleźć jakieś ciuchy

- John, co się właściwie wydarzyło? Co się dzieje?

- Był pożar i ja cię stamtąd wyciągnąłem.

- To, co zrobiłeś, jest nieprawdopodobne. Niemożliwe.

- Dla mnie możliwe.

- Co to znaczy?

Patrzę na nią. Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał powiedzieć jej tego, co za chwilę powiem. Chociaż wiedziałem, że to nierealne, miałem nadzieję, że uda mi przetrwać w Paradise. Henri zawsze powtarzał, że bym się do nikogo za bardzo nie zbliżał. Bo jeśli to zrobię, ' w którymś momencie ludzie się zorientują, że jestem inny, i będą żą-

dać wyjaśnień. A wtedy będziemy musieli wyjechać. Serce wali mi jak i oszalałe i trzęsą mi się ręce, nie z zimna. Jeśli jest cień nadziei na pozostanie w Paradise, na to, że ujdzie mi płazem mój dzisiejszy wyczyn, to muszę jej wszystko powiedzieć.

- Nie jestem tym, kim myślisz.

- A kim jesteś?

- Jestem Numerem Cztery.

- Co to znaczy?

- Saro, to zabrzmiało głupio i nieprawdopodobnie, ale wszystko, co ci powiem, to prawda. Musisz mi uwierzyć.

Sara dotyka dłonią mojej twarzy.

- Jeśli mówisz, że to prawda, uwierzę ci.

- To prawda.

- Więc powiedz mi.

- Jestem kosmitą. Jestem czwartym z dziewięciorga dzieci wysłanych na Ziemię po tym, jak nasza planeta została zniszczona. Mam moce, moce, jakich nie ma żaden człowiek na Ziemi, moce, które pozwalają mi robić takie rzeczy, jakie robiłem w tym domu. Są na Ziemi inni kosmici, którzy mnie ścigają, którzy napadli moją planetę. Jeśli mnie znajdą, zginę.

Spodziewam się, że Sara lada moment da mi w twarz albo wybuchnie śmiechem, albo zacznie krzyczeć. Albo odwróci się i ucieknie. Tymczasem zatrzymuje się i patrzy na mnie. Patrzy mi prosto w oczy.

- Mówisz prawdę - mówi.

- Tak.

Ja też patrzę jej w oczy, chcę, żeby mi uwierzyła.

Przygląda mi się badawczo przez długą chwilę, potem kiwa głową.

- Dziękuję, że uratowałeś mi życie. Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani skąd pochodzisz. Dla mnie jesteś Johnem, chłopcem, którego kocham.

- Co?

- Kocham cię, John. Uratowałeś mi życie i tylko to się liczy.

- Ja też cię kocham i nigdy nie przestanę cię kochać. Przygarniam ją do siebie i całuję. Po minucie, może dwóch, Sara się odsuwa.

- Chodź, znajdziemy ci jakieś ubranie i wrócimy do ludzi, żeby wiedzieli, że nic nam nie jest.

W czwartym samochodzie, który sprawdzamy, Sara znajduje komplet ubrania: dzinsy i zapinaną koszulę, wystarczająco podobne do tego, co miałem na sobie, żeby nikt nie zauważył różnicy. Zatrzymujemy się jak najdalej domu, żeby widzieć, co się dzieje. Dom zawalił się całkowicie, jest stosem zwęglonych szczątków ociekających wodą.

Gdzieś tam nad rumowiska unoszą się smugi dymu, robiąc upiorne wrażenie na tle nocnego nieba. Obok stoją trzy wozy strażackie. Udaje mi się naliczyć sześć radiowozów. Błyska dziewięć zestawów migających świateł, ale nie towarzyszą im żadne syreny. Niewielu ludzi, jeśli w ogóle ktokolwiek, opuściło to miejsce. Zostali odsunięci w tył, dom otoczono kordonem z żółtej taśmy. Policjanci przesłuchują niektórych świadków. Pięciu strażaków przekopuje rumowisko.

Nagle słyszę za plecami „Tam są!” i wszystkie oczy w tłumie zwracają się ku nam. Mija pięć sekund, nim orientuję się, że to o mnie mowa.

Podchodzi do nas czterech oficerów policji. Za nimi jest mężczyzna z notatnikiem i dyktafonem. Podczas szukania ubrań ustaliliśmy z Sarą wspólną wersję wydarzeń. Poszedłem na tyły domu, gdzie ona stała, przyglądając się pożarowi. Chwilę wcześniej wyskoczyła z drugiego piętra domu razem z psami, które gdzieś uciekły. Potem przyglądaliśmy się pożarowi razem, z dala od tłumu, ale w końcu obeszliliśmy dom i przyłączyliśmy się do reszty ludzi.

Przekonałem Sarę, że absolutnie nikomu nie możemy powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło, nawet Samowi ani Henriemu; powiedziałem, że jeśli ktokolwiek dowie się prawdy, będę musiał natychmiast wyjechać. Uzgodniliśmy, że ja będę odpowiadał na pytania, a ona zgodzi się ze wszystkim, co powiem.

- Nazywasz się John Smith? - pyta jeden z gliniarzy.

Jest średniego wzrostu i stoi przygarbiony. Nie ma nadwagi, ale daleko mu do świetnej formy; ma wyraźnie zarysowany brzuszeczek.

- Tak, a o co chodzi?

- Dwoje ludzi zeznało, że widzieli, jak wbiegałeś do domu, a potem wyleciałeś tyłem jak Superman z psami i dziewczyną w ramionach.

- Poważnie? - pytam z niedowierzaniem, a Sara stoi przy mnie.

- Tak to opowiedzieli. Wybucham sztucznym śmiechem.

- Dom się palił. Czy ja wyglądam, jakbym wyszedł z płonącego domu?

Oficer marszczy brwi, opiera dłonie na biodrach.

- Więc twierdzisz, że nie byłeś w środku?

- Poszedłem na tyły domu, żeby znaleźć Sarę. Wydostała się razem z psami. Staliśmy tam, obserwując pożar, a potem przyszedliśmy tutaj.

Oficer przenosi wzrok na Sarę.

- Czy to prawda?

- Tak.

- Więc kto w takim razie wbiegł do domu? - wtrąca się stojący za policjantami dziennikarz.

Odzywa się po raz pierwszy. Patrzy na mnie przenikliwym, nieufnym wzrokiem i widać, że nie wierzy w moją historię.

- Skąd mam wiedzieć?

Kiwa głową i zapisuje coś w swoim notatniku. Nie mogę odczytać co.

- Więc twierdzisz, że tych dwoje świadków kłamie? - pyta dalej dziennikarz.

- Baines... - jeden z oficerów kręci znacząco głową.

- Nie wchodziłem do domu, nie ratowałem Sary ani psów. Oni byli na zewnątrz.

- Czy ktoś powiedział o ratowaniu jej albo psów? - pyta Baines. Wzruszam ramionami.

- Zdawało mi się, że właśnie to pan sugeruje.

- Niczego nie sugerowałem.

Podchodzi Sam z moją komórką. Próbuję powstrzymać go wzrokiem, dać mu do zrozumienia, że to nie najlepszy moment, ale on nie łapie i wręcza mi telefon.

- Dzięki.

- Cieszę się, że nic ci nie jest - mówi Sam.

Policjanci łypią na niego wymownie i Sam się wycofuje. Baines obserwuje mnie spod zmrużonych powiek. Żuje gumę, usiłuje posklejać strzępki informacji w jakąś całość. Sam do siebie kiwa głową.

- Więc zanim poszedłeś na spacer, dałeś swój telefon koledze? - pyta.

- Dałem mu telefon podczas imprezy. Było mi niewygodnie z telefonem w kieszeni.

- Zapewne. Więc dokąd poszedłeś?

- Baines, wystarczy tych pytań - mówi policjant.

- Czy mogę już odejść? - pytam.

Wyraża zgodę skinieniem głowy. Odchodzę z telefonem w ręce, wybierając numer Henriego. Sara jest ciągle przy mnie.

- Halo - odbiera Henri.

74

- Jesteśmy gotowi, żeby wracać. Był tu straszny pożar.

- Co?

- Możesz nas po prostu odebrać?

- Tak. Zaraz tam będę.

- Więc jak byś wyjaśnił tę ranę na czubku głowy? - pyta Baines zza moich pleców.

Szedł za mną, podsłuchując rozmowę z Henrim.

- Skaleczyłem się gałęzią w lesie.

- Jakie proste wytłumaczenie - mówi i znowu zapisuje coś w notatniku. - A wiesz, że ja wiem, kiedy ktoś kłamie?

Zbywam go milczeniem i idę dalej, trzymając Sarę za rękę. Podchodzimy do Sama.

- Dojdę prawdy, panie Johnie Smith. Ja nigdy nie ustępuję - krzyczy w ślad za mną Baines.

- Henri jest w drodze - mówię do Sama i Sary.

- O co im, do cholery, chodziło? - pyta Sam.

- A kto to wie? Komuś się wydawało, że widzi, jak wbiegam do płonącego domu, pewnie komuś, kto za dużo wypił

- mówię bardziej do Bainesa niż Sama.

Stoimy na końcu podjazdu do momentu, kiedy przyjeżdża Henri. Gasi silnik, wysiada i patrzy na spalone resztki domu w oddali.

- Do diabła. Daj słowo, że nie miałeś w tym żadnego udziału - mówi.

- Nie miałem.

Wsiadamy do furgonetki i odjeżdżamy, patrząc na dymiące pogorzeliisko.

- Czuć od was dymem - mówi Henri.

Nikt nie odpowiada, jedziemy w milczeniu. Sara siedzi na moich kolanach. Najpierw podwozimy Sama, potem Henri rusza w kierunku domu Sary.

- Nie chcę się dzisiaj z tobą rozstawać - mówi do mnie Sara.

- Ja też nie chcę się z tobą rozstawać.

Przed jej domem wysiadam i odprowadzam ją do drzwi. Nie chce mnie puścić, kiedy obejmuję ją

na pożegnanie.

- Zadzwońisz do mnie z domu?
- Jasne.
- Kocham cię.
- Ja też cię kocham - mówię z uśmiechem.

Sara wchodzi do środka. Ja wracam do samochodu, gdzie czeka mnie rozmowa z Henrim. Muszę wymyślić jakiś sposób, żeby nie dowiedział się prawdy o dzisiejszym wieczorze, żeby nie zmusił mnie do wyjazdu z Paradise. Henri rusza.

- Co się stało z twoją kurtką? - pyta.
- Była w szafie Marka.
- Co ci się stało w głowę?
- Walnąłem się o coś, uciekając z domu, kiedy wybuchł pożar. Henri patrzy na mnie podejrzliwie.
- To od ciebie czuć dymem. Wzruszam ramionami.
- Dymu było wszędzie pełno.
- Co spowodowało pożar?
- Myślę, że pijaństwo.

Henri kiwa głową i skręca w naszą ulicę.

- No cóż - mówi. - Ciekawe, co na ten temat napiszą w poniedziałkowych gazetach.

Odwraca w bok głowę, badając moją reakcję. Milczę.

Tak, to bardzo, bardzo ciekawe.

27

Nie mogę zasnąć. Leżę w ciemności nocy i gapię się w sufit. Dzwonię do Sary i rozmawiamy do trzeciej, odkładam telefon i dalej leżę z szeroko otwartymi oczami. O czwartej zwlekam się z łóżka i wychodzę z pokoju. Henri siedzi przy kuchennym stole, pijąc kawę. Podnosi wzrok, widzę worki pod jego oczami, rozczochrane włosy.

- Co robisz? - pytam.
- Ja też nie mogłem zasnąć. Przeglądam wiadomości.
- Znalazłeś coś?
- Tak. Ale nie jestem jeszcze pewien, co to dla nas oznacza. Mężczyźni, którzy pisali i wydawali „Oni chodzą wśród nas”, ci, których poznaliśmy, zostali zabici, a przed śmiercią byli torturowani.
- Co?

Siadam po drugiej stronie stołu.

- Policja znalazła ich po telefonie od sąsiadów, którzy słyszeli dochodzące z domu krzyki.
- Oni nie wiedzieli, gdzie my mieszkamy
- Nie, nie wiedzieli. Na szczęście. Ale to znaczy, że Mogadorczycy poczynają sobie coraz śmieiej.

I są niedaleko.

Więc żarty się skończyły. Teraz, jeśli zobaczymy czy usłyszymy cokolwiek podejrzanego, wyjeżdżamy natychmiast, bez zadawania pytań, bez dyskusji.

- Okej.
- Jak twoja głowa?
- Boli.

Zamknięcie rany wymagało siedmiu szwów. Henri sam je założył. Mam na sobie workowatą bluzę. Jestem pewien, że jedna z ran na plecach też się nadaje do zszycia, ale musiałbym zdjąć koszulę, a jak bym wyjaśnił Henriemu inne rany i zdrapania? Domyśli się od razu, co się wydarzyło. Nadal pali mnie w płucach. Ból jest nawet jeszcze silniejszy.

- Więc najpierw zapaliła się suterena?

- Tak.

- A ty byłeś w salonie?

- Tak.

- Skąd wiesz, że zaczęło się od sutereny?

- Bo wszyscy zaczęli stamtąd uciekać.

- I kiedy wyszedłeś na zewnątrz, wiedziałeś, że nikt nie został w domu?

- Tak.

- Skąd mogłeś wiedzieć?

Rozumiem, że chce mnie złapać na sprzeczności w zeznaniach, że jest sceptyczny co do prawdziwości mojej historyjki. On po prostu nie wierzy, że stałem na zewnątrz, gapiąc się jak wszyscy inni.

- Nie wchodziłem do środka - robię to z bólem, ale jednak okłamuję go w żywe oczy.

- Wierzę ci.

Budzę się około dwunastej w południe. Za oknem świergołą ptaki, słońce wlewa się do pokoju. Wzdycham z ulgą.

Fakt, że Henri pozwolił mi tak długo spać, oznacza, że nie było obciążających mnie wiadomości. Gdyby były, wyciągnąłby mnie z łóżka i kazał się pakować.

Przewracam się na bok i wtedy chwyta mnie ból. Mam uczucie, jakby ktoś uciskał moją klatkę piersiową, przygniatał mnie. Nie mogę wziąć pełnego oddechu. Kiedy próbuję, łapie mnie ostry ból. Ogarnia mnie strach.

Bernie Kosar chrapie zwinięty w kulkę przy moim boku. Na dzień dobry, żeby go obudzić, siłuję się z nim.

Najpierw pomrukuje, potem wciąga się w zabawę. Tak wygląda początek naszego dnia. Ja budzę chrapiącego przy mnie psa. Jego machanie ogonem i wywieszony język natychmiast sprawiają, że czuję się lepiej. Mniejsza o ból w piersi, mniejsza o to, co przyniesie dzień.

Przed domem nic ma furgonetki Henriego. Na stole jest kartka: „Pojechałem do sklepu. Męde o pierwszej”.

Wychodzę na podwórze.

Boli mnie głowa, moje ramiona są czerwone i plamiaste od sińców, skaleczenia lekko obrzęknięte, jakby podrapał

mnie kot. Nie obchodzą mnie skaleczenia ani ból głowy, ani palące uczucie w piersi. Obchodzi mnie to, że ciągle jestem w Ohio, że jutro pójdę do tej samej szkoły, do której chodzę od trzech miesięcy, i że dziś wieczorem spotkam się z Sarą.

Henri wraca o pierwszej. Wygląda marnie, jak po całkiem nieprzespanej nocy. Po wyładowaniu zakupów idzie do swojej sypialni i zamyka drzwi. Ja wychodzę z Berniem Kosarem na spacer do lasu. Próbuję biec i na początku daję radę, ale po góra kilometrze ból jest silniejszy ode mnie i muszę się poddać. Dalej idziemy siedem kilometrów. Las się kończy przy innej wiejskiej drodze, która przypomina naszą. Zawracamy do domu. Henri po naszym powrocie wciąż jest w swoim zamkniętym pokoju. Siadam na ganku i drętwieję za każdym razem, kiedy przejeżdża jakiś samochód.

Ciągle myślę, że jeden z nich się zatrzyma, ale nie, nic się nie dzieje. Spokój, jaki czułem po przebudzeniu, kruszeje w miarę, jak ubywa dnia. „Paradise Gazette” nie drukują w niedzielę. Czy jutro będzie coś o pożarze? Chyba spodziewa-

łem się telefonu albo że pojawi się w drzwiach ten sam dziennikarz lub jeden z policjantów, żeby zadać więcej pytań.

Nie wiem, dlaczego tak się przejmuję jakimś drugorzędym pismakiem, ale on był natarczywy - zbyt natarczywy. I wiem, że nie uwierzył w moją bajeczkę. A jednak nikt do nas nie przychodzi. Nikt nie dzwoni. Nastawiam się na coś, a kiedy to coś się nie zdarza, napływa strach, że lada moment zostanę zdemaskowany

„Dojdę prawdy, panie Johnie Smith. Ja nigdy nie ustępuję”, powiedział Baines. Korci mnie, by pobiec do miasta, spróbować go znaleźć i wyperswadować mu wszelką tego rodzaju prawdę, ale wiem, że to tylko nasiliłoby podejrzenia.

Mogę jedynie wstrzymać oddech i liczyć, że wszystko będzie dobrze.

Nie byłem w tamtym domu.

Nie mam nic do ukrycia.

Wieczorem wpada Sara. Idziemy do mojego pokoju i trzymam ją w ramionach, leżąc na wznak na łóżku. Z głową na moim torsie i owiniętą wokół mnie nogą pyta, kim jestem, o moją przeszłość, o Lorien, o Mogadorczyków. Wciąż nie mogę wyjść z podziwu, jak szybko i jak łatwo Sara we wszystko uwierzyła i jak to zaakceptowała. Odpowiadam szczerze i dobrze się z tym czuję po tyłu kłamstwach, jakich dotychczas naopowiadałem. Ale kiedy rozmawiamy o Mogadorczykach, nachodzi mnie strach. Martwię się, że nas znajdą. Ze to, co zrobiłem, może nas zdemaskować. Nie żałuję i zrobiłbym to jeszcze raz, bo gdybym postąpił inaczej, Sara by nie żyła - ale boję się. Boję się też, co zrobi Henri, jeśli się dowie. Choć nie biologicznie, w rzeczywistości jest moim ojcem. Kocham go i on kocha mnie, i nie chcę sprawiać mu zawodu. Podczas gdy leżę tak z Sarą, stopniowo mój lęk osiąga nowe poziomy. Dręczy mnie, że nie wiem, co przyniesie jutro - niepewność rozdziera mnie na pół. W pokoju jest ciemno. Migocząca świeca stoi na parapecie okiennym kilka kroków dalej. Oddycham głęboko, to znaczy tak głęboko, jak mogę.

- Dobrze się czujesz? - pyta Sara. Otulam ją ramionami.

- Tęsknię za tobą.

- Tęsknisz? Przecież jestem tutaj.

- To najgorszy rodzaj tęsknoty. Kiedy ten ktoś jest tuż przy tobie, a ty i tak za nim tęsknisz.

- Opowiadasz jakieś głupstwa.

Przyciąga moją twarz do swojej i zamyka mi usta miękkim pocałunkiem. Chcę, żeby to trwało wiecznie. Nie chcę, żeby przestała mnie całować. Dopóki to robi, wszystko jest w porządku. Wszystko jest dobrze. Gdybym mógł, zostałbym w tym pokoju na zawsze. Świat może się obywać się beze mnie, bez nas. Tak długo, jak tylko możemy trwać tu razem, w swoich ramionach.

- Jutro - mówię.

- Co jutro?

- Sam nie wiem. - Potrząsam głową. - Chyba się boję. Patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

- Czego się boisz?

- Nie wiem. Po prostu się boję.

Kiedy po odwiezieniu Sary wracam z Henrim do domu, idę do siebie i kładę się po tej stronie łóżka, gdzie leżała ona.

Ciągle czuję jej za pach na poduszce. Nie zasnę dzisiaj. Nie będę nawet próbował. Drepczę w tę i we w tę po pokoju.

Dopiero gdy Henri idzie spać, wychodzę z sypialni, siadam przy kuchennym stole i piszę przy świetle świecy. Piszę o Lorien, o Florydzie, o rzeczach, które zobaczyłem w wizjach, kiedy zaczynaliśmy trening mojej pierwszej mocy - o

wojnie, zwierzętach, obrazach z dzieciństwa. Liczę na swego rodzaju katartyczną ulgę, i ale nie doświadczam jej. To mnie jeszcze bardziej przygnębia. Kiedy drętwieje mi ręka, wychodzę na ganek. Zimne powietrze łagodzi ból przy oddychaniu. Księżyc jest prawie w pełni, tylko odrobinę spłaszczony po jednej stronie. Za dwie godziny wschód słońca, ja wraz z nim przyjdzie nowy dzień i wiadomości z weekendu. Gazety lądują przed naszym progiem o szóstej, czasem o wpół do siódmej. Do tego czasu będę już w szkole i jeśli będzie coś o mnie w gazecie, nie zgodzę się wyjechać, póki nie zobaczę się jeszcze raz z Sarą i nie pożegnam z Samem.

Wchodzę do domu, przebieram się i pakuję plecak. Wymykam się na palcach i cicho zamykam za sobą drzwi.

Schodząc z ganku, słyszę za drzwiami znajome skrobanie. Cofam się i wypuszczam Berniego Kosara. Okej, myślę, chodźmy razem.

Idziemy, często przystając i wsłuchując się w ciszę. Niebo jest ciemne, ale wkrótce, akurat gdy wchodzimy na teren szkoły, blada poświata od wschodu przepłaska noc. Na parkingu nie ma samochodów, w środku wszystkie światła są pogaszone. Przed samą szkołą, przed malowidłem z piratami, leży ogromny kamień pomalowany przez klasy, które ostatnio opuściły szkołę. Siadam na nim. Bernie Kosar leży na trawie dwa metry dalej. Po półgodzinie podjeżdża pierwszy samochód, zamknięta furgonetka, i zakładam, że to woźny, pan Hobbs, tak wcześnie zaczyna pracę, ale jestem w błędzie. Furgonetka zatrzymuje się przed wejściem i kierowca wychodzi, nie gasząc silnika. Niesie paczkę związanych taśmą gazet. Kiwamy do siebie głową, mężczyzna zostawia pakunek przed drzwiami i odjeżdża. Siedzę na kamieniu, łypiąc z pogardą na gazety. Obrzucam je w myślach przekleństwami, grożąc, co im zrobię, jeśli zawierają niedobre wiadomości, których panicznie się boję.

- Nie byłem w sobotę w tamtym domu - mówię głośno i w tym samym momencie czuję się jak głupek.

Potem odwracam głowę, wzdygam i podrywam się z kamienia.

- Dobra - mówię do Berniego. - Co ma być, to będzie.

Pies otwiera na moment oczy, z powrotem zamyka i wraca do swojej drzemki na zimnej ziemi.

Rozrywam taśmę i biorę pierwszą z wierzchu gazetę. Historia trafiła na pierwszą stronę. Na samej górze jest zdjęcie pogorzeliska zrobione o świcie. Jest w nim gotycka mroczność, coś złowieszczego. Poczerniałe zgliszczą na tle nagich drzew i trawy pokrytej szronem. Czytam nagłówek:

DOM JAMESÓW IDZIE *Z DYMEM*

Wstrzymuję oddech, żalosalne uczucie sadowi się w moich wnętrznościach, jakby lada chwila miała mnie dopaść straszna wiadomość. Przebiegam oczami po artykule. Nie czytam go, tylko wypatruję w tekście swojego nazwiska.

Docieram do końca. Mrugam i potrząsam głową, żeby się pozbyć mroczków w oczach. Wyłania się ostrożny uśmiech.

Potem szukam jeszcze raz.

-

Nie ma co - mówię. - Bernie Kosar, tu nie ma mojego nazwiska! Nie zwraca na mnie uwagi. Biegnę przez trawnik i wskazuję na kamień.

- Tu nie ma mojego nazwiska! - wrzeszczę znowu, tym razem najgłośniej, jak potrafię.

Siadam z powrotem i czytam artykuł. Tytuł odwołuje się do *Z dymem* Cheecha i Chonga, który jest bezspornie filmem o narkotykach. Zdaniem śledczych z policji tym, co wznieciło pożar, był skręt z marihuany, którą uczestnicy imprezy palili w suterenie. Jak na to śledczy wpadli, nie mam pojęcia, zwłaszcza że ta informacja mija się z prawdą.

Sam artykuł jest wredny, prawie napastliwy wobec rodziny Jamesów. Nie podobał mi się tamten dziennikarz. Jest oczywiste, że jemu nie podobają się Jamesowie. Kto wie z jakiego powodu?

Siedzę na kamieniu i do czasu, kiedy zjawia się osoba otwierająca szkołę, czytam tekst trzykrotnie. Uśmiech nie schodzi mi z ust. Zostaję w Ohio, w miasteczku Paradise. Jego nazwa już nie wydaje mi się taka głupia. Przy całym tym podnieceniu czuję, jakby coś mi umykało, mam niejasne wrażenie, że zapomniałem o jakimś kluczowym elemencie. Ale jestem tak szczęśliwy, że się nie przejmuję. Co złego mogłoby się teraz zdarzyć? W artykule nie wspomniano o mnie ani słowem. Nie wbiegłem do tamtego domu. Dowód jest tutaj, w moich rękach. Nikt nie powie, że było inaczej.

- Z czego ty się tak się cieszysz? - pyta na astronomii Sam, widząc mój przyklejony do twarzy uśmiech.

- Nie czytałeś dzisiejszej gazety?

- Bo co?

- Sam, nie wspomnieli o mnie słowem! Nie muszę wyjeżdżać.

- Dlaczego mieliby o tobie pisać w gazecie?

Wpadam w osłupienie. Otwieram usta, żeby powiedzieć swoje, ale w tym momencie wchodzi Sara. Idzie wolnym krokiem do nas.

- Witaj, piękna.

Pochyla się i całuje mnie w policzek, co nigdy w życiu mi nie spowszednieje.

- Ktoś jest dzisiaj w radosnym nastroju - mówi.

- Radosny, widząc ciebie. Denerwujesz się egzaminem na prawo jazdy?

- Może trochę. Chciałabym po prostu mieć to z głowy.

Siada obok mnie. To jest mój dzień, myślę. Oto gdzie byłem i gdzie właśnie jestem. Sara po jednej stronie. Sam po drugiej.

Jestem na lekcjach jak każdego innego dnia. Siedzę z Samom w stołówce. Nie rozmawiamy o pożarze. Jesteśmy chyba jedynymi w całej szkole, którzy nie poruszają tego tematu. Ta sama opowieść, wałkowa na okrągło. Ani razu nie słyszę swojego imienia. Tak, jak się spodziewałem, Mark nie przyszedł. Krąży plotka, że on i kilku innych będą zawieszeni za to, co zarzuciła im gazeta. Nie wiem, czy to prawda, czy nie. Nie wiem, czy to mnie obchodzi.

Do ósmej lekcji, kiedy Sara i ja wchodzimy do kuchni na zajęcia z gospodarstwa domowego, moje przekonanie, że jestem bezpieczny, zdążyło się umocnić. Teraz jestem pewien, że się mylę, iż coś przeoczyłem. Wątpliwość sączy mi się do głowy przez cały dzień, ale całkiem sprawnie daję sobie z nią radę.

Robimy pudding z tapioki. Łatwy dzień. W środku zajęć otwierają się drzwi. To dyżurny korytarzowy. Spoglądam na niego i od razu wiem, o co chodzi. Poślaniec złych wieści. Zwiastun śmierci. Podchodzi prosto do mnie i wręcza mi karteczkę.

- Masz się zgłosić do pana Harrisa.

- Teraz?

- Tak.

Spoglądam na Sarę i wzruszam ramionami. Nie chcę, żeby widziała mój strach. Uśmiecham się do niej i idę do drzwi. Przed wyjściem odwracam się i patrzę na nią jeszcze raz. Pochylona nad stołem miesza składniki, jest w tym samym zielonym fartuchu, który wiązałem na niej pierwszego dnia, tego dnia, kiedy robiliśmy naleśniki i jedliśmy je z jednego talerza. Ma koński ogon i luźne kosmyki włosów wiszą przed jej twarzą. Zakłada je za uszy, nie widząc, że stoję w drzwiach i na nią patrzę. Wpatruję się w nią, wgapiam, próbując zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół tej chwili: sposób, w jaki trzyma drewnianą łyżkę, jedwabistość jej cery w świetle padającym z okna za jej plecami,

czułość w jej oczach. Guzik przy kołnierzyku jej bluzki wisi na jednej nitce. Zastanawiam się, czy ona o tym wie.

Stojący za mną dyżurny coś mówi. Macham do Sary, zamykam drzwi i oddalam się korytarzem. Nie spieszę się, próbując przekonać samego siebie, że chodzi o jakąś formalność, dokument, którego zapomniałem podpisać, pytanie o wykazy ocen z poprzednich szkół. Ale wiem, że nie.

Pan Harris siedzi przy swoim biurku. Uśmiecha się w sposób, jaki mnie przeraża; to ten sam pełen dumy uśmiech, z jakim wyciągał z lekcji Marka na wywiad.

- Usiądź - mówi. - A więc czy to prawda?

Spogląda na ekran komputera, potem z powrotem na mnie.

- Czy co prawda?

Na jego biurku leży koperta z moim imieniem i nazwiskiem napisanym ręcznie czarnym długopisem. Dyrektor widzi, że na nią patrzę.

- Ach tak, to przyszło do ciebie faksem jakieś pół godziny temu. Podnosi kopertę i rzuca mi ją przez biurko.

- Co to jest? - pytam.

- Nie mam pojęcia. Moja sekretarka od razu zapakowała to do koperty.

Kilka rzeczy dzieje się w tym samym czasie. Otwieram kopertę i wyjmuję zawartość. Dwie kartki papieru.

Wierzchnia jest stroną tytułową z moim nazwiskiem i dopiskiem „POUFNE” skreślonym dużymi czarnymi literami.

Przekładam ją pod drugą kartkę. Jedno zdanie napisane drukowanymi literami. Bez nazwiska. Tylko cztery słowa na białym papierze.

- A więc, panie Smith, czy to prawda? Że wbiegł pan do tamtego płonącego domu, by uratować Sarę Hart i psy? -

pyta pan Harris.

Krew napływa mi do twarzy. Podnoszę wzrok. Dyrektor obraca do mnie ekran komputera. To blog powiązany z

„Paradise Gazette”. Nie muszę sprawdzać nazwiska autora, żeby wiedzieć, kto to napisał. Tytuł mi całkowicie wystarczy

POŻAR W DOMU JAMESÓW:

HISTORIA NIEOPOWIEDZIANA

Oddech więźnie mi w gardle. Serce łomocze. Świat staje w miejscu, przynajmniej tak się wydaje. Czuję się w środku martwy. Zerkam z powrotem na kartkę, którą trzymam w ręce. Białe, gładkie w dotyku papier. I jedno pytanie: CZY JESTEŚ NUMEREM CZTERY?

Obie kartki wypadają mi z rąk, zlatują z biurka i lądują bezwładnie na podłodze. Nie rozumiem. Jak to możliwe? -

Więc to prawda? - pyta Harris.

Opada mi szczęka. Pan Harris uśmiecha się, dumny i uszczęśliwiony. Ale to nie jego widzę, tylko to, co za nim, widoczne przez okno jego gabinetu. Czerwony zamazany kształt wypadający zza rogu, poruszający się szybciej, niż to normalne, szybciej, niż to bezpieczne. Wzigg opon przy skręcie na parking. Odkryta furgonetka rozsypująca na boki żwir przy pokonywaniu drugiego zakrętu. Henri pochylony nad kierownicą jak jakiś oszalały maniak. Wcisną hamulce tak mocno, że aż wstrząsa nim całym i samochód z piskiem przystaje.

Zamykam oczy.

Zakrywam głowę rękami.

Słyszę przez okno, jak otwierają się drzwi furgonetki. Słyszę ją blisko.

Henri będzie w tym gabinecie za minutę.

28

- Dobrze się pan czuje, panie Smith? - pyta dyrektor. Podnoszę na niego wzrok. Na sekundę przybiera zatroskaną minę, po czym na jego twarz powraca szeroki uśmiech.

- Nie, panie Harris - mówię. - Nie czuję się dobrze. Podnoszę z podłogi kartkę. Czytam ją jeszcze raz. Skąd ona się wzięła? Czy oni robią sobie z nas jaja? Nie ma tu ani numeru telefonu, ani adresu, nie ma nazwiska. Nic tylko cztery słowa i znak zapytania. Wyglądam za okno. Wóz Henriego jest zaparkowany, z rury wydechowej buchają spaliny. Do środka i jak najszybciej w drogę. Spoglądam z powrotem na ekran komputera. Artykuł został opublikowany za minutę dwunasta, prawie dwie godziny temu. Dziwi mnie, że Henriemu i zajęło aż tyle czasu, by tu dojechać. Kręci mi się w głowie, mam uczucie, jakbym odpływał.

- Nie potrzebuje pan pielęgniarki? - dopytuje pan Harris.

Pielęgniarka, myślę, nie, nie potrzebuję pielęgniarki. Gabinet pielęgniarki jest obok kuchni, w której odbywają się zajęcia z gospodarstwa domowego. I tak naprawdę, panie Harris, potrzebuję znaleźć się tam z powrotem piętnaście minut temu, zanim pojawił się dyżurny. Sara na pewno postawiła już pudding na ogniu. Ciekawe, czy już się gotuje?

Czy Sara zerka w stronę drzwi, czekając na mój powrót?

Słabe echo trzaśnięcia drzwiami frontowymi dosięga gabinetu dyrektora. Za piętnaście sekund pojawi się Henri.

Potem szybko do samochodu. Potem do domu. Potem gdzie? Do Maine? Missouri? Kanady? Nowa szkoła, nowy początek, kolejne nowe imię. Nie spałem od prawie trzydziestu godzin i dopiero teraz czuję wyczerpanie. Ale wraz nim pojawia się coś innego; i w tym ułamku sekundy pomiędzy odruchem i działaniem świadomość, że odjeżdżam na zawsze, bez pożegnania, jest nagle zbyt trudna do zniesienia. Mrużę oczy, twarz wykrzywia mi grymas udręki i

- bez zastanowienia, nie wiedząc tak naprawdę, co robię - przeskakuję biurko pana Harrisa i rzucam się przez okno. Szyba rozpryskuje się na milion kawałeczków i słyszę za sobą okrzyk przerażenia.

78

Moje stopy lądują w trawie przed budynkiem. Obracam się w prawo i biegnę przez szkolne podwórko. Klasy, które mijam po prawej, rozmazują się w jeden ciąg, przecinam szkolny parking i wbiegam do lasu za boiskiem do baseballa.

Mam świeże skaleczenia na czole i lewym łokciu. Pali mnie w płucach. Do diabła z bólem. Biegnę dalej, kartka papieru ciągle tkwi w mojej prawej ręce. Wciskam ją do kieszeni. Po co Mogadorczycy mieliby wysłać faks?

Dlaczego po prostu się nie zjawili? To jest ich główna przewaga zjawianie się nieoczekiwanie, bez ostrzeżeń. Przewaga zaskoczenia.

W środku lasu biorę ostry zakręt w prawo, przedzierając się przez gąszcz, aż wybiegam na pole. Krowy przeżuwające trawę patrzą pustymi oczami, kiedy przemykam obok nich. Jestem w domu przed Henrim. Nigdzie nie widzę Bernie Korsara. Wpadam do środka i staję jak wryty. Z wrażenia zapiera mi dech. Przy kuchennym stole, przed laptopem Henriego siedzi ktoś, kto na pierwszy rzut oka może być jednym z nich. Uprzedzili mnie, zaplanowali to tak, że jestem teraz sam, bez Henriego. Osoba przy stole odwraca się, a ja gotowy do walki zaciskam pięści.

Ale to tylko Mark James.

- Co ty tu robisz? - pytam.

- Próbuje zrozumieć, co tu jest grane. - W jego spojrzeniu kryje się lęk. - Kim ty, do diabła, jesteś?

- O co ci chodzi?

- Spójrz - mówi, wskazując ekran komputera.

Podchodzę bliżej, ale nie patrzę w ekran; mój wzrok koncentruje się na białej kartce leżącej obok komputera. To jest dokładna kopia kartki w mojej kieszeni, tyle że wydrukowana na grubszym papierze niż faks.

Potem zauważam coś jeszcze. U dołu kartki Henriego, bardzo małymi cyframi, jest napisany numer telefonu. Chyba nie myślą, że zadzwonimy? „Tak, to ja, Numer Cztery. Czekam tu na was. Uciekaliśmy przez dziesięć lat, ale bardzo proszę, teraz przyjdźcie nas zabić, a nie będziemy stawiać oporu”. To zupełnie bez sensu. '1

- To twoje? - pytam.

- Nie, ale zostało doręczone przez UPS w momencie, kiedy tu dotarłem. Twój tata to przeczytał, kiedy pokazywałem mu filmik wideo, a potem wybiegł z domu.

- Jaki filmik? - pytam.

- Obejrzyj. Spoglądam na komputer i widzę, że Mark otworzył YouTube. Naciska „play”. Obraz ma fatalną rozdzielczość, ziarno jak groch, tak jakby ktoś nakręcił ten film komórką. Rozpoznaję jego dom natychmiast.

Frontowa część stoi w płomieniach, kamera się trzęsie, ale dobrze słychać szczekanie psów i okrzyki rozchodzące się po tłumie. Potem ktoś, kto to filmuje, oddala się od tłumu, obchodzi dom i dociera na jego tyły. Obiektyw przybliży tylne okno, z którego dochodzi szczekanie. Szczekanie cichnie, a ja zamykam oczy, bo wiem, co będzie dalej. Ija jakieś dwadzieścia sekund i w momencie, kiedy wylatuję przez okno z Sarą i psem w ramionach, Mark zatrzymuje wideo. Na przybliżonym ujęciu nasze twarze są dobrze widoczne, nie do pomylenia.

- Kim jesteś? - pyta Mark. Ignoruję jego pytanie, zadając własne:

- Kto to nakręcił?

- Nie mam pojęcia.

Słyszę, jak żwir chrzęści na podjeździe pod kołami samochodu Henriego. Prostuję się gwałtownie i moim pierwszym odruchem jest ucieczka. Wybiec stąd i wrócić do szkoły, gdzie Sara ma wywołać zdjęcia aż do egzaminu na prawo jazdy o wpół do piątej. Jej twarz jest równie dobrze widoczna na tym filmie jak moja, przez co znalazła się w takim samym niebezpieczeństwie jak ja. Coś jednak powstrzymuje mnie przed ucieczką.

Przechodzę na drugą stronę stołu i czekam. Zatraskują się drzwi furgonetki. Henri wchodzi do domu pięć sekund później, Bernie Korsar wbiega przed nim.

- Okłamałeś mnie - mówi od progu z surowym wyrazem twarzy, z napiętymi do ostateczności mięśniami szczęki.

- Wszystkich okłamuję. Nauczyłem się tego od ciebie.

- Nie okłamujemy siebie nawzajem! - krzyczy. Mierzymy się wzrokiem.

- O co tu chodzi? - pyta Mark.

- Nie wyjadę, dopóki nie znajdę Sary - mówię. - Ona jest w niebezpieczeństwie, Henri!

- Nie czas na sentymenty, John. Nie rozumiesz tego? Podchodzi do stołu, łapie kartkę i zaczyna wymachiwać nią przed moim nosem.

- A to skąd się wzięło, jak myślisz?

- Co tu się, do diabła, dzieje? - Mark prawie ryczy. Lekceważę kartkę i Marka i skupiam wzrok na Henrim.

- Tak, widziałem to, i dlatego muszę wrócić do szkoły. Zobaczą ją i będą ścigać.

Henri rusza w moją stronę. Kiedy robi drugi krok, wyciągam rękę i zatrzymuję go trzy metry przed sobą. Próbuje iść dalej, ale trzymam go w miejscu.

- Musimy uciekać, John - mówi zranionym, niemal błagalnym tonem.

Wciąż trzymając go na dystans, cofam się w kierunku swojej sypialni. Henri daje za wygraną. Milcząc, przygląda mi się z bólem, a to jego spojrzenie sprawia, że czuję się gorzej niż kiedykolwiek w życiu. Muszę odwrócić wzrok. Kiedy docieram do drzwi, znowu patrzymy sobie w oczy. Ma zgarbione plecy, ręce zwieszono wzdłuż ciała, wygląda, jakby nie wiedział, co ze sobą począć. Tylko wpatruje się we mnie z miną, jakby miał się rozplakać.

- Przepraszam - mówię.

Daję sobie wystarczającą przewagę, żeby zdążyć uciec. Odwracam się, biegnę przez swój pokój, z szuflady komody wyciągam nóż, którego używałem na Florydzie do oprawiania ryb. Wyskakuję przez okno i pędzę w kierunku lasu. Za sobą słyszę szczekanie Berniego Kosara, nic więcej.

Biegnę ponad kilometr i zatrzymuję się na tej dużej polanie, gdzie ja i Sara robiliśmy śnieżne anioły. Nasza polana, tak ją nazywała. Polana, na której mieliśmy latem urządzać pikniki. Myśl, że latem mnie tu nie będzie, co boli tak strasznie, iż zginam się wpół i zgrzytam zębami. Gdybym tak mógł zadzwonić i ostrzec ją, żeby nie zostawała w szkole. Mój telefon, razem z innymi rzeczami, które wziąłem do szkoły, jest w mojej szafce. Wydostanę tylko Sarę z niebezpiecznej sytuacji, potem wrócę do Henriego i wyjedziemy.

Odwracam się i pędzę do szkoły tak szybko, jak pozwalają na to moje płuca. Dobiegam w momencie, kiedy autobusy ruszają z parking. Obserwuję je ze skraju lasu. Przed frontowym wejściem stoi Hobbs i mierzy dużą płytę ze sklejki, żeby zakryć dziurę, którą zrobiłem, wyskakując przez okno. Uspokajam oddech, próbuję poukładać w głowie myśli. Patrząc, jak samochody wyjeżdżają jeden po drugim, aż zostaje ich tylko kilka.

Hobbs zakrywa dziurę i znika w szkole. Zastanawiam się, czy ostrzegano go, by jeśli mnie zobaczy, zadzwonił na policję. Patrząc na zegarek. Dopiero wpół do czwartej, ale wydaje się, że zmrok zapada szybciej niż zwykle, ciemność gęstnieje, pochłaniając wszystko wokół. Światła na parkingu już się zapaliły, ale nawet one wydają się blade i przygaszone.

Wychodzę z lasu, przebiegam boisko i zaglądam na parking. Zostało z dziesięć samochodów. Drzwi do szkoły są zamknięte na klucz. Chwytam gałkę, zamykam w skupieniu oczy i zamek ze szczękiem ustępuje. Wchodzę do środka i nikogo nie widzę. Na korytarzu pali się tylko połowa świateł. Powietrze jest nieruchome i panuje cisza. Gdzieś słyszę pracującą froterkę. Skręcam do holu i w oddali wylaniają się drzwi do ciemni fotograficznej. Sara. Miała dziś wywoływać zdjęcia przed egzaminem na prawo jazdy. Mijam swoją szafkę, zaglądam do niej. Nie ma mojego telefonu, szafka jest zupełnie pusta. Miejmy nadzieję, że Henri go ma.

W drodze do ciemni nie zauważyłem ani jednej osoby. Gdzie są sportowcy, członkowie orkiestry, nauczyciele, którzy często zostają do późna, żeby sprawdzić prace domowe czy dopełnić jakichś innych obowiązków? Ogarnia mnie złe przeczucie, boję się, że coś strasznego mogło stać się Sarze. Przykładam ucho do drzwi ciemni, nasłuchuję, ale nie słyszę niczego poza warkotem froterki dochodzącym z końca korytarza. Biorę głęboki oddech i próbuję otworzyć drzwi. Są zamknięte. Znowu przyciskam do nich ucho i delikatnie pukam. Nikt nie odpowiada, ale słyszę za drzwiami jakieś poruszenie. Znowu biorę głęboki oddech, szykując się na to, co mogę zastać za drzwiami, i otwieram zamek. W

pomieszczeniu panują egipskie ciemności. Włączam swoje światła i omiadam nimi pokój. Wydaje mi się, że pokój jest pusty, ale nagle, w samym kącie, zauważam nieznaczny ruch. Kucam, żeby się temu przyjrzeć, i pod blatem znajduję skuloną Sarę. Przygaszam światła, żeby mogła mnie zobaczyć.

Wygląda do mnie z cienia, uśmiecha się i oddycha z ulgą.

- Oni tu są, prawda?

- Jeśli jeszcze ich nie ma, to niedługo będą.

Pomagam jej wstać z podłogi, ona obejmuje mnie i ściska tak mocno, jakby w ogóle nie miała zamiaru mnie puścić.

- Weszłam tu zaraz po ósmej lekcji i jak tylko skończyły się wszystkie zajęcia, z korytarza zaczęły dochodzić te dziwne odgłosy. I zrobiło się całkiem ciemno, więc zamknęłam się od środka i siedziałam pod ławką, po prostu bałam się ruszyć. Czułam, że coś jest nie tak, zwłaszcza po tym, jak usłyszałam, że wyskoczyłeś przez okno i nie odbierałeś telefonu.

- Mądrze zrobiłaś, ale teraz musimy stąd uciec, i to szybko. Wychodzimy z ciemni, trzymając się za ręce. Światła na korytarzu

gasną, cała szkoła pogrąża się w ciemnościach, mimo że zmierzch dopiero za godzinę. Po jakichś dziesięciu sekundach światła z powrotem się zapalają.

- Co się dzieje? - pyta szeptem Sara.

- Nie wiem.

Przemierzamy się korytarzem jak najciszej, wszystkie odgłosy wydają się przytłumione, zduszone. Najkrótsza droga ucieczki prowadzi przez tylne drzwi wychodzące na parking dla nauczycieli. Kiedy idziemy w tamtym kierunku, dźwięk froterki staje się wyraźniejszy. Przypuszczam, że za chwilę wpadniemy na Hobbsa. A ponieważ on wie, kto wybił okno, to czy przegoni mnie szcztoką i zawoła policję? W tym momencie to już chyba nie ma znaczenia.

Kiedy docieramy do końca korytarza, światła znów gasną. Zatrzymujemy się i czekamy, aż znów się zapalą, ale nic z tego. Froterka dalej gdzieś pomrukuje. Nie widzę jej, ale musi być z pięć metrów od nas w nieprzeniknionych ciemnościach. Wydaje się dziwne, że maszyna dalej pracuje, że Hobbs po ciemku froteruje podłogę. Włączam swoje światła, a Sara puszcza moją rękę i staje za mną, z dłońmi na moich biodrach. Najpierw znajduję wtyczkę w ścianie, potem kabel, wreszcie samą froterkę. Stoi w miejscu, objijając się o ścianę, pozostawiona samej sobie, bez nadzoru.

Ogarnia mnie panika, a za nią czai się wielki strach. Musimy się wydostać ze szkoły.

Wrywam sznur z gniazdka i froterka milknie. Wyłączam swoje światła. Gdzieś w głębi korytarza powoli, ze skrzypieniem otwierają się drzwi. Przykucam z plecami opartymi o ścianę, Sara trzyma się kurczowo mojego ramienia.

Oboje jesteśmy zbyt przerażeni, by wydusić słowo. Instynktownie wyłączyłem froterkę, a teraz mam ochotę włączyć ją z powrotem, ale wiem, że to zdradzi nasze położenie, jeśli oni tu są. Zamykam oczy i wyteżam słuch. Skrzypienie ustaje. Jakby znikąd wpada delikatny powiew wiatru. Na pewno żadne okno nie jest otwarte. Myślę, że wiatr może dochodzić z okna, które wybiłem. Nagle zatrząskują się drzwi i stłuczone szkło rozpryskuje po podłodze.

Sara krzyczy. Coś przemyka obok nas, ale nie widzę, co to jest, i wcale nie mam ochoty się dowiedzieć. Pociągam Sarę za rękę i pędzimy korytarzem przed siebie. Wyważam drzwi ramieniem i wybiegamy na parking. Sara wydaje okrzyk przerażenia i oboje stajemy jak wryci. Zapiera mi dech, po plecach przechodzą lodowate ciarki. Światła wciąż się palą, ale są przygaszone, wyglądają upiornie w gęstych ciemnościach. Pod najbliższą latarnią widzimy go oboje: prochowiec powiewający na wietrze, kapelusz naciśnięty tak nisko, że nie widać spod niego oczu. Stwór podnosi głowę i szczerzy na mnie zęby.

Uścisk Sary zacieśnia się na mojej dłoni. Oboje robimy krok w tył i potykamy się z pośpiechu. Idziemy dalej rakiem, aż uderzamy plecami o drzwi.

- Chodź! - wrzeszczę i zrywam się na równe nogi.

Sara wstaje. Szarpię za gałkę, ale drzwi za nami już się zatrzasnęły.

- Jasny szlag! - krzyczę.

Kątem oka widzę następnego, początkowo stoi bez ruchu. Patrę, jak robi pierwszy krok w moją stronę. Za nim jest jeszcze jeden. Mogadorczycy. Po tylu latach w końcu są. Próbuję się skupić, ale za bardzo trzęsą mi się ręce, żeby otworzyć drzwi. Wyczuwam, jak się zbliżają, zacieśniają krąg. Sara przywiera się do mnie i czuję, jak drży. Nie mogę się skoncentrować na tyle, by otworzyć drzwi. Gdzie się podziała moja zimna krew, co mi po tych wszystkich treningach w ogrodzie? Nie chcę umierać, myślę. Nie chcę umierać.

- John - mówi Sara, a w jej głosie jest tyle strachu, że moje oczy otwierają się szeroko i twardnieją w determinacji.

Szczęk zapadki. Drzwi ustępują. Przeciskamy się z Sarą do środka i blokujemy zamek. Słyszę głucho dudnienie, jakby jeden z nich kopał w drzwi. Biegniemy korytarzem. Dźwięki podążają za nami. Nie wiem, czy jacyś Mogadorczycy są w szkole. Wylatuje następne okno i Sara wydaje krzyk zaskoczenia.

- Musimy być cicho - mówię.

Próbujemy otwierać drzwi klas, ale wszystkie są zamknięte. Obawiam się, że nie mam dość czasu na pokonanie któregoś zamka. Gdzieś jakieś drzwi się zatrzasnęły i nie wiem, czy to było za, czy przed nami. Hałas się zbliża, osacza nas, wypełnia nam uszy. Sara bierze mnie za rękę i biegniemy szybciej, mój umysł pracuje na najwyższych

80

obrotach, żeby przypomnieć sobie rozkład budynku, żebym nie musiał zapalać swoich świateł, żeby nas nie zobaczyli.

W końcu któreś drzwi się otwierają i wpadamy przez z impetem do środka. To sala historyczna, po lewej stronie szko-

ły, wychodząca na łagodne zbocze i z powodu sześciometrowego uskoku w oknach są kraty. Ciemność mocno przylega do szyb, nie przepuszczając z zewnątrz ani trochę światła. Zamykam cicho drzwi, mając nadzieję, że nas nie widzieli. Potem omiatam klasę swoimi światłami i natychmiast je gaszę. Jesteśmy sami i chowamy się pod biurko nauczyciela. Próbuję złapać oddech. Pot spływa mi po twarzy i szczypie w oczy

-Ilu ich tu jest? Widziałem co najmniej trzech. Na pewno gdzieś czają się inni. Czy mają ze sobą bestie, te łasicopodobne stworzenia, których tak bali się dziennikarze z Athens? Tak chciałbym, żeby Henri był z nami, czy chociaż Bernie Kosar.

Powoli otwierają się drzwi. Wstrzymuję oddech, nasłuchując. Sara wtula się we mnie, obejmujemy się ciasno ramionami. Drzwi zamykają się bardzo cicho i zatrzasnęły. Nie słyszę kroków. Czy tylko otworzyli drzwi i zajrzeli do środka, żeby sprawdzić, czy tu jesteśmy? Czy naprawdę poszli dalej, nie wchodząc do środka? Znaleźli mnie po tak długim czasie; z pewnością nie są aż tak leniwi.

- Co teraz zrobimy? - szepcze po minucie Sara.

- Nie wiem.

W klasie panuje cisza. Ktokolwiek otworzył drzwi, musiał sobie pójść albo stoi na korytarzu i czeka. Ale wiem też, że im dłużej tu posiedzimy, tym więcej ich przybędzie. Musimy się stąd wydostać. Musimy zaryzykować. Biorę głęboki oddech.

- Musimy wyjść - szepczę. - Nie jesteśmy tu bezpieczni.

- Ale oni tam są.

- Wiem, ale nie odejdą. Henri jest w domu i jest w takim samym niebezpieczeństwie jak my.

- Ale jak się stąd wydostaniemy?

Nie mam pojęcia, nie wiem, co powiedzieć. Jedyna droga wyjścia to ta, którą weszliśmy. Sara nadal mnie obejmuje.

- Jesteśmy łatwym celem, Saro. Znajdą nas, a wtedy przyjdą po nas wszyscy naraz. Próbując ucieczki, będziemy chociaż mieli przewagę zaskoczenia. Jeśli wydostaniemy się ze szkoły, to myślę, że uda mi się uruchomić jakiś samochód. Jeśli mi się nie uda, będziemy mimo wszystko próbowali jakoś uciec.

Sara kiwa głową na zgodę.

Biorę głęboki oddech, wychodzę spod biurka i pomagam jej wyjść. Możliwie najciszej robimy pierwszy krok.

Potem następny Dojście do drzwi zajmuje nam całą minutę i nic nam w ciemności nie staje na drodze. Z moich rąk sączy się lekki blask pozwalający nam nie wpaść na żadną ławkę. Wpatruję się w drzwi. Otworzę je, wezmę Sarę na plecy i pobiegnę korytarzem najszybciej jak potrafię, z zapalonymi światłami, wybiegnę ze szkoły i przez parking do lasu. Znam dobrze te lasy i drogę do domu. Mogadorczyków jest więcej, ale my mamy przewagę własnego boiska.

Kiedy zbliżamy się do drzwi, serce bije mi tak mocno, że boję się, czy tamci go nie słyszą. Zamykam oczy i powoli sięgam do gałki. Sara w napięciu ściska moją dłoń. Kiedy moja ręka jest tuż-tuż, tak blisko gałki, że czuję chłód bijący od metalu, coś łapie nas oboje od tyłu i pociąga na podłogę.

Próbuję krzyczeć, ale czyjaś dłoń zakrywa mi usta. Przeszywa mnie strach. Czuję, jak Sara szamocze się w czyimś uścisku, usiłuje się wyrwać, i robię to samo, ale chwyt jest zbyt mocny. Nigdy nie przypuszczałem, że Mogadorczycy będą silniejsi ode mnie. Zdecydowanie ich nie doceniałem. Nie ma już nadziei. Zawiodłem Sarę i Henriego i bardzo żałuję. ***Henri, mam nadzieję, że popisziesz się lepiej niż ja.***

Sara oddycha ciężko, a ja z całej mocy próbuję się wyrwać, lecz nie mam szansy.

- Ciii, przestańcie się szarpać - jakiś głos szepcze mi do ucha; głos dziewczyny. - Oni są na zewnątrz i czekają, musicie się oboje uciszyć.

To dziewczyna, równie silna jak ja, może nawet silniejsza. Nic z tego nie rozumiem. Kiedy rozluźnia uścisk, odwracam się do niej twarzą. Przyglądamy się sobie. Ponad blaskiem swoich rąk widzę twarz trochę starszą od mojej.

Orzechowe oczy, wydatne kości policzkowe, długie ciemne włosy ściągnięte w koński ogon, szerokie usta i mocny nos, oliwkowa cera.

- Kim jesteś? - pytam.

Ona zerka na drzwi, ciągle nic nie mówi. Sprzymierzeniec, myślę. Ktoś poza Mogadorczykami wie o naszym istnieniu. Ktoś jest tutaj, żeby nam pomóc.

- Jestem Numerem Sześć - mówi dziewczyna. - Chciałam się tu dostać przed nimi.

29

- Skąd wiedziałaś, że to ja? - pytam. Spogląda na drzwi.

- Od dawna próbowałam cię znaleźć. Trójkę zabili. Ale wyjaśnię to wszystko później. Najpierw musimy się stąd wydostać.

- Jak ci się udało tu wejść? Jakim cudem oni cię nie zauważyli?

- Umiem stawać się niewidzialna.

Uśmiecham się. Ta sama moc, którą miał mój dziadek. Niewidzialność. Zdolność czynienia niewidzialnym wszystkiego, czego dotknął, jak z tym domem w drugi dzień pracy Henriego.

- Jak daleko stąd mieszkasz? - pyta dziewczyna.

- Pięć kilometrów.

Wyczuwam w ciemności jej skinienie głową.

- Masz Cepana?

- Tak, oczywiście. A ty nie?

Przenosi ciężar ciała na drugą nogę i nie odpowiada od razu, jakby czerpała siłę od jakiejś niewidocznej istoty.

- Miałam. Ona zmarła trzy lata temu. Odtąd radzę sobie sama.

- Przykro mi - mówię.

- To jest wojna. Będą ginąć ludzie. Musimy się stąd natychmiast wydostać albo też zginiemy.

Skoro oni są w okolicy, wiedzą już, gdzie mieszkasz, a to znaczy, że już tam są, więc nawet nie ma co się maskować, kiedy stąd wyjdziemy. Ci tutaj to tylko skauci. Żołnierze są w drodze. Mają miecze. Bestie będą tuż za nimi. Czasu jest mało. W

najlepszym razie mamy dobę. W najgorszym - oni już tu są.

Moja pierwsza myśl: Oni już wiedzą, gdzie mieszkam. Wpadam w panikę. W domu jest Henri, z Berniem Kosarem, i żołnierze z bestiami mogą już tam być. Moja druga myśl: jej Cepan nie żyje od trzech lat. Szóstka od tak dawna jest sama, całkiem sama na obcej planecie od którego - trzynastego roku życia? Czternastego?

- On jest w domu - mówię.

- Kto?

- Henri, mój Cepan.

- Jestem pewna, że nic mu nie jest. Nie tkną go, dopóki ty jesteś wolny. To ciebie chcą dopaść, a jego spróbują użyć jako przynęty - mówi Numer Sześć, po czym unosi głowę w stronę zakratowanego okna.

Odwracamy się i patrzymy razem z nią. Światła pojazdu, bardzo słabe, tak że nic poza nimi nie widać, mkną wzdłuż zakrętu w kierunku szkoły, zwalniają, mijają wyjazd, potem skręcają we wjazd i szybko znikają. Szóstka odwraca się do nas.

- Wszystkie drzwi są zablokowane. Jak inaczej możemy się stąd wydostać?

Myślę nad tym, dochodząc do wniosku, że najlepiej będzie spróbować wyjść przez któreś z niezakratowanych okien w innej klasie.

- Możemy wyjść przez salę gimnastyczną - mówi Sara. - Pod sceną jest przejście, które prowadzi na tyły szkoły przez takie drzwi jak do piwnicy

- Naprawdę? - pytam.

Kiwa głową, a we mnie wzbiera duma.

- Oboje weźcie mnie za rękę - mówi Szóstka. Ja biorę ją za prawą, Sara za lewą.

- Bądźcie jak najciszej. Dopóki nie puścicie moich rąk, będziecie niewidzialni. Oni nas nie zobaczą, ale będą słyszeć. Jak tylko wyjdziemy na zewnątrz, gonimy na łeb na szyję. Nigdy im się nie wymkniemy, skoro już nas znaleźli. Jedynym sposobem ucieczki jest ich zabić, wszystkich co do jednego, zanim przyjdą inni.

- Okej - mówię.

- Rozumiesz, co to znaczy?

Kręcę głową. Nie jestem pewien, o co mnie pyta.

- Nie ma już ucieczki przed nimi - mówi Szóstka. - To znaczy, że będziesz musiał walczyć.

Chcę odpowiedzieć, ale szuranie, które słyszałem wcześniej, ustaje za drzwiami. Cisza. Potem ktoś szarpie za gałkę. Numer Sześć bierze głęboki oddech i puszcza moją rękę.

- Zapomnijmy o ucieczce. Właśnie zaczyna się wojna.

Podrywa się, wyrzuca przed siebie ręce i drzwi wypadają z futryny, roztrzaskując się o podłogę. Rozłupane na kawałki drewno. Potłuczone szkło.

- Zapal swoje światła! - krzyczy.

Zapalam. Mogadorczyk stoi wśród szczątków rozbitych drzwi. Uśmiecha się, z kącika ust, w które musiał dostać drzwiami, sączy się krew. Czarne oczy, blada skóra, jakby nigdy nie musnęło jej słońce. Powstały z martwych jaskiniowiec. RzUCA czymś, czego nie widzę, i tylko słyszę stęknienie Szóstki. Patrzę stworowi w oczy i przeszywa mnie taki ból, że zastygam w bezruchu. Zapada ciemność. Smutek. Moje ciało sztywnieje. Przez zamgloną świadomość przemykają obrazy z dnia inwazji: śmierć kobiet i dzieci, moi dziadkowie; łzy, krzyki rozpacz, krew, stosy płonących ciał. Szóstka odczynia urok, podrywając Mogadorczyka w powietrze i ciskając nim o ścianę. Gdy ten próbuje wstać, Szóstka podnosi go znowu, tym razem z całej siły rzucając nim o jedną ścianę, potem drugą. Skaut pada na podłogę wykręcony i pogruchotany, jego pierś unosi się tylko raz i nieruchomieje. Mija sekunda lub dwie. Całe jego ciało rozpada się w garstkę prochu przy dźwięku podobnym do tego, z jakim torebka piasku spada na ziemię.

- Co jest, do diabła? - pytam, zastanawiając, jak to możliwe, by ciało uległo tak gwałtownemu rozpadowi.

- Nie patrz im w oczy! - krzyczy Numer Sześć, ignorując moje zdziwienie.

Myślę o redaktorze „Oni chodzą wśród nas”. Teraz rozumiem, przez co przeszedł, kiedy patrzył im w oczy.

Zastanawiam się, czy nie witał z ulgą śmierci, kiedy w końcu nadeszła, śmierci, która była wyzwoleniem od nieustannie dręczących wizji. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak nieznośne stałyby się moje wizje, gdyby Szóstka nie zdjęła ze mnie uroku.

Dwóch innych skautów nadciąga do nas z końca korytarza. Spowija ich zasłona ciemności, jak gdyby pochłaniali wszystko wokół siebie i zamieniali to w czerń. Szóstka stoi przede mną wyprostowana, niewzruszona, z wysoko uniesioną głową. Jest ode mnie pięć centymetrów niższa, ale dzięki swojej postawie wydaje się wyższa. Sara stoi za mną. Obaj Mogadorczycy przystają tam, gdzie korytarz krzyżuje się z innym korytarzem, zęby mają odsłonięte w szyderczym grymasie. Jestem spięty, mięśnie pieką z wyczerpania. Oni dyszą głębokim, chrypiącym oddechem; właśnie to słyszeliśmy za drzwiami, ich oddech, a nie kroki. Obserwują nas. Raptem jakiś inny hałas wypełnia korytarz i obaj Mogadorczycy kierują ku niemu całą swoją uwagę. Ktoś szarpie drzwiami, jakby chciał je siłą otworzyć. Nie wiadomo skąd rozlega się strzał, a potem łomot wyważanych kopnięciem drzwi. Obaj wyglądają na zaskoczonych i kiedy zbierają się do odwrotu, dwa następne strzały przeszywają korytarz i obaj skauci zostają wyrzuceni do tyłu. Słyszymy zbliżający się odgłos dwóch par butów i chrobot psich pazurów. Szóstka spina się obok mnie, gotowa zmierzyć się z nadchodzącym zagrożeniem, czymkolwiek to się okaże. Henri! To światła jego furgonetki widzieliśmy przez okno. Trzyma dubeltówkę, której nigdy nie widziałem. Bernie Kosar jest przy jego nodze i rusza biegiem do mnie.

Przykucam i podnoszę go z podłogi. Liże mnie szaleńczo po twarzy i z emocji omal zapominam powiedzieć Szóstce, kim jest mężczyzna z dubeltówką.

- To jest Henri. Mój Cepan.

Henri zbliża się wolno, czujny, spoglądając na drzwi każdej klasy, którą mija, a za nim, z Loryjskim Kuferkiem w ramionach, idzie Mark. Pojęcia nie mam, po co Henri go tu przywiózł. Mój opiekun ma oszalałe spojrzenie w oczach, takie, które świadczy o krańcowym zmęczeniu, pełne strachu i niepokoju. Spodziewam się najgorszego po tym, w jaki sposób uciekłem z domu, porządnej bury, może nawet zdielenia w twarz, tymczasem on przekłada dubeltówkę do lewej ręki i z całej siły

mnie ściska. Obejmuję go równie mocno.

- Przepraszam, Henri. Nie wiedziałem, że wydarzy się coś takiego.

82

- Wiem, że nie wiedziałeś. Cieszę się tylko, że jesteś cały i zdrowy - mówi. - Chodźcie, musimy się stąd wydostać.

Cała ta cholerna szkoła jest otoczona.

Sara prowadzi nas do najbezpieczniejszej sali, jaka przychodzi jej do głowy, czyli do kuchni, w której mamy zajęcia z gospodarstwa domowego, na końcu korytarza. Zamykamy za sobą drzwi na zamek. Szóstka zastawia je trzema lodówkami, Henri w pośpiechu opuszcza rolety we wszystkich oknach. Sara wchodzi do stanowiska, w którym zwykle pracujemy, otwiera szufladę i wyjmuje największy nóż kuchenny, jaki udaje jej się znaleźć. Mark, widząc, co zrobiła, stawia na podłodze Kuferek i wybiera nóż dla siebie. Potem grzebie w innych szufladach, wyjmując tłuczek do mięsa i wtyka go za pasek spodni.

- Jak tam, wszystko z wami w porządku? - pyta Henri. - Nikomu nic się nie stało?

- Mnie nic - mówię.

- Poza sztyletem w ramieniu nic mi nie jest - mówi Szóstka. Zapalam swoje światła i oglądam jej ramię. Nie żartowała. Tam,

gdzie biceps styka się z barkiem, tkwi mały sztylet. To dlatego słyszałem jej stłumione jęknięcie, nim zabiła skauta.

Rzucił w nią nożem. Henri podchodzi i wyciąga ostrze. Szóstka stęka z bólu.

- Na szczęście to tylko sztylet - mówi, patrząc na mnie. - Żołnierze będą mieli miecze, które lśnią różnymi mocami.

Chcę spytać, jakimi mocami, ale przerywa nam Henri.

- Potrzymaj - mówi do Marka, podając mu dubeltówkę.

Tamten bierze ją bez słowa do wolnej ręki, obserwując w zdumieniu wszystko, co się wokół dzieje. Zastanawiam się, jak dużo Henri mu powiedział. Zastanawiam się, po co w ogóle Henri go tu przywiózł. Odwracam się do Szóstki.

Henri przyciska jej do rany jakąś szmatkę i każe ją tak trzymać. Podnosi Kuferek i stawia na najbliższym stole.

- Chodź, John - mówi.

Bez wyjaśniania pomagam mu otworzyć kłódkę. Podnosi wieko, sięga do środka i wyjmuje płaski kamyk, równie ciemny jak aura otaczająca Mogadorczyków. Szóstka zdaje się wiedzieć, do czego ten kamyk służy. Zdejmuje koszulę.

Ma pod nią czarnoszary gumowy kombinezon bardzo podobny do srebrnoszarego kombinezonu, w jakim widywałem mojego ojca w wizjach z przeszłości. Biorąc głęboki oddech, podstawia Henriemu swoje ramię. On przyciska do rany kamyk i dziewczyna, z zaciśniętymi mocno zębami, jęczy i zwija się z bólu. Kropelki potu na czole, pąsowa twarz, nabrzmiałe ścięgna na szyi. Henri trzyma tak kamień prawie minutę, a kiedy jest po wszystkim, Szóstka zgina się wpół, oddychając głęboko, żeby dojść do siebie. Patrząc na jej ramię. Poza resztką lśniącej nadal krwi po ranie nie ma śladu, żadnej blizny, tylko niewielkie przecięcie w kombinezonie. ,

- Co to jest? - pytam, patrząc na kamyk.

- Uzdrowiający kamień - mówi Henri.

- Takie rzeczy naprawdę istnieją?

- Na Lorien tak, ale ból leczenia jest dwukrotnie silniejszy od pierwotnego bólu spowodowanego urazem, cokolwiek to było, poza tym kamień działa tylko wtedy, gdy rana była zadana umyślnie, z

zamiarem skrzywdzenia kogoś albo zabicia. I uzdrawiający kamień musi , być zastosowany natychmiast.

- Umyślnie? Więc kamień by nie zadziałał, gdybym się potknął i niechcący rozciął sobie głowę?
- Nie. To jest cały sens naszych Dziedzictw. Obrona i czystość intencji.
- Czy on uleczyłby Marka albo Sarę?
- Nie mam pojęcia - mówi Henri. - I obyśmy nie musieli tego sprawdzać.

Szóstka uspokaja oddech. Staje prosto, obmacując swoje ramię. Czerwone wypieki na jej twarzy zaczynają blednąć. Za nią Bernie Kosar biegnie w tę i z powrotem od zamkniętych drzwi do okien, które są zbyt wysoko od podłogi, aby mógł przez nie wyrzeć, ale staje na tylnych łapach i mimo wszystko próbuje, warcząc na coś, co wyczuwa na zewnątrz. Może to nic takiego, myślę. Od czasu do czasu szczeka w powietrze.

- Wzięłeś mój telefon, kiedy byłeś dzisiaj w szkole? - pytam Henriego.
- Nie. Niczego nie brałem.
- Nie było go, jak wróciłem.

- W każdym razie i tak by nie działał. Oni zrobili coś z naszym domem i szkołą. Nie ma prądu, i, nie wiem, jakaś tarcza, którą musieli zamontować, nie przepuszcza żadnych sygnałów. Stały wszystkie zegary. Nawet powietrze wydaje się martwe.

- Mamy niewiele czasu - wtrąca Szóstka.

Henri kiwa głową. Patrząc na nią, lekko się uśmiecha, z wyrazem dumy, może nawet ulgi.

- Pamiętam ciebie - mówi.
- Ja ciebie też pamiętam. Henri podaje jej rękę.
- Gównianie dobrze jest cię znów widzieć.
- Cholernie dobrze - poprawiam go, ale nie zwraca na nie uwagi.
- Szukałam was sporo czasu - mówi Szóstka.
- Gdzie jest Katarina? - pyta Henri.

Szóstka potrząsa głową. Cień smutku przebiega po jej twarzy.

- Nie dożyła. Zmarła trzy lata temu. Wtedy zaczęłam szukać innych, nie wyłączając was dwóch.
- Tak mi przykro - mówi Henri.

Szóstka kiwa tylko głową. Spogląda przez salę na Berniego Kosara, który właśnie zaczął wściekle warczeć. Wydaje się, jakby urósł, na tyle, że sięga głową ponad parapet. Henri podnosi z podłogi strzelbę i podchodzi na odległość pięciu kroków do okna.

- John, zgaś swoje światła - mówi, co natychmiast robię. - A teraz na moją komendę podciągniesz rolety.

Podchodzę z boku do okna i owijam dwukrotnie sznurek wokół dłoni. Kiwam do Henriego i widzę ponad jego ramieniem, że Sara zasłoniła rękami uszy w oczekiwaniu na strzał. Henri podnosi strzelbę i celuje.

- Czas zapłaty - mówi. - Teraz!

Pociągam sznurek i roleta w ułamku sekundy odsłania okno. Henri strzela. Dźwięk jest ogłuszający, odbija się echem w moich uszach jeszcze przez kilka sekund. Henri znowu podnosi broń, trzyma z wycelowaną lufą. Wychylam się, żeby spojrzeć przez okno. Dwóch powalonych skautów leży na trawie, bez ruchu. Jeden rozpada się na proch z takim samym głuchym pacnięciem jak tamten w korytarzu. Drugiego Henri dobija jeszcze jednym strzałem i dzieje się to samo. Wokół ich spopielonych resztek roi się od cieni.

- Szóstko, przerzuć tu jedną lodówkę - prosi Henri.

Mark i Sara patrzą w zdumieniu, jak lodówka płynie do nas w powietrzu i ustawia się przed

oknem, tak żeby Mogadorczycy nie mogli wejść ani zajrzeć do środka.

- Lepsze to niż nic - mówi Henri i odwraca się do Szóstki. - Ile mamy czasu?

- Niewiele. Oni mają bazę trzy godziny drogi stąd, w wydrążonej górze w Wirginii Zachodniej.

Henri łamie strzelbę, wkłada dwa świeże naboje i zamyka lufę.

- Ile tu się mieści pocisków? - pytam.

- Dziesięć.

Sara i Mark szepczą do siebie. Podchodzę do nich.

- Wszystko w porządku? - pytam.

Sara kiwa głową, Mark wzrusza ramionami, żadne z nich tak naprawdę nie wie, co powiedzieć w sytuacji grozy.

Całuję Sarę w policzek i biorę ją za rękę.

- Nie martw się. Wybrniemy z tego. Zwracam się do Szóstki i Henriego:

- Dlaczego oni czekają na zewnątrz i nic nie robią? Dlaczego nie wybiją któregoś okna i nie wtargną do środka?

Przecież wiedzą, że mają przewagę.

- Oni tylko chcą nas przytrzymać, tu w środku - wyjaśnia Szóstka. - Mają nas dokładnie tam, gdzie chcą, wszystkich razem, zamkniętych w jednym miejscu. Czekają teraz na innych, na żołnierzy z ich bronią, wprawnych w zabijaniu. Są zdesperowani, bo wiedzą, że rozwijamy nasze Dziedzictwa. Nie mogą sobie pozwolić na schrzanienie okazji i ryzyko, że staniemy się silniejsi. Wiedzą, że część z nas jest zdolna podjąć walkę.

- W takim razie musimy się wydostać - mówi błagalnie Sara sin bym i drżącym głosem.

Szóstka przytakuje jej uspokajająco. I wtedy przypominam sobie coś, o czym w całym tym poruszeniu zapomniałem.

- Zaraz... Przecież to, że tu jesteś, że jesteśmy tu razem, likwiduje moc czaru. Wszyscy inni są teraz łatwym łupem

- mówię. - Każdego z nas mogą zabić, kiedy zechcą.

W przerażonej twarzy Henriego czytam, że jemu również wypadło to z głowy

- Tak. Musiałam podjąć to ryzyko - mówi Szóstka. - Nie możemy ciągle uciekać i mam dosyć czekania. Wszyscy się rozwijamy, wszyscy jesteśmy gotowi wziąć odwet. Nie zapominajmy, co oni nam zrobili tamtego dnia, a ja nie mam zamiaru zapomnieć, co zrobili Katarinie. Wszyscy, których znaleźliśmy, zginęli, nasze rodziny, nasi przyjaciele.

Myślę, że oni postanowili zrobić z Ziemią to samo, co zrobili z Lorien, i są prawie gotowi. Siedzenie z założonymi rękami to zgoda na takie samo zniszczenie, taką samą śmierć i zagładę. Jak można stać beczynnym i pozwolić, żeby do tego doszło? Jeśli ta planeta zginie, my zginiemy razem z nią.

Bernie Kosar wciąż ujada przy oknie. Jestem skłonny wypuścić go na zewnątrz, zobaczyć, co może zrobić. Ma spieniony pysk, odsłonięte zęby, zjeżoną sierść na środku grzbietu. Pies jest gotów, myślę. Pytanie, czy reszta z nas jest gotowa.

- No cóż, jesteś teraz tutaj - mówi Henri. - Miejmy nadzieję, że inni są bezpieczni, że poradzą sobie sami. Jeśli któremuś coś się stanie, wy dwoje natychmiast będziecie wiedzieć. W naszym wypadku wojna przyszła do nas sama.

Nie prosiłszy o nią, ale skoro już jest, nie mamy innego wyjścia, niż stawić jej czoło, dając z siebie wszystko. - Unosi głowę i patrzy na nas długą chwilę, białka jego oczu lśnią w ciemności sali.

- Zgadzam się z tobą, Szóstko. Nadszedł już czas.

Do sali gospodarstwa domowego wpada zimny wiatr, przystawiona do wybitego okna lodówka niewiele daje, tym bardziej że szkoła jest wyziębiona z powodu braku prądu. Szóstka jest teraz w samym gumowym kombinezonie, całym czarnym poza szarym ukośnym pasem na przedzie. Stoi pośrodku grupy tak opanowana i pewna siebie, że zapragnąłem mieć własny loryjski kombinezon. Kiedy otwiera usta, żeby coś powiedzieć, przerywa jej głośny huk z zewnątrz.

Wszyscy rzucamy się do okien, ale nic nie widać i nie mamy pojęcia, co się dzieje. Po łomocie następuje kilka głośnych uderzeń i odgłosy rozdzierania, miażdżenia, jakby ktoś brutalnie coś niszczył.

- Co się dzieje? - pytam.

- Twoje światła - mówi Henri ponad dźwiękami destrukcji. Zapalam je i przeczesuję dziedziniec, ale światło sięga na odległość

trzech metrów, a dalej pochłania je mrok. Henri cofa się i przechyla głowę, wyęzając słuch w najwyższym skupieniu, w końcu kiwa głową w bezsilnej rezygnacji.

- Niszczą wszystkie samochody z moim włącznikiem. Jeśli wyjdziemy z tego żywo i uda nam się uciec z tej szkoły, to tylko na własnych nogach.

Na twarzy Marka i Sary maluje się przerażenie.

- Nie mamy więcej czasu do stracenia - mówi Szóstka. - Musimy się ruszyć, zanim przyjadą żołnierze i bestie. Ona mówiła, że można się wydostać przez salę gimnastyczną. - Kiwa na Sarę. - To nasza jedyna nadzieja.

- Ona ma na imię Sara - mówię.

Siadam na najbliższym krześle wytrącony z równowagi zniecierpliwieniem w głosie Szóstki. Wydaje się ona najbardziej opanowaną osobą, która zachowała zimną krew w tych chwilach grozy. Bernie Kosar jest znowu przy drzwiach, skrobie pazurami w lodówki, które je blokują, warczy i skomle. Mam zapalone światła, więc Szóstka po raz pierwszy przygląda mi się dokładnie, mruży oczy i wysuwa twarz do przodu. Podchodzi do niego i schyla się, żeby go pogłaskać. Widzę, jak się uśmiecha, i wydaje mi się to dziwne.

- Co? - pytam.

- Nie wiesz?

- Czego nie wiem?

Jej uśmiech rozkwita i podąża za Berniem, który biegnie z powrotem do okna, drapie w nie, warczy, poszczekuje w rosnącej frustracji. Szkoła jest otoczona, grozi nam śmierć, prawie pewna, a Szóstka się uśmiecha. To mi działa na nerwy

- Twój pies - mówi. - Naprawdę nie wiesz?

- Nie - przyznaje Henri.

Odwracam się do niego. Kręci głową, patrząc na Szóstkę.

84

- Co jest, do diabła? - pytam. - O co chodzi?

Szóstka spogląda to na mnie, to na Henriego. Potem zaśmiewa się krótko, lecz nic nie mówi, bo coś innego przyciąga jej uwagę. Spieszy się do okna, a my za nią, i tak jak poprzednio przyćmione światła reflektorów mkną po zakręcie drogi i znikają na szkolnym parkingu. Następny samochód, może jakiś trener albo nauczyciel.

Zamykam oczy i głęboko oddycham.

- Może to nic nie znaczy - mówię.

- Zgaś swoje światła - prosi Henri.

Gaszę, zaciskam dłonie w pięści. Z jakiegoś powodu samochód na parkingu wywołuje we mnie złość. Do diabła ze zmęczeniem, z ciągłymi dreszczami, które mam od chwili, gdy wyskoczyłem przez okno dyrektora. Nie wytrzymam tego dłużej, nie chcę tu siedzieć w zamknięciu, wiedząc, że przed szkołą czekają Mogadorczycy szykujący nam śmierć. Tamten samochód mógł przywieźć pierwszych żołnierzy. Ale w tym samym momencie, gdy wpada mi do głowy ta myśl, widzimy, że światła wycofują się szybko z parkingu i oddalają pędem tą samą drogą.

- Musimy się wydostać z tej choleralnej szkoły - mówi Henri.

Henri siedzi na krześle trzy metry od drzwi z wycelowaną w nie dubeltówką. Oddycha wolno, choć jest podminowany i widzę, jak zaciska zęby. Nikt z nas się nie odzywa. Numer Sześć stała się niewidzialna i wymknęła się na zwiady. My po prostu czekamy i w końcu jest. Trzy lekkie klepnięcia w drzwi, umówiony sposób pukania Szóstki. Henri opuszcza broń, ona wchodzi, a ja zastawiam z powrotem drzwi jedną z lodówek. Nie było jej dziesięć minut.

- Miałeś rację - mówi do Henriego. - Zniszczyli wszystkie samochody na parkingu i w jakiś sposób przenieśli pod szkołę wraki, żeby zablokować każde drzwi. I Sara miała rację: przeoczyli właz w podłodze sceny. Doliczyłam się siedmiu zwiadowców na zewnątrz i pięciu w środku pilnujących korytarzy. Jeden był za tymi drzwiami, ale został

sprzątnięty. Robią się nerwowi. To może znaczyć, że inni powinni już tu być, czyli że są niedaleko.

Henri wstaje, bierze Loryjski Kuferek i kiwa na mnie. Pomagam mu otworzyć kłódkę. Sięga do środka i wyjmuje kilka małych okrągłych kamyczków, które wrzuca do kieszeni. Nie mam pojęcia, do czego służą. Potem opuszcza wieko, zamyka Kuferek na kłódkę i chowa go do jednego z piekarników. Przystawiam do piekarnika lodówkę, żeby uchronić go przed otwieraniem. Naprawdę nie ma innego wyjścia. Kuferek jest za ciężki, nie dałoby się z nim walczyć, zresztą potrzebujemy każdej wolnej ręki, żeby wyjść z tych oparów.

-

Zostawiam go z bólem serca - mówi Henri, potrząsając głową. Szóstka ma równie niewyraźną minę. Myśl o tym, że Mogadorczycy położą łapę na Loryjskim Kufereku, przeraża ich oboje.

- Nic mu się tutaj nie stanie - mówię.

Henri przeładowuje strzelbę, spogląda na Sarę i Marka.

- To nie jest wasza wojna - mówi. - Nie wiem, czego się tam spodziewać, ale jeśli sytuacja przybierze zły obrót, wy dwoje wracacie do szkoły i czekacie w ukryciu. Im nie zależy na was i nie sądzę, żeby zechcieli tu szperać, jeśli będą już mieli nas.

Sara i Mark wyglądają na sparaliżowanych strachem, jedno i drugie ściska w prawej dłoni nóż. Mark poupychał za paskiem spodni wszystko z kuchennych szuflad, co mogłoby się przydać - inne kuchenne noże, tłuczek do mięsa, tarkę do sera, nożyczki.

- Wychodzimy z tej sali na lewo - zwracam się do Henriego - i jak dojdziemy do końca korytarza, sala gimnastyczna jest pięć, sześć metrów na prawo za podwójnymi drzwiami.

- Właz jest na samym środku sceny - dodaje Szóstka. - Pod niebieską matą. W sali gimnastycznej nie ma zwiadowców, ale to nie znaczy, że nie będą kręcić się gdzieś obok.

- Więc mamy po prostu wyjść na zewnątrz i próbować nie dać się złapać? - pyta Sara; oddycha ciężko, jej głos jest przepełniony paniką.

- To nasza jedyna szansa - odpowiada Henri. Biorę Sarę za rękę i czuję, jak strasznie drży.

- Będzie dobrze - mówię.

- Skąd wiesz? - pyta tonem raczej wymagającym niż pytającym.

- Nie wiem.

Szóstka odsuwa od drzwi lodówkę. Bernie Kosar natychmiast zaczyna drapać w drzwi, próbując wyjść, warcząc.

- Nie mogę was wszystkich uczynić niewidzialnymi - mówi Szóstka. - Jeśli zniknę, to i tak będę obok.

Kiedy chwyta gałkę od drzwi, Sara, biorąc głęboki oddech, ściska mnie za rękę tak mocno, jak tylko może. Widzę drżący w jej prawej dłoni nóż.

- Trzymaj się blisko - proszę.

- Będę cały czas przy tobie.

Drzwi się otwierają i Szóstka wypada na korytarz, Henri tuż za nią, potem ja. Bernie Kosar wybiega przed nas wszystkich i oddala się pędem jak futrzana kula. Henri kieruje strzelbę to w jedną, to w drugą stronę. Korytarz jest pusty. Bernie Kosar dotarł już do poprzecznego korytarza. Znika. Szóstka za jego przykładem staje się niewidzialna i reszta z nas biegnie w kierunku sali gimnastycznej, z Henrim na czele. Puszczam przed siebie Marka i Sarę.

Poruszamy się w całkowitej ciemności, słysząc tylko nawzajem swoje kroki. Włączam swoje światła, żeby pomóc torować drogę, i to jest pierwszy błąd, jaki popełniam.

Po mojej prawej ręce otwierają się gwałtownie drzwi któreś z klas. Wszystko dzieje się w mgnieniu oka i nim mam szansę zareagować, dostaję czymś ciężkim w ramię. Moje światła gasną. Wpadam z impetem na szklaną gablotę przy ścianie. Mam ciętą ranę na czubku głowy i po twarzy cieknie mi krew. Sara krzyczy Kolejny, porażający, cios ląduje z głuchym łomotem na moich żebrach.

- Zapal światła! - wrzeszczy Henri.

Zapalam i widzę nad sobą zwiadowcę trzymającego dwumetrowej wielkości kawał drewna, który musiał znaleźć w sali wychowania technicznego. Robi zamach, żeby uderzyć mnie znowu, ale Henri, stojący z sześć metrów dalej, oddaje celny strzał. Głowa zwiadowcy znika roztrzaskana na kawałeczki. Reszta jego ciała zamienia się w proch, nie zdążywszy nawet paść na podłogę.

Henri opuszcza strzelbę.

- Niech to szlag - mówi na widok krwi.

Kiedy robi krok w moją stronę, kątem oka zauważam drugiego zwiadowcę, w tych samych drzwiach, z uniesionym nad głowę dwuręcznym młotem.

Widzę, jak rzuca się do przodu, i mocą telekinezy ściągam do siebie najbliższą rzecz, nawet nie wiedząc co. Złoty błyszczący przedmiot, który gwałtownie przesuwa powietrze. Uderza zwiadowcę z taką siłą, że miażdży mu czaszkę i powala go na podłogę. Podbiega Henri, za nim Mark i Sara. Zwiadowca wciąż żyje. Henri bierze od Sary nóż i przebija na wylot pierś Mogadorczyka, z którego zostaje garstka prochu. Oddaje nóż Sarze. Ona trzyma go w wyciągniętej ręce, między kciukiem a palcem wskazującym, jakby ktoś jej niespodziewanie wręczył parę brudnych gaci. Mark schyla się i podnosi przedmiot, którym rzuciłem, teraz w trzech oddzielnych kawałkach.

- To mój puchar za Ligę Międzyszkolną - mówi i mimowolnie parska śmiechem. - Zdobyłem go miesiąc temu.

Wstaję. To, co rozbiłem własną głową, było gablotą z pucharem.

- Jak się czujesz? - pyta Henri, oglądając moją ranę.

- W porządku, chodźmy już.

Biegniemy dalej korytarzem, później przez całą salę gimnastyczną i wskakujemy na scenę. Zapalam światła w rękach i widzę niebieską matę, która przesuwa się na bok, jakby sama z siebie. Potem otwiera się kłapa. Dopiero wtedy Szóstka staje się znowu widzialna.

- Co tam się działo? - pyta.

- Nie obyło się bez małego kłopotu - odpowiada Henri, schodząc po drabinie pierwszy, żeby

sprawdzić przedpole.

Za nim idą Sara i Mark.

- Gdzie jest pies? - pytam. Szóstka kręci głową.

- Chodź - mówię.

Schodzi pierwsza, zostawiając na scenie tylko mnie. Gwiżdżę najgłośniejszym, jak umiem, doskonale wiedząc, że zdradzam w ten sposób swoją obecność. Czekam.

- Chodź, John - woła z dołu Henri.

Wchodzę do wjazdu, stoję już na szczeblu drabiny, ale od pasa w górę wciąż jestem na scenie i wypatruję psa.

- Hej! - mówię pod nosem. - Gdzie jesteś?

I kiedy już nie mam innego wyjścia, niż się poddać, w tym ułamku sekundy, kiedy opuszczam niżej stopę, Bernie Kosar pojawia się na drugim końcu sali i rusza pędem do mnie, z uszami po sobie. Uśmiecham się.

- Złaź! - Henri tym razem wrzeszczy.

- Zaraz! - odwrzaskuję.

Bernie Kosar wskakuje na scenę i w moje ramiona.

- Już! - krzyczę, podając psa Szóstce.

Schodzę, zamykam za sobą i rygluję klapę, po czym zapalam światła najjaśniej, jak się da.

Betonowa posadzka i ściany śmierdzą stęchlizną. Musimy iść nisko zgarbieni, żeby nie uderzyć się w głowę.

Szóstka prowadzi. Tunel ma ze trzydzieści metrów długości i nie mam pojęcia, do czego mógł kiedyś służyć.

Docieramy na koniec; kilka schodków prowadzi do metalowych piwnicznych drzwi. Szóstka czeka, aż wszyscy się zbierzemy

- Na co wychodzą te drzwi? - pyta.

- Na parking dla nauczycieli. Niedaleko boiska. Szóstka przykładła ucho do wąskiej szpary w drzwiach. Nic tylko gwizd wiatru. Nasze twarze obleczone są potem, kurzem i strachem. Szóstka daje znak Henriemu. Gaszę światła.

- No dobrze - mówi i staje się niewidzialna.

Uchyła drzwi na tyle, żeby wystawić głowę i rozejrzeć się dookoła. Reszta z nas patrzy z zapartym tchem, czekając, nasłuchując, wszyscy w nerwach. Ona odwraca się w jedną stronę, potem w drugą. Zadowolona, że nam się udało, otwiera drzwi na roścież i wychodzimy pojedynczo. Jest ciemno i cicho, bezwietrznie, drzewa w lesie po prawej stronie ani drgną. Rozglądam się, widzę zniekształcone sylwetki poskręcanych samochodów, zwalonych na sterty przed wejściami do szkoły. Nie ma żadnych gwiazd ani księżyca. W ogóle nie widać nieba, prawie jakbyśmy byli pod bańką ciemności, rodzajem kopuły, gdzie pozostają tylko cienie. Bernie Kosar zaczyna warczeć, najpierw cicho, więc w pierwszej chwili myślę, że to tylko z niepokoju; ale warczenie przechodzi w coś bardziej zacieklego, groźniejszego i rozumiem, że musiał coś wyczuć. Wszyscy odwracamy głowy, żeby zobaczyć, na co tak warczy, ale nic się nie porusza. Robię krok do przodu, aby wziąć Sarę na plecy. Zastanawiam się, czy nie włączyć świateł, ale wiem, że to by nas zdradzało jeszcze bardziej niż warczenie psa. Raptem Bernie Kosar wyrывa przed siebie. Biegnie najwyżej trzydzieści metrów, robi skok w powietrze i wgryza się w jednego z niewidocznych zwiadowców, który pojawia się nie wiadomo skąd, jakby nagle przysłał jakiś czar niewidzialności. W jednej chwili widzimy ich wszystkich, otacza nas co najmniej dwudziestu, wyraźnie się zbliżając.

- To była zasadzka! - krzyczy Henri i strzela dwukrotnie, powalając dwóch zwiadowców.

- Wracajcie do tunelu! - wrzeszczę do Marka i Sary.

Jeden ze zwiadowców szarżuje w moją stronę. Unoszę go w powietrze i ciskam nim z całej siły o dąb rosnący dwadzieścia metrów dalej. Spada z hukiem na ziemię, szybko wstaje i rzuca we mnie sztyletem, któremu zmieniam w porę lot. Podnoszę zwiadowcę jeszcze raz i ciskam nim jeszcze mocniej o to samo drzewo. Spada, rozsypując się w proch u podnóża pnia. Henri wyładowuje kolejne magazynki, strzały nakładają się i odbijają echem. Dwie ręce chwytają mnie od tyłu. Już mam je odtrącić, gdy zdaję sobie sprawę, że to Sara. Nie widać nigdzie Szóstki. Bernie Kosar powalił na ziemię Mogadorczyka i z piekielnym ogniem w oczach wbija zęby w jego szyję.

- Wracaj do szkoły! - wrzeszczę do Sary.

Nie chce mnie puścić. Ciszę przesywa grzmot i rozpętuje się burza, z ciemnymi chmurami, zygzakami błyskawic i piorunami rozdzierającymi nocne niebo, serią huczących gromów, które wprawiają Sarę w rytmiczny dygot. Wreszcie pojawiła się Szóstka. Stoi dziesięć metrów dalej, wpatrzona w niebo, z grymasem skupienia na twarzy i uniesionymi rękami. To ona stwarza tę burzę, ma władzę nad pogodą. Błyskawice zaczynają spadać na zwiadowców, kładąc ich trupem na miejscu, tworząc małe eksplozje, po których zostają chmury popiołu ospale rozchodzące się po dziedzińcu.

Henri stoi z boku, ładując następne pociski do strzelby. Zwiadowca zaatakowany przez Berniego Kosara wreszcie kona i rozsypuje się w kupkę popiołu, który osiada na psim pysku. Bernie po jednym kichnięciu otrząsa popiół z sierści i rzuca się w pogoń za najbliższym Mogadorczykiem, aż obaj znikają w gęstym lesie pięćdziesiąt metrów dalej. Ogarnia mnie potworny strach, że widziałem go po raz ostatni.

- Musisz wejść do szkoły - powtarzam Sarze. - Natychmiast. I musisz się ukryć. Mark! - wrzeszczę, nie widząc go w pobliżu.

86

Rozglądam się. Jest. Pędzi w kierunku Henriego, który co rusz ładuje strzelbę. W pierwszej chwili nie rozumiem, ale już widzę, co się dzieje: mogadorski zwiadowca podkrał się do Henriego niezauważony.

- Henri! - krzyczę, próbując przyciągnąć jego uwagę.

Podnoszę rękę, żeby zatrzymać zwiadowcę z jego uniesionym wysoko nożem, ale Mark dopada go pierwszy i wywiązuje się walka wręcz. Henri zatraskuje strzelbę, podczas gdy Mark odkopuje nóż.

Henri strzela i zwiadowca eksploduje. I leni i mówi coś do Marka, ja wołam go jeszcze raz i w końcu przybiega, ciężko dysząc.

- Musisz zabrać Sarę do szkoły.

- Mogę się tu przydać - mówi.

- To nie jest wasza bitwa. Musicie się ukryć! Wracaj do szkoły i ukryj się gdzieś z Sarą!

- Okej.

- Musicie czekać w ukryciu, żeby nie wiem co! - wrzeszczę między grzmotami. - Oni nie przyjdą po was. Chcą mnie. Obiecuj mi, Mark! Obiecuj, że ukryjesz się z Sarą!

- Obiecuję!

Sara płacze, ale nie ma czasu, żeby ją pocieszać. Kolejny huk pioruna, kolejny wystrzał z broni. Ona całuje mnie w usta, przyciskając dłonie do mojej twarzy, i wiem, że zostałyby tak na zawsze. Mark ją powoli odciąga.

- Kocham cię - mówi Sara, patrząc na mnie w taki sam sposób, jak ja patrzyłem na nią wcześniej, zanim wyszedłem z zajęć gospodarstwa domowego, jakby się bała, że widzi mnie po raz ostatni, i chciała dobrze zapamiętać, jakby ten obraz miała zapamiętać do końca życia.

- Ja też cię kocham - odpowiadam bezgłośnie, kiedy oboje znikają na schodkach do tunelu, i w tym samym momencie Henri wydaje okrzyk bólu.

Odwracam się. Jeden ze zwiadowców trafił go nożem w brzuch. Ogarnia mnie przerażenie. Zwiadowca wyciąga z boku Henriego ostrze lśniące od krwi. Robi zamach, żeby dźgnąć jeszcze raz. Wyciągam rękę, w ostatniej sekundzie wrywam mu nóż i tylko goła pięść dosięga Henriego. Mój Cepan stęka z bólu, przez moment zbiera siły i przystawia lufę do gardła Mogadorczyka. Strzela. Zwiadowca pada krótszy o głowę.

Spada deszcz, zimny, rzęsisty Nie wiedzieć kiedy jestem przemoknięty do suchej nitki. Henri poważnie krwawi.

Mierzy z broni w ciemność, ale wszyscy zwiadowcy usunęli się w cień, z dala od nas, tak żeby nie być dla niego łatwym celem. Nie są dłużej zainteresowani atakiem, wiedząc, że dwoje z nas się wycofało, a trzeci jest ranny. Szóstka wciąż ma oczy i ręce zwrócone ku niebu. Burza nabrała siły, zaczyna wyć wiatr. Wydaje się, że Numer Sześć nie do końca panuje nad rozpętanym żywiołem. Zimowa nawałnica, pioruny w styczniu. Równie szybko, jak się zaczęło, to wszystko nagle ustaje - grzmoty, błyskawice, deszcz. Wiatr zamiera i skądś w oddali dobiega cichy zgrzyt. Szóstka opuszcza rękę, wszyscy nasłuchujemy. Nawet Mogadorczycy się odwracają. Dźwięk narasta, nieomylnie zbliża się do nas. Zwiadowcy wychodzą z cienia i zaczynają się śmiać. Mimo że zabiliśmy przynajmniej dziesięciu, jest ich o wiele więcej niż przedtem. Z oddali ponad wierzchołki wznosi się chmura dymu, jakby z nadjeżdżającego parowozu.

Zwiadowcy kiwają do siebie, szczerzą zęby we wrednych uśmiechach i okrążają nas z wyraźnym zamiarem zagonienia nas z powrotem do szkoły. I jest oczywiste, że to nasza jedyna szansa. Podchodzi do nas Szóstka.

- Co się dzieje? - pytam.

Henri utyka, strzelba zwisa bezwładnie u jego boku. Oddycha ciężko, na policzku pod prawym okiem ma przeciętą skórę, okrągłą plamę krwi na szarym swetrze w miejscu, gdzie dostał nożem.

- To oni, prawda? - Henri pyta Szóstkę. - Cała reszta?

Szóstka patrzy na niego przejęta, z mokrymi włosami przyklepionymi do twarzy

- Bestie - mówi. - I żołnierze. Już tu są. Henri podnosi strzelbę i bierze głęboki oddech.

- Czyli zaczynamy prawdziwą wojnę - oznajmia. - Nie wiem, jak wy, ale jak już, to już. Ja w każdym razie... Niech mnie diabli, jeśli padnę bez walki.

Szóstka kiwa głową.

- Nasz lud walczył do końca. Więc ja też będę walczyć. Kilometr dalej ciągle unosi się dym. Żywy ładunek, myślę.

To tak

ich transportują, półciężarówkami z ogromną naczepą. Szóstka i ja ruszamy za Henrim po schodkach do tunelu. Wołam Berniego Kosara, ale nigdzie go nie widać.

- Nie możemy znów na niego czekać - mówi Henri. - Nie ma czasu.

Rozglądam się ostatni raz i zamykam piwniczne drzwi. Pędzimy z powrotem tunelem, po drabinie na scenę i przez salę gimnastyczną do wyjścia. Nie trafiamy na żadnego zwiadowcę, nie widzimy też Marka i Sary, co sprawia mi ulgę.

Mam nadzieję, że się dobrze schowali, że Mark dotrzyma obietnicy i zostaną w swojej kryjówce, dokąd będzie trzeba.

W sali gospodarstwa domowego odsuwam lodówkę i wyciągam Loryjski Kuferek. Otwieram go szybko z Henrim, Szóstka wyjmuje uzdrawiający kamień i przyciska do rany Henriego. Jest spokojny, ma zamknięte oczy i wstrzymuje oddech. Z bólu czerwienieje na twarzy, ale ani piśnie. Po minucie

rana jest zagojona. Henri wypuszcza z płuc powietrze, ma czoło lśniące od potu. Potem jest kolej na mnie. Szóstka przykładła kamień do miejsca, gdzie mam rozciętą głowę, i przejmuje mnie ból, jakiego w życiu nie doznałem. Stękam i jęczę, każdy mięsień mojego ciała jest napięty do granic. Nie mogę oddychać, aż jest po wszystkim, i wtedy zginam się wół i uspokajam oddech przez pełną minutę.

Na zewnątrz ustał mechaniczny zgrzyt. Ciężarówka z naczepą jest poza widokiem. Podczas gdy Henri zamyka Kuferek i chowa go do tego samego piekarnika, co poprzednio, ja wyglądam przez okno w nadziei, że wypatrzę gdzieś Berniego Kosara. Nie widzę go. Następna para świateł mija szkołę. Tak jak przedtem nie wiem, czy to samochód osobowy, czy ciężarówka; pojazd zwalnia przy wjeździe, potem szybko, nie skręcając do środka, odjeżdża. Henri opuszcza koszulę, podnosi strzelbę. Kiedy idziemy do drzwi, jakiś dźwięk zatrzymuje nas w pół kroku. Z zewnątrz dobiega ryk, głośny, zwierzęcy, złowrogi, niepodobny do niczego, co dotąd słyszałem, tuż potem metaliczny zgrzyt zamka i dźwięk otwieranej bramy. Potężny huk zatrzymuje nas w miejscu. Biorę następny głęboki oddech. Henri potrząsa głową i wzdycha bezsilnie, ten gest zwykle oznacza przegraną bitwę.

- Zawsze jest nadzieja, Henri - mówię i czekam, by na mnie spojrział. - Nie znamy dalszego rozwoju wydarzeń. Nie wszystko z góry wiadomo. Nie porzucam jeszcze nadziei.

Kiwa głową i maleńki ślad uśmiechu przebiega po jego twarzy. Spogląda na Szóstkę, której pojawienia się żaden z nas, jak sądzę, w najśmielszych snach nie przewidział. Więc kto może mieć pewność, że nie wydarzy się coś jeszcze? I wtedy Henri dopowiada, cytując dokładnie słowa, którymi on mnie dodawał otuchy, gdy pewnego dnia zapytałem,

jakim cudem mielibyśmy zwyciężyć w tej walce, sami, w znacznej mniejszości, daleko od domu - przeciwko Mogadorczykom, którym wojna i śmierć zdają się sprawiać wielką frajdę.

- To ostatnia rzecz, jaką można zrobić - mówi Henri. - Jeśli straciłeś nadzieję, straciłeś wszystko. A kiedy ci się wydaje, że wszystko stracone, kiedy wszystko wygląda tragicznie i beznadziejnie, zawsze jest nadzieja.

- No właśnie - przyznaję.

31

Następny ryk przeszywa nocną ciszę, przenika ściany szkoły. Ryk, który mrozi krew w żyłach. Ziemia zaczyna drżeć pod krokami spuszczonej bestii. Potrząsam głową. Widziałem te ogromne stwory w swoich wizjach wojny na Lorien.

- Dla dobra nas i waszych przyjaciół - mówi Szóstka - zwiewajmy z tej cholernej szkoły, póki jeszcze czas.

Próbując nas tu dopaść, rozwałą cały budynek.

Patrzemy po sobie nawzajem i zgodnie potakujemy

- Naszą jedyną szansą jest przedostać się do lasu - oświadcza Henri. - Czymkolwiek jest to coś, może uda nam się uciec, jeśli będziemy niewidzialni.

- Dobra, trzymajcie się moich rąk - rozkazuje Szóstka. Bez dalszej zachęty Henri i ja łapiemy ją za rękę.

- Tylko ani mru-mru - przypomina Henri.

W korytarzu panuje cisza i absolutna ciemność. Poruszamy się z kontrolowanym pośpiechem robiąc jak najmniej hałasu. Znowu rozlega się ryk i zanim przebrzmi pierwszy, słyszymy następny. Zatrzymujemy się. To nie jedna bestia, lecz dwie. Idziemy dalej, wchodzimy do sali gimnastycznej. Ani śladu zwiadowców. Na samym środku sali Henri się zatrzymuje. Odwracam głowę, ale go nie widzę.

- Dlaczego stoimy? - szepczę.

- Cii... Posłuchaj.

Wyteżam słuch, ale nie słyszę nic oprócz szumu własnego tętna.

- Bestie się zatrzymały - mówi Henri.

- Co z tego?

- Ciii... Tam jest coś jeszcze.

Po chwili ja też to słyszę, ciche, wysokie popiskiwanie, dźwięk, który mogłyby wydawać jakieś małe zwierzęta.

Dźwięki są zduszone, ale wyraźnie przybierają na sile.

- Co jest, do cholery? - pytam.

Coś zaczyna walić w klapę wjazdu w podłódze sceny tego wjazdu, którym mieliśmy nadzieję uciec.

- Włącz swoje światła - mówi.

Puszczam rękę Szóstki, kieruję światła na scenę. Henri patrzy w dół na koniec lufy strzelby Kłapa podryguje, jakby coś chciało się przez nią wydostać, ale brakowało mu siły. Łasice, myślę, te opasłe małe stworzenia, których tak strasznie się bali faceci z Athens. Któreś uderza tak mocno, że w końcu kłapa odskakuje i z hukiem wali o podłogę.

Koniec z myśleniem, że brak im siły. Dwa stworzenia wyskakują z wjazdu i biegną w naszą stronę z taką prędkością, że z trudem rozpoznaję ich kształty. Henri celuje do nich z rozbawionym uśmiechem. Ich ścieżki się rozchodzą i z odległości pięciu metrów jedna łasica skacze na Henriego, druga na mnie. Henri strzela i zwierzę eksploduje, obryzgując go swoją krwią i wnętrznościami. W chwili, kiedy mam rozszarpać drugą łasicę telekineza, Szóstka swoją niewidoczną ręką przechwytuje ją w powietrzu i ciska na ziemię jak piłkę, zabijając na miejscu.

Henri przeładowuje strzelbę.

- No, poszło nam nie najgorzej.

Zanim mam szansę odpowiedzieć, cała ściana wzdłuż sceny zostaje rozwalona pięścią bestii. Potwór cofa się, naciera jeszcze raz i rozbija całą scenę w drzazgi, ukazując naszym oczom gołe niebo. Siła uderzenia odrzuca w tył mnie i Henriego.

- Uciekaj! - krzyczy Henri, wpakowując w cielsko bestii wszystkie pociski z magazynku.

Bez żadnego skutku. Bestia pochyla się w przód i ryczy tak głośno, że czuję, jak łopocze na mnie ubranie. W moją stronę wyciąga się ręka i łapie mnie, czyniąc niewidzialnym. Bestia szarżuje prosto na Henriego, a mnie zdejmuje groza na samą myśl, co może mu zrobić.

- Nie! - krzyczę. - Henri, ratuj Henriego!

Szarpię się w uścisku Szóstki, w końcu łapię ją i odpycham od siebie. Staję się widoczny, ją nadal chroni moc niewidzialności. Bestia zbliża się do Henriego, który stoi pewnie i czeka z pustą bronią. W sytuacji bez wyjścia.

- Ratuj go! - znowu krzyczę. - Szóstko, ratuj go!

- Uciekaj do lasu! - odkrzykuje.

Mogę się tylko bezsilnie przyglądać. Bestia ma z dziesięć, może dwanaście metrów wzrostu. Ryczy, w jej ślepiach płonie czysta furia. Wyrzuca w powietrze ogromną mięsistą pięść tak wysoko, że przebija belki stropu sali gimnastycznej. A potem pięść spada z taką prędkością, że staje się rozsmazaną plamą jak łopatki kręcącego się wiatraka.

Krzyczę w obłędym strachu, wiedząc, że zaraz Henri zostanie zmiażdżony. Nie mogę odwrócić oczu, Henri wydaje się taki maleńki, stoi ze zwieszoną bezwładnie bronią... i nagle znika, w ostatnim ułamku sekundy przed uderzeniem.

Pięść przebija podłogę sali, drewno łamie się w drzazgi, siła uderzenia wyrzuca mnie na trybuny pięć metrów w tył.

Bestia obraca się do mnie, zasłaniając swym cieleśmiem miejsce, w którym przed chwilą stał Henri.
- Henri! - wrzeszczę.

Odpowiedź, jeśli w ogóle nadeszła, ginie w ogłuszającym ryku bestii, która robi krok w moją stronę. „Do lasu”, powiedziała Szóstka. „Uciekaj do lasu”. Wstaję i biegnę najszybciej, jak mogę, na koniec sali, gdzie bestia przebiła się przez ścianę. Odwracam się, żeby sprawdzić, czy idzie za mną. Nie idzie. Być może Szóstka odwróciła w jakiś sposób jej uwagę. Wiem jedno: jestem teraz zdany wyłącznie na siebie, zupełnie sam.

Przeskakuję przez stertę gruzów i pędzę na złamanie karku w stronę lasu. Cienie roją się dookoła, śledzą mnie jak złowrogie upiory, ale wiem, że jestem w stanie im umknąć. Bestia znów ryczy i słyszę, jak wali się kolejna ściana.

Docieram do linii drzew i cienie wydają się znikać. Przystaję, nasłuchując. Drzewa kołyszają się na lekkim wietrze. Więc tutaj wieje wiatr! Wydostałem się z jakiejś dziwnej kopuły, którą utworzyli Mogadorczycy. Coś ciepłego zbiera się przy pasku moich spodni. Rana na plecach, którą odniosłem w czasie pożaru, znowu się otworzyła.

Z miejsca, gdzie stoję, sylwetka szkoły maluje się niewyraźnie. Po sali gimnastycznej zosta! tylko zwał cegieł. Cień bestii wyrasta pośród ruin stołówki. Dlaczego nic pobiegła za mną? I gdzie jest druga bestia, którą wszyscy

88

słyszeliśmy? Pięść bestii znowu opada, rujnując następne pomieszczenie. Gdzieś tam są Mark i Sara. Kazałem im wracać do szkoły i teraz zdaję sobie sprawę, jakie to było głupie. Nie przewidziałem, że bestia będzie niszczyć szkołę, wiedząc, że mnie tam nie ma. Muszę natychmiast coś zrobić, żeby ją stamtąd odciągnąć. Biorę głęboki oddech dla zebrania sił i kiedy robię pierwszy krok, coś uderza mnie mocno w tył głowy. Upadam twarzą w błoto. Obmacuję miejsce, gdzie dostałem cios, i czuję, że cała moja dłoń jest we krwi. Odwracam się, w pierwszej chwili nic nie widzę, a potem to coś wychodzi z cienia i szczyrzy się w uśmiechu.

Żołnierz. Więc tak wyglądają. Wyższy od zwiadowców, ponad dwa, może dwa i pół metra wzrostu, rozrośnięte mięśnie dobrze widoczne pod czarnym obszarpanym płaszczem. Grube, nabrzmiałe żyły ramion. Czarne buciory.

Odkryta głowa, długie opadające do ramion włosy. Taka sama woskowoblada cera jak u zwiadowców. Uśmiech wy-rażający pewność siebie, nieprzejednanie. W jednej ręce mogadorski żołnierz trzyma miecz. Długi i lśniący, wykuty z metalu, jakiego nigdy nie widziałem na Ziemi ani w swoich wizjach z Lorien. Miecz zdaje się pulsować, jakby był czymś żywym.

Próbuję się odczołgać, krew skapuje po mojej szyi. Bestia w szkole wydaje kolejny ryk. Sięgam po najbliższą gałąź i podciągam się do góry. Żołnierz jest trzy metry ode mnie. Zaciskam w pięści obie dłonie. Żołnierz nonszalanckim gestem kieruje miecz w moją stronę, z jego czubka wysuwa się coś, co przypomina mały sztylet. Widzę, jak ten sztylet wygina się w łuk, zostawiając za sobą delikatny ślad, podobny do smugi dymu za samolotem. Zaczarowuje mnie w jakiś sposób światło i nie mogę odwrócić od niego wzroku.

Błysk jasności pochłania wszystko, świat zanika, przechodząc w bezgłośną pustkę. Bez ścian, bez dźwięków, bez podłogi i sufitu. Bardzo powoli kształty rzeczy powracają, drzewa stoją jak pradawne posągi, szepcząc o świecie, który istniał kiedyś, w jakiejś odmiennej rzeczywistości, gdzie mieszkają tylko cienie.

Sięgam do najbliższego drzewa, chcę go dotknąć, jedynej szarości w świecie pełnym bieli. Moja ręka przenika pień i przez moment drzewo lśni, jakby było płynne. Biorę głęboki oddech. Kiedy

wypuszczam powietrze, powraca ból - do rozcięcia z tyłu głowy i do skaleczeń na ramionach i całym ciele z pożaru w domu Marka. Skądś dochodzi odgłos kapania wody. Powoli materializuje się postać żołnierza, jakieś pięć, dziesięć metrów dalej. Jest gigantyczny Przyglądamy się sobie. W tym nowym świecie jego miecz lśni jaśniej. Jego oczy zwężają się, a moje dłonie znowu zaciskają się w pięści. Podnosiłem przedmioty dużo cięższe od niego, rozłupywałem drzewa i siałem spustoszenie. Z

pewnością dorównuję mu siłą. Skupiam wszystko, co czuję, w samym jądrze swego istnienia, wszystko, czym jestem, i wszystko, czym będę, aż czuję, jakbym miał wybuchnąć.

Z głośnym „Haaa!” wyrzucam przed siebie ramiona. Brutalna siła opuszcza moje ciało, pędząc w stronę żołnierza.

On w tym samym momencie robi gest mieczem, jakby odganiał natrętą muchę. Cała moc go omija i trafia w drzewa, które tańczą przez chwilę jak zboże na wietrze, po czym z powrotem nieruchomieją. Żołnierz śmieje się ze mnie niskim gardłowym śmiechem, w którym jest czyste szyderstwo. Jego czerwone oczy zaczynają się jarzyć i pływać, jakby wypełniła je lava. Unosi wolną rękę, a ja się cały spinam, szykując na nieznaną. W mgnieniu oka dzieląca nas przestrzeń znika, a ja, nie wiedząc, co się stało, czuję jego żelazny uścisk na gardle. Podnosi mnie jedną ręką i oddychając z otwartymi ustami, zije wstrętnym kwaśnym odorem, wonią rozkładu. Miotam się, próbuję oderwać jego palce od swojego gardła, ale są jak ze stali.

A potem mną rzuca.

Łąduję na plecach dziesięć metrów dalej. Wstaję, a on naciera, wymachując mieczem nad moją głową. Robię unik i z całej siły go popycham. Chwieje się, robi krok w tył, ale utrzymuje się na nogach. Próbuję podnieść go mocą telekinezy, ale nic się nie dzieje. W tym odmiennym świecie moje moce są przytłumione, prawie bezskuteczne.

Mogadorczyk ma tu przewagę.

Śmiejąc się z mojej bezsilności, podnosi oburącz miecz, który na moich oczach ożywa, kolor z lśniącego srebra przechodzi w lodowy błękit. Niebieskie płomienie liżą jego ostrze. Miecz, który lśni mocą, jak mówiła Szóstka.

Żołnierz robi zamach i kolejny sztylet wylatuje z czubka miecza, prosto na mnie. Z tym sobie poradzę, myślę. Te wszystkie treningi z Henrim na podwórzu za domem, tyle przygotowań do tej właśnie chwili. Zawsze z nożami podobnymi do sztyletu. Czy Henri wiedział, że ich użyją? Na pewno, chociaż w swoich wizjach bitwy na Lorien nigdy ich nie widziałem. Ale tych istot też nigdy nie widziałem. Tam były inne, nie wyglądały tak groźnie. W dniu inwazji wyglądały na chore i zagłodzone. Czyżby to Ziemi zawdzięczały swoją rekonwalescencję? Może tutejsze warunki pozwoliły im ozdrowieć i zmęźnieć?

Lecący sztylet dosłownie krzyczy. Rośnie i pochłaniają go płomienie. W chwili, gdy chcę go odbić, eksploduje w kulę ognia i płomienie strzelają we mnie. Jestem w potrzasku, uwięziony w samym środku ognistego globu. Każdy inny by spłonął, ale nie ja, w jakiś sposób to przywraca mi siłę. Mogę oddychać. Żołnierz nie ma pojęcia, że ogień mnie wzmocnił. Teraz moja kolej, by kpić z jego bezsilności.

- To wszystko, na co cię stać? - krzyczę.

Jego twarz zmienia się w grymas furii. Sprowokowany sięga za plecy i wyciąga broń podobną do małej armaty, która zaczyna się dopasowywać do jego ciała, lufa owija się wokół jego przedramienia. Jego ramię i broń stają się jednym. Wyciągam z tylnej kieszeni nóż, który zabrałem z domu przed powrotem do szkoły. Mały, nieskuteczny, ale lepsze to niż nic. Otwieram ostrze i atakuję. Ognista kula szarżuje wraz ze mną. Mogadorczyk wypręża się z uniesionym mieczem i zadaje mocarny cios. Odbijam go kieszonkowym nożem, ale ciężar miecza łamie małe ostrze na pół.

Upuszczam resztki noża na ziemię i zamach uje się z całą siłą. Moja pięść wbija się w brzuch żołnierza, który zgina się wpół, ale natychmiast się wypręża do następnego ciosu. Robię unik w ostatniej sekundzie. Płomienie miecza przypalają mi włosy na czubku głowy. Zaraz po mieczu atakuje działo. Nie mam czasu na reakcję i postrzelony w ramię padam z jękiem do tyłu. Żołnierz kieruje armatę w niebo. Na początku nie wiem, o co chodzi. Lufa broni wciąga do środka szarość drzew. Wtedy zaczynam rozumieć. Broń, żeby mogła wystrzelić, musi się naładować, musi wciągnąć esencję Ziemi, żeby nadawała się do użytku. Szarość drzew to nie cienie, szarość to życie drzew na najbardziej elementarnym poziomie. I teraz to życie jest grabione, zużywane przez Mogadorczyków. Rasę kosmitów, którzy wyczerpali zasoby naturalne swojej planety, dążąc do postępu, a teraz dokładnie to samo robią tutaj. To dlatego zaatakowali Lorien. Z tego samego powodu zaatakują Ziemię. Drzewa padają jedno po drugim, zamieniając się w kupki popiołu. Działo jarzy się coraz to jaśniej, blaskiem tak silnym, że bolą od niego oczy. Nie ma czasu do stracenia.

Atakuję. Żołnierz z działem skierowanym w niebo zamachuje się mieczem. Robię unik i wbijam się w potężne cielsko, które zaczyna się prężyć i zwijać w męczarniach. Piecze się w otaczającym mnie ogniu. Ale odstłoniłem się.

Żołnierz zamachuje się mieczem, zbyt słabo, żeby mnie zranić, niemniej nie mogę powstrzymać uderzenia. Miecz trafia

mnie tępym ciosem i odrzuca pięć metrów w tył, zupełnie jakby strzelił we mnie piorun. Leżę wstrząsany dreszczami jak po śmiertelnym porażeniu prądem. Podnoszę głowę. Otacza nas trzydzieści kupek popiołu pozostałych po drzewach. Ile razy pozwoli mi to wystrzelić? Zrywa się lekki wiatr i popiół zaczyna się unosić w pustej przestrzeni między nami. Powraca księżyc. Odmienny świat, do którego wciągnął mnie Mogadorczyk, powoli się rozmywa. On o tym wie. Broń jest naładowana. Podnoszę się z trudem z ziemi. Kilka metrów ode mnie, wciąż rozjarzony, leży jeden ze sztyletów, którymi strzelał we mnie żołnierz. Podnoszę go.

Żołnierz celuje we mnie z armaty. Otaczająca nas biel zaczyna niknąć, powracają kolory i wtedy działo wystrzela, i w jasnym snopie światła widzę duchy wszystkich znanych mi istot: Henriego, Sama, Berniego Kosara, Sary. Wszyscy oni są martwi w tej odmiennej rzeczywistości, a światło tak jaskrawe, że widzę tylko ich. Chcą zabrać mnie ze sobą, zbliżają się pędem w wielkiej, rosnącej kuli energii. Próbuję zmienić tor uderzenia, ale jest zbyt silne. Biel dociera do mojego płonącego kokonu, w zderzeniu dwóch energii następuje eksplozja i jej siła odrzuca mnie w tył. Ląduję na ziemi z głuchym łomotem. Oceniam sytuację. Nie stała mi się żadna krzywda. Kula ognia zgasła. W jakiś sposób przyjęła na siebie uderzenie, ratując mnie od pewnej śmierci. Bo tak musi działać ta armata, śmierć jednej rzeczy za śmierć innej. Moc kontroli umysłu, manipulacja, która żywi się strachem, możliwa dzięki destrukcji pierwiastków świata. Zwiadowcy nauczyli się to robić ograniczoną siłą swoich umysłów. Żołnierze polegają na broni nieporównanie skuteczniejszej.

Wstaję, w jednej ręce wciąż trzymam lśniący nóż. Żołnierz pociąga za jakąś dźwignię z boku broni, jakby ją przeładowywał. Ruszam ku niemu biegiem. Gdy jestem dostatecznie blisko, celuję w serce i ciskam nożem najmocniej, jak potrafię. On strzela po raz drugi. Nóż jak pomarańczowa torpeda pędzi w jego stronę, a pewna biała śmierć zmierza w moją. Mijają się w powietrzu bez dotyku. I kiedy już się spodziewam tego drugiego trafienia i tej pewnej śmierci, dzieje się coś innego.

Mój nóż uderza pierwszy.

Świat wokół znika. Cienie się rozplývają, a wraca zimno i ciemność, jakby nigdy nic. Zmiana przyprawiająca o zawrót głowy. Robię krok w tył i upadam. Moje oczy adaptują się do braku światła. Skupiam wzrok na ciemnej postaci żołnierza nade mną. Wystrzał z działła nie przeniósł się z nami do tego świata. Błyszczący nóż tak. Ostrze tkwi zatopione w sercu Mogadorczyka, rękojeść

mieni się pomarańczowo w księżycowym świetle. Żołnierz się chwieje, nóż zostaje we-ssany głębiej i znika. Żołnierz charczy Czarna krew tryska z otwartej rany Jego oczy stają się puste, potem wywracają się do wnętrza czaszki. Upada na ziemię, leży bez ruchu i w końcu eksploduje w chmurę popiołu, który osiada na moich butach. Żołnierz. Zabiłem pierwszego mogadorskiego żołnierza. Oby nie ostatniego.

Doświadczenie z odmienną rzeczywistością wyraźnie mnie osłabiło. Opieram rękę na najbliższym drzewie, żeby złapać oddech, lecz tego drzewa już tam nie ma. Rozglądam się dookoła. Wszystkie drzewa rozpadły się w kupki popiołu, tak samo jak w odmiennej rzeczywistości, tak jak się dzieje się z Mogadorczykami, kiedy kończą życie.

Słyszę ryk bestii i próbuję dojrzeć, co zostało ze szkoły. Ale zamiast szkoły widzę coś innego. Pięć metrów ode mnie, z mieczem w jednej ręce i czymś w rodzaju armaty w drugiej, stoi kolejny żołnierz. Działo jest wycelowane prosto w moje serce, działo, które zostało już naładowane i lśni pełnią mocy Jeszcze jeden żołnierz. A ja nie czuję się na siłach, żeby go pokonać, tak jak pokonałem pierwszego.

Nie mam czym rzucić, a odległość między nami jest zbyt duża, by rzucić się na niego, zanim wystrzeli. Nagle widzę, że ramię żołnierza drgnęło, i w tym samym momencie rozlega się odgłos wystrzału. Wzdrygam się instynktownie, spodziewając się pocisku, który rozerwie mnie na pół. Ale nic mi nie jest. Zdziwiony podnoszę wzrok i widzę w czole żołnierza dziurę wielkości ćwierćdolarówki, z której sika jego paskudna krew. Potem żołnierz upada i rozsypuje się w proch.

- To za mojego tatę - słyszę za sobą.

Obracam się. Sam ze srebrnym pistoletem w prawej ręce. Na mój uśmiech opuszcza broń.

- Przejechali przez centrum miasta - mówi. - Wiedziałem, że to oni, jak tylko zobaczyłem naczepę.

Staram się uspokoić oddech, patrząc z podziwem na Sama. Zaledwie chwilę wcześniej, podczas walki z pierwszym żołnierzem, Sam jawił mi się jako gnijący trup, który chciał mnie zabrać ze sobą do piekła. A teraz uratował mi życie.

- Jak tam, nic ci nie jest? - pyta.

- W porządku, żyję. Skąd się tu wzięłeś?

- Pojechałem za nimi furgonetką taty, po tym jak minęli mój dom. Podjechałem piętnaście minut temu. Otoczyli mnie ci, którzy już tam byli. Więc odjechałem, zaparkowałem na polu kilometr dalej i przeszedłem przez las.

Te drugie światła, które widzieliśmy z okna szkoły, to była furgonetka Sama. Otwieram usta, chcąc coś powiedzieć, gdy grzmot pioruna wstrząsa niebem. Kolejna burza, więc ogarnia mnie ulga, że Szóstka uszła z życiem. Błyskawica przeszywa niebo, ze wszystkich stron nadciągają chmury, łącząc się w jedną gigantyczną masę. Zapada jeszcze głębsza ciemność, a za nią nadchodzi deszcz, tak ulewny, że mrużę oczy, aby dojrzeć Sama, który stoi o dwa metry dalej. Szko-

ła jest doszczętnie zrujnowana. Nagle uderza grom i w świetle potężnej błyskawicy widzę, że bestia została trafiona.

Słyszemy jej śmiertelny skowyt.

- Muszę się dostać do szkoły! - krzyczę. - Mark i Sara są tam gdzieś w środku.

- To ja idę z tobą! - Sam przekrzykuje ryk burzy

Robimy najwyżej pięć kroków, kiedy zrywa się huczący wiatr, zatrzymując nas w miejscu, pchając do tyłu, siekąc strumieniami po twarzach. Jesteśmy przemoczeni, trzęsiemy się z zimna. Ale jeśli drżę z zimna, to znaczy, że żyję.

Sam przyklęka, potem kładzie się na brzuchu, żeby nie dać się zwiać. Robię to samo. Spod przymrużonych powiek patrzę w chmury, ciężkie, ciemne, złowieszcze, wirujące po małych okręgach.

A w samym środku - miejscu, którego całą siłą woli próbuję osiągnąć - zaczyna wyłaniać się twarz.

Jest to stara ogorzała twarz z brodą, spokojna, jakby we śnie. Twarz, która wygląda na starszą od samej planety.

Chmury zaczynają opadać, powoli dosięgając ziemi, pochłaniając wszystko dookoła, wszystko spowijając ciemnością tak gęstą i nieprzeniknioną, że trudno sobie wyobrazić, aby gdziekolwiek istniało jeszcze słońce. Kolejny ryk, ryk gniewu i zguby. Próbuje wstać, ale nieprzejednany wiatr z powrotem ścina mnie z nóg. Twarz w chmurach ożywa.

Przebudzenie. Oczy się otwierają, twarz wykrzywia zły grymas. Czy to jest także dziełem Szóstki? Twarz staje się uosobieniem gniewu i zemsty. Zbliża się w szybkim tempie. Wszystko zastyga w oczekiwaniu. Nagle otwierają się usta, głodne, wargi się rozchylają, ukazując zęby, zmrużone oczy wyrażają czystą furię. Niehamowaną skrajną wściekłość.

Twarz w końcu ląduje jak balon i wielki akustyczny wybuch wstrząsa ziemią. Eksplozja dosięga szkoły, oświetlając wszystko blaskiem w odcieniach czerwieni, pomarańczowego złota i żółci. Siła wybuchu odrzuca mnie w tył. Drzewa łamią się jak zapalki. Ziemia drży w posadach. Zasłaniam się przed spadającymi na mnie gałęziami i błotem. Dzwoni

90

mi w uszach jak nigdy dotąd. Wybuch musiał być słyszalny w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. I raptem deszcz ustaje i zapada cisza.

Leżę w błocie, słuchając bicia własnego serca. Chmury się rozchodzą, odsłaniając wiszący nade mną księżyc.

Powietrze ani drgnie. Rozglądam się dookoła, nie widząc nigdzie Sama. Nawołuję, ale odpowiada mi głuche milczenie.

Tak bardzo chciałbym coś usłyszeć -cokolwiek, kolejny ryk, strzelbę Henriego - ale wszędzie panuje cisza.

Podnoszę się z leśnej ściółki, otrzepuję z błota i gałązek, na ile to możliwe. Wychodzę po raz drugi z lasu. Znowu pojawiły się gwiazdy, całe roje gwiazd migoczących wysoko na nocnym niebie. Czy to już koniec? Wygraliśmy? Czy to tylko cisza przed kolejną burzą? Szkoła, myślę. Muszę się dostać do szkoły. Robię krok naprzód i wtedy to słyszę.

Kolejny ryk dochodzi z lasu za moimi plecami.

Powracają dźwięki. Trzy kolejne strzały odbijają się echem w powietrzu, więc nawet nie wiem, z której strony padły. Mam nadzieję, że to z broni Henriego, że on żyje, że dalej walczy.

Ziemia zaczyna drzeć. Bestia jest w drodze, w pogoni za mną, nie mam już cienia wątpliwości. Drzewa z tyłu łamią się i zwalają wyrywane z korzeniami. Wydaje się, że wcale nie opóźniają jej biegu. Czy ta jest jeszcze większa niż poprzednia? Wolałbym się nie dowiedzieć. Ruszam biegiem do szkoły, ale zdaję sobie szybko sprawę, że to ostatnie miejsce, w którym powinienem się znaleźć. Sara i Mark wciąż tam są, wciąż się ukrywają. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wszystko powraca do stanu sprzed burzy, śledzą mnie cienie i są tuż-tuż. Zwiadowcy Żołnierze. Skręcam w prawo i pędzę obsadzoną drzewami ścieżką, która prowadzi na szkolne boisko. Bestia depcze mi po piętach. Czy w ogóle mogę jej uciec? Jeśli dobiegnę do lasu po drugiej stronie boiska, może mi się udać. Znam te lasy, prowadzą do naszego domu. Tam będę miał przewagę własnego boiska. Rozglądam się i widzę Mogadorczyków na szkolnym podwórzu.

Jest ich o wiele za dużo. Mają nad nami wielką przewagę liczebną. Czy naprawdę wierzyliśmy w szansę na wygraną?

Kątem oka widzę przelatujący sztylet, błysk czerwieni cudem omija moją twarz. Wbija się w pień drzewa obok mnie i całe drzewo staje w płomieniach. Znowu ryk. Bestia trzyma tempo. Kto z nas jest

wytrzymałszy? Wpadam na stadion, przebiegam linię pięćdziesięciu jardów, potem drugą połowę boiska. Kolejny nóż przelatuje koło mojej głowy, tym razem niebieski. Las jest o krok i przekraczając linię drzew, pozwalam sobie na uśmiech. Odciągnąłem bestię od innych. Jeśli pozostali są bezpieczni, zrobiłem swoje. W momencie, kiedy kielkuje we mnie poczucie triumfu, uderza następny sztylet.

Wydaję okrzyk bólu i padam twarzą w błoto. Czuję ostrze wbite między łopatkami. I ostry, paralizujący ból. Próbuję dosięgnąć rękojęści i wyciągnąć sztylet, ale wbił się za wysoko. Mam wrażenie, że się porusza, wbija się sam coraz głębiej, a ból przenika mnie całego, jakby do krwi dostał się jad. Leżę w męczarniach. Nie mogę wyciągnąć sztyletu mocą telekinezy, ta moc mnie zawodzi. Zaczynam się czołgać do przodu. Jeden z żołnierzy - a może to zwiadowca, nie wiem - stawia stopę na moich plecach, schyla się i wyciąga nóż. Jęczę z bólu. Ostrza nie ma, ale ból pozostał.

Mogadorczyk zdejmuje ze mnie stopę, ale czuję jego obecność i z trudem obracam się na plecy, żeby stawić mu czoło.

Następny żołnierz góruje nade mną z nienawistnym uśmiechem. Wygląda tak samo jak poprzedni, ma taki sam miecz. Sztylet z moich pleców obraca się w jego dłoni. To właśnie czułem, obracające się ostrze zatopione w moim ciele. Podnoszę rękę w kierunku żołnierza, żeby go przesunąć, ale wiem, że to daremne. Nie mogę się skupić, wszystko rozmazuje mi się przed oczami. Żołnierz unosi w powietrze miecz. Ostrze wyczuwa śmierć, zaczyna się jarzyć na tle ciemnego nieba.

Już po mnie, myślę. Nic nie mogę zrobić. Patrzą w oczy Mogadorczyka. Dziesięć lat uciekania i tak nagle się to kończy, tak cicho. Ale za żołnierzem czai się coś innego. Coś dużo groźniejszego od miliona żołnierzy z milionem mieczy. Lśniące bielą zęby, tak długie jak cała postać żołnierza, niemieszczące się w paszczy. Bestia ze swoim wrednym spojrzeniem góruje wysoko nad nami.

Gwałtowny oddech więźnie mi w gardle, oczy wybałuszają się z przerażenia. Wykończy nas obu, myślę. Żołnierz zdaje się nie zauważać bestii. Napręża się, grymas wykrzywia mu twarz i zaczyna opuszczać miecz, żeby mnie rozplatać. Ale jest zbyt wolny i bestia uderza pierwsza: jej szczęki zatrząskują się jak sidła, zęby przecinają ciało żołnierza chirurgicznym cięciem na pół, tuż poniżej bioder, pozostawiając stojące na ziemi nogi jak dwa bliźniacze pniaki. Bestia przegryza tułów w głowę dwoma ruchami szczęki i połyka. Nogi upadają bezwładnie na ziemię, jedna na prawo, druga na lewo, i błyskawicznie rozpadają się w pył.

Ostatkiem sił sięgam po sztylet, który upadł pod moje stopy. Wkładam go za pasek dzinsów i zaczynam się czołgać.

Czuję, jak bestia pochyla się nade mną, czuję jej oddech na karku. Odór śmierci i gnijącego mięsa. Wczołguję się na małą polanę. W każdej chwili spodziewam się ataku bestii, tego, że jej pazury i zęby rozerwą mnie na strzępy. Czołgam się przed siebie, aż dalej nie mogę. Opieram się plecami o pień dębu.

Bestia stoi na środku polany, dziesięć metrów ode mnie. Po raz pierwszy widzę ją w całej okazałości. Wyniosła jak wieża sylwetka, mglista w mroku i chłodzie nocy. Wyższa i potężniejsza od bestii w szkole, dobre dwanaście metrów w pozycji stojącej. Gruba szara skóra napięta na masywnych mięśniach. Brak szyi, wyraźnie wystająca zuchwa. Dolne kły celują w niebo, górne ku ziemi, ociekając krwią i śliną. Długie, tęgie ramiona zwisają pół metra nad ziemią, nawet kiedy bestia stoi wyprostowana, sprawiając, że wygląda na lekko pochyloną do przodu. Żółte oczy. Okrągłe dyski po bokach głowy, które pulsują wraz z biciem jej serca, jedyny znak, że ten stwór ma coś w rodzaju serca.

Pochyla się i opiera lewą górną łapę na ziemi. Łapę z krótkimi pękatymi palcami zakończonymi

szponami jak u drapieżnego ptaka, szponami, które służą do rozszarpywania wszystkiego, co spotka na swojej drodze. Obwąchuje mnie i ryczy tak głośno, że fala dźwięku zepchnęłaby mnie w tył, gdybym nie był oparty o drzewo. Otwiera paszczę, pokazując z pięćdziesiąt zębisk, jedno ostrzejsze od drugiego. Wyrzuca w bok wolną łapę, ścinając dziesięć, piętnaście drzew naraz.

Koniec uciekania. Koniec walki. Cieknie mi krew z rany na plecach, ręce i nogi trzęsą się jak w febrze. Za paskiem spodni wciąż mam sztylet, ale jaki jest sens go wyciągać? Jaka nadzieja w dwunastocentymetrowym ostrzu przeciw dwunastometrowej bestii? Dla niej to byłaby drzazga. I tylko by ją rozjuszyła. Moja jedyna nadzieja to wykrwawić się, nim ten potwór zabije mnie i pożre.

Zamykam oczy i godzę się na śmierć. Nie zapalam swoich świateł. Nie chcę widzieć tego, co zaraz się stanie. Słyszę za sobą jakiś ruch. Otwieram oczy. W pierwszej sekundzie myślę, że to któryś z Mogadorczyków chce być świadkiem mojego końca, ale nie, to żaden z nich. Jest coś znajomego w tym chodzie i coś, co rozpoznaję po oddechu.

Na polanę wpada Bernie Kosar.

Uśmiecham się, ale uśmiech szybko znika. Skoro już jestem stracony, nie ma sensu, żeby on ginął ze mną. Me,

Bernie Kosar. Nie możesz tu być. Musisz natychmiast stąd zniknąć. Musisz gnać jak wiatr, uciec najdalej jak możesz.

Udaj, że właśnie skończyliśmy nasz poranny bieg do szkoły i pora wracać do domu.

Spogląda na mnie i podchodzi. **Jestem tu**, wydaje się mówić, **jestem tu i będę przy tobie.**

- Nie - mówię na głos.

Zatrzymuje się i liże mi rękę, jakby chciał mnie podnieść na duchu. Patrzy na mnie swoimi wielkimi brązowymi oczami. **Uciekaj, John**, słyszę w swoich myślach. **Czołgaj się, jeśli nie dasz rady iść, ale uciekaj natychmiast.** Mam urojenia z powodu utraty krwi. Bernie Kosar wydaje się ze mną porozumiewać. Czy Bernie w ogóle tu jest, czy to sobie tylko wyobrażam?

Stoi przede mną jakby gotów do obrony. Zaczyna warczeć, z początku cicho, a potem tak wściekle jak sama bestia.

Bestia wpatruje się nieruchomo w Berniego Kosara. Pojedynek na wzrok. Sierść Berniego jest zjeżona wzdłuż grzbietu, uszy położone po sobie. Jego lojalność, jego odwaga prawie doprowadzają mnie do łez. Jest sto razy mniejszy od bestii, a jednak trwa przy mnie dzielnie, gotowy do walki. Jedno uderzenie bestii i będzie po wszystkim.

Wyciągam rękę do Berniego Kosara. Żałuję, że nie mogę wstać, złapać go i uciec. Warczy tak zaciekle, że całym jego ciałem wstrząsają drgawki.

I wtedy coś zaczyna się dziać. Bernie Kosar zaczyna rosnać.

32

Po tak długim czasie wreszcie rozumiem. Poranne biegi do szkoły, kiedy za bardzo się rozpędzałem, by mógł

dotrzymać mi tempa. Znikał w lesie i kilka sekund później pojawiał się przede mną. Szóstka próbowała mnie oświecić.

Spojrzała na niego i od razu wiedziała. Podczas tamtych biegów Bernie Kosar znikał w lesie, żeby zmienić postać, przeobrazić się w ptaka. Sposób, w jaki codziennie rano wypadał z domu i gorliwie z nosem przy ziemi patrolował

podwórze. Chroniąc mnie i Henriego. Szukając śladów obecności Mogadorczyków. Gekon na Florydzie. Gekon, który miał zwyczaj przyglądać mi się ze ściany, kiedy jadłem śniadanie. Ile czasu był z nami? Chimery, te, które w mojej wizji ładowano do rakiety - czyżby dotarły jednak na Ziemię?

Bernie Kosar wciąż rośnie. Mówi, żebym uciekał. Umiem się z nim porozumiewać. Nie, to nie

wszystko.

Porozumiewam się ze wszystkimi zwierzętami. Jedno z Dziedzictw. Zaczęło się od jelenia na Florydzie w dniu naszej ucieczki. Dreszcz, jaki przebiegł mi po plecach, kiedy zwierzę coś mi przekazywało, jakieś uczucie. Tłumaczyłem to swoim smutkiem z powodu wyjazdu, ale byłem w błędzie. Psy Marka Jamesa. Krowy, które mijałem podczas porannych biegów. Czuję się jak ostatni głupek, dopiero teraz to odkrywając. Tak rażąco oczywiste zjawiska, wprost przed moimi oczami. Jedna z mądrości Henriego: rzeczy najbardziej oczywiste najłatwiej nam umykają. Ale Henri wiedział. To dlatego powstrzymał Szóstkę, kiedy chciała mi powiedzieć.

Bernie Kosar przestał rosnąć, wypadła mu sierść zastąpiona podłużnymi łuskami. Wygląda jak smok bez skrzydeł.

Jego ciało jest potężnie umięśnione. Poszczerbione kły i pazury, zakręcone rogi jak u barana. Jest masywniej szy od bestii, ale dużo niższy. Wygląda równie groźnie. Dwa olbrzymy po przeciwnych stronach polany porykujące na siebie.

Uciekaj, mówi do mnie Bernie. Próbuję odpowiedzieć, że nie mogę. Nie wiem, czy jest mnie w stanie zrozumieć.

Możesz, mówi. *Musisz*.

Bestia robi zamach. Zamach drwala, który ma początek w chmurach i spada brutalnym ciosem w dół. Bernie Kosar odpiera go swoimi rogami i rzuca się do ataku, nie dając bestii czasu na drugie zamachnięcie. Kolosalne starcie na samym środku polany. Bernie Kosar odbija się z tylnych łap, zatapia zęby w boku bestii. Bestia odrzuca go jednym ruchem.

Oba stworzenia są tak szybkie, że to nie mieści się w głowie. Już oba poranione do krwi. Przyglądam się oparty o drzewo. Próbuję pomóc. Ale moja telekineza zawodzi. Po plecach nieustannie cieknie mi krew. Mam ociężałe kończyny, jak gdyby moja krew zamieniła się w ołów. Czuję, że gdzieś odpływam.

Bestia utrzymuje się wciąż na dwóch łapach, podczas gdy Bernie Kosar musi walczyć na czterech. Bestia szarżuje.

Bernie Kosar opuszcza głowę i dopadają się w zwarciu, taranując drzewa po mojej prawej stronie. W zajadłej kotłowaniu bestia ląduje na wierzchu. Wpija głęboko zęby w szyję Berniego Kosara. Szarpie paszczą, próbując wy-drzeć mu gardło. Bernie Kosar miota się pod przytłaczającym go cielskiem, ale nie jest w stanie się wyrwać. Ryje pazurami w skórze bestii i nic więcej nie może zrobić. Bestia nie puszcza.

Raptem jakaś ręka łapie mnie od tyłu za ramię. Próbuję ją odepchnąć, ale nawet na to jestem za słaby. Bernie Kosar ma zamknięte szczelnie oczy. Prężę się pod szczękami bestii, ze ściśniętym gardłem, niezdolny oddychać.

- Nie! - krzyczę.

- Chodź! - odzywa się głos za mną. - Musimy stąd wiać.

- Pies - mówię, nie mając pojęcia, czyj to głos. - Pies!

Bernie Kosar jest zagryzany i duszony, o krok od śmierci, a ja nic, jasny szlag, nie mogę z tym zrobić. Jestem następny w kolejce. Oddałbym za niego własne życie. Krzyczę wniebogłosey. Bernie Kosar przekręca głowę i patrzy na mnie z twarzą zaciśniętą grymasem bólu, z poczuciem nadchodzącej śmierci.

- Musimy iść! - wrzeszczy głos za mną, a czyjaś ręka podrywa mnie z ziemi.

Oczy Berniego Kosara są utkwione w moich. *Idź*, mówi. *Wynoś się stąd w tej chwili, póki możesz. Masz mało*

czasu.

Jakoś staję na nogach. Świat wokół mnie wiruje rozmyty jak we mgle. Tylko oczy Bernieego Kosara są ciągle przejrzyste. Oczy wołające „Pomocy!”, gdy co innego mówią jego myśli.

- Musimy iść!

Nie odwracam się, ale wiem, kto to jest. Mark James, nie chowa się już w szkole, próbuje mnie wyratować z tej matni. To, że jest tutaj, musi znaczyć, iż nic złego nie stało się Sarze, i przez krótką chwilę pozwalałam sobie na uczucie ulgi. Lecz ulga znika tak szybko, jak się pojawiła. W tym momencie liczy się tylko jedno. Bernie Kosar leżący na boku, patrzący na mnie szklistymi oczami. Uratował mi życie. Teraz kolej na mnie, żeby uratować jego.

Mark zakłada mi rękę na pierś, zaczyna mnie ciągnąć do tyłu w stronę wyjścia z polany, z dala od walki. Wyrywam się. Bernie Kosar powoli zamyka oczy. Odchodzi, myślę. Me ***będę patrzył, jak umierasz***, mówię mu. ***Mogę patrzeć***

spokojnie na różne rzeczy na tym świecie, ale niech mnie szlag trafi, jeśli będę patrzył, jak ty umierasz. Nie ma odzewu. Szczęki bestii zaciskają się coraz mocniej. Czuję, że śmierć jest blisko.

92

Robię jeden chwiejny krok i wyciągam zza paska dżinsów sztylet. Kiedy zaciskam na nim dłoń, ostrze ożywa i zaczyna lśnić. Nie ma mowy, żebym unieszkodliwił bestię, rzucając sztyletem, a wszystkie moje moce diabli wzięli.

Łatwa decyzja. Jediną szansą jest atak wręcz.

Jeden głęboki, drżący oddech. Odchylam tułów, cały się spinam na przekór bólowi i wycieńczeniu; nie ma na moim ciele miejsca, które by w jakiś sposób nie bolało.

- Nie! - krzyczy za mną Mark.

Rzucam się przed siebie i gnam do bestii. Ma zamknięte oczy, szczęki zaciśnięte wokół szyi Bernieego Kosara, a tuż wokół światło księżycy błyszczy w kałużach krwi. Dziesięć metrów. Pięć. Oczy bestii otwierają się w tym samym momencie, gdy skaczę. Żółte ślepie, które obracają się z furją na mój widok - gdy szybuję w powietrzu prosto na nie, ze sztyletem w obu rękach uniesionym wysoko nad głową, jak w jakimś heroicznym śnie, z którego nie chciałbym się obudzić. Bestia puszcza gardło Bernieego Kosara i rozdziawia pysk, ale musi wiedzieć, że wyczuła mnie za późno.

Ostrze sztyletu jarzy się w oczekiwaniu i wbijam je głęboko w ślepie bestii. Natychmiast wytryska płynna maź. Bestia wydaje ścinający krew w żyłach skowyt, tak głośny, że obudziłby umarłego.

Padam jak długi na plecy. Unoszę głowę i widzę, jak bestia chwieje się nade mną, próbując nadaremno wyciągnąć sobie z oka sztylet; jej łapy są za duże, a sztylet za mały. Broń Mogadorczyków działa w szczególny sposób, którego pewnie nigdy nie zrozumie z powodu mistycznych przejść między rzeczywistościami. Sztylet też jest wyjątkowy; czerń nocy wpadająca w oko bestii w wirującej lejkowatej chmurze, tornado śmierci.

Bestia milknie, gdy resztką wielkiej czarnej chmury zagłębia się w jej czaszce i sztylet zostaje wessany wraz z nią.

Olbrzymie ramiona bezwładnie opadają wzdłuż boków. Zaczynają drżeć łapy, a potem gwałtowny wstrząs przenika całe cielsko. Kiedy ustają konwulsje, bestia zgina się i osuwa na ziemię, lądując plecami na drzewach. Siedzi przygarbiona, a wciąż przewyższa mnie o jakieś dziesięć metrów. Wszystko cichnie zawieszony w oczekiwaniu na to, co ma nadejść.

Rozlega się wystrzał, tak blisko, że jeszcze kilka sekund później dzwoni mi w uszach. Bestia bierze wielki oddech, zatrzymuje powietrze, jakby w medytacyjnym skupieniu, i nagle eksploduje jej

głowa, opadając na ziemię szczątkami mózgu, ciała i czaszki, po czym to wszystko zamienia się w popiół.

Las zamiera. Odwracam głowę do Berniego Kosara, który wciąż leży nieruchomo na boku z zamkniętymi oczami.

Nie wiem, czy żyje, czy nie. Kiedy na niego patrzę, zaczyna z powrotem zmieniać postać, kurcząc się do swojej normalnej wielkości, ciągle bez oznak życia. Słyszę dobiegający z bliska chrzęst liści i trzaskanie gałęzi.

Ostatkiem sił unoszę nieco głowę nad ziemię. Otwieram oczy i wypatruję w mglistej ciemności Marka Jamesa. Ale to nie on stoi nade mną. Oddech więźnie mi w gardle. Mająca postać, nierozpoznawalna w świetle wiszącego nad nią księżycy. Potem ten ktoś robi krok do przodu, zasłaniając sobą księżyc, a ja stawiam oczy w słup. Z niepewności i grozy.

33

Zamazany obraz wyostrza się. Poprzez wyczerpanie, ból i strach przebija się uśmiech i poczucie niesamowitej ulgi.

Henri. RzUCA strzelbę w krzaki i przykłęka. Ma zakrwawioną twarz, koszulę i dzinsy w strzępach, na ramionach i szyi pełno ran i zadrapań, a w jego oczach widzę przerażenie tym, co on widzi w moich.

- Już po wszystkim? - pytam.

- Ciii... Powiedz, trafił cię któryś z ich sztyletów?

- W plecy

Zamyka oczy i kręci głową. Sięga do kieszeni, wyjmując jeden z okrągłych kamyków, które zabrał z Loryjskiego Kufierka, nim wyszli- j śmy z sali gospodarstwa domowego. Dygoczą mu ręce.

- Otwórz usta - prosi i wkłada mi do nich kamyk. - Trzymaj go pod językiem. Nie połykaj.

Dźwiga mnie z ziemi, podtrzymując pod pachami. Staję na nogi, a Henri obejmuje mnie ramieniem, czekając, aż złapię równowagę. Potem obraca mnie delikatnie, żeby obejrzeć ranę na plecach. Czuję ciepło na twarzy. Jakaś ożywiająca siła promieniuje od tego jednego kamyka. Wciąż jestem obolały z wyczerpania, ale odzyskałem władzę w rękach i nogach na tyle, żeby móc funkcjonować.

- Co to jest?

- Loryjska sól. Spowolni i osłabi skutki działania sztyletu. Poczujesz przyływ energii, ale to nie potrwa długo, dlatego musimy jak najszybciej wrócić do szkoły.

Kamyk daje uczucie chłodu w ustach, ale wcale nie smakuje jak sól, właściwie jest bez smaku. Opuszczam wzrok, zastanawiając się nad sytuacją, potem otrzepuję się z popiołu po bestii.

- Co się dzieje z resztą? - pytam Henriego.

- Szóstka jest ciężko ranna. Sam niesie ją teraz do samochodu, potem przyjedzie po nas pod szkołę.

Dlatego musimy tam wrócić.

- Widziałeś Sarę?

- Nie.

- Mark James był tutaj. W pierwszej chwili wziąłem cię za niego.

- Ja go nie widziałem.

Spoglądam ponad ramieniem Henriego na psa.

- Bernie Kosar - mówię.

On ciągle się kurczy, łuski opadają, na ich miejsce pojawia się czar-no-brązowo-beżowa sierść i tak oto Bernie powraca do znanej mi poprzednio postaci: oklapłe uszy, krótkie łapy, długi tułów. Beagle z zimnym, mokrym nosem, zawsze skory do biegu.

- Właśnie uratował mi życie. Wiedziałeś, prawda?

- Oczywiście, że wiedziałem.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Bo on ciebie pilnował, kiedy ja nie mogłem.
- Ale jak on się tu znalazł?
- Był z nami na statku.

I nagle przypominam sobie to coś, co wydawało mi się pluszowym zwierzątkiem, które bawiło się ze mną na statku kosmicznym. Tak naprawdę bawiłem się z Bernie Kosarem, tyle że wtedy wabił się Hadley. Obaj podchodzimy do psa. Przykucam i głaszczę go po boku.

- Musimy się spieszyć - powtarza Henri.

Bernie Kosar nie rusza się. Las wokół nas jakby ożył pełen kłębiących się cieni, co może oznaczać tylko jedno, ale nic mnie to nie obchodzi. Przykładam ucho do piersi psa. Słyszę słabiutkie bicie jego serca. A więc tli się w nim jeszcze iskierka życia. Ma mnóstwo głębokich ran, skaleczeń, dosłownie cały krwawi. Jego przednia łapa, wygięta pod nienaturalnym kątem, jest na pewno złamana. Ale wciąż żyje.

Podnoszę go delikatnie, tuląc w ramionach jak małe dziecko. Henri mi pomaga, potem sięga do kieszeni, wyciąga następny kamyk i bierze go do ust. Zastanawiam się, czy to siebie miał na myśli, mówiąc, że mamy niewiele czasu.

- Obaj jesteśmy słabi i chwiejemy się na nogach.

I raptem coś przyciąga mój wzrok na udzie Henriego. Rana świecąca na granatowo poprzez stygnącą wokół niej krew.

On też został ugodzony sztyletem. Zastanawiam się, czy tak jak ja stoi na własnych nogach wyłącznie dzięki solnemu kamykowi.

- A co ze strzelbą? - pytam.
- Skończyła mi się amunicja.

Opuszczamy polanę, nie spiesząc się. Bernie Kosar jest bezwładny w moich ramionach, ale czuję, że nie uszło z niego życie. Jeszcze nie. Wychodzimy z lasu, zostawiając za sobą zwisające gałęzie, krzaki, zapach wilgoci i gnijących liści.

- Myślisz, że dasz radę biec? - pyta Henri.
- Nie. Ale i tak pobiegnę.

Niedaleko przed nami słychać wielkie poruszenie, postękiwania, którym towarzyszy brzęk łańcuchów.

A potem słyszymy ryk, nie tak złowrogi jak wcześniejsze, ale wystarczająco głośny, by nie mieć złudzeń: jeszcze jedna bestia.

- O nie... - mówi Henri.

Z lasu za nami dobiega trzask łamanych gałęzi. Odwracamy się, ale drzewa są za gęste, żeby wypatrzeć coś po ciemku. Włączam światło lewej ręki i omiatam nim linię lasu. Na skraju stoi siedmiu, ośmiu żołnierzy. Wszyscy na widok światła wyciągają miecze, które natychmiast ozywają, świecąc na różne kolory.

- Nie! - krzyczy Henri. - Nie używaj mocy. To cię osłabi.

Za późno. Wyłączam pospiesznie światło, ale zawroty głowy i słabość powracają. Ból też. Wstrzymuję oddech i czekam na atak żołnierzy Ale nic się nie dzieje. Nie dochodzą do nas żadne dźwięki poza odgłosami walki, która toczy się przed nami.

Nagle z tyłu wybucha wrzawa. Odwracam się. Lśniące miecze unoszą się butnie dziesięć metrów od nas. Jeden z żołnierzy śmieje się triumfalnie. Ich dziewięciu, uzbrojonych i w pełni sił, przeciwko nam trzem, załamany i pobitym, z jedynym orężem w postaci własnej odwagi. Po jednej stronie

bestia, po drugiej mogadorscy żołnierze. Oto przed jakim stoimy wyborem.

Henri wydaje się niewzruszony. Wyjmuje z kieszeni jeszcze dwa kamyki i podaje mi jeden.

- Ostatnie dwa. - Drży mu głos, jakby samo mówienie kosztowało go wiele trudu.

Wkładam kamyk pod język, mimo że została jeszcze resztką pierwszego. I znowu czuję przyływ sił.

- Co robimy? - pyta Henri.

Jesteśmy otoczeni. Licząc Berniego Kosara, zostaliśmy tylko we trzech. Szóstka jest ranna i została zabrana przez Sama. Mark przed chwilą tu był, ale gdzieś zniknął. Pozostaje Sara, która, mam nadzieję, jest w bezpiecznej kryjówce w szkole, dobre sto pięćdziesiąt metrów od nas. Biorę głęboki oddech i godzę się na nieuniknione.

- To chyba bez znaczenia, Henri, ale szkoła jest przed nami, a tam niedługo podjedzie Sam.

Henri robi coś, co zbija mnie z tropu. Uśmiecha się. Wyciąga dłoń i ściska mnie za ramię. Ma zmęczone i przekrwione oczy, ale widzę w nich ulgę, dziwny spokój, jakby wiedział, że ten koszmar zbliża się ku końcowi.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy i wyszło, jak wyszło. Ale jestem z ciebie cholernie dumny - mówi. -

Spisałeś się fantastycznie. Zawsze wiedziałem, że tak będzie. Nie miałem cienia wątpliwości.

Spuszczam głowę. Nie chcę, żeby widział, jak płaczę. Przyciskam do siebie psa. Po raz pierwszy, odkąd trzymam go na rękach, daje jakieś oznaki życia, podnosi głowę na tyle, żeby móc mnie polizać w policzek. Przekazuje mi jedno i tylko jedno słowo, jakby na więcej nie miał sił. **Odwagi**, mówi.

Podnoszę głowę. Henri podchodzi krok bliżej, żeby mnie uścisnąć. Zamykam oczy i wtulam twarz w jego ramię.

Czuję, jak drży; jego ciało w moich objęciach jest wątłe i słabe. Mam świadomość, że moje nie jest dużo silniejsze. A więc to koniec, myślę. Z wysoko podniesionymi głowami przejdziemy przez boisko, wychodząc naprzeciw temu, co nas może czekać. Przynajmniej zachowamy godność.

- Cholernie dobrze się spisałeś - powtarza Henri.

Otwieram oczy. Ponad jego ramieniem widzę, że Mogadorczycy są blisko, pięć, może sześć metrów od nas.

Zatrzymali się. Jeden trzyma sztylet, który pulsuje srebrnoszarym światłem. Żołnierz podrzuca go w powietrze, łapie i rzuca, celując w plecy Henriego. Podnoszę rękę i zmieniam kierunek jego lotu, mija nas na długość dłoni. Niemal natychmiast opadam z sił, mimo że kamyk pod moim językiem rozpuścił się tylko do połowy.

94

Henri zarzuca moje wolne ramię na swoje plecy i prawą ręką obejmuje mnie w pasie. Obaj chwiejnym krokiem ruszamy do przodu. Przed nami wylania się bestia, jej sylwetka majaczy pośrodku boiska. Mogadorczycy idą za nami.

Może chcę zobaczyć bestię w akcji, zobaczyć, jak zabija. Każdy kolejny krok kosztuje mnie więcej wysiłku. Serce wali mi w piersi. Nadchodzi śmierć i to mnie przeraża. Ale jest przy mnie Henri. I Bernie Kosar. Mam szczęście, że nie jestem skazany na śmierć w samotności. Kilku żołnierzy staje za bestią. Nawet jeśli uda nam się ją ominąć, wejdziemy prosto na nich - Mogadorczków z wyciągniętymi mieczami.

Nie mamy wyboru. Dochodzimy do boiska i spodziewam się, że bestia zaraz zaatakuje. Ale nic się nie dzieje.

Zatrzymujemy się pięć metrów przed jej cielskiem. Stoimy, podtrzymując się nawzajem.

Bestia jest o połowę mniejsza od poprzedniej, ale i tak dość wielka, by zabić nas bez większego

wysiłku. Błada, prawie przezroczysta skóra naciągnięta na wystające żebra i guzowate stawy. Mnóstwo różowa-wych blizn wzdłuż ramion i tułowia. Białe, niewidzące oczy. Przeszła-puje z nogi na nogę, pochyła się, potem kołysze łbem nad trawą, żeby rozpoznać węchem to, czego nie widzą jej oczy Wyczuwa nas przed sobą. Wydaje niski pomruk. Nie ma w niej tej furii i zaciekłości, jaka była z poprzednich stworów, nie ma w niej żądzы krwi i zabijania. Jest strach i jakby smutek.

Otwieram się na to. Widzę obrazy męki i głodu. Widzę bestię w zamknięciu przez całe jej życie na Ziemi, widzę ją w wilgotnej jaskini, gdzie prawie nie dociera światło. Widzę, jak w nocy drży, próbując wykrzesać z siebie ciepło, zawsze zmarznięta i przemoczona. Widzę, jak Mogadorczycy tresują bestie, szczując je przeciw sobie, zmuszając do wzajemnej walki, wyrabiając w nich dziką bezwzględność.

Henri mnie puszcza. Nie mogę dłużej utrzymać Berniego Kosara. Kładę go delikatnie na trawie u swoich stóp. Nie poruszył się od kilku minut i nie wiem, czy jeszcze żyje. Robię krok w przód i padam na kolana. Żołnierze zaczynają pokrzykiwać. Nie rozumiem ich języka, ale słyszę po ich tonie, że są zniecierpliwieni. Jeden zamachuje się mieczem i wystający z niego sztylet mija mnie o włos; błysk bieli podwiewa i rozcina na piersi moją koszulę. Nie wstając z klęczek, podnoszę wzrok na bestię. Wystrzela jakaś broń, ale pocisk przelatuje nad naszymi głowami. To pewnie strzał

ostrzegawczy, który ma skłonić bestię do działania. Tymczasem ona się wzdryga. Kolejny sztylet przecina powietrze i trafia poniżej jej lewego łokcia. Bestia podnosi głowę i wydaje ryk bólu.

Przykro mi, staram się jej przekazać. Przykro mi, że zmuszono cię do takiego życia. Wyrządzono ci krzywdę. Żadna

żywa istota nie zasługuje na takie traktowanie. Skazano cię na piekło, wyrwano z własnej planety, żeby wykorzystać

do walki w nie swojej wojnie. Byłaś bita, torturowana i głodzona. Winę za cały twój ból, za wszystkie męczarnie

ponoszą oni. Łączy nas szczególna więź, mnie i ciebie. Oboje zostaliśmy skrzywdzeni przez te same monstra.

Całą siłą woli staram się przekazać bestii swoje przeżycia, to, co widziałem i czego doznałem. Bestia nie odwraca wzroku. Moje myśli, na jakimś poziomie, do niej docierają. Pokazuję jej Lorien, przestrzeń oceanu i bujne lasy, tętniące życiem zielone wzgórza. Zwierzęta pijące z chłodnych błękitnych źródeł. Dumny lud żyjący w harmonii z naturą. Pokazuję późniejsze piekło, mordowanie mężczyzn, kobiet i dzieci. Mogadorczyków. Zimnokrwistych morderców. Bezwzględnych zabójców niszczących - w swej bezmyślności i w imię żalonych przekonań - wszystko, co na ich drodze. Niszczących nawet własną planetę. Dokąd to zmierza? Pokazuję bestii Sarę, pokazuję wszystko, co przy niej czułem. Szczęście i błogość. A także ból, jaki czuję, będąc zmuszony się z nią rozstać; wszystko przez nich.

Pomóż mi, mówię. Pomóż mi skończyć z tą rzeźnią. Walczmy razem. Tak niewiele mi zostało, ale jeśli będziesz w tej

walce ze mną, ja będę do końca z tobą.

Bestia podnosi głowę do nieba i ryczy. Ryk jest długi i głęboki. Mogadorczycy wyczuwają, co się dzieje, i swoje już zobaczyli. Zaczynają strzelać. Widzę, że jedno z dział, wycelowane prosto we mnie, odpala pocisk. Biała śmierć już mknie, ale bestia opuszcza głowę, wystawiając się na strzał. Jej pysk wykrzywia się z bólu, oczy się zaciskają, ale po chwili są znów otwarte. Tym razem widzę w nich wściekłość.

Upadam twarzą na trawę. Coś się o mnie ociera, ale nie widzę co. Henri za moimi plecami wydaje

okrzyk bólu, siła uderzenia odrzuca go na dziesięć metrów. Leży w błocie twarzą do góry, w obłoku dymu. Nie mam pojęcia, czym go trafili. Czymś dużym i śmiertelnie. Ogarnia mnie paniczny strach. Tylko nie Henri, myślę. Błagam, tylko nie Henri.

Bestia wyrzuca ciężki zamaszty cios, którym likwiduje kilku żołnierzy, uciszając zarazem ich działa. Kolejny ryk.

Podnoszę wzrok i widzę, że jej oczy płoną na czerwono. Furia. Zemsta. Bunt. Bestia spogląda na mnie krótko i rusza w pogoń za swymi oprawcami. Słysząc jeszcze strzały, ale wkrótce większość broni milknie. **Zabij ich wszystkich**, myślę.

Walcz szlachetnie i honorowo i obyś zabiła ich wszystkich.

Podnoszę głowę. Bernie Kosar leży bezwładnie na trawie. Henri dziesięć metrów dalej, też się nie rusza. Kładę rękę na ziemi i posuwam się wolno przez boisko, centymetr po centymetrze, w stronę Henriego. W chwili, kiedy do niego docieram, ma półprzymknięte oczy, walczy o każdy oddech. Z nosa i ust cieką strużki krwi. Biorę go w ramiona i układam na swoich kolanach. Czuję, jak uchodzi z niego życie. Unosi z trudem powieki. Patrzy na mnie, przykładając rękę do mojego policzka. I już nie mogę powstrzymać łez.

- Jestem przy tobie - szepczę. Próbuje się uśmiechnąć.

- Przepraszam, Henri - szlocham. - Tak bardzo żałuję, że przeze mnie nie wyjechaliśmy.

- Ciii. To nie twoja wina.

- Tak bardzo cię przepraszam.

- Świetnie się spisałeś - szepcze. - Naprawdę wspaniale. Zawsze wiedziałem, na co cię stać.

- Musimy się dostać do szkoły - mówię. - Sam może już tam być.

- Posłuchaj mnie, John. Wszystko... wszystko, co musisz wiedzieć, jest w Loryjskim Kufierku. List.

- To jeszcze nie koniec. Może nam się udać.

Czuję, że odchodzi. Potrząsam nim. Ledwie uchyła powieki. Z ust cieknie strużka krwi.

- To, że przyjechaliśmy tutaj, do Paradise, nie było przypadkiem. Nie wiem, co chce przez to powiedzieć.

- Przeczytaj list...

- Henri...

Gdy wycieram krew z jego podbródka, patrzy mi w oczy.

- Ty jesteś Dziedzictwem Lorien, John. Ty i reszta. Jesteście jedyną nadzieją tej planety Tajemnice... - Przerywa mu atak kaszlu. Jeszcze więcej krwi. I znowu zamyka oczy - Kuferek, John.

Przyciągam go mocniej do siebie, ściskam. Jego ciało staje się bezwładne. Oddech jest tak płytki, że to już w ogóle nie jest oddech.

- Wrócimy tam razem, Henri. Ja i ty, przyrzekam ci - mówię, zamykając oczy

- Bądź silny... - Znowu chwyta go kaszel, ale próbuje mówić dalej. - Ta wojna... Możecie wygrać... Znajdź

pozostałych... Szóstka... Moc... - Henri milknie.

Usiłuję z nim wstać, ale brak mi sił, sam ledwie oddycham. W oddali słyszę ryk bestii. Działa wciąż strzelają, ich błyski i grzmoty dobiegają zza trybun stadionu, ale z każdą minutą jest ich coraz mniej, aż wreszcie słysząc odgłos tylko jednej broni. Opuszczam Henriego w swoich ramionach. Kładę dłoń na jego policzku. Otwiera oczy i wiem, że patrzy na mnie po raz ostatni. Łapie trochę powietrza, wydycha, a potem wolno opuszcza powieki.

- Nie oddałbym ani sekundy, dzieciaku, z czasu, który przeżyliśmy razem. Nawet za całą Lorien. Ani za cały cholerny świat - mówi i kiedy wypowiada ostatnie słowo, wiem, że odszedł.

Ściskam go w ramionach, potrząsam nim, płacząc, ogarnia mnie rozpacz i zupełnie opuszcza

nadzieja. Dłoń Henriego opada bez życia na trawę. Tulę do piersi jego głowę, kołyszę się w tył i w przód, płacząc jak jeszcze nigdy w życiu.

Mój naszyjnik lśni niebieskim światłem, na ułamek sekundy robi się ciężki, a potem przygasa i wraca do normalnej postaci.

Siedzę na trawie i tulę Henriego, kiedy milknie ostatnie działo. Opuszcza mnie ból i czuję, jak razem z chłodem nocy odpływa całe moje jestestwo. Księżyc i gwiazdy świecą nad moją głową. Słyszę niesione wiatrem parsknięcie śmiechu. Nastrajam na nie słuch. Obracam głowę. W rozmytym, wirującym tle, pięć metrów przede mną, stoi zwiadowca. Długi prochowiec, kapelusz nasunięty na oczy. Zrzuca płaszcz i ściąga kapelusz, odkrywając bladą, bezwłosą głowę. Sięga za pasek i wyciąga nóż myśliwski z ostrzem o długości co najmniej trzydziestu centymetrów.

Zamykam oczy. Jest mi już wszystko jedno. Charczący oddech zwiadowcy wyraźnie się zbliża. Trzy metry, dwa... I nagle kroki cichną. Zwiadowca wydaje jęk bólu i zaczyna bulgotać mu w gardle.

Otwieram oczy, zwiadowca jest tak blisko, że czuję jego smród. Nóż wypada mu z ręki. W jego piersi, tam, gdzie zakładam, że musi być jakieś serce, tkwi czubek rzeźnickiego noża. Ktoś ten nóż wyciąga i zwiadowca pada na kolana, osuwa się na bok i eksploduje, zamieniając się w chmurę popiołu. Za nim, z nożem w drżącej ręce i łzami w oczach, stoi Sara. Wypuszcza nóż i podbiega, obejmuje mnie i Henriego w moich ramionach. Wciąż go ściskam, kiedy opada mi głowa i świat rozplywa się w nicość. Wojenne spustoszenie, zrujnowana szkoła, zwalone drzewa i kupki popiołu na murawie boiska, a ja wciąż trzymam w ramionach Henriego. A Sara trzyma mnie.

34

Obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie, każdy niesie ze sobą własny smutek lub własny uśmiech. Czasem jedno i drugie. W najgorszym wypadku nieprzeniknioną, ślepią ciemność, w najlepszym - radość tak jasną, że oczy bolą od patrzenia. Obrazy przychodzą i odchodzą, wyświetlane z niewidzialnego projektora, nieustannie zmieniane jakąś niewidzialną ręką. Jeden, potem następny. Głuchy trzask migawki. Teraz stop. Zatrzymaj tę klatkę. Ściągnij ją, zbliż obraz i katuj się tym, co zobaczysz. Henri zawsze powtarzał: ceną wspomnień jest wspomnienie smutku, jaki ze sobą przynoszą.

Ciepły, słoneczny dzień, chłodny trawnik, słońce wysoko na bezchmurnym niebie. Bryza od morza niesie zapach rześkiego powietrza. Do domu podchodzi mężczyzna z teczką w ręku. Dosyć młody mężczyzna, z krótkimi brązowymi włosami, świeżo ogoloną twarzą, swobodnie ubrany. Lśniące od potu czoło i to, jak przekłada teczkę z ręki do ręki, zdradza jego zdenerwowanie. Puka do drzwi. Otwiera mój dziadek i zaprasza mężczyznę do środka. Ja wracam do baraszkowania z psem na podwórzu. Hadley co rusz zmienia postać, fruwa, biega w kółko, nie dając się złapać, potem na mnie skacze. Szamoczemy się i zaśmiewamy do bólu. Dzień mija, tak jak tylko może mijać czas w beztroskim dzieciństwie, z jego niezmiennością i niewinnością.

Upływa piętnaście minut. Może mniej. W tym wieku dzień może trwać wieczność. Drzwi się otwierają i zamykają.

Podnoszę oczy. Mój dziadek stoi z mężczyzną, którego wcześniej obserwowałam, obaj patrzą na mnie.

- Jest ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić - mówi dziadek. Wstaję i składam ręce, żeby otrzepać je z ziemi.

- To jest Brandon. On jest twoim Capanem. Wiesz, co to znaczy?

96

Kręcę głową. Brandon. Tak miał na imię. Po tylu latach dopiero teraz to do mnie wraca.

- To znaczy że od tej chwili będzie spędzał z tobą dużo czasu. I to znaczy, że łączy was coś

ważnego. Jesteście ze sobą związani. Rozumiesz?

Odpowiadam skinieniem głowy, podchodzę do mężczyzny i podaję mu rękę, tak jak wiele razy widziałem, że robią to dorośli mężczyźni. Brandon uśmiecha się i przykłada na jedno kolano. Bierze moją małą dłoń w swoją prawicę i zamyka w uścisku.

- Miło mi pana poznać - mówię.

Jasne, łagodne oczy pełne życia wpatrują się w moje, jakby dając obietnicę, jakieś zobowiązanie, ale jestem za mały, żeby zrozumieć, co ta obietnica czy zobowiązanie naprawdę oznacza.

Kiwa głową i kładzie swoją lewą dłoń na prawej, a moja mała rączka niknie gdzieś w środku.

- Moje drogie dziecko - mówi, cały czas się uśmiechając. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Coś wyrywa mnie ze snu. Leżę na plecach, serce mi łomocze i oddycham jak po długim biegu. Nie otwieram oczu, ale czuję, że słońce już wzeszło; powietrze w pokoju jest rześkie i przez zamknięte powieki widzę długie cienie. Ból powraca, moje ręce i nogi są jak z ołowiu. Z bólem przychodzi inne cierpienie, o wiele większe niż jakakolwiek wyobrażalna przypadłość fizyczna: pamięć niedawnych godzin.

Robię głęboki wdech i długi wydech. Po moim policzku spływa łza. Wciąż nie otwieram oczu. Irracjonalna nadzieja, że jeśli nie znajdę dnia, dzień nie znajdzie mnie, wtedy to, co stało się w nocy, zostanie wymazane. Po cichym płaczu moim ciałem wstrząsa szloch. Potrząsam głową i kapituluję przed prawdą. Wiem, że Henri nie żyje i że cała nadzieja świata nie zdoła tego zmienić.

Czuję blisko siebie poruszenie. Drętwieję, zastygam w bezruchu, jakby to mogło uczynić mnie niewidzialnym.

Czyjaś dłoń dotyka mojej twarzy. Delikatny dotyk pełen miłości. Powoli otwieram oczy, oswajając wzrok ze światłem poranka, aż sufit nieznanego pokoju nabiera ostrości. Nie mam pojęcia, gdzie jestem ani jak się tu znalazłem. Siedzi przy mnie Sara. Kładzie dłoń na moim policzku i gładzi kciukiem brew. Pochyla się i całuje mnie słodko i niespiesznie. Ten pocałunek chciałbym zamknąć w butelce i zatrzymać na wieczność. Odchyła się, a ja biorę oddech, zamykam oczy i całuję ją w czoło.

- Gdzie my jesteśmy? - pytam.

- W hotelu, pięćdziesiąt kilometrów od Paradise.

- Jak się tu znalazłem?

- Sam nas przywiózł.

- Ale jak się wydostaliśmy się ze szkoły? Co się działo? Pamiętam, że byłeś tam ze mną, ale później już nic.

Zupełnie, jakby to był tylko sen.

- Czekałam z tobą na boisku, aż zjawił się Mark i zaniósł cię do furgonetki Sama. Nie mogłam dłużej wytrzymać tego siedzenia w ukryciu. Nie miałam pojęcia, co się dzieje na zewnątrz, to mnie wykańczało. No i czułam, że mogłabym się do czegoś przydać.

- Bardzo się przydałaś. Uratowałaś mi życie.

- Zabiłam obcego - mówi, jakby ten fakt nie do końca do niej dotarł.

Obejmuje mnie, podkładając rękę pod moją głowę. Próbuje usiąść. Do połowy robię to samodzielnie, potem Sara mi pomaga, ostrożnie popychając plecy, tak żeby nie dotknąć rany od noża. Przekładam stopy nad krawędzią łóżka i obmacuję blizny wokół kostki, licząc je opuszkami palców. Wciąż tylko trzy, czyli Szóstka żyje. Już dawno pogodziłem się z perspektywą samotnego życia do końca swoich dni, z losem błędnego wędrowca, który nie ma dokąd pójść. A jednak nie będę sam. Szóstka wciąż tu jest, wciąż ze mną, moja żywa więź z minionym światem.

- Co z Szóstką? - pytam.

- Nie jest źle. Została ugodzona nożem i postrzelona, ale czuje się coraz lepiej, wyliże się z tego.

Pewnie by nie przeżyła, gdyby Sam nie zaniósł jej do furgonetki.

- Gdzie ona jest?

- W sąsiednim pokoju, z Samem i Markiem.

Wstaję. Moje mięśnie i stawy reagują bólem protestu, wszystkie sztywne i zmaltretowane. Jestem w czystym T-shircie i sportowych spodenkach. Moja skóra pachnie mydłem. Rany zostały opatrzone, niektóre zszyte.

- Ty to wszystko zrobiłaś?

- Prawie. Ze szwami było ciężko. Na wzór mieliśmy tylko te, które założył ci na głowie Henri.

Pomagał mi Sam.

Patrzę na Sarę siedzącą na łóżku z podwiniętymi nogami i nagle moją uwagę przyciąga coś innego: niewielka masa, która poruszyła się pod kocem w nogach łóżka. Wyprężam się i natychmiast staję mi przed oczami łasice z sali gimnastycznej. Sara, widząc, na co patrzę, uśmiecha się. Przemieszcza się na czworakach w koniec łóżka

- Jest tu ktoś, kto chce się przywitać - mówi, delikatnie odchylając róg koca.

Bernie Kosar śpi. Ma unieruchomioną metalową szyną przednią łapę, ciało pokryte ranami i skaleczeniami, które, tak jak moje, zostały opatrzone i zaczynają się goić. Powoli uchyla powieki i oswaja ze światłem przekrwione, pełne zmęczenia oczy. Nie porusza głową, ale próbuje zamerdać ogonem, lekko uderzając nim o materac.

- Bernie - mówię, klękając przed nim.

Uśmiecham się, kładę delikatnie rękę na jego głowie i z radości zbiera mi się na płacz. Pies leży zwinięty w kulkę, z głową na przednich łapach, oczami utkwionymi we mnie, pokiereszowany i okaleczony, ale żyje.

- Bernie Kosar, nie dałeś się. Zawdzięczam ci życie.

Całuję go w czubek głowy, a Sara przeciąga dłońią po jego grzbiecie.

- Zaniósłam go do furgonetki, a Mark zaniósł ciebie.

- Mark. Tak mi przykro, że w niego wątpiłem.

Sara podnosi jedno ucho Berniego. Pies odwraca się, niucha jej rękę, potem ją liże.

- Więc to prawda, co mówił Mark, że Bernie Kosar urósł do dziesięciu metrów i zabił bestię dwukrotnie większą od niego?

- Trzykrotnie większą - odpowiadam z uśmiechem.

Bernie Kosar spogląda na mnie znacząco. *Kłamczuch*, mówi. Pochylam głowę i puszczam do niego oko. Wstaję i patrzę na Sarę.

- To wszystko... - mówię. - To wszystko stało się tak szybko. Jak ty to znosisz?

- Co jak znoszę? Fakt, że zakochałam się w kosmicie, o czym dowiedziałam się trzy dni temu, po czym przypadkiem się wpakowałam w sam środek wojny? Nie ma sprawy, jakoś to znoszę.

- Jesteś aniołem - mówię z uśmiechem.

-

Nie, jestem tylko zakochaną do szaleństwa dziewczyną. Wstaje z łóżka, zarzuca mi na szyję ramiona i stoimy tak objęci pośrodku pokoju.

- Ty naprawdę musisz wyjechać, prawda? Kiwam głową.

Sara robi długi drżący wydech, nie pozwalając sobie na płacz. W całym swoim życiu nie widziałem tylu wylanych łez, ile podczas minionej doby.

- Nie wiem, dokąd musisz pojechać ani co musisz zrobić, ale będę na ciebie czekała, John. Każde uderzenie mojego serca należy do ciebie, czy chcesz tego, czy nie.

Przytulam ją mocniej.

- A każde uderzenie mojego należy do ciebie.

Przechodzę przez pokój. Na stole widzę Loryjski Kuferek, trzy spakowane torby, komputer Henriego i wszystkie pieniądze pobrane ostatnio w banku. To Sara musiała wynieść Kuferek z sali gospodarstwa domowego. Kładę na nim rękę. Wszystkie tajemnice, powiedział Henri. Wszystkie mieszczą się w nim. Otworzę go w swoim czasie i poznam tajemnice, ale teraz z pewnością nie jest to odpowiednia chwila. A co miał na myśli Henri, mówiąc o Paradise, że nasz przyjazd tutaj nie był przypadkowy?

- Ty spakowałaś moje torby? - pytam Sarę, która stoi przy mnie.

- Tak. To była chyba najtrudniejsza rzecz, jaką miałam do zrobienia w swoim życiu.

Podnoszę jedną torbę ze stołu. Pod nią leży szara koperta z moim nazwiskiem.

- Co to jest?

- Nie wiem. Znalazłam to w pokoju Henriego. Prosto ze szkoły pojechaliśmy do waszego domu. Staraliśmy się zabrać wszystko, co się da, potem przyjechaliśmy tutaj.

Otwieram kopertę i wydaję zawartość. Wszystkie dokumenty, które wyrobił mi Henri: świadectwa urodzin, karty ubezpieczeniowe, wizy i tak dalej. Przeliczam je. Siedemnaście różnych tożsamości, siedemnaście różnych dat urodzenia. Na pierwszym z wierzchu papierze jest przyklejona karteczka z pismem Henriego: „Na wszelki wypadek”.

Pod ostatnim znajduję drugą zapieczętowaną kopertę z moim imieniem napisanym ręką Henriego. List, na pewno ten, o którym mówił przed śmiercią. Nie mam odwagi przeczytać go w tej chwili.

Wyglądam przez okno hotelowego pokoju. Z niskich szarych chmur prószony śnieg. Ziemia jest zbyt ciepła, by mógł się utrzymać. Samochód Sary i furgonetka ojca Sama stoją zaparkowane obok siebie. Kiedy patrzę na nie z góry, ktoś puka do drzwi. Sara otwiera i do pokoju wchodzi Sam z Markiem, za nimi kuśtyka Szóstka. Sam ściska mnie, mówi, jak mu przykro.

- Dzięki, Sam.

- Jak się czujesz? - pyta Szóstka.

Nie ma na sobie kombinezonu, tylko dżinsy, w których zobaczyłem ją po raz pierwszy, i bluzę Henriego.

- W porządku. Obolały i sztywny. I strasznie ociężały

- Ta ociężałość to od sztyletu. Ale przejdzie ci.

- A ciebie bardzo podźgali? - pytam.

Podnosi koszulę i pokazuje mi jedną ciętą ranę na boku i drugą na plecach. W sumie została ugodzona trzykrotnie, nie licząc różnych skaleczeń na całym ciele i głębokiej rany postrzałowej na prawym udzie, opatrzonej teraz ciasno bandażem, która jest powodem jej kuśtykania. Tłumaczy mi, że kiedy już wydostaliśmy się z pola walki, minął czas, w którym mógł uzdrowić nas kamień. Zastanawiam się, jakim cudem ona w ogóle przeżyła.

Sam i Mark są w tych samych ubraniach co poprzedniego dnia, obaj brudni, zakurzeni, wysmarowani błotem i zaschniętą krwią. Obaj z ciężkim wzrokiem, jakby się nie wyspali. Mark stoi obok Sama, który w zakłopotaniu przestępuje z nogi na nogę.

98

- Sam, zawsze wiedziałem, że na ciebie nie ma mocnych - mówię. Śmieje się niepewnie.

- Jak z tobą? - pyta.

- W porządku, żyję. A ty? Jak się czujesz?

- Dobrze jest.

Spoglądam ponad jego ramieniem na Marka.

- Sara powiedziała, że wyniosłeś mnie z boiska. Wzrusza ramionami.

- Fajnie, że mogłem się przydać.

- Mark, uratowałeś mi życie. Patrzy mi prosto w oczy.

- Myślę, że każde z nas w jakimś momencie kogoś ratowało. Kurde, Szóstka uratowała mnie tej nocy trzy razy, w różnych sytuacjach. A ty uratowałeś w sobotę moje dwa psy. Niech będzie, że jesteśmy kwita.

Nawet zdobywam się na uśmiech.

- W porządku. Cieszę się po prostu, że nie jesteś takim palantem, jak myślałem.

Mark uśmiecha się półgębkiem.

- Gdybym wiedział, że jesteś kosmitą i że bez niczego możesz mi skopać tyłek, to pewnie od początku byłbym miłszy

Szóstka przechodzi przez pokój, zerkając na moje torby

- Naprawdę powinniśmy się zbierać - mówi, a potem patrzy na mnie z niewypowiedzianą troską i jej twarz łagodnieje. - Została nam do zrobienia tylko jedna rzecz. Nie byliśmy pewni, co postanowisz.

Kiwam głową. Nie muszę pytać, by wiedzieć, o czym ona mówi. Odwracam się do Sary. To stanie się o wiele wcześniej, niż myślałem.

Czuje, jak skręcają mi się wnętrzności. Zaczyna mnie mdlić. Sara bierze mnie za rękę.

- Gdzie on jest? - pytam.

Ziemia jest mokra od topniejącego śniegu. Trzymam dłoń Sary w swojej i w milczeniu idziemy przez las, dobry kilometr od hotelu. Sam z Markiem prowadzą po błotnistych śladach stóp, które zostawili kilka godzin wcześniej.

Docieramy do niewielkiej polany, pośrodku której na drewnianej płycie leży ciało Henriego. Jest owinięty w szary koc ściągnięty z jego łóżka. Podchodzę blisko. Sara mnie nie odstępkuje, kładzie dłoń na moim ramieniu. Inni stają za mną.

Odchylam koc. Henri ma zamknięte oczy, ziemistoblądą twarz i sine od zimna usta. Całuję go w czoło.

- Co chcesz zrobić, John? - pyta Szóstka. - Możemy go pogrzebać albo skremować.

- Skremować? W jaki sposób?

- Potrafię wzniecić ogień.

- Myślałem, że masz tylko dar władania pogodą.

- Nie pogodą. Żywiołami.

Patrzę na łagodną twarz Szóstki z wypisaną na niej troską, ale też stresem wywołanym przez pośpiech, przez świadomość, że musimy uciec, zanim przybędą posiłki wroga. Nie odpowiadam. Odwracam wzrok i żegnam Henriego ostatnim uściskiem, z twarzą przy jego twarzy, i daję upust żalowi.

- Przepraszam, Henri - szepczę mu do ucha. Zamykam oczy. - Kocham cię. Ja też nie oddałbym ani sekundy z naszego życia. Za nic. Jeszcze cię tam zabiorę, zobaczysz. Znajdę jakiś sposób, żebyś mógł wrócić na Lorien. Ciągłe z tego żartowaliśmy, ale ty naprawdę byłeś moim ojcem, najlepszym ojcem, o jakim mogłem marzyć. Nigdy cię nie zapomnę, ani na minutę do końca mojego życia. Kocham cię, Henri. Zawsze cię kochałem.

Wypuszczam go z objęć, naciągam mu koc na twarz i układam go delikatnie na drewnianej płycie. Wstaję i przytulam Sarę. Ona obejmuje mnie tak długo, aż przestaję płakać. Ocieram łzy wierzchem dłoni i gestem głowy daję znak Szóstce.

Sam pomaga mi usunąć z ziemi patyki i liście, potem układamy ciało Henriego, tak żeby nie pomieszać jego prochów z niczym innym. Sam zapala krawędź koca, a Szóstka wznieca ogień od tego

miejsca. Patrzymy w płomienie, ale nikt z nas nie ma suchych oczu. Płacze nawet Mark. Nikt się nie odzywa. Kiedy gaśnie ogień, zbieram prochy do puszek po kawie, którą Mark przezornie zabrał z hotelu. Zdobę coś lepszego, jak tylko zatrzymamy się gdzieś w drodze. Po powrocie z lasu stawiam puszkę na desce rozdzielczej furgonetki Sama. Pociesza mnie myśl, że Henri będzie dalej z nami podróżował, że będzie uważał na drogę, gdy przyjdzie nam opuszczać kolejne miasteczko, tak jak to robiliśmy we dwóch wiele razy wcześniej.

Ładujemy bagaże na tył furgonetki. Poza moimi rzeczami i Szóstki Sam załadował też dwie swoje torby. W

pierwszej chwili jestem zdziwiony, ale zdaję sobie szybko sprawę, że między nim a Szóstką doszło do jakiegoś porozumienia i Sam ma jechać z nami. Nawet jestem z tego zadowolony. Sara i ja wracamy do hotelowego pokoju. W

momencie, gdy zamykają się drzwi, ona bierze mnie z rękę i obraca mnie ku sobie.

- To mi łamie serce - mówi. - Chcę być teraz silna dla ciebie, ale myśl, że wyjeżdżasz, zabija mnie w środku.

Całuję ją w czubek głowy.

- Moje serce już jest złamane. Jak tylko się gdzieś ulokuję, napiszę do ciebie. I postaram się zadzwonić, kiedy uznam, że to bezpieczne.

Szóstka wsuwa do pokoju głowę.

- Naprawdę musimy już jechać.

- Tak, tak, już... - mówię.

Zamyka drzwi. Sara unosi twarz i całujemy się na stojąco w pokoju hotelowym. Myśl o powrocie Mogadorczyków, zanim byśmy wyjechali - co znowu naraziłoby na niebezpieczeństwo Sarę - jest jedynym źródłem siły jakie w sobie znajduję. Gdyby nie to, załamałbym się. Gdyby nie to, zostałbym tu za zawsze.

Bernie Kosar wciąż leży, czekając, w nogach łóżka. Merda ogonem, kiedy biorę go ostrożnie na rękę i wynoszę do furgonetki. Szóstka uruchamia silnik i zostawia go na jałowym biegu. Odwracam się, patrzę na hotel i jest mi tak smutno, że to nie mój dom i że już nigdy go nie zobaczę. Jego złuszczonej drewnianych ścian, pobitych okien, czarnych dachówek wypaczonych od nadmiaru słońca i deszczu. Jak w raju, powiedziałem kiedyś Henriemu. Ale to się skończyło. Raj został utracony

Odwracam się, daję znak Szóstce, która wsiada za kierownicę, zamyka drzwi i czeka.

Sam i Mark podają sobie ręce, ale nie słyszę, co mówią. Sam wsiada do furgonetki i czeka z Szóstką. Zegnam się z Markiem.

- Jestem winien ci więcej, niż kiedykolwiek będę w stanie odplacić - mówię.

- Nic mi nie jesteś winien.

- To nieprawda. Może kiedyś.

Odwracam oczy W tym smutku rozstania mam ochotę rozpaść się na kawałki. Resztki mojej determinacji utrzymuje nadwątlona lina gotowa w każdej chwili pęknąć.

- Może kiedyś się zobaczymy - mówię.

- Uważaj na siebie.

Biorę w ramiona Sarę, ściskam mocno i chciałbym jej nigdy nie puścić.

- Wrócę do ciebie - mówię. - Obiecuję ci, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię, wrócę do ciebie.

Wtula twarz w moją szyję. Kiwa głową.

- Będę liczyła minuty do twojego powrotu.

Ostatni pocałunek. Stawiam Sarę na ziemi i otwieram drzwi samochodu, nie odrywając od niej oczu. Zakrywa usta i nos złożonymi rękami, oboje nie jesteśmy w stanie odwrócić od siebie wzroku. Zamykam drzwi. Szóstka wycofuje furgonetkę z miejsca parkingowego, przystaje, odjeżdża. Mark i Sara idą do końca parkingu, patrząc, jak się oddalamy, po twarzy Sary płyną łzy. Obracam się na siedzeniu i patrzę przez tylną szybę. Unoszę rękę, żeby im obojgu pomachać; Mark odpowiada machnięciem, ale Sara tylko patrzy. Wpatruję się w nią tak długo, jak mogę, malejącą, coraz mniej wyraźną i niknącą w oddali. Furgonetka zwalnia przed zakrętem i w końcu oboje znikają z pola widzenia. Odwracam się z powrotem i patrzę na mijane pola, zamykam oczy i kiedy wyobrażam sobie twarz Sary, uśmiecham się. **Jeszcze**

będziemy razem, mówię jej. A do tego dnia będziesz w moim sercu i w każdej mojej myśli.

Bernie Kosar podnosi głowę, mości ją na moich kolanach, a ja kładę rękę na jego grzbiecie. Furgonetka podskakuje na drodze, jedziemy na południe. Nasza czwórka udaje się do następnego miasteczka. Gdziekolwiek ono jest.